



biblioteka

# przepaść między nami

Thrity Umrigar

[kalejdoskop]

# przepaść między nami

Thrity Umrigar

przełożyła Monika Wyrwas-Wiśniewska

Warszawskie Wydawnictwo Literackie MUZA SA

*Prawdziwej Bhimie  
i milionom kobiet  
takich jak ona*

# Prolog

Chuda kobieta w zielonym sari stała na śliskich skałach i patrzyła na otaczające ją morskie odmęty. Podmuchy wiatru wysupłały z jej koka kosmyki rzadkich włosów. Gdzieś za nią milkły odgłosy miasta, przytłumione nieustającym pluskiem wody u jej bosych stóp. Wyjąwszy kraby, których pospieszną krzątanicę słyszała i wyczuwała na skałach wokół siebie, była tu zupełnie sama – sama wobec szemrzącego morza i odległego księżyca, wyprostowana niczym uśmiech na tle nocnego nieba. Nawet jej ręce były puste, gdyż otworzyła dłonie i wypuściła swój wypełniony helem ładunek. Śledziła wzrokiem balony, póki mrok bombajskiej nocy nie pochłoniął ostatniego z nich. Jej ręce były teraz równie puste jak jej serce, przypominające skorupę kokosa, z którego wybrano cały miąższ.

Kobieta balansowała ostrożnie na skałach, czując, jak fale przyływu liżą jej stopy, i wznosiła twarz ku czarnemu niczym atrament niebu, czekając na odpowiedź. Gdzieś za nią zagubiło się i miasto, i życie, które w tym



właśnie momencie wydawało się jedynie nierealną mrzonką. Przed sobą miała ledwie widoczny szew, jakim niebo łączyło się z morzem. Mogła wspiąć się na skały, przejść przez betonowy murek i na powrót znaleźć się w świecie; znów stać się częścią szalonego, bijącego nierówno pulsu miasta. Albo wejść w oczekujące morze, pozwolić mu się uwieść i obezwładnić intymnym szeptem.

Znów spojrzała w niebo, szukając odpowiedzi. Ale słyszała jedynie znajome uderzenia swego własnego, posłusznego serca...

**Księga  
pierwsza**

# 1

Choć już świta, w sercu Bhimy panuje ciemność.

Przekręca się na lewy bok na cienkim bawełnianym materacu rozciągniętym wprost na podłodze, a potem siada nagle, identycznie jak co rano. Unosi nad głowę kościstą rękę, przeciąga się i ziewa. Jej nozdrza atakuje mocny, stęchły zapach dobywający się spod pach. Wspiera płasko o klepisko poznaczone odciskami stopy: przez jedną leniwą chwilę siedzi na brzegu materaca z podciągniętymi kolanami i głową spoczywającą na skrzyżowanych ramionach. Jest niemal spokojna, jej umysł miłosiernie opróżnia się z myśli o udrękach, jakie czekają ją dziś, jutro i pojutrze... By przedłużyć ten stan pozbawionej myśli łaski, z roztargnieniem sięga do puszki z tytoniem do żucia, którą trzyma przy pośłaniu. Wkłada prymkę do ust. Na jej niemal pozbawionej ciała twarzy wypychający policzek tytoń wygląda jak piłeczka do krykieta.

Idylla Bhimy nie trwa długo. Wkrótce w słabym, delikatnym blasku nowego dnia rozróżnia sylwetkę Mai, która kręci się na materacu w przeciwległym kącie chaty.

Dziewczyna mamrocze coś przez sen, wydając ciche, kwilące dźwięki i wbrew samej sobie Bhima czuje, że serce jej topnieje, tak jak wtedy, kiedy karmiła piersią matkę Mai, Pudzę, wiele, wiele lat temu. Ponaglana tymi szczeniackowatymi popiskiwaniami wstaje ze stęknięciem z materaca i podchodzi do posłania wnuczki. Ale w ciągu tej sekundy, jakiej trzeba, by dotrzeć na drugą stronę małej chatki, coś przeskakuje w sercu Bhimy i mleczone, macierzyńskie uczucie zastępuje twarda i bezlitosna furia, która kipi w niej już od kilku tygodni. Staje nad śpiącą dziewczyną, która pochrapuje cicho, rozkosznie nieświadoma gniewu widocznego oczach babci. Wpatruje się w lekką wypukłość brzucha Mai.

Jeden szybki kopniak, mruczy do siebie Bhima, jeden szybki kopniak w brzuch, a potem jeszcze jeden i jeszcze jeden i będzie po wszystkim. Patrzcie tylko, jak tu sobie śpi, jak jakaś bezwstydna kurwa, jakby nic jej nie obchodziło. Jakby nie wywróciła do góry nogami mojego życia. Prawa stopa Bhimy drga niecierpliwie. Kiedy odrywa ją od ziemi, mięśnie łydki napinają się. To byłoby takie łatwe. I takie humanitarne w porównaniu z tym, co jakaś inna babcia zrobiłaby z Mają – wrzucenie do studni, puszcza nafty i zapałka, sprzedaż do burdelu... Maja żyłaby nadal, dalej chodziłaby do college'u i wiodła życie inne niż to, które zna Bhima. Przecież tak właśnie miało być, i tak nawet było, póki ta głupia krowa, ta dziewczucha o wielkim sercu, a niedługo równie wielkim brzuchu, nie zaszła sobie w ciążę.

Maja wydaje nagle głośne chrapnięcie, a uniesiona stopa Bhimy opada na podłogę. Przykuca przy śpiącej dziewczy-

nie, żeby obudzić ją lekkim potrząśnięciem za ramię. Kiedy Maja jeszcze chodziła do college'u, Bhima pozwalała jej spać jak najdłużej, co niedziela szykowała dla niej gadźar halwę, codziennie dawała jej na obiad największą porcję. Jeśli Sera *bai* ją czymś poczęstowała – na przykład czekoladą Cadbury albo takim białym cukierkiem z pistacją w środku, importowanym z Iranu – zawsze przynosiła to do domu, dla Mai, choć Sera *bai* zwykle dawała jej porcję i dla niej. Ale od kiedy dowiedziała się o hańbie wnuczki, budziła ją wcześniej. Przez ostatnie kilka niedziel nie było gadźar halwy, a Maja ani razu nie poprosiła o swój ulubiony deser. W tym tygodniu Bhima kazała jej nawet iść z dwoma garnkami w kolejkę po wodę z publicznej pompy. Maja zaprotestowała wtedy, machinalnie pocierając ręką brzuch, ale Bhima odwróciła wzrok i powiedziała, że ludzie w *basti* wkrótce i tak dowiedzą się o jej hańbie, więc po co ją ukrywać?

Maja przewraca się na bok we śnie i jej twarz znajduje się teraz zaledwie kilka centymetrów od przykucniętej Bhimy. Młoda, pulchna ręka odnajduje chudą, pomarszczoną dłoń babci. Dziewczyna przytula się do niej, przyciskając ją między podbródkiem a piersią. Pojedyncze pasmo śliny opada na uwięzioną rękę Bhimy. Stara kobieta czuje, że znowu mięknie. Maja zawsze taka była, od dzieciństwa – potrzebująca miłości, kochająca, ufna. Pomimo wszystkich smutków, jakich doświadczyła w swym młodym życiu, nie straciła dotąd tej łagodności i niewinności. Wolną ręką Bhima gładzi bujną, jedwabistą czuprynę dziewczyny, tak różną od jej własnych, skąpych włosów.

Pokój wypełnia nagle cichy dźwięk radia tranzystorowego i Bhima klnie pod nosem. Zwykle gdy Dżajprakaś włącza radio, ona stoi już w kolejce po wodę. A to znaczy, że jest dziś spóźniona. Sera *bai* będzie wściekła. To przez tę głupią, leniwą dziewczuchę się opóźniła. Brutalnie wyrywa rękę, nie zważając na to, że jej ruch może obudzić wnuczkę. Ale dziewczyna śpi dalej. Bhima prostuje się gwałtownie, a kiedy to robi, w jej lewym biodrze rozlega się głośny trzask. Przez chwilę stoi nieruchomo, czekając na falę bólu, który zwykle potem następuje, ale dziś ma dobry dzień. Ból nie nadchodzi.

Bierze dwa miedziane garnki i otwiera drzwi chaty. Pochyla się, żeby wyjść przez niski otwór, a potem zamyka je za sobą. Nie chce, żeby mieszkający w osadzie lubieżni młodzieńcy, przechodząc tędy, rzucali pożądliwe spojrzenia na jej śpiącą wnuczkę. Jeden z nich jest pewnie ojcem tego dziecka... Potrząsa głową, żeby odsunąć od siebie mroczne myśli, które niczym węże kłębią się pod jej czaszką.

Czuje silne poruszenie w kiszkiach i cmoka językiem. No tak, nim pójdzie po wodę, będzie musiała udać się do wspólnej toalety, a wtedy kolejka na pewno zdąży się znacznie wydłużyć. Zwykle stara się zapanować nad żołądkiem, aż dotrze do domu Sery *bai*, gdzie jest prawdziwa łazienka, na szczęście jest dość wcześnie i toaleta powinna być jeszcze w niezłym stanie. Za kilka godzin ledwie się będzie można przecisnąć pomiędzy schludnymi kupami, które tutejsi mieszkańcy robią wprost na klepisku. Po tylu latach muchy i smród nadal wywołują u Bhimy mdłości.

Mieszkańcy płacą pewnej pariasce, która mieszka na końcu osiedla, żeby co noc sprzątała odchody. Bhima widuje ją czasami, jak przykucnięta zmiata szczotką kupy do wiklinowego kosza wyłożonego gazetą. Czasami ich wzrok się spotyka, a wtedy Bhima stara się uśmiechnąć. W przeciwieństwie do większości mieszkańców osady wcale nie uważa się za lepszą od tej nieszczęsnej kobiety.

Robi w toalecie, co musi, i idzie po wodę. Widok długiej kolejki wijącej się wzdłuż czarnych, niechlujnych chat o połatanych blaszanych dachach wywołuje w niej głośny jęk. W taki słoneczny poranek nędza w tych slamsach staje się jeszcze bardziej widoczna. Rynsztoki wydzielające wilgotny, przenikliwy odór, ciemne rzędy pochyłych bud, otumanieni alkoholem mężczyźni wylegający się na ziemi z rozdziawionymi ustami – to wszystko wygląda jeszcze gorzej w jasnym świetle nowego dnia. Wbrew woli Bhimy jej myśli wędrują do dawnych dni, kiedy mieszkała z mężem Gopalem i dwójką dzieci w ćaulu, gdzie woda leciała z kranu w kuchni, a toaletę dzielili tylko z dwoma rodzinami.

Ma właśnie stanąć na końcu kolejki, kiedy zauważa ją Bibi.

– E, Bhima *mausi* – woła. – Chodź tutaj, *na*. Zająłam ci miejsce.

Bhima uśmiecha się z wdzięcznością. Bibi jest gruba, ma astmę, przeniosła się tutaj dwa lata temu i natychmiast uznała Bhimę za starszą ciotkę. Bhima jest milcząca i pełna rezerwy, natomiast Bibi wygadana i lubi



się popisywać. Nikt nie może się długo gniewać na Bibi – jej chęć niesienia pomocy, dobroduszne drwiny ze starych i młodych uczyniły z niej jedną z najbardziej lubianych mieszkanek osady.

Bhima podchodzi do miejsca, gdzie stoi Bibi.

– Stań tu – mówi Bibi, biorąc od niej jeden z garnków, chociaż trzyma już dwa swoje. – Stań tutaj.

Mężczyzna stojący za nimi czuje się w obowiązku zaprotestować.

– Hola, Bibi, to nie Dekan Ekspres, gdzie robisz sobie rezerwację na miejsce w pierwszej klasie – gdera. – Nikt nie może się tak wpychać do kolejki.

Bhima czuje, że się czerwieni, ale Bibi przytrzymuje ją i obraca się do zrzędzącego mężczyzny.

– Proszę, proszę – mówi głośno. – Pan Dekan Express jest zmartwiony, że ludzie wpychają się do kolejki. Ale za godzinę czy dwie, kiedy Bhima *mausi* będzie ciężko pracować, on sobie pójdzie do meliny. A gdyby nabrał podejrzeń, że dziś może zabraknąć wody, niech nas Bóg ma w opiece, zaraz się przekonamy, czy się nie wepchnie do kolejki.

Tłum wokół nich wybucha śmiechem.

Mężczyzna szura nogą.

– No dobra, Bibi, nie musisz się zaraz rzucać – mamrocze.

Głos Bibi robi się jeszcze donośniejszy.

– Doprawdy, *bhaisahib*, kto tu się rzuca? Ja tylko mówię, że jesteś zapewne rentierem, człowiekiem niezwykle bogatym, i jeśli chcesz spędzać dni u bimbrownika, twoja sprawa.

Ale biedna Bhima nie ma takiego wspaniałego męża jak ty, żeby ją utrzymywał. Bo wszyscy wiemy, jak cudowne życie wie dzie twoja żona. Bhima *mausi* musi zdążyć do pracy na czas. A taki dżentelmen to na pewno nie będzie miał nic przeciwko temu, że weźmie wodę przed nim.

Tłum znowu zanosi się śmiechem.

– Bibi, *jar*, jesteś okropna. Po prostu pierwsza klasa – mówi jakiś młody nierób.

– Komu potrzebna broń atomowa? – pyta ktoś inny.

– Mówię wam, *jar*, powinni spuścić na Kaszmir Bibi. Śniegi by stopniały pod wpływem jej gorącego języka.

– Czeka jcie, czeka jcie, mam! – woła Mohan, siedem-nastolatek, który mieszka w chacie po przekątnej od Bi-bi. – Doskonała piosenka na tę okazję. Posłuchajcie:

*Na co nam bomba, kochani,  
nie ma już szans Pakistan.  
Bibi go zniszczy słowami,  
zaświadczy pan Express Dekan.*

Inny mężczyzna, którego Bhima nie zna, klepie Moha-na po plecach.

– Ale, *ustad*, ty też jesteś dobry. Nasze osiedle ma te-raz nadwornego poetę. Z tą urodą gwiazdy filmowej powi-nieneś śpiewać własne piosenki. Pomyślcie tylko, wygląd Sandżaja Dutta i głos Mohammada Rafiego! Mówię wam, na rozdaniu nagród filmowych nie będzie innych zwy-cięzców.

Wbrew sobie Bhima zaczyna się uśmiechać.

- Dobra dobra, wy *altu-faltu* – mówi z uśmiechem.
- A teraz zostawcie nas w spokoju.

Kiedy Bhima wraca do chaty, Maja jest już na nogach i przygotowuje herbatę na prymusie. Kiedy dziewczyna wkłada do wrzątku liście mięty, Bhimie zaczyna burczeć w brzuchu. Obie stają przed chatą i szybko myją zęby. Maja używa szczoteczki, ale Bhima po prostu nabiera proszku na palec i energicznie pociera zęby, które jej jeszcze zostały. Spluwają do otwartego kanału ściekowego, który płynie koło ich chaty. Szybko, z wprawą Bhima zanurza plastikowy kubek w jednym z miedzianych garnków i myje się w ubraniu. Czerwieni się, gdy zauważa, że mężczyzna z chaty naprzeciwko obserwuje, jak wkłada rękę pod bluzkę, by wymyć sobie pachy. Bezwstydnym drań, mruczy do siebie. Zachowuje się tak, jakby nie miał matki ani siostry.

Kiedy Bhima wchodzi do chaty, Maja nalewa herbatę do dwóch szklanek. Siadają na podłodze naprzeciwko siebie, dmuchają na gorący napar i zanurzają w nim kawałki chleba.

– Dobra herbata – mówi Bhima. Po raz pierwszy odzywa się tego ranka do Mai. Potem, jakby wyraz wdzięczności na twarzy dziewczyny był dla niej zbyt trudny do zniesienia, dodaje: – Przynajmniej zapamiętałaś coś z tego, czego cię uczyłam.

Maja wzdryga się, a na jej twarz powraca baczny, nieufny wyraz. Widząc go, Bhima czuje skruchę, a równo-

cześnie dziwną satysfakcją. Ma ochotę utoczyć więcej krwi.

– Więc co dziś będziesz robić przez cały dzień?

Wnuczka wzrusza ramionami.

Ten gest budzi w Bhimie złość.

– Och, no tak, *memsahib* nie chodzi już do college'u, zapomniałam – mówi, zwracając się do ściany. – Nie, teraz przez cały dzień siedzi sobie jak królowa, je i karmi tego swojego... tego swojego bękarta, kiedy jej biedna babcia haruje jak niewolnica w cudzym domu. A wszystko po to, żeby wykarmić demona, który rośnie w brzuchu jej wnuczki.

Jeśli takiej krwi chciała, to ją ma. Maja jęczy, podnosi się z podłogi i idzie w najdalszy kąt małego pomieszczenia. Opiera się lekko o blaszaną ścianę, obejmuje dłońmi brzuch i płacze.

Bhima ma ochotę przytulić szlochającą dziewczynę do piersi, objąć ją i pieścić, tak jak to robiła, kiedy Maja była dzieckiem, przebaczyć jej i prosić o przebaczenie. Ale nie potrafi. Gdyby czuła wyłącznie gniew, usunęłaby tkwiącą między nimi ścianę i wyciągnęła do wnuczki rękę. Ale gniew to zaledwie początek. Za nim kryje się strach, strach tak wielki, nieskończony i szary jak Morze Arabskie, strach o tę głupią, niewinną, brzemienną dziewczynę, która stoi przed nią i płacze, i o jej nienarodzone dziecko, które przyjdzie na świat, mając matkę, która sama jest jeszcze dzieckiem, i babkę, która jest stara i zmęczona do szpiku kości, babkę, która jest wyczerpana poczuciem straty, wyczerpana kochaniem i traceniem tych, których kocha, która nie może znieść myśli

o jeszcze jednej stracie i jeszcze jednej osobie do kochania.

Więc patrzy tępo na płaczącą dziewczynę, pragnąc, aby strzały tego szlochu odbiły się od jej serca.

– Nawet łyzy są luksusem – mówi. Nie jest pewna, czy powiedziała to na głos, czy tylko pomyślała. – Ja ci ich zazdroszczę.

Kiedy odzywa się ponownie, jej słowa są przemyślane.

– Jeśli będziesz się czuć dobrze, wpadnij do domu Sery. Pyta o ciebie.

Maja, płacząc, kręci odmownie głową.

– Mówiłam ci, babciu – mówi. – Nie wychodzę przez cały dzień, kiedy cię nie ma.

Bhima poddaje się.

– Dobrze, w takim razie siedź w domu, a twoja stara babka będzie harować cały dzień – mówi, wstając z podłogi. – Tucz tego bękarta moją krwią.

– Babciu, proszę... – szlocha Maja, zasłaniając dłońmi uszy, tak jak to robiła, kiedy była jeszcze mała.

Bhima zamyka za sobą drzwi. Ma ochotę nimi trzasnąć, ale opanowuje się. Nie muszą wszyscy w *basti* wiedzieć o ich problemach rodzinnych. I tak już wkrótce domyśla się, jaką hańbę sprowadziła na siebie Maja, a wtedy zaatakują ją jak sępy. Nie ma potrzeby przyspieszać tej chwili.

Kiedy rusza w kierunku domu Sery *bai*, owiewa ją chłodny, poranny wietrzyk. Drży pod jego wpływem. Po położeniu słońca poznaje, że jest spóźniona. Sera *bai* będzie chciała wiedzieć, jak jej wczoraj poszło. Bhima przyspiesza kroku.

## 2

Sera Dubasz patrzy na kosz cebuli wiszący koło okna, a potem na duży zegar kuchenny. Znowu się spóźnia. Bhima znowu się spóźnia. Naprawdę musi z nią porozmawiać o tych codziennych spóźnieniach. W końcu to ona, Sera, odpowiada za przyszykowanie na czas drugiego śniadania dla Dinaz i Wirafa i potrzebuje przy tym pomocy Bhimy. Wczoraj oboje wyszli do pracy dziesięć minut później niż powinni, ponieważ ich drugie śniadanie nie było gotowe na czas. I Sera musiała błagać Wirafa, żeby nie jechał zbyt szybko, żeby uważał, żeby pamiętać, że jego żona oczekuje pierwszego dziecka.

– Tak, tak mam – uśmiechnął się Wiraf, całując ją zdawkowo w policzek. – Wszyscy wiemy, że Dinaz ma wytatuowany na brzuchu napis „Ostrożnie, szkło”.

Wspomnienie o ciąży córki każe Serze pomyśleć o Mai. Czuje skruchę za swą niedawną chęć złajania służącej. Biedna Bhima, myśli. Jakby jej życie nie było już dość ciężkie, teraz jeszcze wnuczka przyczyniła się do jej smutku. Kto by pomyślał, że taka dobra dziewczyna jak Maja

może zrobić coś podobnego? Zastanawia się, co zaszło wczoraj w college'u, a silne pragnienie poznania najnowszych wieści każe jej znów spojrzeć na zegar.

Wzdycha. Jeśli jest coś, czego szczerze nienawidzi, to krojenia cebuli. Ale jeśli omlety dla dzieci mają być gotowe na czas, musi się do tego zabrać sama. Nie wiadomo, o której zjawi się dziś Bhima. Wybiera cebulę średniej wielkości, a kiedy zdejmuje półprzezroczystą łupinę, oczy zaczynają jej łzawić. Wyciąga z szuflady największy nóż. Lepiej skończyć tę robotę jak najszybciej się da. Kiedyś Feroz podszedł do niej w kuchni i stwierdził:

– O Boże, Sera, kroisz tę cebulę, jakbyś ścinała głowy!  
Co za gwałtowność!

– Wolalabym ścinać głowy, niż kroić cebulę – odparła.  
– Pewnie mniej bym przy tym płakała.

A Feroz się roześmiał. Ale to było dawno, nim utraciła umiejętność rozśmieszania go.

Sera słyszy, jak Wiraf pogwizduje fałszywie w swojej sypialni, i uśmiecha się do siebie. Może sobie wyobrazić, jak jej młody, przystojny zięć stoi przed wielkim lustrem, poprawia krawat i przygląda ręką gęste włosy. Jest coś czarującego w odgłosach przygotowań mężczyzny do stawienia czoła nowemu dniu, myśli Sera. Wiraf, w przeciwieństwie do Feroza, jest hałaśliwy i mocno zaznacza swoją obecność. Upuszcza szczotkę do włosów i mruczy cicho: „Cholera!”. Śpiewa pod prysznicem piosenki Beatlesów. Gulgocze głośno przy myciu zębów. Wrzeszczy do Dinaz, żeby mu przyniosła nową butelkę szamponu.



Z kremem do golenia na twarzy wchodzi z rozmachem do kuchni, mając biodra owinięte ręcznikiem. Natomiast Feroz żył we własnym domu jak złodziej, ubierał się w łazience, a potem wychodził z sypialni bez jednego spojrzenia w lustro.

Sera rozbija dwa jajka, roztrzepuje je w misce i dodaje cebulę, czosnek, kolendrę i odrobinę chili. Masa skwierczy, kiedy wylewa ją na olej rozgrzany na patelni. Omlet gotowy, musi przygotować jeszcze jeden. Zastanawia się, czy zrobić od razu dwa kolejne, dla siebie i Bhimy, ale myśl o krojeniu następnej cebuli każe jej się zawahać. Może usmaży dla nich dwóch omlety czosnkowe? Sięga po chleb i wtedy sobie przypomina: żadnej skrobi! Ta proteinowa dieta, na której są teraz oboje, i Wiraf, i Dinaz, sprawia, że przygotowanie drugiego śniadania staje się prawdziwym wyzwaniem. Zagląda do lodówki, zastanawiając się, co im zapakować.

– Boże, mamó, dziękuję! Szkoda, że mi nie powiedziałaś, pokroiłabym cebulę – mówi Dinaz, wchodząc do kuchni.

– I poszłabyś do pracy, śmierdząc jak parsyjska restauracja? – Uśmiecha się Sera. – Nie, jeśli naprawdę chcesz mi pomóc, powiedz, co wam dać na drugie śniadanie, *dikra*. Jedno jajko to za mało...

– To więcej niż dość, naprawdę.

– Jedno jajko to może dość dla ciebie, ale nie dla twojego mężusia, *beta* – mówi Sera. – To dorosły mężczyzna, który pracuje ciężko i ma odpowiedzialną pracę.

Dinaz krzywi się.

– No tak, jasne, tylko twój ukochany zięć ciężko pracuje, biedaczek. Natomiast twoja bezużyteczna córka przez cały dzień kręci w pracy młynka palcami.

– Dinaz, ja tylko powiedziałam...

Sera słyszy kroki Wirafa i czuje zapach wody toaletowej Old Spice, jeszcze nim zięć wchodzi do kuchni.

– Mama ma rację – mówi Wiraf. – Rację w stu procentach. – *Ćalo*, przynajmniej jedna osoba w domu docenia, jak ciężko pracuję, żeby utrzymać rodzinę i moje przyszłe dziecko.

Dinaz trzepie go mocno w ramię.

– Zamknij się, *jar*. Moja mama zrobiła z ciebie zepsutego smarkacza. Jak przyjdzie do awansów, zobaczymy, które z nas dostanie większą podwyżkę – ale jej uśmiech usuwa cały jad z tych słów.

Wiraf przewraca oczami.

– To dlatego, mamo, że ona ma nade mną przewagę – mówi, wzruszając ramionami. – Biedny pan Dalal jest tak oczarowany urodą i figurą mojej pięknej żony, że niczego nie może jej odmówić. Mięknie jak wosk za każdym razem, ilekroć ma się do niej z czymś zwrócić. Wobec takich kobiecych sztuczek, jakie ma szanse biedny, uczciwy i prosty facet jak ja, i to z twarzą jak melon?

Obie kobiety śmieją się.

– No popatrz, mamo. Doprasza się komplementów – stwierdza Dinaz.

Oboje wracają do swojej sypialni skończyć się ubierać, a Sera uśmiecha się. Cieszy się, że kłopoty, które pojawiły się nagle między dziećmi kilka miesięcy temu, już chyba

minęły. W dniu, kiedy Wiraf i Dinaz przenieśli się do niej po śmierci Feroza, przysięgła sobie, że nigdy nie będzie ingerować w ich małżeństwo. Bo w końcu kto może wiedzieć lepiej od niej, jak zabójcze bywa takie wtrącanie się teściowej w sprawy młodych? A jednak trudno było jej milczeć, kiedy zauważyła cieniutkie zmarszczki na bladej, wąskiej twarzy Dinaz, i musiała gryźć się w język, kiedy Wiraf odburkiwał niegrzecznie przy kolacji swej ciężarnej żonie albo mówił coś tak sarkastycznego, że dopiero po dobrej chwili córka była w stanie podnieść wzrok znad talerza – wcześniej musiała się opanować i przywdziać na twarz pozbawioną wyrazu maskę. Jak dobrze Sera знаła tę minę! Ileż razy, kiedy Feroz robił jej afront, z trudem powstrzymywała łzy, by nie dać Banu, swojej teściowej, satysfakcji, że syn zdołał ją zranić. Przynajmniej Wiraf jej nie bije, mówiła sobie na pocieszenie, a potem nienawidziła się za słabość ukrytą w tej myśli, za to, że tak bardzo obniżyła swoje standardy, iż brak przemocy fizycznej uważa za definicję dobrego małżeństwa. A przecież pragnęła znacznie więcej dla swojego jedyne­go dziecka.

Jednak dziś, patrząc na wychodzącą Dinaz, Sera uśmiecha się z cichą satysfakcją. Groźbę konfliktu, który zawisł między dziećmi niczym gradowa chmura, ewidentnie udało im się zażegnać. Znowu jak zawsze przekomarzali się ze sobą, co sygnalizowało Serze, że są dla siebie przede wszystkim przyjaciółmi, a dopiero potem mężem i żoną. W jej małżeństwie z Ferozem, nawet na samym początku, kiedy patrzył na nią jeszcze jak na gwiazdkę z nieba, nigdy nie dane jej było zaznać takiej swobodnej, równoprawnej

spontaniczności, jaką jej córka prezentowała w kontaktach z mężem. W tym pierwszym okresie Feroz był wspaniały, uprzejmy, nawet kochający – ale zawsze oficjalny. Kiedy wchodziła do łazienki, gdy mył zęby albo obcinał paznokcie u nóg, zaraz ją przeganiał. „To są prywatne sprawy – mówił. – Nie musisz mnie oglądać w takich sytuacjach”.

Dinaz krzyczy coś do niej z głębi mieszkania, a Sera potrzebuje chwili, by ją zrozumieć.

– Zapakowałaś już pory, mamó? – pyta Dina.

– Prawie – odpowiada, sięgając po folię aluminiową, którą Wiraf przywiózł z ostatniej podróży do Ameryki.

Odzywa się dzwonek u drzwi i Sera wzdycha z ulgą. Bhima.

Otwiera Bhimie drzwi i jedno spojrzenie na bladą, ziemistą twarz służącej mówi jej, że wczorajsza wyprawa zakończyła się fiaskiem. Unosi pytająco jedną brew, na co Bhima w odpowiedzi kręci smutno głową. To właśnie Sera ceni sobie w Bhimie najbardziej – ten pozbawiony słów język, tę zamyślenie, która powstała między nimi w ciągu minionych lat. To dzięki niej wie, iż Bhima chce poczekać, aż dzieci wyjdą do pracy, nim opowie jej, co wczoraj zaszło. A Sera jest z tego zadowolona, ponieważ prawdę mówiąc, nie chce wciągać swej brzemiennej córki w kłopoty Mai, nie chce, aby cień nieszczęścia tej dziewczyny padł na szczęśliwą ciążę Dinaz.

– Przepraszam, Sera *bai* – mówi Bhima. – Kolejka do wody była dziś dłuższa niż zwykle.

Mimo wszystko Sera nie jest w stanie opanować wcześniejszej irytacji.

– Nic się wielkiego nie stało – mówi tonem, który nawet jej wydaje się zgryźliwy. – Musiałam tylko sama usmażyć dzieciom omlety. Nie mogą się spóźnić do pracy.

Nim Bhima ma czas odpowiedzieć, słyszą głos Wirafa, dobiegający z drugiego pokoju.

– Dinaz! – krzyczy. – Widziałaś mój czerwony krawat? Ten, który mi kupiłaś na urodziny w zeszłym roku?

– Boże, ależ z ciebie dziecko – odpowiada Dinaz, ale nawet z tej odległości obie kobiety są w stanie wychwycić w jej głosie uśmiech. – Cud, że zanim mnie spotkałeś, umiałaś jeść samodzielnie. Jak ty sobie w ogóle radziłeś?

– Marnie – słyszą jego natychmiastową odpowiedź. – Wkładałem do pracy skarpetki nie do pary. A co do jedzenia, to chyba nie przeoczyłaś tego śliniaczka, który nosiłem, kiedy mnie poznałaś?

Bhima kręci głową.

– Ten Wiraf *baba* – mówi. – Zawsze ma coś do powiedzenia. Sama jego obecność jest jak święto, jakby codziennie było Holi albo Diwali.

Sera kiwa głową. I od razu wie, czego Bhima nie dopowiedziała. Że nie jest tak jak niegdyś, kiedy żył Feroz, a ona i Bhima musiały chodzić na palcach, bojąc się jego nagłego milczenia i wybuchowego charakteru. Kiedy w domu panował nastrój jak w grobowcu otulonym ciszą, taką ciszą, która uniemożliwiała Serze kontakt z innymi ludźmi, podzielenie się mroczną tajemnicą nawet z najbliższymi przyjaciółmi. Kiedy Bhima była jedyną osobą, która

wiedziała, jedyną, która odnajdowała mokre ślady na poduszce po długich nocach wylewania gorących łez, jedyną, która słyszała stłumione odgłosy dobiegające z sypialni jej i Feroza...

Sera potrząsa niecierpliwie głową, chcąc się pozbyć pajęczyn przeszłości. Nurzam się w dawnych sprawach, kiedy biedna Bhima ma teraz takie urwanie głowy – myśli. – Jakąż egoistyczną i głupią kobietą się stałam.

– Chodź – mówi do Bhimy. – Zrobiłam ci herbatę. Napij się, a potem pozmywaj.

### 3

Bhima jest w kuchni, zmywa naczynia po wczorajszej kolacji, a Sera przygląda się, jak jej ręce, chude i ciemne niczym gałęzie drzewa, śmigają nad garnkami i patelniami, szorując je, aż zaczynają błyszczeć jak słońce w południe. Choćby nie wiadomo jak się starała, nigdy nie jest w stanie doprowadzić naczyń do takiego połysku, jak to robi Bhima.

Wchodzi Wiraf, poprawiając krawat.

– Postanowione – mówi w przestrzeń. – W przyszłym miesiącu kupuję zmywarkę. Nie ma sensu, żeby biedna Bhima tak harowała.

Bhima patrzy na niego z wdzięcznością, ale nim ma czas coś powiedzieć, odzywa się Sera.

– Daj spokój – mówi. – Moja Bhima jest w stanie pokonać najnowocześniejszą zmywarkę. Żadna zagraniczna maszyna nie wyszoruje naczyń tak jak ona. Nie wyrzucaj pieniędzy, *dikra*.

... I daj je najlepiej mnie, dopowiada w myślach Bhima, a potem, obawiając się, że któreś z nich odczyta jej myśli,



koncentruje się na usuwaniu plamy z garnka. Potrzebuje kilku sekund, żeby się wyzłościć. Czasami nie jest w stanie pojąć Sery. Z jednej strony rumieni się z dumy, kiedy Sera *bai* nazywa ją „swoją Bhimą” i mówi o niej tak, jakby była jej właścicielką. Ale z drugiej strony ta kobieta ciągle działa wbrew interesom Bhimy. Na przykład odrzuca propozycję Wirafa baby, by kupić zmywarkę. Jak miło byłoby nie musieć przez cały dzień moczyć w wodzie powykręcanych artretyzmem rąk! A pochylanie się nad zlewem przy szorowaniu naczyń wywołuje bóle w plecach tak silne, że czasami na koniec dnia może się wyprostować dopiero w połowie drogi do domu. Ale jak to powiedzieć Serze *bai*? Tej Serze *bai*, która wywołała dziś rano u Bhimy poczucie winy, ponieważ biedaczka sama musiała usmażyć omlety własnej córce i zięciowi. Co z tego, że nienawidzi kroić cebuli? A czy ona, Bhima, lubi kucać we wspólnym ustępie? Robi to, ponieważ nie ma wyboru. W porównaniu z tym upokorzeniem krojenie cebuli jest równie miłe jak krojenie ciasta.

Kiedy gniew mija, odzywa się poczucie sprawiedliwości i silne przywiązanie do rodziny Dubaszów. Och, ty niewdzięczna kobieto! – łaja się w myślach. – A kto się tobą opiekował, jak miałaś malarię? Może duch twojego męża, co? Kto wczoraj dał ci pieniądze, żebyś mogła pojechać taksówką do college’u Mai? Może twoja puszczańska wnuczka? Nie, to ta sama kobieta, na którą się wściekasz i o której źle myślisz. Wstyd.

Wspomnienie wyprawy do college’u każe Bhimie spojrzeć na kuchenny zegar. Jeszcze kilka minut i Wiraf *baba*

z panienką Dinaz wyjdą z domu. Wtedy ona i Sera *bai* będą się mogły napić herbaty i porozmawiać. Wie, że jej pani czeka niecierpliwie, żeby się dowiedzieć, co wczoraj zaszło, i wzruszenie spowodowane uczuciem wdzięczności zapiera jej dech. Przynajmniej jej mała, brzemienna wnuczka obchodzi jeszcze kogoś na świecie równie mocno jak ją. To hojność Sery *bai* umożliwiła dziewczynie pójście do college'u. A jeśli teraz Sera *bai* czuje się zdradzona postępowaniem Mai, jeśli uważa, że pieniądze zainwestowane w przyszłość wnuczki Bhimy były w istocie wyrzuczone w błoto, dobrze o niej świadczy, że nigdy nie okazała swojego rozczarowania. Odkąd Bhima podzieliła się z nią wieścią o katastrofie, jej pani okazywała jedynie troskę, niepokój i chęć niesienia pomocy.

– Oczywiście będzie musiała usunąć ciężę – stwierdziła od razu. – Nie ma innego wyjścia. Jest zbyt zdolna, zbyt inteligentna, żeby rujnować sobie życie, rodząc dziecko w wieku siedemnastu lat. Zajmę się wszystkim, Bhima, nie martw się o to. Masz dość innych problemów, wiem doskonale.

Ale z powodów, których sama nadal nie jest w stanie pojąć, Bhima się waha. Być może nieświadomie przejęła coś z postawy Mai, która całkiem zesztyniała, gdy babcia po raz pierwszy wspomniała jej o aborcji. No i było jeszcze jedno: niewypowiedziana, być może nawet nie-uświadomiona nadzieja, że ojciec dziecka zjawi się, okaże się człowiekiem odpowiedzialnym i zrobi to, co należy. Że zniknie ta zasłona anonimowości i tajemnicy, a za nią objawi się zdenerwowany, ale honorowy młody

człowiek, przestraszony, ale gotów zmierzyć się z wyzwaniem, ożenić się i zbudować sobie życie z kobietą, która urodzi mu pierwsze dziecko. Tak, siedemnaście lat to zbyt młody wiek na macierzyństwo, a małżeństwo zniszczy marzenia Mai o ukończeniu college'u i podjęciu pracy księgowej w dobrej firmie. Jasna ścieżka, która otworzyła się przed nią, kiedy jako pierwsza osoba w rodzinie Bhimy poszła do college'u – dobra posada, jaką dostałaby na pewno dzięki wpływom i kontaktom Dinaz i Wira-fa, ucieczka od wyczerpującej pracy w roli służącej, pracy, która zeszpeciła życie jej matki, a wcześniej matki jej matki – ta ścieżka zostałaby zamknięta na zawsze. Ale – i tu Bhima pozwalała sobie na odrobinę nadziei – mogła otworzyć się przed nią inna droga. Gdyby tylko Maja wyjawiała, kto jest ojcem dziecka! Oczyma duszy Bhima już widziała swoją ukochaną wnuczkę, grubą i zadowolona, zajęta w kuchni pełnej nieskazitelnie błyszczących stalowych garnków i patelni, smażącą *puri* dla hałaśliwego ciemnowłosego syna i męża urzędnika, który wieczorem wraca z pracy do domu.

Była taka podekscytowana, kiedy po całych tygodniach przymilania się, błagań i gróźb, Maja w końcu wyjawiała, kto jest ojcem dziecka. Aśok Malhotra.

– Chodzę z nim do college'u – wyszłochała. – To kolega z mojego roku. Jesteś zadowolona, babciu, skoro już wydarłaś ze mnie jego imię? To zostaw mnie, proszę, teraz samą.

Istotnie, Bhima była zadowolona. Nareszcie miała nazwisko, które mogła nadać mrocznej postaci nawiedzającej

jej sny i koszmary. Aśok Malhotra. Kolega z college'u Mai. Chciała dowiedzieć się czegoś więcej, odkryć, kiedy mieli okazję uprawiać seks, ale tu wnuczka znów zrobiła się sztywna, uporczywie ignorując pytania Bhimy i wpatrując się w przestrzeń, z tym nowym, krowim wyrazem twarzy, jaki pojawił się u niej podczas ciąży. I nagle Bhima zdecydowała, że nie chce znać tych wstrętnych szczegółów. Jakie znaczenie mają teraz te wszystkie „jak” i „gdzie”? Przynajmniej zmusiła dziewczynę do wyznania wielkiej tajemnicy, do ujawnienia nazwiska młodzieńca, który wprowadził w ich życie tyle zmartwień. A ona, Bhima, wie, gdzie go szukać. I teraz to od niej zależy cała reszta. Maja jest po prostu głupią, niedojrzałą dziewczyną, która nie ma pojęcia, w jaką otchłań wpadnie, jeśli urodzi dziecko bez ojca, który by utrzymywał ich oboje. To Bhima powinna wziąć na siebie rolę jej orędowniczki i zrobić to, do czego Maja nie była zdolna – zmusić Aśoka Malhotrę, żeby przyjął odpowiedzialność za swoje czyny, zaapelować do jego poczucia honoru. I sprawić, żeby zrozumiał, iż Maja będzie na jego szyi girlandą z kwiatów, a nie łańcuchem.

– Zapłacę za taksówkę do college'u – zadeklarowała Sera, kiedy dowiedziała się, kto jest ojcem dziecka. – Jedź się z nim spotkać, Bhima. Zobacz, jakie ma zamiary. Sprawdź, czy ten Aśok jest wart naszej Mai, czy jest tylko jakimś chamem, który chciał się z nią zabawić. Będę się modlić o to, żeby okazał się człowiekiem z zasadami.

Pierwszy raz w życiu jechała sama do college'u Mai. Była tu wcześniej tylko raz, z wnuczką, ale wtedy towarzyszyła im Sera *bai*. We trzy stały w długiej kolejce do przyjęć i to Sera rozmawiała z nieuprzejmym urzędnikiem, kiedy ten warknął na Maję. To ona wyprostowała się godnie, zadarła długi, prosty parsyjski nos i swym najlepszym akcentem ze szkoły zakonnej poradziła temu człowiekowi, aby był łaskaw uważać, do kogo się zwraca, gdyż studentka, którą tak źle potraktował, jest zapewne najzdolniejsza, jaką mieli kiedykolwiek szczęście przyjąć. Pod jej wyniosłym, arystokratycznym spojrzeniem urzędnik spokorniał i zaczął przeproszać.

– Proszę o wybaczenie, szanowna pani. Nie chciałem nikogo obrazić. Cóż robić, tyle pracy na mnie zrzucają. Proszę mi wybaczyć.

Bhima odszukała teraz pokój tego urzędnika. Siedział za biurkiem i marszczył brwi nad jakimiś formularzami. Podeszła do niego z wahaniem.

– Przepraszam...

Nie podniósł wzroku.

– Czego? – zapytał opryskliwie.

– Szukam pewnego studenta. Czy może mi pan pomóc go znaleźć?

Przez chwilę panowała cisza, bo urzędnik kończył coś notować.

– Jest pani z nim spokrewniona? – spytał.

Bhima zaczęła się denerwować.

– Och, jestem jego... to znaczy nie, nie jesteśmy spokrewnieni. Chcę się z nim tylko zobaczyć.

Urzędnik musiał wyczuć jej zdenerwowanie, ponieważ podniósł na nią swe małe jak u prosiaka, błyszczące oczka.

– Niespokrewniona, tak? – powiedział głośno, na użytek swoich współpracowników. – Może chcesz nawiązać romans z jakimś młodzieńcem z college'u?

Jego koledzy wybuchnęli śmiechem, a Bhima wbiła wzrok w podłogę, nie bardzo wiedząc, co robić dalej. Pamiętała, jak Sera *bai* usadziła kiedyś tego bezczelnego człowieka za pomocą kilku celnie dobranych słów, i pożałowała, nie po raz pierwszy zresztą, że nie ma wykształcenia. Czuła, że ogarnia ją furia. Przez całą noc przygotowywała się na spotkanie z Aśokiem Malhortą. Leżała, nie śpiąc, sztywna z napięcia i niepewności. Powtarzała sobie w myślach, co powie, zastanawiała się, czy lepiej będzie grozić, czy przymilać się, atakować czy apelować. Kiedy jechała tu taksówką, była jak garnek z wrzątkiem na nowej kuchni Sery, marki Bajaj, a emocje w każdej chwili groziły wyrwaniem się spod kontroli. Tymczasem ten bezczelny łobuz uniemożliwia jej znalezienie Aśoka i napada na nią tylko po to, żeby się zabawić. Bo bawił się nią tak samo bezmyślnie i ze znużeniem, jak łązące po osadzie bezpańskie koty złapanymi myszami. Czuła, że opuszcza ją cała stanowczość i determinacja.

Przyszła jej z pomocą inna urzędniczka, kobieta około dwudziestki.

– Nie zwracaj uwagi na tych facetów, *mausi* – powiedziała, wstając zza biurka. Podeszła do Bhimy. – Najwyraźniej nie mają nic ciekawszego do roboty. Powiedz lepiej, kogo szukasz.

Bhima uśmiechnęła się do niej z wdzięcznością, jak zwykle automatycznie zasłaniając usta, żeby ukryć brak dwóch zębów.

– Bardzo dziękuję, córciu. Szukam niejakiego Aśoka Malhotry.

Kiedy wymieniła to nazwisko, w biurze stało się coś dziwnego. Wszyscy czterej urzędnicy uśmiechnęli się.

– *Are, mausi*, dlaczego od razu nie powiedziałaś, że szukasz naszego księcia Aśoka? – zapytał urzędnik. – Poczekaj, zaraz każę komuś zaprowadzić cię do niego. Z pewnością przebywa w pałacu, zabawiając swój dwór.

Zmieszana Bhima przenosiła wzrok z niego na kobietę. Na widok jej miny mężczyzna uśmiechnął się szeroko, szczerze ubawiony.

– Stołówka – wyjaśnił radośnie. – Tam jest jego *darbar*. Możesz mu tam złożyć swoje uszanowanie. – Nacisnął dzwonek na swoim biurku i kilka sekund później zjawił się gburowaty goniec. – A, Sureś – powiedział urzędnik. – Ta dama przyszła zobaczyć się z naszym Aśokiem. Zaprowadź ją do stołówki, dobrze?

W stołówce czuć było papierosami i smaženiną. Było to ogromne, gwarne pomieszczenie, pełne dymu i studenckiej wrzawy: wszyscy rozmawiali i spierali się ze sobą. Młodzi ciemnoskórzy chłopcy w spodniach khaki biegali po sali, przyjmując zamówienia i podając parujące szklanki herbaty. Studenci pochodzący z klasy średniej ledwie raczyli dostrzegać ich obecność, kiedy tamci stawali przed nimi talerze samos i masali dosy, chyba żeby się poskarżyć, że wystygła im herbata, kiedy czekali na



posiłek. Starsi studenci, szczególnie jeśli towarzyszyła im kobieta, uzupełniali swoje skargi przyjacielskim, ale mocnym uderzeniem w głowę. Zgodnie z prastarym, ponadczasowym zwyczajem, otrzymawszy cios, kelnerzy uśmiechali się, rozcierali głowy i słabo protestowali, mówiąc, że przynieśli jedzenie od razu, gdy tylko kucharz je przygotował.

– Co robić, *sahib*? Dziś tyle pracy.

Nagrodą za taką ujmującą służalczość był nieco większy napiwek.

– Tam jest – powiedział Sureś, wskazując na chudego młodzieńca w granatowej kurcie i wyblakłych džinsach.

– Ten po prawej. To jest Aśok. – Choć przy stoliku siedziało jeszcze trzech chłopaków, nawet z tej odległości Bhima widziała, że Aśok jest przywódcą tej grupy. Odwróciła się, żeby zapytać o coś Sureśa, ale już go nie było.

Podeszła sama do stolika i popatrzyła w milczeniu na ojca swojego wnuka. Wszyscy czterej studenci obserwowali ją z zaciekawieniem.

– Tak? – powiedział w końcu jeden z chłopaków.

– Czym możemy służyć?

Pozostali zachichotali.

Bhima musiała przyznać, że podoba jej się siedzący przed nią młodzieniec. Ośmielona tym odkryciem, spytała:

– Ty jesteś Aśok? Aśok Malhotra?

Chłopak uniósł się nieco na krześle.

– *Namaste* – powiedział. – A pani to kto?

– Muszę z tobą porozmawiać. – Rzuciła okiem na pozostałych. – W cztery oczy.

Aśok wyglądał na zaskoczonego.

– No... jasne, jasne. – Spojrzał wymownie na towarzyszy, a ci niechętnie wstali, żeby ustąpić miejsca tej kościstej, poważnie wyglądającej kobiecie.

– Chłopie, twój harem coraz bardziej rośnie – szepnął jeden z nich, ale Bhima go usłyszała i skrzywiła się. Po raz pierwszy przyszło jej do głowy, że ten przystojny, lubiany chłopak może mieć jeszcze inne dziewczyny prócz Mai.

Potrząsnęła gwałtownie głową, żeby odpędzić od siebie tę zdradziecką myśl. Na widok jej gestu Aśok się uśmiechnął.

– Strasznie dużo much w stołówce – powiedział przepaszającym tonem.

Jego łagodny uśmiech dodał Bhimie odwagi, pozwolił jej przemówić.

– Jestem babcią Mai Phedke – zaczęła.

## 4

Siedzą w kuchni, popijając herbatę. Sera z niebiesko-szarego kubka, który Dinaz kupiła jej w Cottage Industries, Bhima z metalowego naczynia, który trzyma się specjalnie dla niej w domu Dubaszów. Jak zwykle Sera siedzi przy stole na krześle, a Bhima obok na podłodze. Kiedy Dinaz była młodsza, kłóciła się z matką o Bhimę, o to, jakie to niesprawiedliwe, że nie wolno jej siadać na kanapie ani na krzesłach i że musi używać własnych naczyń, a nie tych, z których jada rodzina.

– Mówisz wszystkim przyjaciółkom, że Bhima jest dla nas jak członek rodziny, że nie mogłabyś bez niej żyć, a jednak nie jest dość dobra, żeby siadać z nami przy stole – pomstowała nastoletnia Dinaz. – Razem z tatą potępiaacie tych hindusów z wysokich kast, którzy palą haridżanów, bo to takie złe. Ale we własnym domu też przestrzegacie podziałów kastowych. To hipokryzja, mamo.

– Myślę, że jest pewna różnica pomiędzy paleniem haridżanów a niepozwalaniem Bhimie na korzystanie

z naszych szklanek, nie sądzisz, Dinaz? – odpowiadała Sera łagodnie. – A tak na marginesie: czy nie przeszkadza ci ten paskudny zapach tytoniu, który ona przez cały dzień żuje? Chcesz, żeby jej wargi dotykały naszych szklanek?

– Ale przecież nie o to chodzi, mamó, i ty o tym doskonale wiesz. Zgoda, jeśli chodzi o tytoń, ale dlaczego nie pozwalasz jej siadać na kanapie albo na krzesłach? Może Bhima żuje tytoń również tyłkiem?

– Dinaz, co to za język! – Sera była szczerze przerażona. – Wiesz, że ojciec dostałby ataku, gdyby wrócił któregoś dnia do domu i zastał Bhimę odpoczywającą na kanapie. – Mimo woli zachichotały obie na myśl o przerażonym wyrazie twarzy Feroza. Ale Dinaz jeszcze nie skończyła.

– To chyba i tak bezprzedmiotowa dyskusja. Jakby biedna Bhima kiedykolwiek miała czas usiąść w tym domu i odpocząć.

Sera uniosła prawą brew.

– A skoro już o tym mowa, słyszałam, jak ją podburzałaś, żeby zażądała podwyżki. Posłuchaj, Dinaz, bez względu na to, co myślisz, ty należysz do tej rodziny, a Bhima nie. Zresztą i tak uważam, że w naszej rodzinie traktujemy służących lepiej niż niemal wszyscy, których znam. Kochanie, pieniądze nie rosną na drzewach. Twój ojciec bardzo ciężko pracuje na wszystko, co mamy. To nie fair, że próbujesz nastawić Bhimę przeciw niemu. Pamiętaj, wspaniałomyślnym trzeba być najpierw wobec rodziny.

Teraz, patrząc jak Bhima pije herbatę, Sera poprawia się z zażenowaniem na krześle. Od czasu śmierci Feroza czasami zastanawiała się, czy nie poprosić Bhimy, żeby usiadła z nią przy stole. Część jej przyjaciółek na pewno byłaby zgorszona, to oczywiste. I kiedy potem jakaś służąca poprosiłaby swoją panią o podwyżkę, automatycznie obwiniono by o to Serę Dubasz, ponieważ daje zły przykład. „Sera pozwoliła tej Bhimie wleźć sobie na głowę, a nie tylko na kanapę – powiedziałyby sąsiadki. – Tylko patrzeć, jak służące zechcą utworzyć swój związek zawodowy”.

Ale z pewnością w końcu wszystko by ucichło. Zresztą jakie to ma znaczenie, co mówią sąsiadki? Nie jest przecież od nich zależna, a teraz, kiedy Feroz nie żyje, uwolniła się od lęku, który prześladował ją przez tyle lat. Lęku, że ludzie będą plotkować o jej małżeństwie. Albo gorzej: że co bystrzejsze sąsiadki zauważą siniaki, których nie udało jej się ukryć pod ubraniem i makijażem, i będą się nad nią litować, będą sykać znacząco za jej plecami. Teraz, kiedy Feroz nie żyje, ona nie musi się już lękać ich współczucia.

A jednak... Myśl o Bhimie siedzącej na jej kanapie budzi w niej sprzeciw i sprawia, że sztywnieje – tak samo jak tego dnia, kiedy przyłapała swą piętnastoletnią wówczas córkę na przytulaniu służącej. Widząc ten uścisk, czuła targające nią sprzeczne uczucia – dumę i szacunek, że Dinaz z taką łatwością łamie niewypowiedziane tabu, ale również głęboką odrazę, która sprawiła, że z trudem się powstrzymała od polecenia córce, by umyła ręce. Zaskakująca reakcja, myśli teraz Sera, wspominając tamten

incydent. Przecież sama przy licznych okazjach twierdziła, że Bhima to jedna z najczystszych osób, jakie zna.

– Bhima nie odróżnia dezodorantu od kadzidła, ale zapewniam cię, że nigdy nie poczułam jej zapachu – powiedziała kiedyś swojej przyjaciółce Mani. – Nie wiem, jak ona to robi, biorąc pod uwagę brak prywatności i bieżącej wody w tych slamsach, gdzie mieszka. Ale jakoś jej się udaje.

Zawsze, odkąd Sera ją zna, o czwartej po południu Bhima robi sobie piętnastominutową przerwę, żeby umyć twarz mydłem, które trzyma we własnej mydelniczce w kuchni, posypać talkiem Ponda pachy i uczesać włosy, które z upływem lat robią się coraz rzadsze. Jej codzienne starania wzbudzają w Serze szacunek, staje się wówczas świadoma kwaśnego zapachu własnego ciała i przerywa każdą czynność, żeby się odświeżyć.

Ale mimo wszystko czuje niechęć i opór w kwestii zezwolenia Bhimie na korzystanie z jej mebli. Kiedy tak sobie siedzą w przyjacielskim milczeniu, popijając herbatę, Sera stara się usprawiedliwić swoje uprzedzenia. Częściowo jest to chyba wina tego przekłętego tytoniu, który ona żuje przez cały dzień – myśli. – Niedobrze mi się od tego robi i właśnie dlatego odnoszę wrażenie, że wszystko, co z nią związane, jest brudne. Poza tym wiem, gdzie mieszka, i mogę sobie wyobrazić warunki, jakie tam panują – jakiej wody używa do kąpieli i, no cóż, na ile starannie jest w stanie umyć dolne części ciała.

Zatopiona w myślach, obwiniając siebie, Sera uświadamia sobie nagle, że umknęła jej część opowieści Bhimy.

– Oe, Bhima, potwórz to jeszcze raz. Przepraszam. Nie słuchałam uważnie.

Bhima wzdycha ze zniecierpliwieniem. I zaczyna opowiadać od nowa.

– Jestem babcią Mai Phedke – oświadczyła Bhima.

Aśok Malhotra spojrział na nią wyczekująco, mrugając szybko, a kiedy nie powiedziała nic poza tym, pochylił się do przodu.

– No i? – zapytał.

Patrzyli na siebie w milczeniu, jakby każde oczekiwało, że teraz to drugie podejmie rozmowę. W końcu Aśok ustąpił.

– Przepraszam. Pani się spodziewa... To znaczy... Ale czy ja znam tę pannę Maję?

Głos Bhimy zaczął drżeć.

– Maja jest na drugim roku – wyjaśniła, jakby mu opisywała kogoś obcego. – Długie włosy. Wysoka, o jasnej skórze. – Urwała, sparaliżowana faktem, że musi przypominać temu nieczułem brutalowi, jak wygląda kobieta, z którą będzie miał dziecko.

Aśok ruszył jej na ratunek.

– Ach, Maja! – powiedział wesoło. – Oczywiście, znam Maję. Ale chyba nigdy nie słyszałem jej nazwiska. Przepraszam.

Bhima przyjrzała się przystojnej twarzy chłopaka. Ani śladu poczucia winy czy niepokoju, dziwiła się. Co się dzieje z tymi dzisiejszymi dziećmi? Odbywają ze sobą stosunki, nie znając nawet nazwiska partnera? W jej

czasach znaczyło to więcej niż znajomość imienia. W końcu to właśnie w nazwisku zawierało się wszystko, co powinno się wiedzieć – do jakiej kasty należy dana osoba, skąd pochodzi, kim byli jej przodkowie, czym się zajmowali i jakie było *khandan*, pochodzenie rodziny. A ten chłopak beztrąsko przyznaje, że nie zadał sobie najmniejszego trudu, żeby poznać nazwisko Mai!

– Zresztą nieważne. A jak się miewa Maja? – ciągnął Aśok. – Jak tak pomyślę, to już dawno jej nie widziałem. – Jego twarz nagle spoważniała. – Ale nic jej nie jest, prawda, cioteczko?

Bhima pokręciła głową.

– Niestety, Maja nie miewa się dobrze.

– Och, nie! – wykrzyknął Aśok. – Co jej jest, złapała malarię? Dwóch moich przyjaciół właśnie zachorowało. Proszę posłuchać, niech pani powie Mai, żeby się nie martwiła. Przekażę jej wszystkie notatki z wykładów. Prawdę mówiąc, to będzie dla mnie motywacja, żeby przestać leserować i siedzieć na salach wykładowych, a nie w tej głupiej stołówce. – Obdarzył ją olśniewającym uśmiechem.

Po raz pierwszy Bhimie przyszło do głowy, że za przystojną, starannie ogoloną twarzą Aśoka kryje się umysł imbecyla. Czy ten chłopak naprawdę jest niespełna rozumu? Czy też może specjalnie udaje tępego i niewinnego, żeby uchylić się od odpowiedzialności? Ach, więc o to chodzi! Im dłużej Bhima wpatrywała się w otwartą twarz Aśoka Malhotry i jego wielkie oczy, tym lepiej rozumiała grę, jaką z nią prowadził.



No cóż, nie zamierzała pozwolić mu się wykręcić sianiem. W końcu po to tu przyszła, po to wkroczyła w ten dziwny, nieznany świat. Musi zaprzeczyć słowom młodego człowieka i zmusić go do przyjęcia odpowiedzialności.

Pochyliła się w jego stronę.

– To nie malaria, *beta* – powiedziała, mając nadzieję, że głos się jej nie załamie. – Wiesz doskonale, co się stało Mai.

Aśok zamrugał.

– Ja... wiem? Co mam wiedzieć? – zapytał.

Znów zapadła cisza, a oni mierzyli się wzrokiem. Potem Bhima pokręciła niecierpliwie głową. Ten chłopak wcale jej nie ułatwiał sprawy. On mógł sobie pozwolić na to, żeby siedzieć w tej stołówce i grać w swoje gierki przez cały dzień, ale ona nie. Była stara i zmęczona, miała przed sobą długą drogę do domu, a w dodatku po powrocie będzie jeszcze musiała przygotować kolację. Poza tym kiedy Maja dowie się, że poszła do college'u, na pewno urządzi scenę. Będą łzy, wzajemne oskarżenia, a wnuczka popatrzy na nią swoimi wielkimi oczami i powie: „Babciu, jak mogłaś mi to zrobić? Powierzyłam ci moją tajemnicę”. Bhima poczuła nagle na karku swoje sześćdziesiąt pięć lat, zupełnie jakby spadł jej na głowę stos książek. Każda kość w jej ciele skarżyła się na coś, każdy siwy włos śpiewał o swoim nieszczęściu, każdy mięsień drżał z bólu. Patrzyła z gorzką zazdrością na tego gładkoskórego, ciemnowłosego chłopaka. Patrzyła na jego czyste paznokcie, wykrochmaloną kurtkę, modną fryzurę. Zauważyła, że jego twarz błyszczy młodością i zdrowiem, że ma białe i zdrowe zęby

i nieskazitelnie gładkie dłonie. Przezywali go książę Aśok, a to przezwisko pasowało do niego. Ten chłopak miał przed sobą wprost nieograniczony ogrom czasu. Mógł spędzać, nie, raczej trwonić czas, jakby to był pozbawiony wartości, zdewaluowany pieniądz. Ona, Bhima, musiała go ciuć, musiała wykorzystywać każdą sekundę swojego życia, natomiast on mógł sobie pozwolić, by czas przeciekał mu przez palce, mógł go wydawać bezmyślnie, jak dziesięciopajzowe monety.

Złość znalazła chyba odbicie na jej twarzy, ponieważ Aśok Malhotra popatrzył na nią z niepokojem.

– Wszystko w porządku, cioteczko? – zapytał. – Napijesz się może limki albo czegoś innego?

– Posłuchaj, Aśok, nie mam czasu na takie rzeczy. Jestem starą kobietą i niewiele życia mi zostało. Miej wzgląd chociaż na mój podeszły wiek i przestań się ze mną bawić w kotka i myszkę. To nie jest łatwe również dla mnie, *beta*.

Wyraz twarzy chłopca zmienił się. Zdjął łokcie z laminowanego blatu stołu i przesunął się do tyłu na siedzeniu krzesła, jakby chcąc zwiększyć dystans pomiędzy sobą a Bhimą.

– Nazywam się Aśok Malhotra – powiedział ostrożnie. – Jesteś pewna, że jestem tym właściwym Aśokiem?

Bhima wydała westchnienie, które zabrzmiało zupełnie jak syk.

– Słuchaj, *baba*, ja wiem wszystko. Nie musisz udawać. Maja mi wszystko powiedziała. Nie przyszłam tu cię obwiniać. Chcę tylko...

– Co? Co Maja ci powiedziała?

Nareszcie zaczęli robić postępy.

– Aśok, Maja nie jest chora na malarię. Jest brzemienna. Aśok wciągnął powietrze ze świstem.

– Brzemienna? To niemożliwe. To znaczy jestem wstrząśnięty, cioteczko.

Głos Bhimy stał się teraz łagodny.

– Wiem, *beta*. Wszyscy jesteśmy wstrząśnięci. Nie takiego życia chciałam dla mojej wnuczki. No, ale kto zna tajemnicze ścieżki, którymi prowadzi nas Bóg? Może...

– Nie, chodzi mi o to, że to się przydarzyło właśnie Mai. Nie znam jej dobrze, ale zawsze ją szanowałem. Zawsze uważałem, że to rozsądna dziewczyna, nie taka, jak wiele innych, które znam.

Bhima gapiła się na niego z otwartymi ustami. Ten chłopak był jednak zupełnie inny, niż myślała. Bezwstydny. Siedział przed nią i mówił o innych dziewczynach. Czy to znaczy, że – Boże uchron – po świecie chodzi więcej małych Aśoków Malhotrów? Ogarnęła ją fala rozpacz i smutku.

A jednak musiała spróbować. Dla Mai. Musiała sprawić, żeby ten chłopak zapomniał o innych dziewczynach.

– Co było, to było – ucięła. – Rzecz w tym, co teraz będzie.

Aśok wzruszył ramionami. Widząc ten gest, Bhima musiała się złapać za krawędź różowego blatu stołu, żeby nie wymierzyć mu policzka. Jej Maja miała poważne kłopoty, a ten łajdaczący się, bezczelny syn kurwy raczył tylko wzruszyć ramionami.

– Posłuchaj mnie – powiedziała, nie czekając, aż wściekłość wyparuje z jej głosu. – Wiem wszystko. Maja mi wszystko powiedziała. O was. A skoro zostaniesz ojcem, powinieneś przynajmniej...

– Co? Co? – Aśok poderwał się na równe nogi, a w jego głosie pojawił się nowy ton. – Co powiedziałaś?

A więc nie wiedział. Zauważywszy lekko zdziwione spojrzenia, jakie rzucali na nich inni studenci, przeklinała samą siebie za to, że nie wybrała na rozmowę bardziej ustronnego miejsca.

– Hej, Aśok, wszystko gra, *jar?* – zawołał jeden z chłopców, których Bhima wyprosiła od stolika.

Twarz Aśoka była blada i oddychał ciężko. Z niewyjaśnionych powodów Bhimie nagle zachciało się śmiać. Stojący przed nią chłopak zachowywał się tak melodramatycznie jak pewna indyjska aktorka filmowa, której zarzucono złe prowadzenie się. Ale kiedy zauważyła nienawiść, z jaką na nią patrzył, śmiech umarł w jej sercu, nim zdążył się narodzić.

– *Beta*, siadaj – poprosiła. – Wiem, że to trudne, ale...

– Czy ona tak powiedziała? – syknął. – Czy powiedziała, że to ja jestem ojcem jej dziecka?

Nie będąc w stanie spojrzeć mu w oczy, Bhima tylko kiwnęła głową.

– Przekłeta kłamczucha. Przekłeta, brudna, obrzydliwa kłamczucha. Jak śmiała? Cholerna zdzira! Dziwka! To tylko dowód na to, że nie wolno ufać kobiecie. Nigdy.

W pierwszej chwili Bhima nie zrozumiała, że Aśok mówił o Mai. A kiedy to do niej dotarło, zrozumiała jeszcze

jedno: nie chciałyby Aśoka Malhotry za zięcia, nawet gdyby był jedynym mężczyzną na świecie. W mgnieniu oka wyobraziła sobie przyszłość tych dwojga, ujrzała poszarpane resztki swojego marzenia. Maja nie będzie miała kuchni z błyszczącymi garnkami i patelniami ani Kochającego męża, który zapewni jej wszystko, czego ona, Bhima, nigdy jej nie da. Miejsce tej kuchni zajmie aborcja i życie pełne sekretnej hańby i tajemnic. Ale nawet to będzie lepsze niż zmuszanie tego ordynarnego bufona, by się ożenił z Mają. Sera *bai* często czytała jej na głos drukowane w gazetach historie o paleniu świeżo poślubionych kobiet i zabójstwach z powodu posagu. Bhima zdrzała. Ci ludzie robili swoim żonom rzeczy, których trudno życzyć nawet największemu wrogowi. Mówcie sobie co chcecie o Gopalu, ale nawet wtedy, kiedy alkohol zmienił jej męża w cień człowieka, nigdy nie obraził jej takim językiem, jakiego ten młody diabeł właśnie użył w stosunku do Mai.

Świadomość, że nie chce, by Aśok Malhotra został członkiem jej rodziny, rozwiązała Bhimie ręce.

– Zamknij się! Nigdy nie waż się mówić w ten sposób o mojej dziewczynce. Pamiętaj, nawet jak już będę martwa, mogę wrócić zza grobu i uciąć ci język. Moja Maja to dobra dziewczyna, warta dziesięciu takich jak ty. Trzeba było aż takiego obrzydliwego bydlaka, żeby ją zdeprawować. A jeśli chodzi o namawianie cię, żebyś się z nią ożenił i uczynił z niej uczciwą kobietę, to musiałam chyba...

– Ożenić się z nią? Zrobić z niej uczciwą kobietę?  
– w głosie Aśoka pobrzmiwała histeria. – *Are, Bhagwan,*

czy ja zwariowałem? Słuchaj, starucho, ja ledwie znam twoją wnuczkę. Przez wszystkie te lata rozmawiałem z nią może pięć albo sześć razy, a i to zawsze w obecności przyjaciół. Biorę Boga na świadka.

Bhima miała właśnie zaprotestować, ale oszalały wyraz oczu Aśoka zmusił ją do milczenia.

– To spisek moich wrogów, czuję to – stwierdził, rozglądając się po stołówce. – To ci dranie ze Związku Postępowych Studentów kazali ci to zrobić, jestem pewien. Cholerni, zdegenerowani lewacy. Zawsze chcą dyskredytować nas, ludzi z RJS. Liberalne dziwki z ZPS, które gadają o świeckości i innych gównach. I ci ich zniewieściali socjalistyczni „towarzysze”, co latają za nimi jak grzejące się psy za sukami z cieczką. Ale nie sądziłem, że upadną aż tak nisko.

– *Beta*, przyszłam tu mówić o Mai i niczym innym...

– Nigdy nie podejrzewałem, że Maja jest jedną z nich – powiedział Aśok tak cicho, że Bhima ledwie go słyszała. – Ale wszystko jedno. Nie zniszczy mojej reputacji. Wszyscy w college’u wiedzą, że jestem z RJS, a RJS wierzy w czystość i wstrzeźliwość przed ślubem. Nawet niektórzy chrześcijańscy studenci powiedzieli mi w tajemnicy, że chociaż nie zgadzają się z głównym celem RJS, jakim jest państwo hinduskie, szanują wiele naszych nauk. Oczywiście nigdy nie przyznają się do tego publicznie. Przypuszczam, że za bardzo się boją muzułmańskich fanatyków. W RJS uczymy się szanować hinduskie kobiety, nawet upadłe, takie jak Maja. Ale wierzymy również w walkę. Musimy walczyć, jeśli ktoś

wystawia na szwank naszą reputację. – Popatrzył wrogo na Bhimę.

Do stołu podszedł jeden z towarzyszy Aśoka.

– Co jest, szefie? – zapytał, rzucając okiem na Bhimę.  
– Ta stara dama cię napastuje? Zaraz możemy się pozbyć tego problemu.

Ale Aśok go przegonił.

– Nie, nie, nie. Dam sobie radę sam.

– *Ćamća* – prychnęła pod nosem Bhima, patrząc, jak tamten się wycofuje.

Ale prawda była taka, że nie miała tu już nic więcej do roboty. Zawziętość, z jaką Aśok Malhotra bronił swojej reputacji, szalony, paranoiczny błysk w jego oczach, wyraźna pogarda dla Mai i wcale nie takie znowu zawołane groźby sprawiły, że Bhima uznała się za pokonaną, miała wrażenie, że składa się jak talia kart. Nie miała już nic do powiedzenia, żadnego powodu, żeby nadal tu tkwić. Poniosła spektakularną klęskę, tak wielką, że zaczęła wręcz kwestionować cel swej wyprawy.

– Przykro mi, że cię zdenerwowałam – powiedziała cicho. – Mam nadzieję, że mi wybaczysz, *beta*. Jestem tylko ciemną kobietą. Ulituj się choć nad moimi siwymi włosami i zapomnij o tej rozmowie. Moja rodzina... – tu jej głos się załamał – ... nigdy więcej nie będzie cię niepokoić. Proszę, spróbuj mi wybaczyć.

Miała wrażenie, że podczas jej pobytu tutaj stołówka zrobiła się dwa razy dłuższa. Szła niepewnie, wbijając wzrok w podłogę i marząc, by do jej uszu nie dobiegały stłumione szepty i chichoty, które towarzyszyły jej

odwrotowi. Stopy bolały ją w miejscach, gdzie gumowe klapki ocierały skórę.

Kierowca taksówki był młody i towarzyski i wyraźnie miał ochotę porozmawiać, ale Bhima nie była w nastroju. Patrzyła w okno, kiedy samochód przemykał koło walących się budynków i placów budowy. Nie ożywiła jej nawet bryza wiejąca od Morza Arabskiego, kiedy jechali jego brzegiem, ani widok brązowoszarej wody, na który zwykle jej serce podskakiwało z radości.

Analizowała swoją rozmowę z Aśokiem, próbując uświadomić sobie, w jakim momencie sprawy wyrwały się spod jej kontroli niczym stado oszalałych słoni, w jakim momencie złamało się jej serce, a przyszłość rozsypała w proch przed jej niedowierzającymi oczami.

W tym momencie zaczęła wierzyć w niewinność Aśoka Malhotry.

Bo nie miała żadnych wątpliwości, że chłopak mówił prawdę. I że to Maja – Maja, jej wnuczka, którą uratowała przed śmiercią, która przybyła do niej jako sierota i wyrosła na inteligentną, ambitną młodą kobietę, Maja, jej jedyny prawdziwy członek rodziny i jedyny jasny punkt w ponurym życiu, Maja, która miała być dla niej zadośćuczynieniem za wszystkie nadzieje i niezrealizowane marzenia, która była ośrodkiem wszystkich jej rojeń i fantazji – to Maja jej skłamała. To Maja ją zdradziła (Ale czy nie powinna wreszcie przywyknąć do zdrad?), Maja naraziła ją na wstyd i poniżenie (Ale czy nie powinna już przyzwyczać się do tego?), Maja zamierzała wepchnąć nieszczęście pod jej głowę, niczym twardą, baweł-



nianą poduszkę (No ale czemu miałyby być pod tym względem inna niż reszta rodziny?).

Kazała się wysadzić pięć minut drogi od *basti*. Nie chciała, żeby sąsiedzi zaczęli dociekać przyczyn, dla których wróciła do domu taksówką. I nie była w nastroju, żeby znosić ukłucia żądeł ich zazdrości. Bo wiedziała, iż wiele osób zazdrości jej szczęścia, że pracuje dla kogoś takiego jak Sera *bai*.

– *Oe, Bhima mausi* – powtarzała jej często Bibi. – Czekałam tylko, aż twoja Maja dostanie świetną pracę, a ty przejdiesz na emeryturę. Wtedy pójdę pracować dla twojej Sery. Ja też chcę wracać do domu z czekoladą dla dzieci. Ta gudźaracka kobieta, dla której pracuję, to taka *kandżus*, że jak w jednym miesiącu da mi szczyptę soli ekstra, to przysięgam, że w następnym próbuje mi to potrącić z pensji.

Bhima szła szybko, chcąc wreszcie znaleźć się w domu. Paski gumowych *ćappali* wgryzały się jej w stopy, ale była zbyt zajęta myślami, żeby zważać na ból. Skoro to nie Aśok Malhotra, to w takim razie kto był ojcem dziecka? Choć prawdę mówiąc, jakie to ma znaczenie, skoro zapewne to jeden z tych żuli mieszkających w *slam-sach*? Może ten bezczelny typ, który mieszka naprzeciwko i nie ma nawet tyle przyzwoitości, żeby się odwrócić, jak się myją? Na myśl o tym twarz Bhimy pokrywa rumieniec. Nie, aborcja to jedyne wyjście. Konfrontacja z Aśokiem Malhotrą odebrała jej wolę walki. Nie była w stanie nawet sobie wyobrazić, że znów musiałaby przejść przez to wszystko z kolejnym podejrzanym. Tym

bardziej że nie było gwarancji, iż ta bezwstydną dziewczyna następnym razem powie jej prawdę. Czuła, jak palą ją policzki na samą myśl o oszustwie Mai. Jej prawa dłoń drżała w oczekiwaniu bolesnych uderzeń, jakie zamierzała wymierzyć wnuczce. Przyspieszyła kroku.

Ale kiedy zbliżyła się do *basti*, nie miała wcale ochoty znaleźć się w ponurej chacie. Znów uderzyło ją, jak nędznie wyglądały te budowle z blachy i tektury. Bardziej jak ogromne gniazda zbudowane przez stado pijanych wron niż jak miejsce, w którym żyją ludzie. Uniosła prawą ręką sari, żeby jego brzeg nie zamoczył się w ciemnobrązowych kałużach wody, a lewą odganiała rojące się przy twarzy muchy. Kiedy weszła do osady, ogarnęła ją jak zwykle beznadziejna rozpacz, choć dziś na powierzchni tej rozpaczki widać było ślady zębów. Czuła palącą, nagą nienawiść do Mai. Szalona, głupia dziewczyna, która bezmyślnie odrzuciła lepszą przyszłość, jakby to była wczorajsza gazeta. I teraz ona również będzie skazana na życie w obrzydliwych slamsach, na taki sam los, jaki spotkał ją, Bhimę. I zawsze będzie ją prześladował cień usuniętej ciąży. A była już tak blisko odbicia się od tego dna i osiągnięcia czegoś w życiu. Najwyraźniej jednak i ją dotknęła rodzinna klątwa, wisząca nad jej głową niczym ostre szpony. Ta sama klątwa, która uczyniła z niej sierotę w wieku lat siedmiu, teraz sprawi, że w wieku lat siedemnastu będzie się musiała pozbyć dziecka.

Oczywiście gdyby ona, Bhima, nie zrobiła dziś takiego przedstawienia w college'u, pewnie Maja mogłaby tam jeszcze wrócić. Mogła zrobić skrobankę, posiedzieć kilka

dni w domu, żeby przyjść do siebie, a potem znowu zacząć chodzić na zajęcia. Gdyby ktoś z kolegów z jej roku zapytał, co się stało, powiedziałaaby – na co to chorowali ci koledzy Aśoka Malhotry? – o właśnie, że miała malarię. Nikt by się o niczym nie dowiedział. Ale w chwili gdy wnuczka wymieniła nazwisko Aśoka Malhotry, Bhimę ogarnął jakiś dziwny, irracjonalny optymizm, a jej wyobraźnię wypełniła wizja kuchni z błyszczącymi garnkami. Zupełnie jakby igrał z nią diabeł, jakby napełnił ją niebezpieczną nadzieją i skusił do wizyty w college'u, tańcząc przed nią przez całą drogę i wskazując stolik Aśoka Malhotry, gdzie niczym gorący półmisek batata-wady czekały ją tylko zawód i śmieszność. Zmęczone członki Bhimy przesiąknięte były poczuciem winy. Niechcący zniszczyła przyszłość swojej wnuczki. Wszelkie błędy popełnione przez Maję można było jeszcze naprawić, ale tego, co zrobiła Bhima – podzielenia się hańbą rodziny z kimś obcym, skalania honoru Mai przed tym zadufanym w sobie, świątobliwym głupkiem, ujawnienia jej tajemnicy Bóg raczy wiedzieć ilu wścibskim uszom – tego nie da się już cofnąć. Rozebrała swoją dziewczynkę do naga w tej wielkiej, jasnej, zatłoczonej stołówce, po czym wystawiła ją na ostrzał plotek i bezmyślnego oczerzania.

Być może to właśnie poczucie winy sprawiło, że rzuciła się na Maję natychmiast, gdy ta otworzyła drzwi. Ścisnąc w rękę prawy kłapek, który zostawił na jej stopie głęboką krwawą bruzdę, Bhima poczekała tylko, aż Maja zamknie zdezelowane drzwi. A wtedy, nim wnuczka,

której twarz budziła w niej tak głęboki smutek, miała czas się cofnąć, zaczęła ją bić.

– Chodź tu, ty bezwstydna kłamczucho! – dyszała.  
– A masz, a masz, a masz! Chodź tu, mam ochotę cię zabić, żeby już nigdy nie widzieć twojej kłamliwej gęby!

Uchylając się przed uderzeniami, Maja instynktownie opuściła ręce, osłaniając brzuch, po czym obróciła się tak, by kulaki Bhimy trafiały w jej plecy.

– Babciu, nie... – zakwiliła raz i zamilkła, krzywiąc się tylko w milczeniu po każdym ciosie.

Ta cisza wprawiła Bhimę w prawdziwą furję. To prawda, chciała utoczyć krwi, ale nade wszystko chciała doprowadzić Maję do łez, jakby te łzy mogły oczyścić je obie, obmyć je ze zła, które zakradło się w ich życie.

– Powiedz coś! – zażądała. I dalej, w rytm uderzeń:  
– Powiedz... coś... Błagaj... o... wybaczenie... ty pomocię diabła... ty pomyłko... swojej matki!

Ale z nich dwóch to Bhima była bliższa łez, kiedy opadły ją wspomnienia mijającego dnia – upokorzenie, wyczerpanie, bezsilna złość, że została oszukana przez własną wnuczkę, a w tej chwili również przerażenie, że ona sama do tego stopnia straciła nad sobą kontrolę.

Ból ręki zmusił ją do zaprzestania bicia. Maja kucnęła na podłodze, wpatrując się w nią wielkimi, zalęknionymi oczami. Ten widok łamał Bhimie serce, sprawiał, że pragnęła przygarnąć do siebie jej młode, drżące ciało i pokryć je pocałunkami równie mocno, jak przed chwilą pokrywała je ciosami, ale postanowiła zmienić swoje serce w zimną stal. To właśnie przez jej pobłażliwość Maja zbłądziła.

– Aśok Malhotra – wysyczała. – Ojciec twojego bękarta, tak? *Are*, taka rozwiązała kobieta jak ty musiałaby urodzić nie jednego, a tuzin bękartów, żeby usidlić takiego uczciwego, bogobojnego chłopca jak on!

Maja popatrzyła na nią uważnie.

– Skąd wiesz, że Aśok jest bogobojny? – spytała.

– Bo z nim rozmawiałam. Poszłam dziś do college'u z oświadczynami. – Bhima roześmiała się gorzko, kręcąc głową na myśl o własnej naiwności.

– Co zrobiłaś? – Głos Mai zrobił się histerycznie wysoki. – Co zrobiłaś, babciu?

Bhima zmusiła się, żeby nie odwrócić wzroku od twarzy wnuczki.

– To twoja wina. A może tak często kłamiesz, że już zapomniałaś, co mi o nim naopowiadałaś? No tak, sama jestem sobie winna. Pomyślcie tylko, uwierzyć w słowa rozpustnicy!

Maja skrzywiła się.

– Babciu, błagam, nie bądź taka okrutna. Możesz mnie bić butem albo kijem, oblać mnie benzyną i spalić żywcem, nic mnie to nie obchodzi. Ale nie katuj mnie słowami.

– Ja cię katuję? *Beta*, poczekaj, aż zobaczysz, jak ten okrutny świat cię będzie katować, kiedy rozejdzie się wieść o twojej ciąży. Widziałaś Jasmin, tę muzułmankę z sąsiedniego *basti*, która nosi parde? Tobie nie będzie potrzebna. Twój wstyd będzie działał jak zasłona.

– A ty rozrzuciłaś mój wstyd jak nawóz po całym college'u – stwierdziła Maja z goryczą. – Znam tego Aśoka.

Nigdy mnie nie pociągało to jego Hare Rama. Widziałam, jak kocha plotkować, szczególnie o dziewczynach, których nie lubi. To straszny papla, zupełnie jakby się urodził z megafonem w gardle. Zapewne wie już o mnie cała szkoła.

Bhima przełknęła winę – miała smak kwaśnego mleka.

– Powinnaś była o tym pomyśleć, nim go we wszystko wplątałaś. Nim skłamałaś, patrząc mi prosto w oczy.

– Zmusiłaś mnie do tego – odparła Maja i na chwilę stała się dawną, pełną werwy dziewczyną. – Dręczyłaś mnie i dręczyłaś, więc w końcu podałam ci pierwsze w miarę prawdopodobne nazwisko, które mi przyszło do głowy. Jakie to ma znaczenie, kto jest ojcem, babciu? Faktem jest, że to dziecko rośnie w moim brzuchu, a nie w jego. To moje przekleństwo i błogosławieństwo, nikogo innego...

– Błogosławieństwo? Nazywasz to... tę rzecz, która w tobie rośnie, błogosławieństwem? Czyś ty oszalała, dziewczyno? A może planujesz zabić swoją starą babkę, żeby odziedziczyć pałac, w którym mieszkamy?

Maja położyła nieśmiało dłoń na chudym ramieniu Bhimy.

– Babciu, nie mów o umieraniu. Jesteś wszystkim, co mam na tym świecie.

A więc to tak łamie się serce, pomyślała Bhima. To właśnie takie zimne, kruche, takie dziwne uczucie, jak wysokie dźwięki skrzypiec w klasycznej muzyce, którą puszcza Sera *bai*. Miała ochotę równocześnie przytulić Maję i ją zabić, uratować ją i zniszczyć, a wszystko to w tej jednej dramatycznej chwili.

– No już dobrze – stwierdziła szorstko. – Przestań się zachowywać jak Mina Kumari w filmie i idź zapal prymus. Burczenie w moim brzuchu wkrótce wypłoszy stąd nawet szczury.

Maja już się odwracała, ale Bhima przyciągnęła ją do siebie z powrotem.

– Posłuchaj, dziewczyno – powiedziała. – Jutro porozmawiam z Serą o twojej wizycie u lekarza, co robi aborcje. Za dużo czasu już minęło.

## 5

Kiedy Sera czeka na windę, zastanawia się, czy to bezpieczne zostawiać Bhimę samą w domu. Nigdy dotąd nie widziała, żeby Bhima wyglądała tak staro, żeby była taka zmęczona, taka – no, jakie to słowo – przybita jak dzisiaj. Nawet wtedy, kiedy Gopal odszedł i zabrał ze sobą najcenniejszą rzecz w jej życiu. Och, jasne, Bhima była wtedy przerażona, co do tego nie ma wątpliwości, ale wiedziała, że jest odpowiedzialna za Pudzę, i ta odpowiedzialność za córkę skłoniła ją do tego, by się nie poddawać. Tak, Gopal mógł ją złamać fizycznie, ale Maja złamała jej duszę. Aśok Malhotra, myślałby kto! Sera próbuje wykrzesać z siebie gniew na Maję, ale uświadamia sobie, że nie potrafi. Stara się wyobrazić ją sobie taką, jaka jest dzisiaj – nieufną, zdeprawowaną, zepchniętą na pozycje obronne i zdolną do intryg – jednak ciągle ma przed oczami obraz nieśmiałej, maleńkiej i przerażonej siedmiolatki w czerwonej marszczonej sukience i złotych klapkach, która stała przed nią i Ferozem, z całych sił ściskając rękę babci. Bhima wróciła właśnie ze swą wnuczką z Delhi, przez całą



noc jechały pociągiem i Sera dostrzegła ciemne półksiężycy pod oczami dziewczynki. Osieroconej dziewczynki, nadmiernie wychudzonej, którą zjednała sobie, dając jej, dzień po dniu, trzy tabliczki mlecznej czekolady Cadbury. Która, już po dwóch miesiącach towarzyszenia Bhimie w pracy w domu Dubaszów, zaskoczyła i uradowała Serę, pytając po angielsku: „Gdzie czekolada?”. To tego dnia, albo zaraz potem, Sera doszła do wniosku, że Maja jest inteligentnym dzieckiem, zasługującym na inne życie niż to, które mogła zapewnić jej babka. I że ona, Sera, powinna wziąć na siebie odpowiedzialność za jej wykształcenie.

Sera wchodzi do windy i widzi panią Madan, sąsiadkę z piątego piętra.

– *Kem che*, Sera? – mówi kobieta. – Dawno cię nie widziałam.

– Och, wszystko w porządku – odpowiada Sera.  
– A u ciebie?

Żałuje tego pytania już w chwili, gdy spływa z jej warg. Pani Madan wzdycha.

– *Ćalta he, ćalta he* – mówi. – Życie płynie dalej. Artyzm jest coraz gorszy. Widzisz ten kciuk? Zobacz, jaki spuchnięty i czerwony, jest jak wielki pomidor. *Bap re*, nie wyobrażasz sobie nawet, jaki to ból. No, ale trzeba znosić to, czego nie można uleczyć, jak powtarzał mój kochany świętej pamięci Praful. Choć zapewniam cię, Sero, mówił tak dlatego, że nigdy w życiu nie miał migreny. Ja czasami mam taką okropną, że nie mogę nawet otworzyć oczu. Na szczęście służąca wie dokładnie, co ma wtedy robić. Wiesz, pracuje u mnie od wieków. Oczywiście

nie tak długo jak Bhima u ciebie. Muszę powiedzieć, że ona to zupełnie wyjątkowy przypadek. Nic dziwnego, że traktujesz ją jak członka rodziny. Mój Praful zawsze powtarzał, że pozwalasz tej kobiecie wchodzić sobie na głowę, wybacz mi te słowa. Ale mężczyźni, oni zawsze są bez serca, nie uważasz? Ich serca nie są takie miękkie jak nasze, kobiet. Zawsze powtarzam: „Sera dostanie w niebie nagrodę za to, jak traktuje Bhimę”.

– Niebo nie ma tu nic do rzeczy – przerywa jej Sera.  
– Bhima to uczciwa osoba i dobra pracownica...

– Och, wiem, wiem. Dokładnie to samo wszystkim powtarzam. Nie, Sero, ty masz tak samo miękkie serce jak ja. Popatrz tylko, codziennie odwiedzasz swoją teściową. Nie myśl, że nie zauważyłam, chociaż prawie ośleplam przez tę kataraktę. Może nie chodzisz do *agjari* tak często jak niektóre z nas, ale jesteś religijna na swój własny sposób, wiem doskonale. *Ćalo*, czas, żebym odebrała receptę. Doktor mówi, że powinnam codziennie spacerować, ale teraz chodniki w Bombaju są takie okropne, że boję się wychodzić z domu. Wszędzie otwarte włazy i wykopy.

Ta Mehru Madan to idiotka, myśli Sera, kiedy się rozstają. Pomieszana teologia, pomieszana medycyna, pomieszany umysł. Przypomina sobie stwierdzenie Feroza, że Mehru ma jajecznicę zamiast mózgu, i uśmiecha się na to wspomnienie.

Uśmiech tkwi jeszcze na jej twarzy, kiedy wsiada do windy w domu Banu Dubasz. Windziarz zauważa go i szczyrzy do niej zęby.

– *Salam, memsahib* – mówi.

Sera z rezerwą kiwa głową, zła, że przyłapał ją w takiej chwili nieuwagi.

– Drugie piętro – mówi, choć zdaje sobie sprawę, że windziarz wie doskonale, na którym piętrze mieszka Banu Dubasz.

Bestia leży w łóżku, a jej długie, rzadkie włosy udrapowane są na poduszce jak grzywa. Śpi, kiedy Sera przekręca klucz we drzwiach frontowych i wchodzi do mieszkania. Znajomy zapach wody kolońskiej firmy Tata i spirytusu do nacierania atakuje jej nos, gdy tylko przekracza próg. Jak zwykle ciężkie zasłony są zasunięte, ponieważ Bestia lubi, żeby w jej legowisku było ciemno. Stare mieszkanie pachnie stęchlizną. Sera przez chwilę walczy z klaustrofobią. Z trudem powstrzymuje się od rozsunięcia spłowiałych zasłon i otworzenia na oścież okien, żeby wpuścić do środka świeże powietrze i słońce. Jak zwykle zatrzymuje wzrok na brudnych, szarych ścianach z łuszczącą się farbą i myśli o tym, że bardzo miałaby ochotę ściągnąć tu ekipę robotników i kazać im pomalować to mieszkanie na jakiś wesoły kolor. O ile dobrze pamięta, nigdy nie było odnawiane, odkąd przybyła tu jako panna młoda – no, może nie taka bardzo młoda – tyle lat temu. Mimowolnie wzdryga się na wspomnienie tych nieszczęśliwych lat, które przeżyła w domu Bestii. Dzięki Bogu, że miała dość odwagi, by stąd odejść, a Opatrzność zesłała jej własny dom. Nie żeby samotne życie z Ferozem było rajem. Ale

gdyby nadal mieszkała u teściów, zapewne już wiele lat temu wyskoczyłaby z balkonu.

Dzienna pielęgniarka Edna drzemie w wielkim fotelu w prawym rogu pokoju, gdzie śpi Bestia, a jej rytmiczne chrapanie wypełnia pomieszczenie monotonna muzyką. Sera najpierw widzi odbicie Edny w wielkim lustrze na skrzydle drzwi mahoniowej szafy stojącej obok łóżka Bestii. Drugie skrzydło drzwi zajmuje pionowy obraz przedstawiający dżunglę – żyrafy, słonie i jelonki. Ta wielka szafa zafascynowała Serę, kiedy zobaczyła ją po raz pierwszy. Mieszkanie Dubaszów pełne było wówczas zabytkowych mebli – rzeźbiony mahoniowy stół na dwanaście osób w jadalni, dwa stoliki do kawy z marmurowymi blatami, łoże z baldachimem wykonane z tekowego drewna.

Sera odchrząka głośno, a ten dźwięk budzi Ednę.

– O, dzień dobry pani – mówi zaskoczona, podrywając się na równe nogi. – Nie słyszałam... cioteczka Banu zasnęła po porannym myciu, więc...

– Nic się nie stało – mówi Sera szorstko. – Czyli wszystko w porządku? Noc minęła spokojnie?

– Prawie cała, proszę pani. Miała w nocy jedno rzadkie wypróżnienie, mniej więcej o drugiej. – Edna zauważa wyraz twarzy Sery i natychmiast okazuje skruchę. – Prze... Przepraszam, proszę pani. Myślałam, że chciała pani wiedzieć. Niektóre rodziny życzą sobie być informowane o wszystkich drobiazgach.

Sera przygląda się ciemnej, kościstej i zmęczonej twarzy pielęgniarki, widzi postrzępione brzegi jej białego

czepka, blady zarys brązowej plamy na spranym fartuchu i nagle czuje przyływ litości i skruchy.

– Nie, nie, w porządku. My też chcemy wiedzieć, co się z nią dzieje. A może teraz się czegoś napijemy? Ja tu trochę uporządkuję, a ty zaparz nam dzbanek herbaty Brooke Bond.

Niespodziewanie zostaje nagrodzona wesołym uśmiechem, czystym jak niebo za oknem.

– Dobrze, proszę pani – mówi Edna. – Przygotuję dzbanek herbaty – jak to mówicie wy, parsowie? – *fata-fat*. Może cioteczka Banu też się napije.

Stara kobieta porusza się w łóżku, jakby wiedziała, że mówią o niej. Po raz setny z kolei Sera podziwia intuicję swojej teściowej. Podczas spędzonych tu lat szczerze wierzyła, że Banu ma troje dodatkowych oczu z tyłu głowy. Bez względu na to, jak dyskretnie spierali się o coś z Ferozem, bez względu na to, jak bardzo Sera ściszała głos podczas ich kłótni, Banu zawsze wiedziała, co zaszło w ich pokoju.

Raz Sera spróbowała zwrócić na to uwagę Feroza.

– Czy widzisz, jak twoja matka patrzy na mnie za każdym razem, kiedy się pokłócimy? Czy ona nas szpieguje? Tak bardzo się staram ukryć przed nią nasze problemy, ale ona zawsze wie, kiedy między nami zajdzie coś złego.

– Masz menstruację?

– Co?

– Masz okres? – powtórzył Feroz. – Bo wtedy zawsze jesteś taka rozhisteryzowana i paranoiczna i uważasz, że

ludzie cię śledzą. Niedługo zrobisz się taka jak ci głupi Amerykanie, będziesz wierzyć w UFO i w podobne bzdury.

Patrzyła w milczeniu na męża, dotknięta bardziej niż powinna tym, że zlekceważył jej obawy.

– Dobrze, Feroz – powiedziała wreszcie. – Dalej, naśmiewaj się ze mnie!

– Kochanie, gdybyś mówiła z sensem, nie musiałbym się naśmiewać. Zachowujesz się tak, jakby moja matka nie miała nic lepszego do roboty, tylko cię obserwować.

Kiedy Edna wychodzi z pokoju, Sera walczy z chęcią pójścia za nią do kuchni. Nawet po upływie tylu lat i pomimo całkowitej bezradności sparaliżowanej Banu, nadal czuje się nieswojo, przebywając z nią sam na sam. Złe wspomnienia dźwięczą jej w uszach jak głosy małych na drzewach w Khandali. Zbyt wiele tu duchów. A choć w łóżku spoczywają upiorne, na wpół martwe szczątki starej kobiety, śmierć, którą pamięta najlepiej i oplakuje najmocniej, to śmierć młodej kobiety, którą pochowano w tym mieszkaniu. Z jakimiż nadziejami ta świeżo poślubiona mężatka weszła do domu swych teściów! Z jakimż zapałem ścigał ją i uwodził mężczyzna, który został jej mężem i sprowadził ją tutaj jak cenny klejnot, jak delikatną figurkę z chińskiej porcelany. Jakaż jasność, jakiż blask panował tu wtedy, jakby ktoś zawiesił na niebie Bombaju dodatkowe słońce. Ona i Feroz byli piękni, choć niespecjalnie młodzi, ale ich blask był tym bardziej olśniewający, że dostąpili go tak niespodziewanie i zdo-

byli z tak wielkim trudem. Odnaleźli się w chwili, kiedy żadne z nich już tego nie oczekiwało.

Słyszy, jak pielęgniarzka ustawia filiżanki na kuchennym blacie.

– Herbata prawie gotowa, proszę pani – wyśpiewuje Edna z kuchni. – Już idzie jedna filiżanka *garam-garam* ćaju.

Sera nie odpowiada, obawiając się, że obudzi starą kobietę. Lepiej niech lichy śpi dalej, myśli, po czym czuje ukłucie winy, że porównuje swoją teściową do licha. A jednak cieszy się z tej chwili prywatności i ucieczki przed czujnym wzrokiem Banu. Choć wylew przykuł matkę Feroza do łóżka, choć ledwie może mówić, świdrujące oczy teściowej niemal zawsze podążają wszędzie za Serą i obserwują każdy ruch synowej niemal tak samo, jak w pierwszych latach jej małżeństwa.

Ośmielona tym, że Banu nadal śpi i że jej czujne oczy są mocno zamknięte, Sera podchodzi na palcach do staruszki. Banu śpi z otwartymi ustami, oddycha głośno i przy co trzecim oddechu wydaje donośne, gardłowe chrapnięcie. Z kącika jej ust spływa na poduszkę gruba nitka śliny, a na ten widok Serze robi się niedobrze. Choć odwiedza teściową codziennie, za każdym razem kiedy wchodzi do tego domu, nie może opanować mdlącego wrażenia, że znajduje się w potrzasku. Patrzy na Banu, wpatruje się w wysuszoną, myszszą kobietę leżącą w łóżku, które jakby urosło wokół niej, i szuka głęboko w duszy

choć nitki współczucia. Ale odnajduje coś innego: nie-  
skończenie długi sznur, taki, jakiego używa się w parsyj-  
skich świątyniach ognia do wyciągania wiadra ze studni.  
W ten sznur wpleciona jest gorycz i uraza. Ten sznur  
wydaje się w jej rękach czarny i zwęglony, nadpalony jej  
niegasnącym gniewem. Po wszystkich tych latach, ona,  
Sera Dubasz, lojalna przyjaciółka, kochająca matka, życz-  
liwa pracodawczyni, uczynna sąsiadka, hojna patronka  
sztuki, nie jest w stanie wybaczyć temu wrakowi kobiety,  
który leży przed nią na łóżku, a ta myśl równocześnie  
zawstydzają ją i dziwnie upaja.

Oczy Sery padają na duży olejny portret, który wisi  
nad łóżkiem Banu. Przedstawia jej teścia, Freddy'ego  
Dubasza. Freddy jest na nim dziwnie poważny, ale Se-  
rę cieszy widok jego ukochanej papugi, Polly, siedzą-  
cej mu na prawym ramieniu. Jeśli te pierwsze lata jej  
małżeństwa były mroczne niczym wnętrze kopalni wę-  
gla, to Freddy był promykiem światła latarki na kasku  
górnika. Tylko dzięki niemu nie zatraciła się wówczas  
zupełnie.

Sera uśmiecha się mimo woli, jak zawsze, kiedy myśli  
o swoim teściu. Patrząc na łysą głowę Freddy'ego i jego  
znajomą twarz, przypomina sobie, jak go poznała – je-  
go, i oczywiście nieodłącznego Polly. Spotykali się z Fero-  
zem już trzy miesiące, kiedy w niedzielne popołudnie  
zaprosił Serę do domu swoich rodziców. Freddy Dubasz,  
jeden z najbardziej wziętych prawników w Bombaju,  
wszedł do salonu w czerwonym haftowanym szlafroku  
z papugą na ramieniu.



– Jestem Farokh Dubasz – przedstawił się. – Ojciec tego Cudownego Chłopca. Ale wszyscy nazywają mnie Freddy.

– Miło mi pana poznać – wymamrotała Sera.

– Feroz mówi, że lubisz muzykę klasyczną – powiedział Freddy. – To prawda?

– Chodzę z ojcem na koncerty w Sali imienia Homiego Bhabhy, od kiedy skończyłam siedem lat – odpowiedziała Sera po prostu. – To wielki miłośnik muzyki.

Freddy zwrócił się do papugi.

– Polly, mamy nową przyjaciółkę. Uściśnij dłoń kolejnej miłośniczce muzyki. No już, podajcie sobie ręce.

I rzeczywiście papuga podniosła łapkę i wyciągnęła ją do Sery. Sera spojrzała niepewnie na Feroza, nie wiedząc, jak zareagować. Wydawał się zdeprymowany.

– Tak, podaj mu rękę, a wtedy twoje wejście do tej szalonej rodziny zostanie przypieczętowane – powiedział ze znużeniem.

Banu kręciła się, wyraźnie speszona.

– Doprawdy, Freddy... – zaczęła, ale Sera już podeszła do ojca Feroza z wyciągniętą ręką.

– Jak się masz? – zapytał Polly, kiedy Sera ujęła jego łapkę. Na widok jej zaskoczenia wszyscy zaczęli się śmiać.

– To stara sztuczka mojego męża – wyjaśniła Banu, a w jej głosie pobrzmiwały równocześnie zażenowanie i duma. – Wiele tygodni zajęło mu nauczanie jej Polly.

– Tygodni, akurat! – Freddy na to. – Nauczył się tego w kilka dni. To dlatego, że papugi mają niepospolitą

inteligencję – zwrócił się do Sery. – Moim zdaniem są dużo mądrzejsze niż psy.

– Tak, jasne, tato, nauczyłeś papugę tej sztuczki w kilka godzin – stwierdził Feroz pobłaźliwie. – Albo nawet minut. Bo w końcu ten cholerny ptak jest inteligentniejszy od twojego syna. Polly to syn, którego mój ojciec nigdy nie miał – dodał, zwracając się do Sery. Wydawało jej się, że słyszy w jego głosie cień goryczy, ale cały czas się uśmiechał.

Freddy zignorował jego słowa.

– Polly cię lubi – powiedział do Sery. – Podobnie jak ja. Na miłą rozpoznaję miłośnika muzyki klasycznej.

Dlaczego Freddy *pappa* musiał umrzeć przed Bestią, myśli Sera, nie po raz pierwszy zresztą. Po wszystkich tych latach ciągle uważa ekscentrycznego, dobrotliwego Freddy'ego za swojego zbawcę, człowieka, który wyzwolił ją z piekła.

Banu jęczy przez sen, jakby dręczona przez własne myśli. Na ułamek sekundy jej oczy otwierają się, ale nie patrzą na nic konkretnego, a za chwilę już znowu chrapie. Ale Sera wie, że stara kobieta obudzi się w ciągu kilku minut. Słyszy, jak Edna dzwoni filiżankami z herbatą, szykując się do wejścia do pokoju. Rozgląda się w koło szybko, z poczuciem winy. Edna jest już niemal przy drzwiach, kiedy Sera pochyla się nad śpiącą kobietą, jakby chciała pogłodzić jej czoło. Rzuca ostatnie, ukradkowe spojrzenie za siebie, a potem wyciąga rękę. Jej otwarta dłoń zaczyna się zaciskać, tak że kciuk i palec wskazujący tworzą jakby pincetę.

Kiedy Edna wchodzi do pokoju, Sera bierze między palce miękkie, obwisłe, pozbawiony życia policzek teściowej i szczypie go. Mocno. Jej serce wali, jakby miało wyskoczyć z piersi. Oczekuje, że staruszka obudzi się z wrzaskiem, choć wie przecież, że sparaliżowana twarz Banu nie czuje jej dotknięcia. Teściowa śpi dalej, zagubiona we własnym, cuchnącym świecie marzeń. Skrucha i wstyd za tak infantylne zachowanie sączą się w żyły Sery niczym szary dym. A mimo to wie, że jutro uczyni to samo. Tylko tak może odnieść choć drobne zwycięstwo w imię pełnej ideałów i nadziei dziewczyny, która jest pochowana na cmentarzysku tego domu.

Poczucie winy każe jej sięgnąć do torebki i wyjąć banknot sturupiowy.

– To dla twoich dzieci – mówi do Edny. – Kup im czekolady po drodze do domu.

## 6

Śjam, sąsiad o dziobatej twarzy, który mieszka po drugiej stronie rynsztoka, zatrzymuje Bhimę, kiedy ma właśnie wejść do chaty.

– *Namaste, mausi* – mówi. – Długi dziś dzień?

Bhima kiwa głową.

– Każdy dzień jest długi, kiedy pracujesz – odpowiada. Potem, przypomniawszy sobie, że Śjam stracił pracę dwa miesiące temu, uśmiecha się smutno, żeby nie uznał jej odpowiedzi za przyganę.

Ale sąsiad nie wydaje się obrażony.

– *Ha dži* – mówi. – Masz rację. Powiedz, Bhima, przyjdiesz jutro po południu na nasze spotkanie?

– Jakie spotkanie? – pyta Bhima, ale szybko przypomina sobie, o co chodzi. Bibi powiedziała jej kilka dni temu, że mieszkańcy *basti* zdołali umówić spotkanie z jakąś grubą rybą z władz miasta. Urzędnik miał zwiedzić osiedle, a wśród wielu innych żądań jej mieszkańcy chcieli go prosić, aby miasto założyło tu więcej kranów z wodą.

– A tak, już pamiętam – mówi, nim Śjam ma czas odpo-

wiedzieć. – Coś o tym słyszałam. Ale co ja poradzę, muszę być w pracy, u mojej pani. Jak nie będę pracować, nie będę miała co jeść.

Śjam krzywi się, a Bhima przeklina się w duchu za swój brak wrażliwości.

– Tak, *mausi*, wiem, o czym mówisz. – Jego głos jest przepełniony ironią. – Wszystko trzeba robić dla swego pieprzonego żołądka. Ale dobro osady jest chyba też coś warte, no nie? Na pewno twoja pani może ci dać kilka godzin wolnego.

Bhima czuje się osaczona. Jej wcześniejsze współczucie dla Śjama zmienia się w urazę. Jest zmęczona, wprost wyczerpana, ma ogromną ochotę wejść do swej małej chatki i zamknąć światu drzwi przed nosem. Czuje łaskotanie w gardle oczekującym gorącej, słodkiej herbaty z mlekiem, której, jak ma nadzieję, Maja nie zapomniała przygotować. Wcale nie ma ochoty tracić więcej czasu na rozmowę z tym bezrobotnym głupcem.

– Moja pani mnie potrzebuje – mówi ostro. – A jeśli chodzi o *basti*, to po to przecież mamy was, mężczyzn, żebyście dbali o nasze potrzeby i żebyście rozmawiali z szycami z władz. Ja jestem tylko biedną, niepiśmienną kobietą, która nadaje się wyłącznie do krojenia cebuli i zamiataania. A skoro już mowa o cebuli, to muszę ugotować kolację dla siebie i wnuczki. Więc, jeśli pozwolisz, pójdę już.

Kładzie rękę na drzwiach, kiedy w pół ruchu zatrzymuje ją imię Mai wypowiedziane przez Śjama.

– Ach, przy okazji – mówi sąsiad i nawet w ciemniejszym świetle dnia Bhima widzi, jak jego usta wykrzywia

okrucieństwo. – Skoro już mowa o Mai... Moja Rehka poszła dziś do was do domu. Nie mieliśmy cukru i moja pani poprosiła Rehkę, żeby pobiegła pożyczyć. Zauważyliśmy, że od kilku dni Maja nie chodzi do college'u, więc moja pani była pewna, że ktoś będzie w domu.

Bhima czuje, jak zaciska się jej żołądek. Coś nadchodzi, a jest pewna, że to nic dobrego.

– A co to ma wspólnego z Mają? – pyta i wcale nie próbuje złagodzić ostrego brzmienia swego głosu.

– Spokojnie, *mausi*, spokojnie – głos Śjama pełnym wężem wężem wąż przez zapadający zmrok. – Przecież ci mówię, *na*? Chcę tylko powiedzieć, że moja mała Rehka weszła do was i zastała twoją Maję wymiotującą w kącie i trzymającą się za brzuch. A kiedy Rehka chciała pomóc, Maja naskoczyła na nią jak żmija i kazała jej się wynosić. Czy to tak się traktuje kogoś, kto mieszka obok ciebie w *basti*?

– Porozmawiam z Mają – obiecuje Bhima. – Ma od wielu dni grypę, biedaczka.

– Grypę, doprawdy? – Głos Śjama staje się jeszcze bardziej śliski. – Dziwna grypa, co trwa tak długo. Niektórzy w *basti* mówią, że Maja wymiotuje od miesiąca czy dwóch. No, ale przy tych muchach i szczurach, i brudnej wodzie, wszystko jest chyba możliwe.

Bhima powstrzymuje się, żeby nie skoczyć mu do oczu. Zamiast tego mówi spokojnym, wyważonym tonem:

– Przyślij do mnie Rehkę, Śjam. Dam jej trochę cukru.

Śjam natychmiast się rozpromienia. Zmiana jest tak szybka, jak u kobry w świątyni Mahalati, która błyska-

wicznie chowa kaptur, gdy tylko główny kapłan stawia przed nią srebrną miseczkę z mlekiem.

– Bhima *mausi*, wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć – uśmiecha się Śjam szeroko. – Kiedy znajdę pracę, zamierzam spłacić wszystkie długi. Dzieciak przyjdzie za kilka minut.

Bhima czeka, aż Rehka pójdzie sobie z połową filiżanki cukru, a potem zwraca się do Mai. Jej oczy wędrują po małym pomieszczeniu. Zauważa, że wnuczka nie przygotowała nawet tej tak bardzo oczekiwanej herbaty.

– Co dziś robiłaś? – pyta, a napięcie w jej głosie brzmi ostrzegawczo.

– Nic – odpowiada dziewczyna ostrożnie.

– Nic – powtarza Bhima w przestrzeń. – Wielkobrzuca księżniczka wyleguje się przez cały dzień i nic nie robi.

Twarz Mai jest równie bez wyrazu jak stół, choć w jej oczach zbierają się łzy. Ale to Bhimie nie wystarcza.

– Słyszałaś, co ten *badmaś* Śjam mówił mi o tobie? – syczy.

– Zostaw mnie, babciu – prosi Maja. – Nie czuję się dobrze.

Jej głos jest kruchy jak gliniane naczynie.

Bhima otwiera już usta, żeby odpowiedzieć, ale zamyka je bez słowa, bo dziewczyna rzeczywiście wygląda na chorą.

– No już – mówi szorstko. – Połóż się na kilka minut, a ja zrobię kolację.

W reakcji na zmianę w tonie głosu babki w oczach Mai pojawia się blask.

– Mogę pomóc, babciu – mówi. – Musisz być zmęczona.

Zachowuje się jak gorliwy psiak, dziwi się Bhima. Ostrożna, kiedy ją kopiesz, ale jak tylko przestajesz, znowu macha ogonem.

– Dobrze, pokrój dwie cebule – mówi. – I wstaw ryż. Ugotuję na obiad warzywa.

Kucnąwszy przy prymusie obok wnuczki, Bhima słyszy, jak Mai burczy w żołądku.

– Jadłaś coś dzisiaj? – pyta ostro.

– Tak. Nie. To znaczy próbowałam. – Maja ma niešťczęśliwą minę. – Miałam ochotę na jajko na twardo, ale w domu nie było jajek, a ja... nie miałam ochoty iść do sklepu. Więc spróbowałam zjeść trochę *ćapati*, ale mnie zemdliło.

Na wspomnienie omletu, który Sera *bai* usmażyła jej dzisiaj, Bhima czuje, jak jej serce skręca się ze wstydu.

– Ty głupia dziewczyno – utyskuje. – Robisz się leniwa. Nie chce ci się nawet iść na róg po jajka?

Nagle, bez żadnego powodu, Maja wybucha płaczem.

– Iść na róg? Czasami chciałabym stąd wyjść i iść, i iść, aż moje stopy zmienią się w skrzydła. Iść gdzieś, gdzie nikt mnie nie zna, gdzie nie będą mnie śledzić tysiące wścibskich oczu. Nie masz pojęcia, jak to jest tak siedzieć tu przez cały dzień przy zamkniętych drzwiach, słyszeć dźwięki dochodzące ze świata, słyszeć trzaskanie drzwiami, bawiące się dzieci, rozmawiające kobiety i zastanawiać się, czy plotkują o tobie. Czuję się jak więzień, ale wtedy pytam sama siebie, kto mnie tu więzi. Ja sa-



ma. Nie wiem, babciu, co jest czarniejsze, ten pokój bez światła czy zasłona wstydu, jaka nade mną wisi.

Łkania wnuczki uderzają w pierś Bhimy niczym pięści, choć równocześnie jest zadowolona. Niech się wypłacz. Niech żałuje tego, co zrobiła. Stawia przed szlochającą Mają talerz z jedzeniem, całkowicie lekceważąc jej łzy, które padają na ryż.

– Jedz – mówi. – Dziewczyna w twoim stanie musi jeść.

Po obiedzie Bhima sięga po puszkę z tytoniem i wkłada do ust prymkę. Żując ją powoli, przygląda się wnuczce.

– Posłuchaj – mówi. – Ludzie gadają. A ty nie możesz wiecznie ukrywać swej hańby w tej chacie. Niedługo twoje *śalwar-kamiz* nie ukryje już brzucha. Za dużo czasu minęło. Musimy szybko iść do doktora.

Ku jej wielkiemu zdumieniu, Maja nie protestuje.

– Dobrze – mówi. – Ale pod jednym warunkiem. Chcę, żeby to Sera *bai* poszła ze mną do szpitala, a nie ty.

Bhima jest zaskoczona, że tak bardzo zabolęło ją to odrzucenie. Żeby ukryć swój żal, mówi burkliwie:

– Sera *bai* ma *hazar* ważniejszych rzeczy do roboty niż chodzenie z taką bezwstydnicą na aborcję. Wstyd by mi było ją o to prosić. Poza tym to sprawa naszej rodziny. Dlaczego chcesz do niej mieszać tę biedną kobietę? Nie dość ci wyświadczyła uprzejmości?

Maja wygląda na zmęczoną.

– Po prostu ją poproś. Wiem, że nie odmówi. Błagam cię, babciu. – A potem, widząc upór na twarzy Bhimy, dodaje: – Wiesz doskonale, że lepiej się mną zajmą, jeśli

będzie ze mną ktoś taki jak ona. Chcę, żeby wszystko poszło dobrze.

Bhima czerwieni się. Przypomina sobie ten dzień, kiedy Gopal leżał beznadziejnie chory i zaniedbany w państwowym szpitalu. Sera i Feroz Dubasz weszli tam jak gwiazdy filmowe i sprawili, że dostał zaraz najlepszą opiekę. Maja ma rację. Przed bogatą, pewną siebie i wygadaną Serą *bai* wszystkie drzwi stoją otworem, jak za sprawą czarów. Bhima postanawia porozmawiać z nią nazajutrz z samego rana.

Leżąc w nocy na swym cienkim bawełnianym materacu, Bhima odtwarza w myślach rozmowę z Śjamem. Chwilowo zdołała pozbawić tego węża jadu, kupiła sobie jego milczenie za filizankę cukru. Ale na jak długo? Śjam nie jest najbystrzejszym z ludzi. Jeśli on zauważył poranne mdłości Mai, na pewno nie umknęły i sokolemu wzrokowi kobiet o poplamionych *pansupari* zębach i plotkarskich językach. Czy te mieszkanki slamsów milczą z szacunku dla niej, Bhimy? Jeśli tak, to jak długo utrzyma się ta cisza? Czy może po prostu ona dowie się jako ostatnia? Może plotki krążą już po osiedlu jak czarne latawce, a ona jest po prostu za głupia, żeby je usłyszeć? W końcu nie ma w tym *basti* prawdziwych przyjaciółek. Od czasu, kiedy opuściła *caul*, gdzie mieli z Gopalem dwuizbowe mieszkanie, i przeniosła się do tego piekła, swoim zachowaniem dawała do zrozumienia, że to nie jest jej świat. To jeden z powodów, dla których nie ma

ochoty brać udziału w ich głupich zebraniach z szychami z władz miasta. Nawet jeśli założą tu jeszcze pięć kranów z wodą, slamsy pozostaną slamsami. A ona przywykła do czegoś lepszego. Wie, że przez takie trzymanie się z boku naraża się na niechęć sąsiadów, ale niewiele ją to obchodzi. Nawet nie ze względu na siebie, lecz na Maję musi wierzyć, że są tu tylko chwilowo. Czasami, kiedy przekracza rynsztok albo kuca, żeby zrobić kupę, odganiając od twarzy muchy, trudno jej w to nie wątpić. Niemniej trwa w tej wierze, a przynajmniej trwała do dnia, kiedy wróciła do domu i zastała Maję przykucniętą obok kałuży wymiocin. Kiedy trzy dni później wymioty trwały nadal, zaciągnęła wnuczkę do kliniki doktora Premcanda, sądząc, że to ostry przypadek grypy żołądkowej albo zatrucie pokarmowe. No i w ten sposób dowiedziała się, że Maja jest w ciąży.

Myśli o slamsach sprawiają, że Bhima wraca pamięcią do swego mieszkania w ćaulu, utraconego królestwa, i czuje dawną, znajomą tęsknotę za tym, co jej odebrano.

Gopal. To zabawne, ale częściej myśli o mężu od chwili odkrycia ciąży Mai niż przez wszystkie wcześniejsze lata. Sądziła, że przywykła do samotności, że pogodziła się z istnieniem tego pozbawionego czucia miejsca w sercu, jakby skropionego eterem przez lekarza. Ale być może ból spowodowany zdradą Mai obudził na nowo ból dawnej zdrady. Być może właśnie teraz potrzebuje mężczyzny, który pomógłby jej przebrnąć przez mroczne wody, na które wprowadziła je obie bezmyślna wnuczka. A może czas wcale nie leczy ran? Może jest to po prostu

największe ze wszystkich kłamstw, może każda rana zamiast się goić, sięga coraz głębiej i głębiej w ciało, aż pewnego dnia odkrywasz, że cała struktura twoich kości – kąt osadzenia głowy, wypukłość bioder, ostra linia ramion – a także blask oczu, gładkość skóry, radość uśmiechu, zapadają się pod ciężarem smutków.

Gopal. Jeśli zamknie na chwilę oczy, nadal słyszy dźwięk rowerowego dzwonka, który rozległ się w dniu, gdy Gopal rozpoczął swoje dziwne, poważne zaloty. Miała wtedy dwadzieścia lat i całe życie rozpościerało się przed nią niczym zielony ogród.

Po raz pierwszy spotkała go poprzedniego dnia, na ślubie swojej najlepszej przyjaciółki Sudżaty. Teraz czekała na autobus numer pięć, który miał ją zabrać do domu Dinu Szrof, kobiety, u której wtedy pracowała. Oparła się o barierkę na przystanku i zamknęła oczy. Tak późno dotarli do domu po weselu Sudżaty, że spała zaledwie pięć godzin. Przysnęła na chwilę i obudził ją nagle dzwonek roweru.

– Obudź się, obudź się, nim potwory ze snu zapragną cię porwać – dobiegł ją nieznajomy głos.

Bhima otworzyła oczy, po czym natychmiast je zamknęła, kiedy zobaczyła przed sobą twarz Gopala. To był kuzyn Sudżaty, bezczelny idiota, który mrugał do niej i prosił ją wczoraj do tańca, jakby nie była dziewczyną z dobrej rodziny. Och, *Bhagwan*, niech zniknie, jak otworzę oczy, modliła się w duchu.

Ale jej modlitwa nie została wysłuchana. Kiedy uchyliła powieki, nadal uśmiechał się do niej, balansując na rowerze.

– *Namaste* – powiedział. – Czułem się w obowiązku cię obudzić. Jeszcze trochę pośpisz, moja piękna, a twoja uroda oślepi słońce.

Bhima jęknęła.

– Zachowaj, proszę, te *khata* żarty dla siebie – odparła.  
– Nie mam do nich nastroju.

– Nie masz nastroju do żartów? To bardzo smutne, moja Bhimo. Zatem moim obowiązkiem jest wprowadzić cię w ten nastrój.

Skąd znał jej imię? Nim zdążyła zapytać, mężczyzna stojący przed nią w kolejce do autobusu odwrócił się i zapytał:

– Czy ten zbir narzuca się panience?

Gopal zareagował natychmiast.

– *Oe*, pilnuj lepiej swojego nosa, *jar*. Wtrącasz się bez powodu w sprawy między narzeczonymi. To prywatna, rodzinna *mamla*, rozumiesz?

Mężczyzna skulił się pod surowym spojrzeniem Gopala.

– Dobra, przepraszam, chciałem tylko...

– Tere-fere, nic ci do tego – wykorzystał swą przewagę Gopal. – Kłopot z naszym Bombajem polega na tym, że za dużo ludzi pakuje swoje trzy grosze w cudze prywatne sprawy.

I mrugnął do Bhimy, kiedy mężczyzna stanął do nich znów tyłem.

Odwróciła głowę i ujrzała, że nadjeżdża czerwony autobus. To była piątka. Pozbędzie się tego utrapieńca już za niecałą minutę.

Tak wcześnie rano autobus był prawie pusty, choć za godzinę zrobi się do tego stopnia tłoczno, że ludzie zwiśać będą z otwartych drzwi i trudno będzie wcisnąć do środka choćby stopę. Jednak o tej porze mogła przebierać w miejscach siedzących i wybrała sobie takie przy oknie, na przodzie autobusu. Rozwiązała supeł na brzegu sari, żeby wyjąć monety na bilet.

W następnej chwili niemal podskoczyła do góry, gdy zobaczyła, że jakaś ręka łapie od zewnątrz za metalowy uchwyt przy oknie. Przez chwilę sądziła, że ktoś chce jej ukraść pieniądze, ale to był tylko Gopal na swoim rowerze. Pedałował z całych sił, żeby nadążyć za autobusem, jedną ręką trzymając kierownicę, a drugą zaciskając na ramie okna.

– Ty głupku – wysyczała do niego. – Chcesz się zabić?

W odpowiedzi zaśpiewał: *Mere sapna kirani kab aegitu!* – *Królowo mych snów, kiedy przybędziesz!* Miał silny, głęboki głos, a im dłużej pedałował przy autobusie, tym głośniej śpiewał.

Żeby zniechęcić go do tej szalonej jazdy, Bhima przeniosła się na miejsce przy przejściu. Ale na następnym przystanku wsiadło więcej ludzi i była zmuszona przesunąć się z powrotem. Kątem oka widziała, z jaką wprawą Gopal manewruje rowerem w szalonym bombajskim ruchu ulicznym, ani na moment nie puszczając ramy. Jeśli nawet obawiał się, że autobus zatrzyma się nagle, a on

spadnie z roweru, nie okazywał tego, pewnie i nonszalantcko trzymając się okna.

Gopal ciągle śpiewał to samo, dopóki nie odezwał się mężczyzna siedzący za Bhimą.

– *Are, jar*, nie znasz innych piosenek? Jak masz zamiar wyśpiewywać serenady tej damie, to powinieneś rozszerzyć swój repertuar.

Gopal spełnił jego życzenie i zaśpiewał nową piosenkę, tym razem pełną podwójnych znaczeń i aluzji. Do zabawy przyłączyło się kilku innych pasażerów, podrzucając mu kolejne tytuły. Bhima zacisnęła zęby. Ten Gopal jest niemożliwy! Szkoda, że nie ma ze sobą szczotki, której używa u Dinu *bai*. Za pomocą *dźharu* szybko by starła ten głupi uśmiech z jego twarzy!

Irytacja i zażenowanie sprawiły, że omal nie przepuściła swojego przystanku.

– Chwila! Chwila! – zawołała do konduktora. – Ja tu wysiadam!

Kiedy znalazła się na ulicy, poczekała, aż autobus odjedzie. Zamierzała kazać Gopalowi zaprzestać tej błazenady, ale ku jej rozczarowaniu okazało się, że pojechał dalej. Jakby wiedząc, że na niego patrzy, uniósł prawą rękę i pomachał. Tchórz, pomyślała. Wie, że dałabym mu popalić, więc uciekł.

Następnego dnia znów się pojawił, ale tym razem czekał na rowerze po przeciwnej stronie ulicy niż przystanek, za daleko, żeby mu mogła powiedzieć, co o nim myśli. Z całych sił powstrzymywała się od patrzenia na niego, a on za każdym razem, kiedy natrafiła na jego

wzrok, chwycił się dramatycznie za serce. Idiota, pomyślała. Mam nadzieję, że jak się następnym razem złapie za serce, dostanie zawału i spadnie z tego roweru. Natychmiast ogarnęła ją skrucha, że ma takie paskudne myśli.

Z ulgą przyjęła przyjazd autobusu. Zajęła zwykle miejsce i pięć sekund później znajoma dłoń znów zaciskała się na ramie okna obok niej. Tym razem nie podskoczyła ze strachu, ale poczuła lekki dreszcz zaskoczenia i irytacji na taką bezczelność. Naprawdę sądziła, że dziś da jej spokój. *Królowo moich snów, kiedy przybędziesz?* Znów ta znajoma melodia. I znów zręczne lawirowanie po zatłoczonych ulicach. Niektórzy pasażerowie, z których wielu codziennie jeździło tym samym autobusem, zaczęli chichotać.

– *Are, behendzi* – zawołał przez przejście jej wczorajszy niedoszły obrońca. – Dlaczego nie powiesz „tak” temu chłopcu i nie przestaniesz go dręczyć? Dla ciebie ryzykuje życie.

Bhima wbiła w niego nienawistny wzrok, więc wrócił do czytania gazety, mrucząc coś do siebie o podstępnej płci pięknej.

Gopal ciągnął to przedstawienie przez następne trzy tygodnie. Czasami czekał na nią po drugiej stronie ulicy, a potem pedałowal z całych sił przez cztery pasy ruchu, żeby dogonić jej autobus. Kiedy indziej witał ją dzwonkiem i krążył wokół przystanku, aż zaczynało jej się kręcić w głowie. Jedyna różnica pomiędzy pierwszym dniem tych zalotów a kolejnymi była taka, że nie próbo-



wał z nią rozmawiać. Natomiast bezczelny uśmiech, szalone sztuczki na rowerze, kiedy czekali na autobus, i radosne serenady później pozostały bez zmian. Jak również to, że odjeżdżał razem z autobusem, kiedy Bhima wysiadła kilka przecznic przed domem swej pani. Chciała z nim porozmawiać, zażądać, by jej wyjaśnił powód tego dziwnego zachowania, ale obecność innych ludzi zamykała jej usta.

Któregoś dnia, kiedy Bhima dotarła na przystanek, natychmiast zauważyła, że Gopala tam nie ma. Choć rozum kazał jej wówczas odetchnąć z ulgą, to ciałem targnęło uczucie rozczarowania i zawodu. Najwyraźniej czekający razem z nią współpasażerowie zareagowali podobnie.

– Nie ma dziś twojego zalotnika – stwierdził starszy pan w białej kurcie i *dhoti*. – Mam nadzieję, że nic mu się nie stało.

Kiedy Bhima wsiadła do autobusu, pogrążyła się w jakimś letargu. Bez rozrywki, jakiej dostarczał Gopal, pokonanie siedmiu przystanków, jakie dzieliło ją od domu Dinu *bai*, zajmie całą wieczność, pomyślała, zaskakując samą siebie. Popatrzyła na pustą, metalową ramę okna z uczuciem dziwnie przypominającym tęsknotę za tą brązową, porośniętą czarnymi włosami ręką, która ją zwykle ścisnęła. A kiedy autobus ruszył, obejrzała się do tyłu i zobaczyła, jak Gopal pedałuje z całych sił, żeby go dogonić. W następnej chwili jego ręka spoczęła triumfalnie na oknie.

– Witaj, królowo! – odezwał się znajomy głos. – Omal cię dziś nie przegapiłem, bo zasnęłam.

– No proszę, jest nasz młody bohater – wykrzyknął starszy pan i w autobusie rozległy się pojedyncze oklaski stałych pasażerów. – Jednak mu się udało!

Te oklaski zirytowały Bhimę. Idioci, pomyślała. Zachęcają go do wygłupów. Ale nie mogła stłumić lekkiego uczucia przyjemności, które rozgościło się w niej na widok Gopala.

A potem, po tych trzech tygodniach, Gopal przestał się pojawiać. Co rano Bhima szukała go wzrokiem na przystanku, obawiając się i zarazem wyczekując dzwonka jego roweru, widoku jego bezczelnej miny, z jaką patrzył na nią, wyśpiewując swój coraz szerszy repertuar piosenek. Codziennie wsiadała do autobusu i – choć nienawidziła się za to – odwracała się, wypatrując znajomego roweru. Kiedy widziała na ulicy chłopaka podobnego do Gopala, serce podskakiwało jej z radości, a gdy odzyskiwało rytm, łajała się w myślach za głupotę. Czasami, kiedy była pewna, że nikt na nią nie patrzy, dotykała metalowej ramy okna, udając przed sobą, że nadal czuje na niej ciepło dłoni Gopala.

Ale on się nie pojawiał. Odstraszyła go swoją kamienną postawą i sprawiła, że w końcu stracił zainteresowanie jej osobą. W wyobraźni widziała go w jakiejś innej części miasta, zalecającego się do innej dziewczyny za pomocą innych piosenek. Na tę myśl zaczęła kroić cebulę z taką zawziętością, że aż Dinu *bai* popatrzyła na nią ciekawie i zapytała, czy dobrze się czuje. Spojrzała w twarz swojej pani, a w oczach miała pełno łez.

– Wszystko w porządku, *bai* – powiedziała. – Te cebule są *garam-garam*, to wszystko. Oczy mi od nich łzawią.

Ale niepotrzebnie się tak martwiła, bo Sudźata i jej świeżo poślubiony mąż Suśil przyszli do niej w imieniu Gopala z propozycją małżeństwa. Choć Gopal był kuzynem Sudźaty, mówił głównie Suśil.

– Gopal nie ma w Bombaju bliskiej rodziny, która mogłaby to zrobić – wyjaśnił Prythwiradźowi, ojcu Bhimy. – Jego matka mieszka na wsi, a ojciec, niech Bóg mu pozwoli spoczywać w spokoju, nie żyje. Dlatego to ja przychodzę z propozycją, zastępując w tej roli starszego brata Gopala. Możemy ręczyć za jego charakter i za to, że potrafi ciężko pracować. Ma dobrą, stałą posadę w fabryce, dobrze zarabia. Waszej Bhimie niczego nie zabraknie, *dzi*. Och, i jeszcze jedno... Gopal prosił mnie, żebym specjalnie podkreślił, że ani nie oczekuje, ani nie pragnie żadnego posagu.

Prythwiradź starał się ukryć swoją radość.

– Poradzę się rodziny i odpowiem za kilka dni – oświadczył. – Ale zapewniam, że propozycja wychodząca od tak dobrej rodziny bardzo mnie cieszy. W końcu Sudźata dorastała na moich oczach. Modlę się, aby Bhima znalazła męża równie dobrego, jakim jesteś ty, Suśil.

Pobrali się miesiąc później. Uroczystość była skromna i pozostawała w jaskrawym kontraście z przepychem wcześniejszego o kilka miesięcy ślubu Sudźaty. Podczas ceremonii Gopal wyglądał na dokładnie tak samo przerażonego jak Bhima. Śladu nie zostało po mądrali, który uganiał się za nią tak uparcie. Ale kiedy po raz pierwszy

została sama ze swym świeżo poślubionym mężem, jak tylko uniósł z jej twarzy *pallu sari*, gdy usiedli na swym małżeńskim łóżu, dawny, pełen werwy Gopal powrócił. Patrząc z krzywym uśmiechem w oczy Bhimy, zaczął fałszywie pogwizdywać piosenkę, którą przedtem śpiewał. *Królowo moich snów, kiedy przybędziesz!* Zachęcony jej chichotem gwizdał coraz głośniej, aż wreszcie zaczął nucić. Zachichotała jeszcze bardziej, kiedy trącił nosem jej podbródek i połaskotał ją po brzuchu.

– Przestań, wariacie – wyszeptała bezradnie.

Gopal wskoczył na łóżko. Uniósł nad głowę obie ręce jak zwycięski bokser.

– Tak, jestem wariatem, szalonym panem tego domu – oświadczył, ścisząc głos, żeby nie usłyszeli ich krewni, z całą pewnością podsłuchujący pod drzwiami sypialni. – A ty też jesteś szalona, skoro wyszłaś za szaleńca. Moja Bhimo, będziemy się doskonale bawić do końca naszego życia. Tylko poczekaj, kobieto. Zamierzam traktować cię jak królową.

Rozmyślając o swej nocy poślubnej i złamanej przez Gopala obietnicy, Bhima wierci się niespokojnie na materacu. Wie, że powinna spróbować zasnąć, ale jej umysł gorączkuje się, przemierzając zatłoczone korytarze przeszłości. Obok niej Maja pochrapuje cicho i od czasu do czasu mruczy coś przez sen. Instynktownie Bhima reaguje na te dźwięki nowym uczuciem, które poznała, gdy dowiedziała się o ciąży Mai – połączeniem trudnej do znie-

sienia opiekuńczości i ostrej irytacji. Słuchając pochrapywań i mamrotania wnuczki, ma równocześnie ochotę udusić ją poduszką i wziąć w ramiona, żeby kołysać aż do świtu. Pragnie ocalić tę niewinność, która pozwala Mai spać jak dziecko. Chce zniszczyć tę niewinność, tak jak dziecko rosnące w brzuchu Mai zniszczyło jej spokój. Czasami przeraża ją to, jak łatwo te dwa uczucia zagościły razem w jej sercu. I to, jak zaczęła równocześnie kochać Maję i jej nienawidzić, jak w pojedynczą nić jej miłości wplótł się nagle strach. A najbardziej przeraża ją fakt, że zaczęła postrzegać krew ze swojej krwi i kość ze swych kości jako zdrajczynię.

Ale powinnaś już przywyknąć do zdrad, starucho, mówi do siebie w myślach. Ze wszystkich ludzi na świecie przede wszystkim ty. Dlaczego ta dziewczynina miałaby ci być winna więcej niż twój mąż? Przypomnij sobie tylko, co on ci zrobił. Ukradł ci życie, prawda? A ty mu wybaczyłaś, prawda? Nie, nie wybaczyłaś, ale pogodziłaś się z tym przecież. Więc dlaczego nie zrobisz tego samego w przypadku tej biednej głupiej dziewczyny?

Wysilając wzrok, żeby dostrzec w ciemnościach zarys postaci Mai, Bhima odpowiada sobie na to pytanie. Sprawa z Gopalem należy do przeszłości i jak stare ślubne sari można ją złożyć i wepchnąć w jakiś ciemny kąt. Ale Maja to teraźniejszość (kiedyś była również przyszłością, ale nie ma sensu teraz o tym myśleć). W jej macicy rośnie czerwona, pulsująca kropka, pełna życia i energii. Nieusankcjonowana przez kapłana, poczęta pod zasłoną hańby, niechciana na tym świecie, ta istotka rosnąca

w ciele Mai ma moc zniszczenia ich obu. Ale nim to uczyni, nim zdoła wykrzyzczyć światu swoje żale, nim zacznie wymachiwać małymi piąstkami, będą musiały ją zniszczyć.

Rozlega się pojedyncze krakanie wrony i Bhima jęczy. Zgaduje, że jest koło trzeciej w nocy. Za kilka godzin trzeba będzie wstać, a nie przespała jeszcze nawet godziny. Wkrótce zacznie świtać.

## 7

Jest sobota, a Bhima znowu się spóźnia. Pomimo ciąży Dinaz wstała dziś wcześnie, żeby pomóc Serze przygotować śniadanie. Dinaz wie doskonale, jak jej matka nienawidzi kroić cebuli i kolendry, a ponieważ oba składniki są niezbędne w ulubionej potrawie śniadaniowej Wirafa – *akuri*, czyli jajecznicy z dodatkiem chili, cebuli, czosnku i innych przypraw – bierze na siebie to niewdzięczne zadanie. Sera rzuca okiem na córkę i jak zwykle czuje podziw, na jak wspaniałą kobietę wyrosła Dinaz. Choćby z tego jednego powodu nie żałuje swego małżeństwa z Ferozem. To zabawne, myśli. Feroz i ja mieliśmy tyle wad, a tylko spójrzcie, co razem stworzyliśmy – jedną z najmiłszych osób, jakie znam. I uważałabym tak, nawet gdyby nie była moim dzieckiem. Kiedy zdarza się coś takiego, zaczynasz wierzyć w ewolucję albo w Boga, albo w cuda. Albo może w hart ludzkiego ducha.

Sera patrzy na zegar. Martwi ją, że spóźnienia stają się u Bhimy zwyczajem. Nie dopuszczę do tego, postanawia sobie w duchu. Wiem, że martwi się o Maję, ale w końcu

i tutaj ma obowiązki. Automatycznie w jej głowie odzywa się głos Feroza: „Traktujesz tę kobietę, jakby była członkiem rodziny. Mówię ci, służbę trzeba trzymać tam, gdzie jej miejsce. Jeszcze trochę, a któregoś dnia przyjdę do domu i zobaczę, jak jej usługujesz”.

Jakby czytając w myślach matki, Dinaz unosi rękę, zasłaniając tarczę zegara.

– Boże, mammo, przestań ciągle patrzeć na zegarek! Jest sobota. Nawet jeśli Bhima się dziś spóźnia, to co z tego? Ona też jest przecież człowiekiem.

Co do Bhimy, Dinaz instynktownie odgrywa przed Serą rolę, którą ona sama odgrywała kiedyś przed Ferozem. Zawsze bawi ją to spostrzeżenie.

– Gdyby to było tylko dziś, nic by się nie stało – mówi.  
– Ale za dużo już tych spóźnień. W końcu jaki ma sens trzymanie służącej, skoro i tak wszystko muszę robić sama?

Jeśli łądzi się, że zyska w ten sposób współczucie córki, to słowa Dinaz natychmiast wyprowadzają ją z błędu.

– Trochę pracy w domu jeszcze nikomu nie zaszkodziło – mówi mentorskim tonem. – To dobre na twój artretyzm, utrzymuje giętkość stawów. A poza tym Bhima jest od ciebie starsza i bardziej niż ty potrzebuje odpoczynku.

Wbrew sobie Sera musi się uśmiechnąć. Czasami zapomina, że nim Dinaz pod wpływem nalegań ojca przeniosła się na zarządzanie, studiowała zagadnienia opieki społecznej. I bez względu na to, jak wielkie sukcesy odnosi w nowym zawodzie, nadal jest w niej obecne dawne



poczucie fair play i pragnienie sprawiedliwości. A Bhima jest jej czułym punktem. Dinaz nigdy nie mogła znieść, gdy ktoś zwracał się nieuprzejmie do Bhimy, nawet jak była całkiem mała.

„Ta kobieta pierze mózg naszemu dziecku, i to pod naszym nosem – pomstował kiedyś Feroz do Sery. – A ty... ty jesteś zbyt zadufana w sobie i zbyt głupia, żeby to zauważyć. Dinaz jest miłsza dla Bhimy niż dla własnego ojca!”.

Sera ugryzła się w język i nie powiedziała tego, co było przecież oczywiste, że Dinaz widuje Bhimę dużo częściej niż Feroza i że służąca traktuje ją lepiej niż rodzony ojciec.

Do kuchni wchodzi Wiraf, nadal w pizamie. Nie pytając o nic, wyjmuje trzy komplety talerzy i ustawia je na stole. Obok kładzie sztucce.

– Bhima, Bhima, Bhima, ostatnio nie słyszę nic innego – narzeka. – Słowo honoru, to najczęściej wymieniane w tym domu imię.

– A co w tym złego? – pyta natychmiast Dinaz. – W końcu ta biedna kobieta ma kłopoty.

– Och, nie sądziłem, że dziś na śniadanie jest przewidziana moja głowa – mówi Wiraf. – Nie, nie ma nic złego w rozmowach o nieszczęściu Bhimy, kochanie. Martwi mnie raczej to, że za tymi niekończącymi się rozmowami nie idą czyny.

– A co pan proponuje zrobić, panie dyrektorze? – pyta Dinaz, przy czym jej uśmiech łagodzi ostrość słów.

Ale Wiraf nie odpowiada jej uśmiechem.

– To przecież oczywiste – mówi. – Maja musi usunąć ciążę, a im szybciej to zrobi, tym lepiej dla niej. Dziwię się, że tyle z tym zwlekamy.

Choć Sera wie, że jej zięć chce dobrze, że leży mu na sercu dobro Bhimy, coś jeży się jej w środku na to jego zaborcze „my” i ten swobodny sposób, w jaki mówi o aborcji. Iście po męsku, myśli. Jakby pozbycie się dziecka było równie łatwe jak zrobienie kupy. Czerwieni się, gdy dociera do niej ordynarność własnych myśli.

Wiraf mówi dalej w próżnię, którą stworzyły jego słowa.

– No cóż, ta cisza świadczy chyba, że zrobiłem się tu niezwykle popularny – mówi sarkastycznie. – Obawiam się jednak, że minął już czas bicia piany i bawienia się w delikatność, moje panie. Słuchajcie, musimy podejść do tej sprawy praktycznie. Maja wpadła i zaszła w ciążę. Jeśli będziemy siedzieć i nic nie robić, tylko przedłużymy jej cierpienia. Moim zdaniem aborcja jest tu jedynym praktycznym wyjściem z sytuacji.

– Masz rację – zgadza się Dinaz, przekładając *akuri* z patelni na talerze. – Wiem, że masz rację, kochany...  
– urywa nagle. – Mamo, czy powinnam zostawić trochę dla Bhimy?

– Ona w soboty pości – przypomina jej Sera. Widząc zdumione spojrzenie Wirafa, dodaje: – Dzień jakiegoś świętego czy coś podobnego.

– A skoro już znowu o niej mowa, to lepiej, żeby się zaraz zjawiała, jeśli mam ją podrzucić na targ – stwierdza Wiraf. – Spóźnię się przez nią na krykieta.

Dinaz i Sera uśmiechają się do siebie. Wiedzą, że Wiraf ma fioła na punkcie krykieta. Co sobotę zabiera biały kostium i jedzie na pole grać z przyjaciółmi, w tym samym zespole od pierwszego roku w college'u.

– Lepiej uprzedź kolegów z drużyny, że jak urodzi się dziecko, mecze krykieta przejdą do historii – mówi Dinaz.

Na twarzy Wirafa pojawia się taki niepokój, że obie wybuchają śmiechem.

– Mój Boże, spójrz tylko na jego minę – chichocze Dinaz. – Ktoś mógłby pomyśleć, że już nigdy w życiu nie będzie mu wolno jeść ani pić.

– Krykiet jest motorem egzystencji – stwierdza Wiraf dramatycznie. – To nie jest gra, tylko sposób życia. Najbardziej elegancki i wdzięczny sport na świecie. A poza tym kto wie? Jeśli to będzie syn, zacznę go ze sobą zabierać, jak tylko zacznie chodzić.

– Świetnie. I będziemy musiały sobie radzić z następnym pokoleniem fanatyków sportu. Nie, dzięki, *baba*. Mój syn będzie czytać i myśleć.

– Lepiej uważaj, co mówisz, kobieto. Nie pozwolę ci zmienić chłopaka w maminsynka – droczy się Wiraf.

– Mówię ci, gdyby technika na to pozwalała, kazałbym lekarzom wszczepić ci w brzuch taki chip, żeby mój syn urodził się z piłką do krykieta w ręku.

Dinaz obraca się do matki.

– Słyszysz, jaki wspaniały jest twój zięć? Mówi o wszczepianiu mi w brzuch chipów, jakbym była jakąś cholerną krową.

Sera wstaje od stołu z uśmiechem.

– Dzieci, dzieci – mówi. – Co za nonsensy wygadujecie.

– Poczekaj, posiedź jeszcze – prosi Dinaz. – Musimy dziś rozwiązać tę mamłę Bhimy. – Zwraca się do Wirafa: – Kochany, może, jak wrócisz z krykieta, zadzwonisz do Rusiego? Wiem, że nie jest ginekologiem, ale pewnie będzie nam mógł kogoś polecić.

– Bhima może ją umieścić w państwowym szpitalu – mówi odruchowo Sera.

– Daj spokój, mamó. Wiesz doskonale, jacy rzeźnicy tam pracują. A jak zobaczą młodą, niezamężną dziewczynę w ciąży... – Dinaz aż się wzdryga.

Wiraf krzywi się.

– Dobrze, już dobrze, zadzwonię do Rusiego, niech mi kogoś poleci. A czy teraz możemy porzucić ten ponury temat? Ta rozmowa psuje mi całe śniadanie.

Obie kobiety wymieniają szybkie spojrzenia.

– Wiraf ma rację – mówi Sera. – Śniadanie to nie jest czas na takie rozmowy – uśmiecha się uspokajająco do zięcia.

A Wiraf odpowiada uśmiechem i mówi:

– To strasznie przygnębiające rozmawiać w kółko o aborcji i takich sprawach, tym bardziej że Dinaz jest... że jesteśmy... w ciąży. Wiecie co? Za każdym razem, kiedy chcę się cieszyć z naszego szczęścia, czuję się zmuszony myśleć o nieszczęściu Mai.

Dinaz natychmiast odkłada widelec, żeby pocałować męża w policzek.

– Przepraszam, *dżanu* – mówi. – Ja też tak się czuję. Przepraszam, że jestem taka niewrażliwa.

Wiraf wyciąga prawą rękę do Dinaz i palcem wskazującym oplata palec jej lewej dłoni. Przez resztę śniadania trzymają się za ręce, a patrząc na nich, Sera czuje tak ostre i silne uczucie szczęścia, że aż sprawia to ból. Warto było, myśli. Wszystkie nieszczęścia przeżyte z Ferozem były tego warte, ponieważ doprowadziły mnie do tej chwili. Moja córka ma takie małżeństwo, jakiego ja nigdy nie miałam. I mnie to zawdzięcza. Mnie. Tylko mnie. Tej pokręconej, niedoskonałej, głupiej i starej matce.

Sera w swoim życiu słyszała miliony opowieści o tym, jak dręczona synowa zmienia się w złośliwą teściową, kiedy przychodzi jej kolej. Jakby to był taki niepisany rytuał, myśli. Ale blizny po ranach zadanych jej w okresie, kiedy mieszkała w domu Banu Dubasz, są zbyt świeże, aby mogła odegrać podobną rolę w życiu swoich dzieci. Od kiedy Wiraf i Dinaz wprowadzili się do niej po śmierci Feroza, robi co może, aby zapewnić im wszelką możliwą prywatność. Jakiego to dziwnego słowa w takim przypadku używają Amerykanie? Przestrzeń. O właśnie, daje im przestrzeń. I uważa na to, co mówi. Czasami nie jest łatwo, szczególnie kiedy Wiraf i Dinaz się kłócą. Wówczas potrzeba wtrącenia się, wypowiedzenia pojednawczych słów jest naprawdę wielka. Z jakichś powodów jest jej łatwo wybaczać Wirafowi, przechodzić do porządku nad jego dziwactwami. Natomiast pragnienie, by odciągnąć Dinaz na stronę i szepnąć jej, że się myli, przypomnieć, że tylko posłuszna żona włada swoim mężem, kazać jej

wracać do ich pokoju i pogodzić się z Wirafem, bywa tak silne, że niemal dosłownie musi usiąść na dłoniach i zaszyć sobie usta, żeby nie wtrącić się w ich sprawy. Obiecała to Dinaz, kiedy zaproponowali, że się do niej przeprowadzą.

– Postaram się, żebyście nie musieli się męczyć ze wścibską teściową.

– Och, mamó, to nas akurat nie martwi – odparła Dinaz.

Sera niecierpliwie pokręciła głową.

– Wiem o czym mówię, *dikra* – powiedziała. – Wy nie jesteście małżeństwem wystarczająco długo, wasze małżeństwo dopiero się rozwija. Nic dziwnego, że teraz wszystko wydaje ci się łatwe, ale mieszkanie z kimś jeszcze, szczególnie z osobą należącą do innego pokolenia, wcale takie nie jest. Uwierz mi. Wiem, o czym mówię.

Pierwsza kłótnia z Banu miała miejsce niecałe dwa tygodnie po powrocie Sery i Feroza z podróży poślubnej.

– Feroz, *dikra*, czy możesz przyjść tu na chwilę? – zawołała Banu ze swojej sypialni, kiedy mąż Sery wrócił wieczorem z pracy. A Feroz wykrzywił się do Sery, która wyszła na próg go przywitać, uścisnął jej ramię i poszedł do matki.

Kiedy pół godziny później wrócił do ich sypialni, wyglądał na zażenowanego.

– Hmm, no tak, mama chce, żebym porozmawiał z tobą o czymś ważnym – oświadczył.

– Chodzi o moje gotowanie? – zapytała Sera natychmiast. – Nie posoliłam dostatecznie kurczaka? Mój tata zawsze skarży się, że ja...

– Nie, nic z tych rzeczy. Widzisz, mama zauważyła, że nadszedł twój czas.

– Czas? – powtórzyła, nie rozumiejąc.

Westchnął.

– Menstruacja. Okres. Że masz okres. A, hmm, no, w naszym domu kobiety, które mają menstruację, jadają osobno. Nie dotykają jedzenia w kuchni, używają osobnych nakryć i tak dalej.

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

– Feroz, ty żartujesz, prawda?

Był wyraźnie rozzłoszczony.

– Wiem, że to musi brzmieć bardzo staroświecko dla takiej nowoczesnej dziewczyny jak ty, ale w tym domu panują takie zasady. – Ton jego głosu był dziwny. Sera miała wrażenie, że słyszy słowa Banu. – Zasady mojej matki. A ponieważ mieszkamy u niej, musimy ich przestrzegać. – Spojrzał na nią prosząco. – Sero, dla świętego spokoju postępuj po prostu tak, jak ona sobie życzy. W końcu to dla twojego dobra. Kiedy kobieta krwawi, jest osłabiona. Więc ten zwyczaj to tylko sposób oszczędzania sił.

Oto mój nowoczesny mąż, który wrócił z zagranicy – pomyślała ze zdumieniem. – Ważna persona w firmie Tata Group. Nagle przypomniała sobie, co mówili jej znajomi: „Pars w obecności swojej matki zmienia się w mysz”.

– Feroz, proszę cię, przecież to śmieszne – powiedziała. – Myślałam, że tylko te biedne, zacofane kobiety

w Udwadzie siedzą osobno podczas okresu. Jesteśmy w Bombaju, *dżanu*. A w końcu z czasem ludzie się zmieniają.

Znowu westchnął, tym razem głębiej.

– Słuchaj, Sero, jestem dziś taki zmęczony. Miałem w pracy trudny dzień. Kochanie, po prostu ustąp w tej sprawie mojej matce, dobrze? Jest już stara i wiesz, robi wszystko po swojemu. A to taki drobiazg, nie ma sensu się z nią o to spierać. Tak bym chciał, żebyśmy żyli jak jedna duża, szczęśliwa rodzina. Proszę, zgódź się.

To właśnie wizja tej dużej szczęśliwej rodziny sprawiła, że przestała się opierać i wyraziła zgodę.

– A z czym dokładnie się to wiąże? – spytała podejrzliwie.

– Och, Boże, nie mam pojęcia – stwierdził, przytulając ją na chwilę. – Ale zapewne chodzi o to, że masz jadać w naszym pokoju i takie rzeczy. Dziękuję ci, Sero, że nie upokorzyłaś mnie przed moją własną rodziną.

Dziwnie się czuła, kiedy podano jej kolację do pokoju, ale zmusiła się do przełknięcia urazy, która narastała w niej na odgłos rozmów dobiegających z jadalni. Włączyła w sypialni radio, żeby je zagłuszyć, i bez apetytu zjadła posiłek. Feroz wrócił wkrótce do pokoju i wyszeptał, że bardzo mu przykro i że bardzo mu jej brakowało przy stole. Tej nocy trzymał ją w ramionach aż do świtu. Serę zdumiewało, jak dobrze ich ciała zdążyły się już poznać. Odkrywanie ciała Feroza pozwoliło jej lepiej zrozumieć własne – jego pragnienia i potrzeby, drzenie jego mięśni i przenikający nerwy prąd, jego puste miejsca i słodkie punkty.



- Nie idź dziś do pracy – szepnęła do niego rano.
- Spędźmy ten dzień razem, całkiem sami.

Roześmiał się i niechętnie wyplątał z jej objęć.

– Boże, bardzo bym chciał. Ale wziąłem już urlop na miesiąc miodowy, pamiętasz? A dziś po południu mam ważną prezentację.

Wyszła na balkon, żeby pomachać mu na pożegnanie, świadoma faktu, że Banu trzyma się jak najdalej od niej, również machając Ferozowi. Nadal pełna urazy po wczorajszej rozmowie została na balkonie i po odjeździe męża, choć Banu wróciła do środka. Słyszała cienkie nawoływania sprzedawcy bananów wlokącego za sobą drewniany wózek. Widziała dwóch nastolatków puszczających latawce z tarasu domu po drugiej stronie ulicy. Stała tak i zastanawiała się, czy porozmawiać z Banu o tym, co powiedział jej wczoraj Feroz, czy to coś da, jeśli spróbuje namówić teściową do zmiany zdania. Wiedziała, że wiele starych parsyjek miało podobne przesady na temat miesięczki, ale dotąd żadna z nich nie miała wpływu na jej życie. Była córką naukowca i upokarzała ją konieczność ulegania takim prymitywnym zabobonom. Nie tak mnie wychowano, mamó Banu, chciała powiedzieć teściowej. A jeśli taki był warunek mojego małżeństwa, powinnaś mi o tym powiedzieć, nim weszłam do twego domu.

Słońce prażyło jej twarz i zaczęła się pocić. Słyszała, jak Freddy Dubasz puszcza płyty na gramofonie, a Polly skrzeczy przy wysokich tonach. Głośne burczenie w brzuchu przypomniało jej, że jest głodna. Zastanawiała się, czy powinna upomnieć się o śniadanie, czy wrócić do pokoju

i czekać, żeby ją nakarmiono, jak więźnia w celi. Poczucie upokorzenia sprawiło, że zaczęła się pocić jeszcze bardziej, postanowiła więc wrócić do sypialni.

Banu siedziała na kanapie w salonie, głowę zasłoniła białą *mathubanu*, a w ręku trzymała modlitewnik.

– *Kem na mazda* – modliła się, kiedy Sera mijiała ją, przechodząc przez pokój.

W następnej chwili rozległ się ogłuszający wrzask.

– Wynocha! Wynocha! – krzyczała Banu. – *Aćhut!* Nieczysta dziewczyno, sprofanowałaś cały pokój podczas mojej modlitwy! Przez twoją nieczystą obecność wszystkie moje modły na nic! Rodzice niczego cię nie nauczyli, ty brudna dziewucho?

Oniemiała Sera zagapiła się na Banu. Przez dłuższą chwilę nie pojmowała, że w tak histeryczny sposób teściowa zwraca się do niej. Ta wzburzona kobieta na kanapie zupełnie nie przypominała nieśmiałej i przyochlebnej matki Feroza, która zachęcała ją, by wyszła za mąż za jej syna, i która powitała ją w swoim domu zaledwie kilka tygodni temu.

– Ja... ja... – wyjąkała.

Do pokoju wbiegł Freddy Dubasz.

– Co się stało? Czy ktoś upadł?

– Och, Freddy, dzięki Bogu, że jesteś! – wykrzyknęła Banu dramatycznym tonem. – Pomóż mi, kochany, pomóż mi.

Freddy był wyraźnie zaniepokojony.

– Banu, powiedz, co się stało? Czy coś z twoim sercem?

– Nie, nic z tych rzeczy. Tylko trzeba będzie teraz oczyścić cały dom. Sera przeszła przez pokój, kiedy się modliłam, a, rozumiesz, ma właśnie okres. I mimo to nie okazała żadnych względów i przerwała mi modły.

Sera zaczerwieniła się, ale nim się zdążyła odezwać, zrobił to Freddy, podnosząc głos.

– Ty i te twoje zabobonne *whemy* i *dhakhary*! Ty wariatko! Napadasz na to biedne dziecko i straszysz je bez powodu – robił się coraz bardziej zły. – A co najgorsze, przerwałaś mi rozkoszowanie się muzyką, nową płytą Mozarta, którą właśnie kupiłem. Twoje histeryczne wrzaski sprawiły, że przepuściłem najlepszy fragment. – Rzucił Serze współczujące spojrzenie, po czym opuścił pokój.

Oczy Banu zwięziły się niebezpiecznie. Popatrzyła na Serę tak, że tej zamarło serce w piersiach.

– Widzisz, co narobiłaś? Zdenerwowałaś Freddy'ego – powiedziała cicho, żeby nie było jej słychać w drugim pokoju. – Czy po to weszłaś do mojego domu? Żeby skłócić mnie z mężem?

Sera czuła oszołomienie, jakby wypila cztery piwa jedno po drugim. Zrobiła krok w stronę Banu i wyciągnęła rękę, żeby dotknąć jej dłoni.

– Mamo Banu, nie wiem, co się stało...

– Dotknęła mnie! – wrzasnęła Banu. – Specjalnie, celowo dotknęła mnie nieczystą ręką! O Boże, co za *dakan* weszła do mego domu, żeby przynieść mi nieszczęście na starość!

Tym razem do salonu weszła Gulab, służąca Dubaszów. Rzuciła jedno spojrzenie na rozgrywającą się scenę i wypchnęła Serę z pokoju.

– Dziecino, idź do siebie na chwilę – rzekła stanowczym tonem. – Idź, ja uspokoję mamę.

Wróciwszy do sypialni, Sera padła na łóżko. Banu nie zdołałaby jej zranić bardziej, nawet gdyby ją uderzyła. Jakaś część jej umysłu utrzymywała, że cała ta scena była wyszukany żartem, okrutną, ale w istocie nieszkodliwą inicjacją zgotowaną nowicjuszcze w rodzinie, obmyśloną przez Feroza. Że za moment Freddy i Banu wejdą do jej pokoju, uśmiechając się szeroko, i wyznają rolę, jaką odegrali w niemądrym żarcie jej męża. Ale równocześnie przypomniało jej się, co usłyszała od swojej matki pewnego razu, kiedy była jeszcze tylko narzeczoną Feroza.

– Spotkałam dziś pannę Amy Smith – powiedziała Džehru Sethna, lekko marszcząc brwi. – Pamiętasz ją, *na*? Uczyła cię w szóstej klasie. Kilka lat temu mieszkała w tym samym domu co rodzina Feroza. Przekazałam jej dobre wieści o tobie, a ona bardzo się ucieszyła, że wreszcie wychodzisz za mąż. Ale zaniepokoiły mnie pewne jej słowa, *beta*. Że Banu Dubasz jest trochę dziwna. Mam wrażenie, że panna Smith nie bardzo ją lubi.

Sera odsunęła od siebie przestrożę zawartą w słowach matki tak niefrasobliwie, jak się strząsa z policzka rzęsę.

– Mamo, wszyscy parsowie są dziwni i ekscentryczni – roześmiała się. – To nic nowego.

Ale matka nie wydawała się przekonana.

– Może powinniśmy dyskretnie ją podpytać? Wiesz, że panna Smith bardzo cię lubi. Nie powiedziała by tego, gdyby nie miała powodów.

– Mamo, proszę. Nie stawiaj mnie w takiej sytuacji. W końcu wychodzę za mąż za Feroza, a nie za jego matkę. A mama Banu jest dla mnie taka miła. Parę dni temu powiedziała mi, że od chwili, gdy mnie ujrzała, była pewna, że jestem stworzona dla Feroza.

Dźehru Sethna uśmiechnęła się.

– Wkrótce się przekonasz, *dikra*, że nie wychodzi się za mąż za jednego człowieka, tylko za całą rodzinę.

Słowa matki wróciły do Sery z impetem rozpędzonej lokomotywy, kiedy siedziała w sypialni, do głębi wstrząśnięta niedawną sceną. Błagam, niech Feroz wróci dziś wcześniej z pracy, modliła się w myślach. Błagam, niech poślubienie go nie okaże się błędem.

Godzinę później do drzwi jej pokoju zapukał Freddy Dubasz i wszedł z talerzem jajeczniczy.

– Przepraszam, kochana, że śniadanie jest dziś tak późno – powiedział. Kiedy uniosła zapłakane oczy, odwrócił wzrok. – I za to... za to, co się tam wydarzyło. A ta sprawa z okresem... Doprawdy nie wiem, co powiedzieć. Moja matka była taka sama. Zmieniła życie Banu w piekło. I pomyśleć, że ona teraz zachowuje się tak samo. Najlepiej będzie, jeśli przez jakiś czas będziesz się trzymała od niej z dala, *dikra*.

Kiwnęła głową. Resztę dnia spędziła w swoim pokoju, czytając powieść i chodząc w kółko, a czas mijał bardzo powoli. W pewnej chwili zauważyła swoje odbicie w lustrze i przeraził ją desperacki, zaszczuty jak u zwierzęcia, wyraz jej oczu. Kilka miesięcy temu miała doskonałą pracę, żyło mi się dobrze, mogłam wszędzie wchodzić i wychodzić, pomyślała. Dziś boję się wyjść z pokoju,

a wszystko przez idiotyczne wierzenia przesądnej starej kobiety. Zamrugła szybko, jakby w ten sposób mogła zmienić tę dziwną rzeczywistość, w której została nagle uwięziona.

Jej najlepsza przyjaciółka, Aban, pospierała się z nią, kiedy zapowiedziała, że rzuca pracę w Bombay House. „Nie, *jar*, w tych czasach i w twoim wieku kobieta powinna być niezależna” – radziła.

Wówczas, upojona zapewnieniami Feroza, że bez trudu utrzyma żonę, przypisała słowa Aban zwykłej zazdrości. Ale teraz zrozumiała, że przyjaciółka miała rację. Dziś brakowało jej tej prostej rutyny wybierania stroju do pracy, tego wspaniałego uczucia, że porywa ją fala urzędników zalewająca poranne pociągi, poczucia koleżeństwa wynikającego z dzielenia się żartami i plotkami krążącymi po biurze jak nieoficjalne notatki, satysfakcji z pochwał pana Madana. Nigdy wcześniej nie doświadczyła takiego ciężkiego, przygnębiającego uczucia rozgoryczenia, jakie ją ogarniało, kiedy siedziała w sypialni i czekała, aż Feroz wróci do domu.

Tego wieczoru to Banu otworzyła Ferozowi drzwi.

– Mamo, co się stało? Gdzie jest Sera? – dobiegło ją jego pytanie.

Jego matka westchnęła. Potem, na cały głos, odparła:

– Nie pytaj. Po prostu nie pytaj. Ale jeśli chciałeś zabić swą starą matkę, powinieneś w dniu swego ślubu zamknąć mnie w Wieży Milczenia. Wtedy nie musiałabym umierać tak powoli i w cierpieniach. Rozdziobanie przez sępy jest lepsze niż to.

Sera spodziewała się, że Feroz wyśmiejże to melodramatyczne zachowanie matki. Że usadzi ją kilkoma celnymi słowami, tak jak ustawiał swoich podwładnych w pracy. Albo przynajmniej przyjdzie do sypialni, weźmie swoją żonę w ramiona i zabierze z tego domu na oczach zaskoczonej Banu.

– Mamo, chodźmy do ciebie i porozmawiajmy – zaproponował Feroz. – Wyjaśnisz mi, co cię dręczy.

Kiedy godzinę później wszedł do sypialni, jego twarz przypominała maskę.

– Cześć – powiedział. – Co dziś robiłaś?

Spojrzała na niego z niedowierzaniem. Co dziś robiłam? Napisałam nowy rozdział *Ramajany*. Skomponowałam symfonię, jedząc drugie śniadanie. Wynalazłam maszynę, która pozwala wystrzelić teściowe prosto na księżyc – chciała powiedzieć.

– Nic – odparła.

Uśmiechnął się blado.

– Mama mówi, że było tu dziś gorąco. To moja wina. Zapomniałem ostrzec cię, żebyś się do niej nie zbliżała, kiedy się modli.

Ta fałszywa pokora Feroza wyostrzyła jej język.

– No proszę, proszę. Nie wolno mi przebywać w salonie, kiedy twoja matka się modli. Nie wolno mi przychodzić do jadalni na posiłki. Ani do kuchni, żeby coś ugotować. Czyli, reasumując, podczas okresu mam siedzieć uwięziona w tym pokoju?

– Sera, nie ma sensu robić dramatu z takiego...

Wydała z siebie dźwięk, coś pomiędzy kaszlem a czkawką.

– Ja robię dramat? Ja?! Mój drogi, twoja matka na pewno dostałaby Oscara za dzisiejsze poranne przedstawienie.

– Mów ciszej, kobieto.

– Zabierz mnie stąd.

– Co?

– Zabierz mnie na przejażdżkę... na plażę Ćaupati, gdziekolwiek. Chodźmy zjeść jakiś *bhel*. Muszę się stąd wyrwać, pobyć trochę na powietrzu.

– Sera, bądź rozsądna. Mama przygotowała dla nas obiad. Jak sądzisz, jak się poczuje, jeśli...

– Kiedyś ciągle mnie zabierałaś na *bhel*. A twoja matka wtedy też gotowała.

– To co innego.

– Dlaczego? Co w tym innego?

Patrzył na nią bez słowa, a ona dostrzegła odpowiedź w jego oczach. Wtedy zabiegał o jej względy, o to, by go wybrała, a teraz, kiedy ją zdobył, już nie musi robić na niej wrażenia. Odwróciła głowę, obawiając się, że dostrzeże w jej oczach rozczarowanie. Bo nie rozczarowało ją jego postępowanie, ale on sam, jego banalność, to, jaki okazał się pospolity.

Ujął dłonią jej podbródek i obrócił ku sobie jej twarz.

– Spójrz na mnie – poprosił. A potem, natarczywie: – Sera, nie bądź taka. Powiedziałem przecież, że mi przykro. Pomyśl, proszę, w jakim jestem położeniu. Nie chcę, żeby mama sądziła, iż odwróciłem się od niej dlatego, że się ożeniłem. Powiem ci coś. W piątek wrócę z pracy trochę wcześniej i wyjdziemy gdzieś, tylko we dwoje. A teraz proszę, spróbuj nad sobą zapanować.



Cztery dni później Sera, wzięwszy prysznic, przyłączyła się do Banu w kuchni.

– W porządku, mamó – powiedziała, zmuszając się do zachowania pogodnego tonu. – Teraz jestem już czysta. Pozwól, że to ja dziś przygotuję lunch.

Banu spojrzała na nią i cofnęła się o krok.

– Umyłaś włosy? – spytała zdławionym głosem.

Sera patrzyła na nią, nic nie rozumiejąc.

– Włosy? Nie, mam zamiar umyć je jutro, więc...

– Więc nadal jesteś nieczysta! Nie oczyścisz się, póki nie wymyjesz się od stóp do głów. I jeszcze w tym stanie weszłaś do mojej czystej kuchni!

Sera zaczęła się śmiać. Śmiała się tak, że po policzkach popłynęły jej łzy. Słyszała te wydobywające się z jej własnych ust dźwięki, ale sama ich nie potrafiła rozpoznać. Czy było to łkanie, czy śmiech? Kątem oka zobaczyła, że Gulab, której ręce były białe od mąki, patrzy na nią ze zgrozą. Ten widok sprawił, że zaczęła śmiać się głośniej. Ona sądzi, że zwariowałam, pomyślała. O mój Boże, ja naprawdę wariuję! Z jakichś powodów ta myśl jeszcze bardziej nasiliła jej śmiech.

– Bezwstydnica! – Dłoń Banu wystrzeliła w górę i uderzyła ją mocno w policzek. – Śmieje się ze swojej starej teściowej! W jakim ty domu się wychowałaś, że zupełnie nie masz wstydu?

Policzek dał oczekiwany efekt. Hysteryczny śmiech Sery zmienił się w żółć.

– Uderzyłaś mnie – powiedziała wstrząśnięta, pocierając policzek wskazującym palcem. – Naprawdę mnie uderzyłaś!

Niedowierzenie sprawiło, że mówiła głośniej, niż zamierzała.

– Kłamiesz – oświadczyła natychmiast Banu. – Tylko tobą potrząsnęłam, żebyś przestała histeryzować. – Odwróciła się do służącej. – Gulab, jesteś moim świadkiem. Czy ja tknęłam tę dziewczynę?

Gulab przesunęła wzrokiem od jednej do drugiej, a potem pokręciła głową.

– Nie patrzyłam, *baidzi* – powiedziała. – Byłam zajęta robieniem *ćapati*.

– Widzisz? – powiedziała Banu z triumfem. – Nawet Gulab mówi, że jestem niewinna. Ty zła dziewucho, oskarżać własną teściową o to, że cię bije! Tylko ludzie ze slamsów tak się zachowują.

Sera cofnęła się gwałtownie, obawiając się tego, co dostrzegła w oczach starszej kobiety. Oczy Banu stały się wielkie i błyszczące, pełne takiego szaleństwa, że krew w żyłach Sery zrobiła się lodowata. Zadowolony wyraz twarzy teściowej uświadomił młodszej z kobiet, że niezależnie od tego, jak się zachowa, Banu wygra. Opór nie miał sensu. Mimo że na palącym policzku Sery odbite były palce dłoni Banu, przekonywała synową, że to, co czuje, to urojony ból, wytwór jej wyobraźni. Sera miała wrażenie, że zмага się z czymś bezlitośnie podstępny, że Banu atakuje równocześnie jej ciało i jej umysł. A więc to tak wygląda zło, pomyślała. Przedtem sądziła, że zło objawia się na wielką skalę – w postaci wojen, obozów koncentracyjnych, komór gazowych, aneksji krajów. Teraz uświadomiła sobie, że zło ma również zwyk-

łą, domową twarz, a sama jego banalność chroni je przed obnażeniem. Szybkie spojrzenie na obojętne oblicze Gulab powiedziało jej, że służąca już od dawna wie to, co ona dopiero zaczyna sobie uświadamiać.

– Przepraszam, mamó – wyjąkała. – Ja... pójdę do swojego pokoju.

Kiedy Gulab przyniosła jej tego dnia lunch, nawet nie spojrzała na jedzenie.

– Jedz, dziecino – prosiła Gulab, gładząc ją po plecach. – Sama siebie krzywdzisz, postępując w ten sposób. W rodzinie trzeba się spodziewać kłótni.

Sera chciała opowiedzieć Gulab o tym, jak delikatni i kulturalni byli jej rodzice. Żadne z nich nigdy mnie nie uderzyło, chciała oświadczyć. I nigdy nie musiałam siedzieć zamknięta we własnym domu tak jak teraz. Ale duma nie pozwoliła jej zwierzać się służącej.

– Nic mi nie jest – odparła. – Po prostu nie jestem głodna.

O czwartej po południu Banu oznajmiła, że idzie do Świątyni Ognia.

– Dziś może mnie nie być dłużej, kochany – zawołała do Freddy'ego od drzwi. – Muszę porozmawiać z Dasturem Homdzi o poświęceniu kuchni, ponieważ została zbezczeszczona przez nieczyste włosy.

Kilka minut później rozległo się pukanie do pokoju Sery.

– Czy mogę wejść? – spytał Freddy. Stał w progu, z Polym na ramieniu, przyglądając się jej potarganym włosom i zaczerwienionym oczom. – Daj spokój – powiedział wreszcie. – Chodź do salonu, posłuchamy muzyki.

Jego błagalna mina nie pozwoliła Serze odmówić.

– Dobrze – odparła. – Tylko się trochę odświeżę.

Kiedy weszła do salonu, stereo było już włączone.

– *Sonata Księżycowa* – wyjaśnił Freddy, podnosząc na nią wzrok. – Pomyślałem, że najodpowiedniejsze będzie coś, co jest melancholijne i piękne. Możemy w wyobraźni opuścić ten pokój i udawać, że jesteśmy w miejscu, gdzie na powierzchni wody tańczy światło księżyca.

Sera uśmiechnęła się blado i usiadła obok niego na kanapie. Po kilku minutach poczuła, jak muzyka przenika ją całą i jak ciało się odpręża. Zamknęła oczy, aby zatracić się w pomarańczowym, ciemnym świetle, w który nie ingerowało nic oprócz świętego brzmienia fortepianu.

– Kiedy byłam młoda, uważałam, że najwspanialszym instrumentem jest fortepian – powiedziała, tak modulując głos, by nie dominował nad muzyką. Nadal miała zamknięte oczy, ale poczuła, że Freddy poprawia się na swoim miejscu. – Ale teraz – ciągnęła – teraz wolę głębokie tony skrzypiec. W jakiś sposób przypominają życie – są smutne, słodkie i zagubione. Samotne. Zawsze sobie myślę, że gdyby serce mogło śpiewać, brzmiałoby jak skrzypce. Uważasz, że to głupie?

Freddy wydał zdławiony dźwięk, który kazał jej natychmiast otworzyć oczy. Odwróciła lekko głowę i z zaskoczeniem zobaczyła, że starszy pan płacze.

– Tatusiu Freddy, co się stało? – wykrzyknęła. – Czy powiedziałam coś...

Zwrócił do niej twarz, a ona po raz pierwszy zauważyła, jak obwisła jest skóra pod jego trzęsącym się podbród-

kiem i że na jego oczach pojawia się już ta cieniutka starcza błona. Przeraziła się, widząc, że złożył ręce w błagalnym geście. Jej wzrok przykuły zmarszczki i plamy na jego dłoniach w kolorze karmelu.

– Wybacz mi – powiedział. Po policzkach płynęły mu łzy. – Wybacz mi, moja droga, że nie powiedziałem ci tego wcześniej.

Patrzyła na niego, nie rozumiejąc.

– Nie, tatusiu, wszystko w porządku – odparła. – Ja tylko zapytałam cię o twój ulubiony instrument...

– Mówię o niej – przerwał Serze szorstko, wskazując głową pokój Banu. – Kiedy planowałeś wyjść za Feroza, kiedy przyszedłeś tu po raz pierwszy, powinienem był ci powiedzieć... o jej nastrojach. O tym, jaka czasami potrafi być podła. I o Ferozie też. Ale co zrobić, *dikra*? Polubiłem cię od chwili, gdy cię poznałem. Pamiętasz, jak pierwszy raz weszłaś do tego nieszczęsnego domu? Jak rozmawialiśmy o muzyce klasycznej i bawiłaś się z Polym? Od razu chciałem cię mieć za córkę. Tak bardzo chciałem, żeby zjawił się tu ktoś nowy. Ktoś podobny do mnie. Ktoś taki jak ty, z dobrej rodziny. Twój ojciec, miłośnik muzyki, jest taki kulturalny i inteligentny. *Bas*, postanowiłem milczeć. Łudziłem się, że jak tu zamieszkaż, jej się poprawi. Ale to niemożliwe, widzę to teraz. Gulab mi powiedziała, co zaszło dziś rano. Wybacz mi, *dikra*, mój grzech.

Z wiru jego słów Sera wyłowiła tylko jedno.

– A Feroz? – spytała. – Powiedziałaś, że powinieneś mnie ostrzec przed Ferozem?

Freddy westchnął.

– Och, nic takiego. Widzisz, kochana, zasadniczo to dobry człowiek. Ale czasami ma złe nastroje. Tak jak jego matka. Albo może bardziej przypomina moją matkę, nie wiem. Moja matka była straszna, niech Bóg błogosławi jej duszę. Widzisz, ona zmieniła życie Banu w piekło. W dzieciństwie przezywałem ją za plecami panią Chili.

– A... powiedziałaś, że Feroz jest taki jak ona?

Freddy popatrzył na nią uważnie smutnymi i pełnymi współczucia oczami.

– Feroz ma humory. Jeśli Bóg da, nigdy ich nie poznasz. Kiedy był chłopcem, godzinami rozmawiałem z nim o tym, że powinien panować nad swym gniewem. Ale co zrobić, *beta*? Krew to krew. Jeśli masz coś we krwi, bardzo trudno się tego pozbyć, prawda? Myślałem, że się czegoś nauczył, kiedy stracił Gulnaz. Ale on jest taki jak jego matka. Najpierw mówi, potem myśli.

– Kto to jest Gulnaz? – spytała Sera, równocześnie chcąc i nie chcąc wiedzieć.

Wzrok Freddy'ego przez chwilę błędził po pokoju, nim znów spoczął na twarzy Sery. Nagle wyciągnął rękę i pogładził ją po włosach.

– Nie bądź taka smutna, kochana – wymruczał.  
– Mam wrażenie, że moje słowa postarzają cię o piętnaście lat. – Westchnął głęboko i znów zaczął mówić. – Gulnaz była jego dziewczyną. Zaręczyli się i tak dalej. Jej rodzice pochodzili z Dżamśedpuru, mili, prości ludzie. Do dziś nie wiem dokładnie, co zaszło. Ale pewnej nie-

dzieli, kiedy jedliśmy obiad, niespodziewanie zjawiła się u nas. Stała przede mną i Banu, zdjęła z palca pierścionek zaręczynowy i rzuciła go na stół. Zrobiła to z taką siłą, że odbił się od blatu i wpadł w *dhansak* Feroza. Powiedziała, że dłużej nie zamierza znosić jego humorów i że słyszała dość opowieści o Banu, żeby nie chcieć wejść do tej rodziny. Banu natychmiast ją zapytała, co słyszała, ale Feroz przerwał matce i powiedział Gulnaz, żeby przestała obrażać jego rodzinę i wynosiła się z jego domu. *Bas*, i to wszystko. Czy jeszcze kiedyś się z nią zobaczył, nie wiem.

Płyta skończyła się kilka minut temu i Freddy wstał, żeby ją zmienić. Wstrząśnięta Sera siedziała w milczeniu, patrząc, jak wyciąga kolejną.

– Może to? – zapytał. – Nowojorscy Filharmonicy pod batutą naszego własnego Zubina Mehty.

Bezmyślnie kiwnęła głową, pełną zagmatwanych i sprzecznych myśli. Feroz z inną kobietą. Z kimś, na kim musiało mu aż tak zależeć, że chciał się żenić. Z kimś, komu dał pierścionek zaręczynowy. A więc to było kłamstwo, że nigdy żadna kobieta nie podziałała na niego tak jak Sera? I to, że nigdy nie zaznał miłości, póki ona nie zjawiła się w jego życiu? Co zatem miało znaczyć to nieustępliwe, zażarte uganianie się za nią? Czy był to tylko ostatni, desperacki wysiłek mężczyzny w średnim wieku, który nie chciał spędzić samotnie reszty życia? Czy jego uwagę zwróciłaby każda dostatecznie ładna parsyjka? Czy może wybrał ją dlatego, że miała dwadzieścia osiem lat i zaczęła już emanować desperacją, że nikt jej nie chce?

Czy wyczuł w niej coś, jakąś podatność, jakiś defekt, jakąś słabość, które mógł wykorzystać? Czy celowo zamykała oczy na jego wady i pozwoliła, by jej pochlebiał swym szalonym pożądaniem?

Odezwał się Freddy, jakby czytając w jej skłębionych myślach.

– Jedno wiem, Sero. Mój Feroz cię kocha. Te spojrzenia, które rzuca ci przy obiedzie, to, jak prostuje się z dumą, kiedy wchodzisz do pokoju... tylko ojciec potrafi dostrzec takie rzeczy. Nie obrażając Gulnaz, nigdy tak przy niej nie wyglądał.

Uśmiechnęła się z wdzięcznością, ale jej oczy pozostały zamglone z wątpieniem.

– Dziękuję, tatusiu Freddy. Feroz jest dobry... – Słowa uwięzły jej w gardle. – Feroz jest teraz moim życiem! – wykrzyknęła, a jej głos łamał się od napięcia i rozpacz.

Tego wieczoru Banu wróciła do domu o wpół do siódmej, przynosząc w haftowanej chusteczce popiół ze Świątyni Ognia. Freddy i Sera nadal siedzieli na kanapie, zasłuchani w muzykę, a pokój otulały wieczorne cienie. Banu przekręciła klucz w zamku, weszła i natychmiast zapaliła światło, niszcząc intymny nastrój, jaki udało im się stworzyć. Zamrugali, gdy oślepiło ich światło, a Sera dostrzegła lekkie zmrużenie oczu Banu, kiedy ta ogarnęła wzrokiem scenę w salonie i zauważyła wyraźną sympatię pomiędzy Serą a jej teściem.

– Mój Boże, wyglądacie jak para ponurych sów – stwierdziła, wchodząc dziarsko do pokoju. – Czy może powinnam powiedzieć para gruchających gołąbków?



– Widząc oburzenie na twarzy Freddy’ego, dodała szybko. – Zakochanych, rzecz jasna, w tym waszym Mozarcie-Fozarcie.

Stała przed Freddym, wzięła w palce szczyptę popiołu i natarła mu nim czoło.

– Dastur Homdzi przesyła ci *salam* – powiedziała.  
– Mówi, że już dwa–trzy miesiące nie byłeś w *agjari*.  
– Sięgnęła ponownie do chusteczki i Sera przygotowała się na przyjęcie świętego popiołu. Ale Banu cofnęła rękę i odwróciła się od synowej, która siedziała na kanapie, czując się zlekceważona. – No dalej, wstawajcie – rzuciła Banu przez ramię. – I wyłączcie tę pogrzebową muzykę. Niedługo wróci Feroz.

Sera poczekała kilka dni na moment, kiedy byli zupełnie sami, i dopiero wtedy zapytała Feroza o Gulnaz. Zjedli kolację w chińskiej restauracji w Kolabie, a Sera chciała potem iść do Bramy Indii.

– Chcesz iść na herbatę do Morskiej Sali w Tadżu?  
– zapytał szybko Feroz.

– Nie, pomyślałam, że miło by było przejść się wieczorem nad wodą – odparła. – Odetchnąć świeżym powietrzem.

– Dobrze – przycisnął do boku jej ramię. – Jak sobie życzysz, moja droga.

Po napięciu kilku ostatnich dni cudownie było być znów sam na sam z Ferozem w miejscu publicznym. Kiedy szli w przyjacielskim milczeniu po Apollo Bandar,

Sera czuła się mu bliższa niż przez cały poprzedni tydzień. Dlatego sama była zaskoczona, a nawet skonsternowana, kiedy usłyszała zadane własnym głosem pytanie.

– Dlaczego nie powiedziałeś mi o Gulnaz?

Spiął się cały.

– Kto ci powiedział? Mama? – zapytał.

– Nie, tak się składa, że twój tata.

Westchnął chrapliwie.

– Powinienem się domyślić. Pan Gaduła we własnej osobie.

– Nie miał nic złego na myśli – wyjaśniła. – W końcu jest to coś, co powinieneś mi być sam powiedzieć. Dlaczego tego nie zrobiłeś?

Zatrzymał się tak nagle, że dwoje nastolatków, nadchodzących z naprzeciwka musiało oderwać się od siebie i obejść ich z dwóch stron. Chłopiec rzucił Ferozowi wrogie spojrzenie.

– Co za chamstwo, *jar* – mruknął.

Feroz zignorował go. Kiedy odwrócił się do Sery, jego twarz była pusta, pozbawiona wyrazu.

– Nie powiedziałem ci o tym, moja droga, ponieważ, szczerze mówiąc, nie jest to twoja sprawa – powiedział, wypluwając każde słowo, jakby utykało mu w zębach.

Poczuła nagły ból brzucha, jakby jego pogarda zmieniła się po drodze w cios pięścią.

– Jestem twoją żoną – zaprotestowała słabo.

– Zgadza się. Jesteś moją żoną. Teraz. Dzisiaj. Ale wtedy nie byłaś. A to, co wtedy robiłem, nie jest twoją sprawą. Nie ma z tobą nic wspólnego, jasne?

Popatrzyła na ciemne morze, tak wielkie i niezgłębione jak smutek, który narastał w niej fala za falą. Zamrugła powiekami, powstrzymując łzy, próbując przekonać samą siebie, pytając samą siebie, czy on ma rację, czy w jakiś sposób pogwałciła niepisane reguły małżeńskiej etykiety. Czy to naprawdę nie była jej sprawa, że Feroz kochał kogoś innego, nim ją poznał? Czy nie miała prawa spytać?

Potem przypomniała sobie, jak wrzasnął na nią zeszłego wieczoru, kiedy weszła do łazienki, gdy mył zęby. I że zawsze gasił światło, nim przebrał się w piżamę. Uświadomiła sobie, że zakrył przed nią swoją przeszłość dokładnie tak samo, jak zakrywał przed nią swoje ciało.

– Chodźmy już – powiedział opryskliwie. – Robi się późno.

Myśl o powrocie do tego domu, o niespokojnych oczach Banu śledzących każdy jej ruch, sprawiła, że głos drżał jej z przejęcia.

– Proszę, jutro sobota. Pospacerujmy jeszcze. Nie musimy tak szybko wracać.

Westchnął ze zniecierpliwieniem.

– No dobrze. Wprawdzie przez cały dzień pracowałem, ale skoro moja żona życzy sobie spacerować, będziemy spacerować.

W tej właśnie chwili ujrzała muzułmańską parę zmierzającą w ich kierunku. Gładko ogolona twarz mężczyzny była młoda i złocista w świetle ulicznych latarni. Nie widziała twarzy kobiety, ponieważ ta miała na sobie czarną burkę, która okrywała ją od stóp do głów, tak że

za siatką można było zobaczyć tylko jej oczy. Normalnie ten widok wzbudziłby w niej odrazę. Pomyślałaby nieżyczliwie o mężu, który każe żonie chodzić w tym więziennym stroju, który ignoruje statystyki mówiące o większej podatności na gruźlicę kobiet przez cały dzień chodzących z zasłoną na twarzy. Ale zauważyła, że wskazujący palec kobiety wystaje spod czarnych zwojów materiału i że zahaczony jest o palec męża. Szli tak, stykając się palcami we wzruszającym geście połączenia, zadającym kłam teorii o szkodliwości zasłon i sugerującym istnienie czegoś głębszego i bardziej odwiecznego niż ludzkie konwenanse.

Ten widok rozdarł serce Sery i napełnił je nagłą, płomienną zazdrością.

– Feroz... – zaczęła, pragnąc mu wszystko wyjaśnić. To, że pewne nuty *Sonaty Księżycowej* szarpia jej sercem jak wiatr papierową torbę. Że jej dusza odczuwa wszystko równie nieskończenie i głęboko jak morze falujące po ich lewej stronie. Że widok tej młodej muzułmańskiej pary napełnił ją uczuciem, które w równym stopniu było radością jak smutkiem. A nade wszystko to, jak bardzo pragnie związku, który byłby odmienny od tego oceanu martwych małżeństw, jaki widzi wszędzie wokół siebie. Jak bardzo chce czegoś lepszego i głębszego, małżeństwa utkanego z jedwabiu i aksamitu, małżeństwa utkanego z chmur i gwiazdowego pyłu, i czerwonej ziemi, i morskiej piany, i blasku księżyca, i sonat skrzypcowych, i książek, i galerii sztuki, i namiętności, i dobroci, i smutku, i ekstazy, i palców wymykających się spod burki, by dotknąć

ukochanego. Odwróciła się do męża, czując, jak rozpala ją pożądanie. – Feroz... – powtórzyła. – Ja... Ja naprawdę cię kocham.

Wówczas zdarzyły się dwie rzeczy. Feroz zwrócił się ku niej, a jego oczy stały się ciepłe i wilgotne.

– Ja też cię kocham, Sero – powiedział, jego głos zaś przepelniało uczucie. – Przepraszam, że zachowuję się jak jakiś idiota.

A choć była mu wdzięczna za te słowa, czuła równocześnie zawód, jakby zdradziła samą siebie. Wiedziała, że wybrała łatwiejsze wyjście, że tylko upuściła parę z wrzącego imbryka swych uczuć. Wcale nie chciała powiedzieć „kocham cię”. Chciała powiedzieć „kocham życie”, uczynić wyznanie równie nagie i prawdziwe, i rzeczywiste jak zdjęcie rentgenowskie. A wtedy gdzieś w głębinach jej umysłu trzasnęły zamknięte drzwi. Wiedziała, że Feroz by nie zrozumiał, co zamierzała powiedzieć. Uczucie osamotnienia owiało ją niczym lodowaty wiatr. Zadrzała.

– Zimno ci? – zapytał troskliwym tonem. – Chodź, pójdziemy do Tadżu i napijesz się gorącej herbaty.

Kiedy wziął ją za rękę, gdy przechodzili na drugą stronę ulicy, poczuła nienawiść do siebie za te obłudne, zdradzieckie myśli tłukące się w jej mózgu jak nietoperze. Walczyła sama ze sobą. Dlaczego miałabyś nie powiedzieć „kocham cię” do Feroza? W końcu to prawda, nawet jeśli niedokładnie to chciałaś powiedzieć właśnie w owej chwili. Jednak uczucie, że zdradziła samą siebie, pozostało.

Kelner posadził ich przy stoliku, a Sera wyjrzała przez wielkie okno na cieniste wody Morza Arabskiego.

- Chyba wolałabym piwo od herbaty – stwierdziła.
- Jeden kingfisher i jedno sherry – złożył zamówienie Feroz. – I proszę też przynieść orzechy nerkowca.

## 8

Jadąc razem z Wirafem w jego klimatyzowanym samochodzie, Bhima uśmiecha się do siebie. Bardzo sobie ceni ten rytuał sobotniego poranka. Jest wdzięczna Wirafowi, że nie musi jechać na targ zatłoczonym i rozklekotanym autobusem. Zaczyna się robić za stara, żeby sobie radzić w tłumie, jaki towarzyszy zwykle pojawieniu się na przystanku jednego z tych czerwonych autobusów. Dopiero co, w zeszłym tygodniu, Sera *bai* opowiedziała jej o wypadku jednej ze swych dalekich krewnych, kościstej, sześćdziesięcioośmioletniej kobiety, która została odepchnięta na bok przez tłum szturmujący wejście do autobusu i złamała nadgarstek.

– Przysięgam, oni specjalnie polują na parsów – mruknęła wówczas Sera. – Wszyscy wiedzą, że nasze kości są kruche jak glukozowe herbatniki Britannia.

Dawniej przynajmniej kobietom oszczędzano przepychanek, gdy na przystanku zjawiał się, niczym mityczna bestia, autobus. Ale w dzisiejszym Bombaju każdy myśli tylko o sobie, a słabi, dzieci i starcy wsiadają do

zatłoczonych autobusów na własne ryzyko. Bhima ostatnio z trudem poznawała to miasto – jakby na jego ulice wypuszczono coś podłego i okrutnego, coś, co zanosi się wściekłym warkotem. Wszędzie widziała oznaki tej obcej podłości: dzieci ze slamsów przywiązywały petardy do ogonów bezdomnych psów, a potem śmiały się i klaskały radośnie w ręce, kiedy biedne zwierzęta biegały w kółko, szalejąc ze strachu. Bogaci studenci z college'ów wpadali w furję, jeśli pięcioletni żebrak pobrudził szybę w ich błyszczących hondach czy bmw. Sera *bai* codziennie czytała gazetę i relacjonowała Bhimie najnowsze okropne wydarzenia – związkowiec zatłuczony na śmierć za to, że śmiał namawiać robotników fabrycznych do żądania podwyżki o dwie rupie; syn polityka uznany za niewinnego w sprawie o przejechanie trojga dzieci ze slamsów w drodze na przyjęcie; starsze małżeństwo parsyjskie zamordowane w łózkach przez służącą, która pracowała dla nich od czterdziestu lat; młodzi hinduscy nacjonaści własną krwią piszący do rządu listy z gratulacjami z powodu udanej próby atomowej. Zupełnie jakby miasto oszalało z obfitości i głodu, siły i słabości, bogactwa i biedy.

Czekając na przystanku, Bhima czuła, jak ta podłość wsącza się w jej żyły niczym brudny osad. Gdy w chmurze dymu zjawiał się czerwony potwór, zaczynało głośno walić jej serce. Przypatrywała się innym pasażerom, próbując ocenić, którzy są słabi i bezradni, i kogo zdoła odepchnąć z drogi. Kiedy pojazd się zatrzymywał, kolejka zmieniała się w szarżujący tłum. Ludzie zbiegali się ze



wszystkich stron, próbując wskoczyć na platformę, zanim autobus stanął na przystanku. Kiedyś taki potwór włókł przez pół przecznicy starszego mężczyznę, który jedną nogę miał już w środku, a drugą ciągle na ziemi. Wrzaski pasażerów zwróciły wreszcie uwagę konduktora, który kazał kierowcy się zatrzymać. Starszemu panu nogi trzęsły się tak bardzo, że nie był w stanie wsiąść, a konduktor przypatrywał mu się ze zniecierpliwieniem ze swego królewskiego siedziska. – „Wsiadasz czy nie?” – zapytał, ale biedak po prostu stał i dyszał. Wówczas konduktor cmoknął językiem i pociągnął za dzwonek, a autobus ruszył dalej, pozostawiając staruszkę na środku drogi niczym pozbawioną adresu paczkę.

– Czy nie wieje ci za mocno? – pyta Wiraf, a choć Bhimie jest trochę zimno, kręci przecząco głową. Wie dobrze, że Wiraf *baba* łatwo się poci.

Patrzy przez okno na mijane ulice. Miasto wygląda dużo milej zza przyciemnionych szyb klimatyzowanego samochodu. Chmury spalin z rur wydechowych autobusów i ciężarówek nie podrażniają jej oczu i gardła, ma też wrażenie, że pokonała odwieczną nemezis, słońce. Lepiej, żeby jej było trochę zimno, niż żeby promienie słoneczne paliły bez litości jej skórę i oczy.

Wiraf włącza jeden z tych angielskich utworów, których Bhima ani nie rozumie, ani nie lubi. Zastanawia się, dlaczego on zawsze słucha angielskich piosenek, a nigdy hinduskiej muzyki filmowej, która jest taka popularna w jej *basti*. Przygląda się siedzącemu koło niej mężczyźnie. Ubrany jest w biały strój do krykieta i wygląda jak *feranga*,

jak ci białoskórzy przybysze, których widuje, kiedy razem z Sera *bai* robią zakupy w Kolabie. Sera *bai* kiedyś jej wyjaśniła, dlaczego ci ludzie mają żółte włosy i skórę w kolorze ścian w szpitalu – że czegoś tam brakuje w ich ciałach i że muszą przyjeżdżać w ciepłe miejsca, takie jak Bombaj, żeby je przyciemnić. Zrobiło jej się wtedy żal tych ludzi i widząc ich długie włosy i nędzne ubrania, chciała im dać trochę pieniędzy. Wówczas Sera *bai* zaczęła się śmiać i powiedziała, że nie musi się nad nimi litować, gdyż tak naprawdę to oni są dumni ze swojej białej skóry. Jak można być dumnym z tego, że w twoim ciele czegoś brakuje? Bhima chciała o to zapytać, ale nim otworzyła usta, Sera dodała, że oni nie potrzebują pieniędzy, bo pochodzą z tak bogatych miejsc na świecie, że sobie tego nawet nie może wyobrazić. Doszła wówczas do wniosku, że Sera ją oszukuje, ponieważ każdy głupi by się domyślił, patrząc na ich brudne włosy, sprane koszule i podarte niebieskie spodnie, że ci niechlujni, bezbarwni ludzie są bardzo biedni.

Wiraf patrzy na nią ciekawie.

– Czy słyszałaś, co mówiłem? – zapytał.

Bhima podskakuje na siedzeniu pełna poczucia winy.

– Och, Wiraf *baba*. Wybacz mi. Ja właśnie...

– Nic się nie stało – śmieje się. – Pytałem tylko o Maję.

Bhima czerwieni się, niechętna rozmowie o sytuacji wnuczki z mężczyzną, nawet jeśli jest nim Wiraf. Ale nim ma czas coś powiedzieć, on rusza jej na ratunek.

– Posłuchaj, Bhima – mówi z zakłopotaniem. – Wiem, że to nieprzyjemna sprawa, ale trzeba ją jakoś załatwić.

Mam przyjaciela, który jest lekarzem. Jak wrócę do domu po meczu, zadzwonię do niego i poproszę, żeby mi polecił doktora, który wykonuje... to znaczy takiego, który jest... no wiesz, kogoś, kto będzie mógł pomóc Mai pozbyć się dziecka. Już czas się tym zająć, prawda?

Zamiast wdzięczności, którą, jak dobrze wie, powinna żywić dla niego, ku swemu zaskoczeniu Bhima czuje po tych słowach głęboką urazę. Łatwo mu mówić o pozbyciu się dziecka Mai, myśli. W końcu on i Dinaz będą mieli własne dziecko, dziecko, które nigdy się nie dowie, jak to jest, kiedy rodzice spiskują na jego życie. Dziecko, które zostanie powitane na tym świecie z radością. Które nigdy nie przyniesie swoim rodzicom ani wstydu, ani hańby. Przez chwilę czuje bezbrzeżną furję, która jest tak wielka, że obejmuje Maję, Dinaz i Wirafa. Wszystkich tych młodych ludzi, wszystkie te dzieci, które się mają narodzić. Jest zmęczona – zmęczona tym niemającym kresu cyklem narodzin i śmierci, zmęczona pokładaniem nadziei w następnym pokoleniu, zmęczona i przerażona odnajdowaniem kolejnych istot ludzkich do kochania, wiedząc doskonale, że każda osoba, którą pokocha pewnego dnia, ją zrani, zada jej ból, złamie jej serce oszustwem, zdradą, niedoskonałością czy po prostu swoim człowieczeństwem. Czuje się wyschnięta, wydrążona, pusta w środku i pomarszczona jak skorupa włoskiego orzecha. Nie pozostało jej nic, co mogłaby dać, nie została w niej już żadna miłość, którą mogłaby kogoś obdzielić. Właśnie dlatego nie rzuca resztek jedzenia bezdomnym psom, które machają ogonami i zieją wyczekująco za każdym

razem, kiedy wychodzi z chaty. Nie może znieść widoku ich zmierzwionej sierści, wychudzonych i kalekich ciał, gorliwości rozdzierającej wprost serce i tego głodu miłości, jaki widać w ich oczach.

Gopal. Ich dwoje dzieci, Amit i Pudża. A potem ich zięć, Radżu. Kochała ich wszystkich, a oni porzucali ją jedno po drugim albo z wyboru, albo dlatego, że przegrali bitwę ze śmiercią. Ale wynik był w końcu taki sam – została, podczas gdy oni, jak to sobie wyobrażała, odeszli na zieleńsze pastwiska.

Mruga szybko powiekami i zmusza się do powrotu do terażniejszości. Jest jej wstyd tej zazdrości, jaką odczuwa z powodu szczęścia Dinaz i Wirafa. Dinaz dorastała na jej oczach, nadal pamięta, jakim była wspaniałym dzieckiem, zawsze roześmiana i gotowa do pieszczot. To cud, że taka córka rozkwitła w cieniu ponurej postaci ojca. Kiedy Dinaz zaczęła zarabiać, zawsze wciskała Bhimie do ręki banknot dziesięcio- albo dwudziestorupiowy. A Wiraf *baba* – taki pogodny, taki pełen życia, taki figlarny. Aby się ukarać za nieżyczliwe myśli, Bhima wbija kciuk prawej ręki w dłoń lewej, aż ból wykrzywia jej twarz.

– Masz rację, Wiraf *baba* – mówi tępo. – To samo mówiłam Mai nie dalej jak wczoraj.

Wiraf rzuca jej szybkie spojrzenie. Jego dłoń zawisa w przestrzeni między nimi – zupełnie jakby chciał ją pocieszyć – ale potem wraca na kierownicę.

– Porozmawiam z kolegą – obiecuje cicho.

Kiedy wysadza ją przy targowisku, czeka w samochodzie, póki ona nie przejdzie bezpiecznie na drugą stronę

ulicy. Bhima zauważa to i uśmiecha się do siebie. Taki troskliwy chłopak ten Wiraf *baba*. Niektóre jego zachowania przypominają jej Amita – ta sama życzliwość, ta sama troska o innych. Amit. Jej jedyny syn. Gdzie jest teraz? Czy kiedykolwiek myśli o swojej matce, tęskni za nią, czy mu jej brakuje, tak jak jej brakuje jego?

Pogrążona w myślach niemal wpada na drewniany *hathgari* stojący na środku chodnika. Przeklina, kiedy długa drewniana rączka wózka wbija się w jej lewe biodro, wywołując spazm bólu w kościstym udzie. Na płaskim wózku leży wyciągnięty jak długi młody mężczyzna, tuż po dwudziestce, najwyraźniej pogrążony w głębokim śnie. Bhima zastanawia się, jak można spać wśród przepychającego się wokół hałaśliwego tłumu. Od czasu ciąży Mai ma takie kłopoty ze snem, że przeszkadza jej w tym nawet pisk myszy przemykających koło ich chaty. Rozcierając obolałe biodro, zastanawia się, czy obudzić młodego człowieka i poprosić go, żeby przestawił *hathgari*, kiedy zauważa wypukłość pod jego luźnym, białym dołem od pizamy.

– *Sala badmaś* – mruczy do siebie, szybko odwracając wzrok. – Pijany drań, rozwała się tu na oczach wszystkich, jakby całe miasto do niego należało. Bezwstydnicy, nic tylko bezwstydnicy.

Jej gniewne myśli przerywa znajomy głos.

– *Are, mausi*, tutaj! – woła sprzedawczyni. – Trzymam dla ciebie najlepsze warzywa.

Bhima macha uspokajająco ręką.

– Przyjdę, tylko muszę znaleźć tego nicponia Radžiwa – odkrzykuje.

– Był tu minutę czy dwie temu. Szukał cię, *mausi*.

Jak na zawołanie zjawia się Radziw z dużym wiklinowym koszem na głowie. To wysoki, przygarbiony mężczyzna około pięćdziesiątki o długich, podkręconych do góry wąsach. Przypomina Bhimie kulisów z Radżasthanu, od których kiedyś roiło się na Dworcu Wiktorii, z którego razem z Gopalem wyruszali pociągami do jego rodzinnej wioski. Choć Gopal sam nosił ich bagaż, kulisi szli za nimi jak stado wygłodniałych psów, błagając o szansę zarobku, i z każdym krokiem Bhimy i Gopala obniżając cenę.

– Gdzie byłeś? – jak zwykle na powitanie naskakuje na Radziwa. – Uważasz, że ja mogę trwonić czas tak jak ty? Spieszę się.

– *Oe, Bhima mausi, powoli, powoli* – odpowiada Radziw z uspokajającym uśmiechem, odsłaniającym czerwone ślady panu, który właśnie włożył do ust. – Dlaczego się tak spieszysz? Twoja *bai* jest miła, nie złości się, jak jesteś kilka minut wcześniej czy później.

Ale Bhima już idzie w kierunku stoiska z warzywami i sprzedawczyni, która ją wcześniej zawołała. Po drodze musi minąć Parwati, starą kobietę, która co rano przychodzi na targ i siedzi, póki nie sprzeda całego towaru, czyli sześciu maleńkich i wysuszonych kalafiorów. Drobna, stara kobieta tkwiąca w przejściu na brudnym bawełnianym prześcieradle nawołuje kupujących cichym, nosowym głosem. Od kiedy Bhima pamięta, Parwati ma na szyi narośl wielkości pomarańczy. Pewnego razu, kiedy zasnęła na swoim prześcieradle, Bhima zauważyła, że nieświadomie maca tę narośl przez sen.

Tak jak zawsze w każdą sobotę Bhima odwraca wzrok. Widok Parwati i jej żałośnie wyglądających kalafiorów napędza ją nieznośnym smutkiem. Wie z opowieści innych handlarzy, że Parwati nie ma męża ani dzieci. Wie również, że inni sprzedawcy pomagają staruszce, co wieczór wyprawiając ją do domu z przejrzalymi owocami i nadgniętymi warzywami, których nie udało im się sprzedać. To i tak cud, że jest w stanie utrzymać się przy życiu, mając tak nikłe dochody. Dlaczego nie zwiększy ilości towaru? Dlaczego nie zdobędzie kalafiorów lepszej jakości, żeby Bhima mogła je u niej kupować? Dziś są one tak małe i wyschnięte, że nawet gdyby kupiła wszystkie sześć, nie wystarczyłoby ich, żeby wykarmić całą rodzinę Dubaszów. Ale stawiając sobie to pytanie, z góry zna odpowiedź: staruszka zarabia tak niewiele, bo nie ma pieniędzy na kupienie lepszego towaru.

Kiedy Amit i Pudża byli mali, ona i Gopal w każdą sobotę zabierali ich nad morze. I za każdym razem Bhima nalegała, żeby kupić im balony w kształcie zwierząt sprzedawane przez balunwałę, wysokiego, kościstego Pasztuna z Afganistanu. Milcząca godność tego człowieka i skupiony, pozbawiony teatralności sposób, w jaki skręcał gumowe, napełnione powietrzem rurki tak, żeby przypominały zwierzęta, sprawiały, że krajało jej się serce. Odganiała innych baloniarzy, kiedy usiłowali przyciągnąć dzieci, z efekciarską zręcznością wyczarowując gumowe słonie i psy, i czekała na tego Pasztuna. Starzec pracował nad każdym balonem z lekkim, prawie nieobecnym uśmiechem na ustach, a ona bardzo pragnęła

zadać mu kilka pytań. Dlaczego opuścił swą surową ojczyznę, której krajobraz wydawał się wryty na jego pomarszczonej, schłostanej 'wiatrem twarzy'? Czy trudno mu było przywyknąć do hałasu miasta i brudnych ulic? Czy tęsknił za słodkim górskim powietrzem swego kraju? A nade wszystko jak udawało mu się wiązać koniec z końcem. Zarobek ze sprzedaży kawałków czerwonej i białej gumy był tak marny, że chyba nie wystarczał nawet na utrzymanie jednego wysokiego, chudego Pasztuna, o rodzinie nie wspominając. Ale za każdym razem nieśmiałość i skrępowanie nie pozwalały jej otworzyć ust i wielka zagadka Bombaju: dlaczego ta cała specyficzna grupa społeczna (do której należeli baloniarze, usuwacze woszczyny z uszu i szmaciarze), tak kurczowo trzyma się złudnych obietnic dawanych przez wielkie miasto i jakimś cudem jest w stanie wyżywić się z wykonywania tak żałosnych prac – pozostała dla niej tajemnicą.

Bhima przestępuje skórkę od banana i zatrzymuje się przy swojej ulubionej sprzedawczyni warzyw. Idący kilka kroków za nią Radźiw przykuca, zdejmuje z głowy wiklinowy kosz i stawia go na ziemi. Ignorując zapewnienia sprzedawczyni: „*Oe, mausi*, już odłożyłem dla ciebie najlepsze warzywa”, Bhima zaczyna wybierać towar z kolorowych, pięknie ułożonych stosów. Kupuje sześć kilo okry, starannie wybierając małe, delikatne kawałki. Przygląda się uważnie bakłażanom i marszczy nos na widok wgnieceń, aż sprzedawczyni, mamrocząc coś pod nosem, sięga za siebie i wyciąga cztery gładkie, połyskliwe sztuki. Bierze do ręki warkocze czosnku, wyszukując największe



główki. Bada palcami kolendrę, obrywając z pęczka zwiędłe listki. Zmusza sprzedawczynię, by ukroiła dla niej świeży plaster czerwonej dyni, bo na tym wysuszo-  
nym siedzą muchy. Handlarka waży warzywa na starej metalowej wadze – na jednej szalce sześciokątne odważ-  
niki, na drugiej towar – i wkłada je do różowych plastikowych toreb, a Radziw bierze je i wrzuca do kosza.

Bhima podnosi się wreszcie z kucek i wyciąga spod sari banknot. Czeka na wydanie reszty, ale sprzedawczyni tylko na nią patrzy.

– To właściwa kwota, *mausi* – mówi wreszcie. – Mam dziś bardzo dobre ceny. Innym policzyłabym ekstra. Takie świeżuteńkie wszystko dostajesz.

Kiedy indziej Bhima zaczęłaby się targować, zaparłaby się, aż kobieta wydałaby jej resztę. W końcu targowanie się to uświęcona tradycja na bazarze. A poza tym, w przeciwieństwie do innych służących, które robią zakupy dla swoich pań, Bhima zawsze stara się oszczędzać każdą pajsę z pieniędzy *Sery bai*. Dla niej jest to kwestia zaufania. *Sera bai* ufa jej na tyle, żeby wysyłać ją samą po zakupy. Dlatego słuszne jest chronienie jej pieniędzy równie gorliwie, jak by to czyniła w stosunku do własnych.

Ale dziś jest zmęczona i ma na głowie inne rzeczy. Poza tym własny smutek uczynił ją wrażliwszą na nieszczęścia innych. Po raz pierwszy zauważa ciemne cienie pod oczami sprzedawczyni, przedwczesne pasma siwizny w jej włosach, niewielką dziurę na rękawie jej tuniki. Dziś nie potrafi myśleć o niej jak o swojej przeciwniczce, jak o kimś, z kim musi stoczyć walkę na rozumy. Te

kilka rupii, które mogłaby zaoszczędzić, wdając się w targi, nagle wydają jej się bez znaczenia.

– Dobrze – mówi ostro. A potem zwraca się do Radziwa. – Idziemy. Potrzebuję jeszcze ziemniaków i cebuli.  
– Kiedy odchodzi, czuje na plecach zdumione spojrzenie sprzedawczyni.

Nie jest nawet w połowie tak miła dla mężczyzny, który sprzedaje jej te warzywa. Ten niski *banija* w okularach, właściciel małego wąskiego sklepiku, traktuje ją z mniejszym szacunkiem niż inni kupcy. A od czasu, kiedy przyłapała go na tym, że ręką naciska na szalkę wagi, żeby zwiększyć ciężar, wcale mu nie ufa. Gdyby mogła decydować sama, nigdy nie kupowałaby w tym sklepie, ale Sera *bai* lubi towar tego człowieka i nalega, by Bhima tu przychodziła. Dlatego Bhima patrzy teraz na niego niechętnie.

– Pięć kilo ziemniaków – mówi szorstko. – Tylko żeby żaden nie był zgniły. W zeszłym tygodniu dwa były tak przegniłe, że trzeba je było wyrzucić.

Zamiast okazać skruchę, sklepikarz zaczyna szydzić.

– W Mumbaju wszystko jest zgniłe – oświadcza głośno. – Powietrze jest zgniłe, politycy są zgnili, transport publiczny jest zgniły. Więc czemu i kilka moich biednych ziemniaków miałyby nie zgnieć? – wybucha śmiechem, ukazując zęby z brązowymi plamami. Nastolatek o sprytniej twarzy i długich chudych rękach, który pracuje w tym sklepie, kręci głową z podziwem.

– Dobrze powiedziane, szefie, dobrze powiedziane – mówi, rzucając Bhimie wrogie spojrzenie.

– Słyszałeś? – zwraca się Bhima do Radziwa, dość głośno, żeby usłyszał ją sklepikarz. – Musisz znosić takie *badmaśi*, nawet kiedy wydajesz u tych łobuzów własne, ciężko zarobione pieniądze. Chyba zacznę kupować gdzie indziej.

Sklepikarz nagle robi się nieprzyjemny.

– Nie wydajesz tu swoich pieniędzy, tylko pieniądze swojej pani. Ciebie nigdy nie będzie stać na kupno moich towarów, starucho. Więc przestań mi zawracać głowę.

Bhima wzdryga się na prawdę zawartą w słowach mężczyzny. Ale nim ma czas zareagować, Radziw groźnie postępuje o krok w kierunku sklepikarza.

– Uważaj, co mówisz! – ostrzega. – Tu wielu sprzedaje ziemniaki i cebulę. Mogę sprawić, że żadna moja klientka więcej nie postawi u ciebie nogi.

Nagle Bhima pragnie już tylko jednego: zakończyć te zakupy. Musi jeszcze iść na targ rybny, a przechodzi ją dreszcz na samą myśl o krążeniu po śliskiej, cuchnącej podłodze i uważaniu, żeby żadna rybia płetwa albo łuska nie dostała się pomiędzy jej stopę a podeszwę gumowych *ćappalli*. Nienawidzi wrzawy panującej na zamkniętym targowisku, przenikliwych, natarczywych wrzasków handlarzy próbujących przyciągnąć klientów do swoich straganów. Nienawidzi tępego, szklanego wyrazu pyszczków martwych, pokonanych ryb i oślizgłych monet, którymi sprzedawcy wydają jej resztę. Kiedy Radziw i sklepikarz warczą na siebie, ona wyciąga pieniądze z sari i kładzie je na stosie ziemniaków.

– Proszę – mówi pospiesznie – Oto zapłata. A teraz dawaj resztę i pozwól mi odejść.

Przygląda się, jak Radźiw układa torby w koszu. Zwykle nastoletni pomocnik sklepikarza pomaga mu, gdy kuca, żeby umieścić kosz na głowie, ale dziś chłopak krzyżuje ręce na piersiach i patrzy obojętnie, jak tragarz z trudem się prostuje. Kosz jest teraz pełen i Radźiw chwieje się przez chwilę pod jego ciężarem, nim złapie równowagę. Bhima dostrzega jego niepewny chód i wzbiera w niej litość. Odwraca wzrok, zła na siebie za ten dziwny przypływ sentymentalizmu. Ma dość własnych kłopotów i bez dźwigania problemów całego świata, bez odczuwania bólu każdego handlarza warzywami i tragarza. Gopal zawsze jej powtarzał, że ma zbyt miękkie serce, że świat to wykorzysta. I czyż czas nie pokazał, że jej mąż był geniuszem? Czyż nie miał całkowitej racji? A fakt, że to sam Gopal był tym, który utoczył z jej serca tę miękkość i napełnił je zimną, podobną do cementu twardością... no cóż, to po prostu ostateczna ironia.

– Dokąd teraz, *mausi*? – pyta Radźiw, a ona wskazuje targ rybny.

Po skończeniu zakupów Radźiw stawia pełen kosz u jej stóp i mówi, że idzie złapać taksówkę. To ich cotygodniowy rytuał, ale Bhima dzisiaj jest pod wrażeniem postępowania Radźiwa, który wystąpił w jej obronie.

– *Ćalo* – mówi. – Nim ją sprowadzisz, napijemy się gorącej herbaty. Miałeś wiele do dźwigania.

Radźiw patrzy na nią z zaciekawieniem, ale kiwa głową,

– Byłoby miło, *mausi*. Bardzo dziękuję.

Stoją przed małą kawiarenką i popijają jasnobrązowy płyn z niskich szklanek. Właściciel kawiarni, zażywny jegomość z dużym brzuchem, siedzi w wejściu, wkładając przyprawione, obtoczone w cieście ziemniaki do wielkiego woka, w którym wrze olej. Zapach tych batata-wad sprawia, że w ustach Bhimy zbiera się ślina. Zastanawia się, ile jej zostanie pieniędzy Sery *bai*, kiedy zapłaci za taksówkę, i szybko oblicza, że stać ją na przekąskę dla siebie i Radziwa.

– Dwa *batata-wada* w chlebie, z *catni* – woła do właściciela kawiarni, a kiedy ten podaje jej zamówienie w kawałkach gazety, bez słowa wręcza jeden Radziwowi. Tragarz jest zachwycony.

– Bardzo dziękuję – mówi i rzuca się na jedzenie. Bhima ma ochotę kupić mu drugą porcję, ale jest boleśnie świadoma faktu, że trwoni pieniądze Sery *bai*. Więc zamiast tego zmusza się do udawania, że już się najadła.

– Te *batata-wada* są takie wielkie. Już nie mogę. Chcesz resztę, Radziw?

Przekąska znika jej z ręki, jeszcze nim kończy pytanie.

W taksówce Radziw siedzi z przodu, przy kierowcy, a ona z tyłu z koszem. Posiłek wprowadził tragarza w dobry humor, chce pogadać, obraca się do niej często i mówi. Ale Bhima nie jest w odpowiednim nastroju. Wkrótce Radziw przestaje się do niej odwracać i nawiązuje rozmowę z kierowcą. Pod ochronną tarczą dwóch męskich głosów Bhima może bezpiecznie zatopić się w myślach, wyglądając przez okno. Opiera się o kosz i zakręca prawą szybę, żeby odciąć się od spalin autobusu jadącego sąsiednim pasem.

Lewe okno zakręciła, jak tylko wsiadła do taksówki. Przy zamkniętych szybach w samochodzie jest upiornie gorąco, ale nawet taki upał jest lepszy niż te gwałtowne skurcze płuc powodowane przez spaliny. Tęskni za klimatyzowanym samochodem Wirafa, tęskni za obserwowaniem świata, kiedy jej skórę całuje słodki, a równocześnie ostry, chłód.

Bombaj przemyka za oknem, szybko i cicho, tak jak przemknęło koło niej jej życie.

## 9

Sera budzi się z jękiem. Patrzy badawczo na budzik i czuje przyływ ulgi, kiedy widzi, że jest dopiero czwarta nad ranem. Może spać jeszcze przynajmniej godzinę. Przez chwilę jest zła, że musi dziś wstać tak wcześnie. Za kilka godzin spotka się z Bhimą i Mają na przystanku autobusowym w pobliżu ich domu. Plan jest taki, że Bhima pójdzie do pracy, a ona zabierze Maję na zabieg. Trzy dni temu, kiedy dowiedziała się od Bhimy, że Maja chce iść do lekarza w jej towarzystwie, pochlebiało jej to. Ale teraz, leżąc w łóżku i wpatrując się w ciemność, czuje irytację. Nie taką umowę zawarła, kiedy zaproponowała, że opłaci Mai college. Płacenie czesnego za wnuczkę Bhimy to jedno, a chodzenie z nią do lekarza, który usunie jej nieślubne dziecko, to całkiem co innego.

Ale nie robisz tego dla Mai, napomina się w myślach. Robisz to dla starej Bhimy. A tej myśli towarzyszy tępy ból ramienia. Wie, że jest urojony, że to ból psychosomatyczny, ale mimo to go czuje. Tak wiele lat minęło od tego uderzenia, po którym ramię jej spuchło i bolało przez

wiele dni. Z drugiej strony, kto to wie? Może ciało ma własną pamięć – jak te niewidzialne meridiany, o których ciągle mówią chińscy akupunkturzyści? Może ono nie przebacza, może każda komórka, każdy mięsień i każdy kawałek kości pamiętają każdą krzywdę i każdy ból? Może pamięć o bólu jest zakodowana w szpiku kostnym, a powracający w pamięci smutek unosi się w systemie krwionośnym niczym twardy, czarny kamyczek? W końcu niezbadane są ścieżki ciała, podobnie jak ścieżki Boga.

Od czasu kiedy była nastolatką, fascynował ją ten paradoks. Fakt, że ciało, w którym mieszkamy, które nosimy jak płaszcz od chwili narodzin – a nawet jeszcze przed narodzinami – jest dla nas ciągle czymś obcym. W końcu niemal wszystko, co robimy w życiu, robimy dla jego dobra: codziennie się kąpiemy, szorujemy zęby, czesemy włosy i czyścimy paznokcie; podejmujemy nędzną pracę, byle je nakarmić i ubrać; staramy się jak możemy ochronić je przed bólem, ranami i przemocą. A jednak ciało pozostaje dla nas tajemnicą, książką, której nigdy nie przeczytaliśmy. Sera zabawia się tą ironią, jakby to była zagadka. Jak to możliwe, że pomimo zajmowania się przez całe życie naszym ciałem nigdy nie stajemy twarzą w twarz z naszymi nerkami, nigdy w życiu nie rozpoznalibyśmy wśród innych naszej wątroby, nigdy nie widujemy naszego serca ani mózgu. Więcej wiemy o głębinach oceanu, lepiej znamy odległe galaktyki niż nasze własne organy wewnętrzne, mięśnie i kości. Więc może nie istnieje coś takiego jak ból urojony? Może każdy ból jest prawdziwy, może każdy dawno temu otrzymany cios żyje



przez wieczność w jakiejś innej permutacji i kształcie? Może nasze ciało jest nadwrażliwym, mściwym bytem, księgą rachunkową, magazynem zapamiętanych zniewag i okrucieństw?

Ale jeśli to prawda, ciało zapewne pamięta również każdą uprzejmość, każdy pocałunek i każdy moment współczucia. Zapewne to jest nasze zbawienie i jedyna nadzieja – że radość i miłość są również częścią materii, z której utkane jest nasze ciało, każdego mięśnia i każdej komórki.

I nagle z błękitnej mgły przeszłości w pamięci Sery wyłaniają się cios i balsam, prześladowca i uzdrowiciel: Feroz i Bhima.

Oboje z Ferozem wyprowadzili się już wtedy z mieszkania Banu do własnego. Kiedy spadł pierwszy cios, zdążyła już zapomnieć, jak zaczęła się ta kłótnia. Widziała tylko twarz Feroza – żyłę pulsującą złością na jego czole, oszalałe, wściekłe oczy wychodzące z orbit, skórę pokrytą krwawobrazowym rumieńcem. Kątem oka dostrzegła w jego ręce mosiężny świecznik, który ze świstem rozciął powietrze, by spaść z impetem na jej ramię, które uniosła, żeby ochronić się przed narastającą falą jego gniewu. Ostry, przejmujący ból zalał jej ciało, a z jej ust wyrwał się wysoki, zwierzęcy skowyt, nim zdołała się zmusić do milczenia. Upadła na łóżko, tuląc do siebie stłuczoną rękę, ale Feroz jeszcze nie skończył. Na jej plecach spadały kolejne ciosy, tym razem zadawane rękami.

Pomyślała, że zaraz zemdleje z bólu, ale bicie skończyło się tak samo nagle, jak się zaczęło, jakby ktoś przekręcił wyłącznik i sprawił, że dłonie zadające ciosy opadły.

W przeszłości, kiedy ustawała gwałtowna ulewa jego gniewu, patrzył na nią przez chwilę nierozumiejącym wzrokiem. A potem nadchodził czas łez, przeprosin i samooskarżeń. Szlochał i błagał ją o przebaczenie, uderzał się z całych sił po policzkach albo po głowie. Ale dziś po prostu stał i patrzył na nią. Kiedy w końcu przez zamazującą obraz warstwę łez zdołała dostrzec jego twarz, wyraz widocznej na niej odrazy sprawił, że na moment przestała oddychać. Patrzył na nią tak, jakby jej nienawidził, jakby na sam widok jej skulonego pod ciosami, posiniaczonego ciała dostawał mdłości.

– Dziś posunęłaś się za daleko! – wysyczał. – Dziś na to zasłużyłaś. Twoja cholerna duma, twoja arogancja... jesteś modliszką, a nie kobietą, wiesz?

Byli małżeństwem dostatecznie długo, żeby Sera zaryzykowała odpowiedź. Kiedy Feroz popadał w takie czarne nastroje, zachowywał się jak opętany i najmniejsza prowokacja potrafiła rozpalić furie wirujące w nim niczym drobiny w chmurze kurzu. Więc odwróciła wzrok, dziękując Bogu, że Dinaz jest w parku z Bhimą, że jej dziecko nie słyszy odgłosów rozpadającego się małżeństwa swych rodziców. A skoro już wyliczała błogosławieństwa losu, to zapewne powinna również być mu wdzięczna za to, że jej skóra regeneruje się tak łatwo. Dzięki temu unikała upokorzenia tych kobiet, które obnoszą na swych ciałach jak na wystawie znaki przemocy swoich mężów.

Ale tym razem siniaki nie znikły. Trzy dni później jej ramię nadal było czarnosine i tak spuchnięte, że ledwie je mogła unieść nad głowę, żeby rano włożyć sadrę. Nawet zawiązanie *kasti*, tradycyjnej parsyjskiej przepaski utkanej z siedemdziesięciu dwóch pasm wełny, a noszonej w pasie, sprawiało ból. Miała również siniaka na górnej wardze, tam gdzie uderzyła się o łóżko, padając na kolana. Ale niewiele ją to obchodziło. Pragnęła leżeć w sypialni przez cały dzień, wypełniając umysł odrętwieniem, tak jak jej ciało wypełniał ból. Co rano wstawiała tylko po to, żeby wyprawić Dinaz do przedszkola, a potem znowu kładła się do łóżka. I zostawała w nim aż do chwili, kiedy Dinaz wracała do domu.

Nazajutrz po napadzie furii Feroz wszedł do sypialni i oznajmił, że wyjeżdża do Pune w interesach. Wiedziała, że zmyślił tę podróż, żeby uciec z domu, ale przyjęła to obojętnie. Była mu wdzięczna, że się wyniósł. Dzięki temu nikt nie patrzył na nią z pogardą, kiedy wracała do łóżka o dziewiątej rano. Nikt do niej nie mówił, że jeśli nie zacznie dbać o siebie, to skończy jak te parsyjskie *burhi* na Grant Road. Nikt nie krytykował tego, jak wygląda, czy jak chodzi, czy jak pachnie. I nikt nie twierdził, że siniaki na jej ciele nie są prawdziwe, że specjalnie je podkreśla, żeby mąż czuł się paskudnie. Ale mimo tej ulgi, że ma dla siebie cały dom, serce podskakiwało jej za każdym razem, kiedy zadzwonił telefon albo do drzwi zastukał listonosz. Czekwała na przeprosiny Feroza, telefoniczne albo listowne, na to, by przyznał, że ją skrzywdził, na to, by zapytał o jej posiniaczone ciało. Ale co wieczór

dzwonił tylko po to, żeby powiedzieć Dinaz dobranoc. Tym razem przeprosin miało nie być. Tym razem zwykły scenariusz przemocy, po której następuje powódź łez, przeprosin, czułości, pocałunków i obietnic, miał ulec zmianie. Tym razem zapanowała susza milczenia i oddalenia. Silnie odczuwała utratę tego cyklu walki i godzenia się. Zupełnie jakby w ich małżeństwie skończyła się kolejna faza i teraz nie mogła już nawet oczekiwać słodczych ponownych zalotów. Obojętność Feroza bolała ją równie mocno jak siniaki na ramieniu.

Czwartego dnia Bhima przyszła do pracy z niewielkim zawiniątkiem. Sera zarejestrowała ten fakt bez zainteresowania, kiedy otworzyła jej drzwi, po czym wróciła do swojego pokoju. Kilka chwil później Bhima weszła do sypialni z talerzem, na którym leżały dwa tosty.

– No już, *bai*, wstawaj – powiedziała. – Rozchorujesz się jeszcze bardziej, leżąc ciągle w łóżku. A dziś Bhima cię wyleczy. Obiecuję, że wszystkie te czarne plamy na twojej ręce znikną przed zachodem słońca.

Sera uśmiechnęła się słabo. Była zbyt zmęczona, żeby zwracać uwagę na Bhimę. Nie zainteresowało jej nawet, kiedy usłyszała, jak służąca uciera coś w kuchni. Ale kiedy Bhima przyniosła do sypialni prymus, musiała zareagować.

– Bhima, co ty chcesz z tym tu robić? – wykrzyknęła.

– Szszsz, szszsz. *Bai*, pozwól mi skończyć. To receptura matki Gopala, z jego wioski. Kiedy pewnego razu ją odwiedziliśmy, akurat jedna z tamtejszych dziewcząt została zgwałcona i pobita przez gang gundów. *Bai*, kiedy

poszliśmy do niej, była cała sina, w ogóle nie dało się rozróżnić koloru skóry. Nawet *sahib* doktor nie wiedział, co począć. Moja teściowa poszła do domu i wróciła z tymi suszonymi liśćmi i gorącym olejem, i nasmarowała nimi całe jej ciało. I wierz mi lub nie, nazajutrz dziewczyna miała skórę jak nowo narodzona.

Sera chciała zaprotestować, ale czuła się zbyt znużona. Więc tylko leżała i patrzyła, jak Bhima bierze szczyptę ciemnego proszku i miesza go z olejem, po czym przykręca maksymalnie płomień prymusa i przez kilka sekund ogrzewa mieszankę. Następnie wylała olej na swoje szorstkie, pokryte odciskami dłonie i zaczęła go wcierać w ramię Sery.

Sera wzdrygnęła się. Nigdy wcześniej Bhima jej nie dotykała. Chciała zaprotestować, ale nagle nie potrafiła wskazać ani jednego powodu, dla którego Bhima nie powinna tego robić. Olej szczypał, przywracając ją do życia. Choć chude, lecz silne dłonie służącej masowały jedynie ramię, Sera miała wrażenie, że całe jej ciało wzdycha, że życie zaczyna się budzić w jej żyłach, ale nie potrafiła określić, czy to nowe, przyjemne doznanie wywołuje olej, czy prosta pocięcha, jaką niósł ze sobą czuły i przyjacielski dotyk dłoni innej istoty ludzkiej. Nawet najśłodsze chwile intymności z Ferozem nie były nacechowane równą szczodrością i bezinteresownością jak ten masaż. W końcu akt seksualny zawsze pociąga za sobą pewne zobowiązania. Trzeba spełnić potrzeby drugiej osoby, więc nawet kiedy Feroz koncentrował się na daniu jej rozkoszy, nie mogła zapomnieć o jego pulsującym ciele,

o tym, jak ją obserwował, jak wyczekiwał jej reakcji na swoje ruchy. Jeśli się nad tym głębiej zastanowić, seks okazuje się aktem czysto samolubnym, oczekiwaniami jednego ciała wplecionymi w potrzeby drugiego. Ale tutaj, z Bhimą, nic podobnego nie zachodziło. Tu mogła słuchać wyłącznie głosu swego odprężającego się ciała, obserwować jak ból i jad opuszczają siniaki i stają się równie nieszkodliwe jak czarny motyl, który na chwilę przysiadł na ramieniu.

Niemal jęknęła z żalu, kiedy Bhima przestała masować jej ramię, żeby przygotować więcej mikstury. Służąca obróciła ją delikatnie na brzuch i rozpięła guziki z tyłu jej sukni.

– Biedna Sera *bai* – mruzczała. – Tak wiele ciężarów dźwiga to biedne ciało. Tyle nieszczęścia. Oddaj je diabłu, pozwól mu odejść, nie noś go w sobie.

Dłonie Bhimy krążyły po gładkich plecach Sery – szarpiąc spięte mięśnie, uderzając w bolące miejsca, przesuwając się w górę i w dół kręgów, jakby to były klawisze fortepianu – a ona mówiła do swej pani w języku, który ta ledwie rozumiała. Sera czuła, jak jej ciało stopniowo rozluźnia się pod mądrymi rękami Bhimy i wtedy jakby zaczęła wędrować w czasie, wracać w przeszłość. Na moment stała się znów panną młodą siedzącą okrakiem na kolanach świeżo poślubionego męża, który kołysał nią w przód i w tył w seksualnym rytmie, potem małym dzieckiem na kolanach matki, tulonym do snu po gorącej, niespokojnej nocy, w końcu istotą i starszą, i młodszą niż poprzednie – małą rybką pływającą bez celu w ciepłym

świecie ciemności i cieczy, bytem równie bezkształtnym, półprzejrystym i płynnym, jak w owej chwili jej kości. Bhima nadal do niej mówiła, słowa spływające z jej warg były równie szybkie jak wróble o zmierzchu, język równie szybki jak ręce, aż wreszcie wszystko stało się zamazaną plamą słów i rytmu, mowy i ruchu. Sera zaczynała znikać, porwana prądem prastarej, pierwotnej pamięci, tonęła w morzu uczuć i doznań, jej ciało uwalniało się od starych krzywd i świeżych ran, pozostawiając w niej uczucie równie jasne i nowe, jak wstający dzień. Paradoksalnie, gdy ból ją opuścił, zaczęła płakać, jak gdyby dopiero teraz znalazło się w niej miejsce na łzy. Słone krople płynęły po twarzy Sery i wsiąkały w poduszkę, ale jeśli Bhima zauważyła drzenie jej pleców, nie powiedziała na ten temat ani słowa. Zresztą i ona była chyba w transie – dziwne marmrotanie kobiety zagłuszało nieme szlochy Sery, za co ta była jej szczerze wdzięczna.

Ostatnia rzecz, jaką Sera zapamiętała, nim zapadła w sen, to unoszący się w pokoju zapach oleju. Przypominał jej zapach mieszkania z dzieciństwa, a wspomnienie babki, tęgiej, szorstkiej kobiety z wielkim, miękkim jak poduszka łonem, do którego przyciskała głowę wnuczki, przywołało uśmiech na jej usta.

Kiedy się obudziła kilka godzin później, siniaki na jej ramieniu były znacznie mniejsze. Przedtem wyglądały jak mapa świata, a teraz jak mapa Brazylii. W innym wypadku byłaby zaskoczona, ale po tej sennej obcości masażu Bhimy wszystko wydawało jej się możliwe. Wstała z łóżka, włożyła stopy w gumowe klapki i poszła do kuchni. Nagle

poczuła się w niewytłumaczalny sposób onieśmielona obecnością kobiety, która pochylała się nad zlewem, szorując naczynia z równie wielkim zacięciem, jak kilka godzin wcześniej masowała jej plecy. Chciała podziękować Bhimie za dobroć, chciała ją poinformować, jak gorące i wspaniałe wydało jej się życie, gdy na powrót poczuła je w swoich żyłach, chciała Bhimie powiedzieć o tym, jak zimne stało się jej serce po tym ostatnim starciu z Ferozem i że ona na nowo je rozgrzała, zupełnie jakby wzięła ten zziębnięty, szary organ w swoje brązowe dłonie i rozcierała go, aż znów zaczęła w nim krążyć krew. Ale kiedy służąca uniosła głowę znad zlewu i popatrzyła na nią, omotała ją sieć onieśmienia. Od dawna podejrzewała, że Bhima jest jedyną osobą na świecie, która wie, że pięści Feroza potrafią czasem spadać na nią jak sępy na pustynię, że Bhima wie więcej o obcości panującej w małżeństwie niż przyjaciółki czy rodzina. A teraz miała jeszcze wrażenie, że Bhima posiada tajemniczy okular, za pomocą którego może zajrzeć do jej duszy, że w jakiś sposób spenetrowała jej ciało głębiej, niż kiedykolwiek uczynił to Feroz. .

– Lepiej? – spytała Bhima bez uśmiechu.

W odpowiedzi Sera uniosła rękę, żeby sama mogła zobaczyć znikające ze skóry sińce. Starsza z kobiet energicznie kiwnęła głową.

– Do jutra rana nie zostanie żaden znak po... Nic już nie będzie widać.

Sera poczuła, jak się czerwieni. Nie będzie widać śladów pobicia, to chciała powiedzieć Bhima. Wstyd kazał Serze odwrócić głowę, więc nie zauważyła, że Bhima odeszła od



zlewu i postąpiła kilka kroków w jej stronę, wycierając po drodze ręce w sari.

– Sera *bai* – odezwała się miękko. – Jesteś dużo mądrzejsza niż ja, jesteś wykształconą kobietą, a ja jestem niepiśmienna. Ale posłuchaj mnie, *bai* – nie możesz się godzić na to, co on ci robi. Powiedz o tym komuś. Powiedz ojcu – przyjdzie tutaj i złamie mu nos. Chcesz ukryć swą hańbę, *bai*, wiem to dobrze, ale to nie jest twoja hańba. To hańba Feroza setha, nie twoja.

Oczy Sery zaszły łzami. Pod wzrokiem Bhimy czuła się obnażona, niczym na zdjęciu rentgenowskim, ale ulga, jaką przyniosło jej nazwanie na głos przez innego człowieka tego, co robił jej Feroz, była przeogromna.

– Czy... czy Gopal nigdy cię nie bije?

Bhima prychnęła.

– Czy mnie bije? *Are*, gdyby ten głupiec raz mnie tknął, rzuciłabym na niego *dżadu* i zamieniła mu ręce w drewniane słupy. – Potem, widząc zaszokowaną twarz Sery, uśmiechnęła się. – Nie, *bai*. Dzięki Bogu, mój Gopal nie jest taki jak inni mężczyźni. Prędzej uciąłby sobie ręce, niż mnie skrzywdził.

Leżąc teraz w łóżku, Sera wspomina te słowa Bhimy odnoszących się do Gopala – „Prędzej uciąłby sobie ręce, niż mnie skrzywdził” – i uśmiecha się z goryczą. Czas pokazał, jak bardzo się myliła, zniszczył jej zaufanie do męża i pozostawił za sobą rozdartą wewnątrz, złamaną kobietę. Pod wieloma względami ona i Bhima były

takie same. Pomimo różnych torów, jakie obrało ich życie – co, jak teraz uważa, podyktowane zostało przypadkowością ich narodzin – obie znały ból obserwowania, jak przekwita ich małżeństwo. Gopal był dobrym człowiekiem, ale ukąsił Bhimę jak kobra i zabrał jej to, co miała najwspanialszego, najdroższego w życiu.

No cóż, nie ma sensu płakać nad przeszłością, myśli Sera, wstając z łóżka i wyłączając budzik. Lepiej skupić się na naprawianiu przyszłości, a to właśnie robi, pomagając Mai dokonać aborcji. Siedzi na brzegu łóżka i odmawia pięć *Jatha Ahu Wairjo*. Potem całuje mały obrazek w plastikowej ramce przy łóżku przedstawiający Zaratusztrę. Po cichu, żeby nie obudzić dzieci śpiących w pokoju obok, idzie do łazienki. Myśl o Dinaz przypomina jej, jak Bhima rozpieszczała jej córkę, kiedy ta była mała. Bhima oddała tej rodzinie wiele przysług, myśli. Jeśli Maja potrzebuje teraz mojej pomocy, jak mogłabym odmówić?

## 10

Przynajmniej nie muszę ich zabierać z tych slamsów, myśli Sera, wsiadając do taksówki. Bogu dzięki, że miała dość przytomności umysłu, by prosić Bhimę i Maję, żeby czekały na nią na przystanku, skąd pojedzie z Mają taksówką do kliniki doktora Mehty. Choć od czasu wizyty Sery w slamsach minęło wiele lat, nadal czuje dreszcz wstrętu na samo jej wspomnienie.

Bhima była chora na malarię. Nie mogła przyjść do pracy, więc przesłała wiadomość o swojej chorobie za pośrednictwem którejś z sąsiadek. Sera od razu wiedziała, że to coś poważnego. Zdawała sobie sprawę, że malaria jest chorobą, której nie wolno lekceważyć, więc postanowiła odwiedzić Bhimę i Maję.

Choć dom, w którym znajdowało się jej mieszkanie, dzielił od *basti* Bhimy zaledwie piętnastominutowy spacer, Sera czuła się tak, jakby wkroczyła do zupełnie innego wszechświata. Czym innym było przejeżdżać koło slamsów, które wyrastały wokoło całego miasta, a czym innym przebyć wąską dróżkę prowadzącą do jednego z nich

– patrzeć, jak buty z lakierowanej skóry ochlapuje mętna, błotnista woda zbierająca się w kałużach, dławić się upiornym smrodem gówna i Bóg raczy wiedzieć czego jeszcze, odwracać głowę, gdy dorośli mężczyźni sikają do otwartych rynsztoków ciągnących się za ich domami. I te muchy, wielkie jak wyrzuty sumienia. I bezdomne psy z łysymi plackami i ranami na grzbietach. I dzieci skrzeczące jak kurczaki, kiedy matki biją je otwartymi dłońmi. Sera chciała zawrócić, uciec z tego straszliwego świata, uciec do normalności swojego życia. Ale troska o Bhimę kazała jej iść dalej.

Ciągnął się już za nią ogon złożony z mieszkańców osady – podekscytowanych dzieci skaczących na jednej nodze, zaciekawionych kobiet i kilku co śmielszych mężczyzn, przez co jeszcze bardziej poczuła się obcą istotą, która trafiła tu z innej planety. Tłum był podniecony, rozradowany, a ciągłe brzęczenie rozmów goniło za nią jak stado os. Ale nikt nie próbował jej zagadnąć, jedynie pilotowali ją do chaty Bhimy – „Teraz w lewo, pszepani” i „Nie, *bai*, w tamtą stronę”. Wiedziała, że ludzie ze slamsów codziennie widują na ulicach dobrze ubranych, bogatych ludzi, takich jak ona, i że wielu z nich zapewne pracuje w domach takich jak jej. Znali jej świat. Nowość polegała na tym, że ktoś z niego pojawił się w ich świecie.

Ale najgorszą częścią tej wizyty – wspomnieniem, które nadal wywoływało rumieniec na twarzy Sery – było przyjęcie, jakie czekało ją w domu Bhimy. Jedno spojrzenie na Bhimę powiedziało Serze, że służąca jest śmiertelnie chora. Jej chuda twarz teraz przypominała szkielet, a oczy

błyszcząco wysoką gorączką. A mimo to Bhima wstała, żeby powitać Serę w swoim nędznym domu. Pogrzebała w swoich rzeczach, wyciągnęła banknot pięćorupiowy i kazała Mai iść po mangolę dla gościa – wiedziała, że to ulubiony napój Sery. Sami z siebie sąsiedzi Bhimy pośpiesznie przynieśli skądś drewniane krzesło i wszyscy zaczęli nalegać, żeby Sera na nim spoczęła. Kiedy zaprotestowała i powiedziała, że może usiąść na podłodze, zaczęli się śmiać, jakby im opowiedziała dobry dowcip. Maja wróciła z mangolą, a kiedy Sera chciała ją poczęstować, dziewczynka odmówiła, chociaż oblizywała się i odwracała głowę od widoku napoju.

Siedząc na jedynym krześle w izbie, otoczona przycupniętymi w kucki ludźmi, i racząc się mangolą na oczach wpatrujących się w nią wielkimi, głodnymi oczami dzieci, Sera poczuła, jak ogarnia ją poczucie winy i smutek. Popijając gęsty, słodki napój o smaku mango, miała wrażenie, że przetyka skrzep krwi. Kilkakrotnie próbowała udawać, że już się napiła i więcej nie może, ale za każdym razem Bhima wyglądała na wręcz zdruzgotaną jej odmową. Hojność biedaków potrafi sprawić, że my, ludzie z klasy średniej, zaczynamy się wstydzić, myślała zdumiona Sera. Ci ludzie powinni czuć do nas nienawiść, a tymczasem traktują nas jak członków królewskiego rodu. Przypomnienie tego, jak ona sama traktuje Bhimę – że nie pozwala jej siadać na meblach i każe jej jadać z oddzielnych naczyń – napełniło ją poczuciem winy. Wiedziała, że jeśli spróbuje coś zmienić w tych relacjach, Feroz dostanie szalu, jednak naznaczona chorobą, pałająca gorączką

twarz Bhimy oraz jej spontaniczna hojność zmusiły Serę do podjęcia natychmiastowej decyzji.

– Idziesz ze mną do domu i zostaniesz u nas, póki nie wyzdrowiejesz – oznajmiła. – I nie protestuj. Nie jesteś w stanie zająć się ani sobą, ani Mają. Wszyscy to widzą. Zabieraj rzeczy, które będą ci potrzebne, i idziemy.

Dotrzymała słowa. Następnego dnia zabrała nawet Bhimę na wizytę u rodzinnego lekarza, doktora Porusa, i pielęgnowała ją potem przez całą chorobę.

Ale teraz, gdy jej myśli ścigają się z taksówką, Sera nie znajduje w tym wspomnieniu ani dumy, ani pocieszenia. Pamięta natomiast, że Bhima, choć taka chora, spała na cienkim materacu na balkonie, bo sama myśl o tym, żeby ją położyć do jednego z łóżek była dla Sery zbyt odrażająca. A mała Maja spała na prześcieradle obok babci. Wówczas Sera obwiniała za to Feroza, powtarzała sobie, że na nic innego by się przecież nie zgodził. Ale prawda była taka, że to dla niej inne rozwiązanie byłoby zbyt przykre. Zapachy i widoki ze slamsów wryły się w jej pamięć, zupełnie jakby utrwaliły się na włosach i skórze. Za każdym razem, kiedy myślała o tym osiedlu, obecność Bhimy budziła w niej mimowolny wstręt, jakby ta kobieta stała się ucieleśnieniem wszystkiego, co było tam tak obrzydliwe. Od lat Serę zdumiewało, jak czysta i zadbana była Bhima, a teraz, kiedy trzeba było podać tej kobiecie lekarstwa, wrzucała je na otwartą dłoń chorej, nie dotykając jej ciała. Przez następne kilka tygodni z całych sił starała się trzymać Dinaz z dala od Bhimy. Powtarzała sobie, że to z powodu gorączki, ale tak naprawdę to chciała uchronić córkę przed tymi

przebłyskami brudu, jakie widziała teraz zawsze, kiedy patrzyła na swoją służącą.

Sera wzdycha tak głośno, że kierowca taksówki patrzy na jej odbicie we wstecznym lusterku. Choćbym nie wiem jak się starała, nie jestem w stanie zdjąć z siebie tej skóry klasy średniej, myśli. Robiła, co mogła dla Bhimy i jej rodziny i teraz musi przejść przez ten koszmar z Mają. Ale ze względu na nie obie będzie szczęśliwa, kiedy ta ponura sprawa dobiegnie końca. Nieszczęście strasznie odbiło się na Bhimie – wczoraj Sera musiała sobie zagryzać język co najmniej pięć razy, żeby nic nie powiedzieć, kiedy Bhima robiła głupie błędy, wynikające z nieuwagi.

Kiedy Sera dociera na przystanek, Bhima i Maja już na nią czekają. Widzi je pierwsza, dwie kobiety, które dzieli różnica niemal pięćdziesięciu lat, a jednak są ze sobą tak wyraźnie połączone więzami krwi i przeznaczenia. Choć nic nie mówią, ich ciała pochylają się ku sobie w nieświadomym geście zażyłości. Czułość wobec Mai zaciska Serze gardło. Minęło sporo czasu, odkąd widziała ją po raz ostatni, ponieważ kilka miesięcy temu – mniej więcej wtedy, kiedy wpadła, domyśla się teraz Sera – dziewczyna przestała się zjawiać w pracy, w mieszkaniu Banu. Ówczesna pielęgniarka chciała wychodzić o trzeciej po południu, więc Sera zatrudniła Maję, żeby wypełnić lukę do momentu przybycia nocnej opiekunki, która zaczynała o ósmej. To była łatwa praca – Maja musiała tylko

wpaść do mieszkania Banu w drodze powrotnej z college'u i przypilnować, żeby starsza pani dostała po południu herbatę, a potem kolację. Sera wiedziała, że komu innemu mogłaby zapłacić za tę pracę dużo mniej, niż płaciła Mai, ale dziewczyna była dla niej praktycznie członkiem rodziny i nie żałowała jej tych dodatkowych pieniędzy. Nastolatka zapewne i tak czuła się skrępowana wśród swych bardziej zamożnych kolegów z college'u, domyślała się Sera. W końcu niewielu z nich było sierotami, których jedyna krewna pracowała u kogoś jako służąca. Jeśli tych kilka rupii więcej mogło zmniejszyć jej dyskomfort, jeśli pozwalało na kupno lepszych ubrań, które zwiększały jej pewność siebie, to było warto.

– Proszę się zatrzymać zaraz za przystankiem – mówi do kierowcy. – *Bas*, tak, dobrze. Tylko na chwilę.

Kiedy wysiada z taksówki, one ją zauważają i idą ku niej. Sera ze smutkiem stwierdza, że Maja unika jej wzroku i tylko wpatruje się w ziemię. W jakiś sposób ten brak entuzjazmu dziewczyny na jej widok dotyka ją bardzo mocno, kładąc kres wcześniejszemu przyływowi uczuć.

– Witaj, Maju – mówi zimno. – Jak się miewasz?

– Dobrze – odpowiada Maja martwym głosem. A czując na sobie krytyczny wzrok Sery, w końcu podnosi głowę i patrzy na nią. Ale jej spojrzenie jest równie martwe jak jej głos, jakby ta twarz nagle obróciła się w kamień.

Bhima patrzy z niepokojem to na jedną, to na drugą.

– Ona jest dzisiaj w złym nastroju, *bai* – wyjaśnia.  
– Obudziła się taka ponura. – Stare, szare oczy w milczeniu błagają Serę, by zrozumiała i wybaczyła.



Serę nagle ogarnia pragnienie, by Bhima pojechała z nimi do szpitala. Nie ma ochoty zajmować się tą nową, ponurą Mają. Dziewczyna, którą zna, nad którą czuwała i którą kształciła, jest lżejsza i młodsza niż ta ciężka, przygnębiona młoda kobieta, stojąca przed nią dzisiaj. Walczy z chęcią przypomnienia Mai, że to ona sama prosiła, żeby Sera pojechała z nią do doktora, a nie odwrotnie. Ma również przez moment ukłucie poczucia winy – czy przypadkiem ona, Wiraf i Bhima nie spiskowali za plecami Mai, żeby ją zmusić do aborcji wbrew jej woli? W końcu nigdy nie zapytała Mai, czego tak naprawdę chce. Ale potem rzuca jedno spojrzenie na starą, zmęczoną twarz Bhimy i sztywnieje. Ta dziewczyna jest po prostu zbyt młoda i naiwna, żeby wiedzieć, co ją czeka, jeśli urodzi dziecko, nie będąc zamężna. Nie spodziewa się tego sępiego okrucieństwa, z jakim świat ją dopadnie i rozszarpie na strzępy. Nie, najlepiej pozbyć się dziecka, a potem, za kilka tygodni, może usiądzie z Mają i wyjaśni jej, jak ważne jest, by kontynuowała naukę. Może nawet pomoże jej się dostać do innego college'u, gdzieś, gdzie będzie mogła zacząć wszystko od nowa. Tym razem żadnych chłopaków, żadnych afer, tak jej powie. Tylko nauka. Pamiętaj, bez wykształcenia jesteś nikim. W tym mieście głodują nawet prawnicy z doktoratem. College nie wystarczy, żeby dostać pracę jako *ćanawala*. Taki sam wykład wygłosiła kiedyś córce, ale w przypadku Mai ucieknie się do jeszcze jednej groźby. Jeśli nie uzyskasz przynajmniej licencjatu, do końca życia będziesz zamiatać cudze podłogi i prać cudze ubrania. Czy tego właśnie chcesz dla

siebie? Takiego samego życia, jakie wiodły twoja matka i babka?

Myśl o nieżyjącej matce Mai łagodzi niechęć Sery do stojącej obok niej dziewczyny. Rzuca na nią okiem, ale jej twarz jest nadal równie pusta jak sufit. Sera wzdycha. Ma ochotę powiedzieć Bhimie, że zmieniła zdanie, że chce, żeby pojechała jednak z nimi do kliniki, ale się powstrzymuje. Bhima ma za dużo pracy w domu, żeby mogła tracić na to czas. Pomimo interwencji przyjaciela Wirafa jeden Bóg tylko wie, ile będą musiały czekać. A ostatnia rzecz, jakiej by chciała pod koniec takiego dnia, to powrót do brudnego domu.

– Zostawiłam klucze u sąsiadów obok – mówi do Bhimy. – Oni cię wpuszczą.

Maja patrzy ostro na Serę i wybucha nagle śmiechem, gorzkim jak migdał.

– Mogła wziąć klucze ze sobą – mówi do babki, jakby Sery w ogóle tu nie było. – Mogła ci je dać. Ale bardziej ufa swoim sąsiadom.

Sera jest wstrząśnięta tą bezczelnością. Chociaż nie, niedokładnie tak. To wrogość w głosie Mai ją szokuje. To i – cóż, trzeba nazywać rzeczy po imieniu – jej jawna niewdzięczność. Ale nim zdążyła odpowiedzieć, odzywa się Bhima.

– Ty głupia dziewczyno! – gromi wnuczkę. – Wsadzasz nos w nie swoje sprawy. Co cię to obchodzi, co Sera *bai* robi ze swoimi kluczami? To jej dom, *na*? Poczekaj, aż sama będziesz miała taki wielki-wielki dom, a wtedy będziesz robić ze swoimi kluczami, co ci się

tylko spodoba. A póki go nie masz, trzymaj gębę na kłódkę, rozumiesz?

Taka paskudna sytuacja z samego rana. Sera nie jest do końca pewna, co ją tu sprowadziło. To musi być wina ciąży, myśli, to niechciane dziecko rosnące w Mai przeczuwa swą nieuchronną śmierć i opiera się porzuceniu tego świata bez splamienia go swą obecnością. Na myśl o martwym dziecku przechodzi ją dreszcz. Im szybciej się skończy ten dzień, tym lepiej dla wszystkich, myśli. Nigdy dotąd nie widziała Mai takiej wściekłej, nastawionej tak obronnie, takiej niekulturalnej i – no cóż – tak wyraźnie udowadniającej, że pochodzi z hołoty. A Bhima, od chwili kiedy dowiedziała się o tej ciąży, zachowuje się zupełnie jak wariatka – raz jest powolna i nieprzytomna, raz pobudzona i zgryźliwa. Niechciana ciąża Mai rzuciła również cień na dom Dubaszów, jakby rosnące w niej dziecko przygłuszało jak chwast – radość, jaką powinni odczuwać na myśl o dziecku rozkwitającym w brzuchu Dinaz. Bo córka zapewne tłumiła własną radość przez szacunek dla smutku Bhimy – myśląc o tym teraz, Sera dostrzega dziwnie pościągliwe zachowanie Dinaz w ostatnich tygodniach. A przecież nie było ku temu powodów. Widziała, jakim koszmarem był pierwszy trymestr jej ciąży. Cały czas miała mdłości, była zmęczona, łatwo wpadała w złość i oboje z Wirafem rzucali się na siebie jak wrony na truchło rozjechanego na drodze zwierzęcia. Ale kiedy nudności i zmęczenie wreszcie minęły, z każdym mijającym dniem Dinaz coraz bardziej przychodziła do siebie. A mimo to dziecko Mai rzucało cień na ich szczęście. Trudno było

wrócić do domu z pełną torbą zakupów dla niemowlęcia, zastanawiać się, na jaki kolor pomalować drewnianą kołyskę, w której niegdyś spała Dinaz, wybierać szpital i położnika w obliczu śmiertelnie poważnej, ale czujnej twarzy Bhimy. Zupełnie jakby próbowali urządzić wesele w domu pogrzebowym.

No cóż, skoro już ma być pogrzeb, skoro dziecko żyjące w macicy Mai ma zostać zabite – Sera krzywi się na to słowo – nie ma czasu do stracenia. Lepiej od razu ruszać w drogę.

– Podrzucimy cię kawałek, Bhima, a dalej już pójdiesz sama – mówi dziarsko, wsiadając do taksówki. – My z Mają pojedziemy do kliniki. No już, wsiadajcie.

Maja waha się przez sekundę, nim wsiada do taksówki. Ale Sera udaje, że nic nie zauważyła.

# 11

Doktor Mehta jest wysokim, przygarbionym mężczyzną o smutnych oczach przysłoniętych opadającymi powiekami. Denerwujące jest to jego unikanie kontaktu wzrokowego z Mają, kiedy o niej mówi. Zamiast do niej, kieruje swe pytania do Sery.

– Więc jak ona się czuje? – pyta.

Sera rzuca okiem na Maję, która ze skupieniem wpatruje się w jakieś szczególne miejsce na swojej stopie.

– Dobrze – odpowiada wreszcie. – To znaczy wszyscy poczujemy się lepiej, kiedy...

– Wiem, wiem – mówi doktor pośpiesznie. Wstaje.  
– No cóż, proszę się nie martwić, pani Dubasz. Rozwiążemy ten mały problem w mgnieniu oka. – I po raz pierwszy, odkąd weszły do gabinetu, zwraca się do Mai.  
– Hmm, chodź ze mną, proszę – mówi. – Do kliniki idzie się tędy.

Dziewczyna również wstaje i patrzy na Serę. Po raz pierwszy tego ranka wygląda na przestraszoną. Jej oczy są wielkie, a nad górną wargą zbiera się jej warstewka potu.

Serce Sery przepelnia współczucie. Chce pocieszyć dziewczynę, ale ta łapie ją za rękę i trzyma mocno.

– Chodź ze mną – szepce gwałtownie. – Nie chcę tam być sama.

Sera patrzy na nią z przerażeniem. Obecność przy usuwaniu płodu to ostatnia rzecz, na jaką miałyby ochotę. Czuje, jak w gardle wzbiera jej odraza. Nie stawiaj mnie w takiej sytuacji, prosi w myślach. To dużo więcej, niż obiecywałam zrobić.

Nim jest w stanie odpowiedzieć, doktor Mehta przychodzi jej z pomocą.

– To nonsens, dziewczyno – mówi. – Nikomu nie wolno przy tym być prócz lekarzy i pacjenta. Krewni muszą zostać w poczekalni. I dlatego się boisz? Usuniemy to dziecko szybciej, niż wrywa się ząb.

Obie, i Sera, i Maja, wzdrygają się na to porównanie. Kiedy wymieniają spojrzenia, Sera klepie Maję po prawym ramieniu.

– Nie bój się – mówi. – Będę tu na ciebie czekać.

Sera siedzi w poczekalni, czytając stary numer „Eve’s Weekly”. W pokoju są jeszcze tylko dwie kobiety, a żadna z nich nie patrzy jej w oczy. Obie dobiegają pewnie pięćdziesiątki, a ich piękne sari i złota biżuteria wskazują, że pochodzą z bogatych rodzin. Zastanawia się, co im się przydarzyło. Przyszły tu zapewne, żeby załatwić sprawy swych dorastających córek. Nie ma takiej rzeczy, której nie dałoby się kupić za pieniądze, myśli. Wszystko, od jedwabnych prześcieradeł po aborcję w pięknej, słonecznej prywatnej klinice. A po-

tem reflektuje się. Ty też jesteś tu dlatego, że masz pieniądze, napomina się w myślach. I jest wdzięczna przyjacielowi Wirafa za załatwienie tej wizyty. Jakże inaczej wyglądałoby to wszystko, gdyby Maja musiała iść do państwowego szpitala. Sera słyszała o lekarzach opowiadających wulgarne dowcipy o upadłych kobietach i pod pretekstem badania ginekologicznego wkładających ręce w kobiece narządy dla swojej przyjemności. A większość tych kobiet jest zbyt ciemna, żeby wiedzieć, co się dzieje, i zbyt biedna, żeby protestować, nawet jeśli wiedzą... Wzdryga się na myśl, że Maja mogłaby trafić w takie miejsce.

Patrzy na zegarek i uświadamia sobie, że nie wie, o której zabrali Maję na zabieg. Nie ma pojęcia, ile to będzie trwało ani – i tu czuje szarpnięcie strachu – w jakim stanie będzie potem Maja. Powinnaś była zadać więcej pytań, gani się w myślach. Ale potem przypomina sobie pociągłą twarz doktora Mehty i jego smutne oczy. To nie jest człowiek, z którym można porozmawiać.

Myśl o doktorze Mehcie przywołuje obraz twarzy Mai, kiedy ten zabierał ją do kliniki. Wydawała się taka mała, taka przestraszona. Taka podobna do tej sierotki, która stanęła na jej progu wraz z Bhimą prawie dziesięć lat temu. Te dzisiejsze dzieci, wzdycha Sera. Przecież Maja jest jeszcze dzieckiem... a już nosi w sobie drugie. No cóż, dobrze chociaż, że przynajmniej zaraz to wszystko się skończy. Pomimo skrępowania, jakie czuje, przebywając w takim miejscu, Sera nie ma wątpliwości, że robią to, co należy. Jeśli chcą dać Mai

szansę, to ta sprawa musi się tu skończyć. Tu, w tej eleganckiej klinice.

Musiała się zdrzemnąć, ponieważ stoi teraz nad nią pielęgniarka w wykrochmalonym mundurku, cicho powtarzając jej nazwisko.

– Pani Dubasz? Może już pani zobaczyć pacjentkę.

Maja wydaje się taka mała i blada w szpitalnym łóżku. Sera zauważa, że oczy dziewczyny błyszczą od łez.

– Teraz możecie się cieszyć – mówi, nim Sera zdążyła otworzyć usta. – Moje dziecko nie żyje.

Sera wzdryga się. Czuje, jak wszystko się w niej burzy i próbuje się opanować, nim wypowie słowa, których potem będzie żałowała. Ta dziewczyna przeszła właśnie koszmar, napomina się w myślach. Bądź dla niej miła. I kiedy się odzywa, w jej głosie nie ma gniewu.

– Maju, niestety, nie było innego wyjścia – tłumaczy.  
– Ale mogę sobie wyobrazić, jak ci smutno. A jak się czujesz poza tym?

Maja zaczyna szlochać.

– Nie wiem – mówi. – To bardzo boli. Ale pielęgniarka powiedziała, że dadzą mi jakieś proszki. I że dojdę do siebie za dwa, trzy dni.

Do łóżka podchodzi doktor Mehta i daje Serze znak, żeby wyszła z nim z sali. Jego oczy wydają się jeszcze smutniejsze niż wcześniej.

– Silnie krwawiła – wyjaśnia. – Czasami to się zdarza. Niewykluczone, że pojawią się skurcze. A dziewczyna



może być słaba przez kilka dni. Jeśli pani uważa, że rodzinę na to stać, przepiszę coś na wzmocnienie.

– Proszę przepisać – mówi natychmiast Sera. – I proszę się nie martwić o koszty, doktorze. Chcę, żeby to dziecko miało wszystko co najlepsze.

Doktor Mehta uśmiecha się lekko, a Sera zdumiewa się, widząc, jak bardzo zmienia to jego twarz.

– Doskonale – mówi. – Doskonale. Niech pani posłucha, pani Dubasz, zatrzymam tu tę dziewczynę jeszcze kilka godzin, a potem odeślę do domu. Jeśli chciałaby pani... to znaczy, jeśli ma pani do załatwienia jakieś zakupy czy coś w tym rodzaju, może pani wrócić po południu. A teraz proszę zjeść jakiś lunch.

Kiedy Sera wraca kilka godzin później, ma dla Mai nowe *śalwar-kamiz*. Ma również lekarstwo, które przepisał doktor Mehta, i ananasa, i kilka bananów, i pomarańczy. Dziewczyna będzie musiała porządnie się odżywiać przez następne kilka dni. I da jeszcze Bhimie pieniądze, żeby codziennie kupowała Mai mleko kokosowe, to przyspieszy gojenie.

Maja siedzi na szpitalnym łóżku, czekając na nią. Jest już uczesana i przypomina Serze starannie zapakowaną w brązowy papier paczkę czekającą na odbiór.

– Gotowa? – pyta Sera, a Maja zsuwa się z łóżka z lekkim stęknieniem.

Kiedy wychodzą na zewnątrz, Sera zauważa, jak ostrożnie porusza się Maja, i czuje przypływ współczucia.

– Bardzo boli? – pyta, ale dziewczyna po prostu wzrusza ramionami, z obojętną miną.

Rozglądają się za taksówką.

– Jedźmy do mnie, dobrze? – mówi Sera. – Pozwolę Bhimie wyjść dzisiaj wcześniej, żeby cię zabrała do domu.

Pusta twarz Mai nagle się ożywia.

– Nie, *bai* – mówi. – Ja nie... ja... wystarczy, jak mnie podrzucisz na ten przystanek autobusowy koło *basti*. Wolę iść do domu i odpocząć, i poczekać na babcię.

– Maju, bądź rozsądna. Przecież nie dasz rady przejść od przystanku do *basti*. Przecież widzę, że cierpisz.

Tylko nie każ mi się odprowadzać do slamsów, proszę, dodaje w myślach.

– Nic mi nie będzie, *bai*. Naprawdę. Ja... ja tylko chcę pojechać do domu i się położyć. Proszę.

Sera czuje, jak coś, co dotąd trwało w niej napięte, odpuszcza. Oddycha głęboko. Jest zmęczona odpowiedzialnością za tę upartą dziewczynę. Jest zmęczona walką, zmęczona naporem gburowatości Mai. Rezygnacja jest znacznie lżejsza i łatwiejsza.

– Dobrze – mówi. – Jeśli tego właśnie chcesz. Pozwolę Bhimie wyjść, jak tylko dotrę do domu.

Przejeżdżająca obok taksówka zwalnia i Sera macha na nią. Maja opiera się o drzwi i patrzy uporczywie w okno. Resztę drogi odbywają w całkowitym milczeniu.

# Księga druga

## 12

Minęły dwa miesiące, myśli Bhima, a ona nadal nie wróciła do życia. Maja dzień za dniem siedzi w ich chacie, niczym wielki, kamienny posąg boga. Tylko że w przeciwieństwie do takich posągów nie wygląda gniewnie, mściwie czy radośnie. Nie chmurzy się jak Kali ani nie uśmiecha słodko jak Krysna. Siedzi z kamienną twarzą, jakby ten doktor od aborcji zabił coś więcej niż jej dziecko, jakby wyczyścił również jej wnętrze, jakby wyskrobał jej bijące serce, tak jak Bhima wyskrobuje włókniste wnętrze czerwonej dyni, którą *Sera bai* dodaje do dalu. Cokolwiek to jest, co sprawia, że ludzie śmieją się, tańczą, kochają i modlą się, i mają nadzieję, coś, co oddziela młodość od starości, życie od śmierci. Maja to utraciła. A Bhima, która nie potrafi tego ukraść, kupić albo pożyczyć dla wnuczki, odczuwa coraz silniej swoje ubóstwo, podeszły wiek i brak wykształcenia. Gdybym była wykształcona, myśli, wiedziałabym, co robić, znalazłabym lekarstwo w książkach. Wiedziałabym, kogo zapytać o radę – czy lekarza, czy kapłana,

czy nauczyciela. Ale jak mam uleczyć chorobę, której nazwy nie znam?

Wkrótce po zabiegu próbowała nakłonić Maję, aby na nowo podjęła naukę, ale dziewczyna zaatakowała ją wtedy tak zajadle, że słowa w ustach Bhimy zmieniły się w wyschnięte liście. To samo miało miejsce, gdy poruszyła temat podjęcia przez wnuczkę dorywczej pracy. Prawdę mówiąc, Bhima nie nalegała na to drugie z równie mocnym naciskiem jak na powrót do college'u. I tak nie było już pracy przy Banu. Nowa pielęgniarka Edna, którą Sera *bai* zatrudniła wkrótce po tym, jak Maja przestała się u niej pokazywać, mogła zostawać dłużej niż poprzednia, a na samą myśl o wnuczce harującej w domach obcych ludzi Bhimie skręcał się żołądek. Pracując dla Sery *bai*, mogły udawać, że pomagają tylko członkowi jej rodziny, który się znalazł w potrzebie. Myśl o wnuczce harującej tak jak ona sprawiała Bhimie ból. Przecież właśnie dlatego posłała Maję do college'u, żeby mogła sobie zbudować inną przyszłość.

Tego wieczoru atmosfera w ciemnej chacie, przytłoczona ponurą obecnością Mai, staje się dla Bhimy nie do zniesienia.

– Kąpałaś się dzisiaj? – pyta i czuje zadowolenie, widząc obrażoną minę wnuczki, która kiwa twierdząco głową. Jest jeszcze nadzieja, myśli. Nie zapamiętała się tak bardzo, skoro nadal jest próżna.

Ta słaba nadzieja każe jej działać. Gasi prymus, który zapaliła zaledwie kilka sekund temu.

– Ubieraj się – mówi. – Idziemy nad morze. Zjemy tam sobie *panipuri* albo *bhel*. Zamiast kolacji w domu.

Maja patrzy na nią przez chwilę, a potem w jej oczach pojawia się błysk. Obserwując, jak wnuczka podnosi się z podłogi, Bhima czuje ukłucie winy. Mogła o tym pomyśleć już dawno. Nic dziwnego, że Maja zmieniła się w kamień, skoro siedzi całymi dniami samotnie w tym ponurym miejscu. Przeklina się w myślach za to, że zapomniała, czego potrzebuje nastolatka – świeżego powietrza, zmiany otoczenia, towarzystwa, okazji, żeby wdziać nowe ubranie i nałożyć *kadźal* na powieki. Zmieniła się widać w maszynę, istniejącą tylko po to, by pracować i zarabiać, potrzebującą tylko tyle jedzenia i wody, żeby utrzymać się w ruchu. A skąd maszyna ma znać myśli i potrzeby młodej kobiety? Skąd masz wiedzieć, jak się czuje młode, czerwone serce, pulsujące życiem i pragnieniami? Nic dziwnego, że biedna dziewczyna tkwi przez cały dzień w domu jak wysuszona rodzynka.

Idą nad morze w przyjaznym milczeniu. Kiedy zbliżają się do wybrzeża, słyszą, jak ocean dudni o skały, a lekka, wilgotna mgiełka całuje na powitanie ich twarze. Maja uśmiecha się. Takim nagłym, niewymuszonym uśmiechem, przypominającym Bhimie siedmioletnią dziewczynkę, którą przywiozła tu z Delhi.

– Morze coś opowiada – mówi Maja, a Bhima na widok jej szczęśliwej, otwartej twarzy czuje, że nadzieja podnosi się w niej tak jak ta mgiełka znad skał.

– Twój dziadek zawsze tak mówił – odpowiada. – Kiedyś uwielbialiśmy tu przychodzić z twoją mamą i twoim wujkiem Amitem, kiedy byli mali.

Twarz Mai mrocznieje jak zawsze, kiedy babcia wspomina innych członków rodziny.

– Opowiedz mi – prosi. – Opowiedz mi o tamtych czasach.

Bhima marszczy brwi, przypominając sobie przeszłość. Przesiewa wspomnienia, jakby przesiewała ryż w domu Sery *bai*, usuwając twarde jak kamyczki ziarenka, zostawiając tylko te jasne i błyszczące.

– Przychodziliśmy tu co sobota – mówi. – Całą czwórką. Kiedy twoja mama była mała, Gopal ją nosił na ramionach. Nie tak jak inni mężczyźni, co tylko czekają, aż ich kobiety wykonają całą pracę. Twój dziadek nie był taki jak oni.

– A jaka była mama? Wtedy, kiedy była mała? – pyta Maja zdławionym głosem, a serce Bhimy drży przez chwilę, poruszone jej podekscytowaniem.

– Twoja mama? – śmieje się. – Twoja mama była taka jak ty, kiedy byłaś mała – chuda jak kij, ale silna. I inteligentna. Od początku potrafiłam czytać w jej myślach. Pamiętam, że jak karmiłam ją piersią i nie zabrałam jej od razu sutka, to mnie gryzła. Nawet jak nie miała zębów, samymi dziąsłami, *oe, Bhagwan*, gryzła mnie. Od dnia narodzin była z niej wojowniczką.

Śmieją się. Ale Bhima zauważa, że dziewczyna zadygotała się trochę, więc ciągnie ją ku betonowemu murkowi, który biegnie wzdłuż morza.

– Usiądźmy na chwilę – mówi. – Nogi mi się zmęczyły.

W głębi duszy martwi się o Maję. To nie jest normalne, żeby siedemnastolatka zasapała się po takim krótkim spacerze. To znak, że nie wszystko jest z nią w porządku. Bhima postanawia zapytać Serę o nazwę najsilniejszego leku na wzmocnienie dla wnuczki. Wszystko jedno, ile będzie kosztował, będzie go dawała Mai przynajmniej przez miesiąc. Żadnych pieniędzy nie szkoda dla tej dziewczyny, myśli, a poryw miłości, jaki czuje w owej chwili, jest tak silny, że mógłby poderwać ją z murka i cisnąć w morze.

Nagle czuje pragnienie podzielenia się z Mają swoją przeszłością. W końcu to jej dziedzictwo, te wspomnienia, które w niewidzialnym worku nosi ze sobą Bhima. Być może nadszedł właściwy moment, żeby przekazać jej część tego dziedzictwa, nim upływ czasu pozbawi go wszelkiego znaczenia.

– Był tutaj kiedyś sprzedawca balonów – mówi. – Stary Afgańczyk, Pasztun. Wysoki, godny człowiek. Dzieci go uwielbiały. Potrafił zrobić dla nich z balonów niewiarygodne rzeczy. Gopal ucinał sobie z nim pogawędkę – pytał go, jak idzie interes, gdzie mieszka w Bombaju – ale... ale ja nigdy nie mogłam się na to zdobyć. Nie wiem, dlaczego nigdy się do niego nie odezwałam. Teraz żałuję. Tak bardzo chciałam spytać go o pewne... sprawy.

– Jakie? – szepce Maja. Jej twarz błyszczy oczekiwaniem, jak zawsze, kiedy Bhima powierza jej okruchy swojej pamięci.



– Na przykład jak się czuje, będąc tak daleko od domu, czy tęskni za rodziną, gdzie jest jego żona. Ponieważ wiedziałam, że tutaj, w Bombaju, jest całkiem sam. Rozumiesz, to było widać w jego oczach, były samotne jak ocean. Widziałam to w jego oczach.

Maja źle ją zrozumiała. Kładzie dłoń na jej rękę.

– Nic się nie stało – mówi. – Na pewno wszystko z nim było w porządku.

Bhima kręci niecierpliwie głową.

– Nie, to nie dlatego. To znaczy martwiłam się o niego, ale nie dlatego żałuję, że o niego nie zapytałam – ścisza głos do szeptu. – Widzisz, myślę, że on mógłby mi pomóc... zmierzyć się z tym, co stało się później w moim życiu. On znał tę tajemnicę, rozumiesz? Tajemnicę samotności. Jak z nią żyć, jak owinać nią ciało, a mimo to być w stanie robić kolorowe i piękne rzeczy, takie jak te, które wyczarowywał z balonów. Mógł mnie tego nauczyć, gdybym tylko poprosiła.

Patrzą na siebie przez chwilę, a ich twarze są nagie i wyczekujące. Potem Maja zaczyna płakać.

– Przepraszam, babciu – mówi. – Przepraszam, że stałam się dla ciebie jeszcze jednym ciężarem. Wiem, jakie było twoje życie, i nigdy nie chciałam...

Inni siedzący na murku ludzie zaczynają się im przyglądać. Są jawnie zaciekawieni i podsłuchują bezwstydnie. Bhima rzuca okiem na młodego mężczyznę siedzącego koło Mai i ściąga dziewczynę z murka.

– Chodźmy – mruczy. – Za dużo ludzi ma tutaj gumowe uszy.

Kiedy idą, Bhima bierze wnuczkę za rękę. Nigdy nie przestaje jej cieszyć delikatność tej dłoni. To źródło jej dumy, ta ręka, ponieważ za jej delikatność zapłaciła własnym potem. Przypomina sobie własne dłonie w wieku siedemnastu lat – twarde, pokryte odciskami ręce małej służącej. Zniszczone od ściskania ostrej szczeciny miotły, od zanurzania ich w popiele, którym szoruje się garnki, aż zaczną błyszczeć. Maja uniknęła tego losu. Jak dotąd. Bhima pociera kciukiem o dłoń wnuczki, jakby gładziła kawałek aksamitu.

– Babciu, nie – chichocze Maja przez łzy. – To łaskocze.  
– Zawsze miałaś łaskotki. – Uśmiecha się Bhima.  
– Zawsze. Wystarczyło, że na ciebie spojrzałam, a już się wiałaś jak ryba. Kiedy cię tu przywiozłam z Delhi, zabierałam cię na cały dzień do Sery *bai* do pracy. A ponieważ byłaś nieśmiała i przestraszona, tylko w ten sposób można cię było skłonić do śmiechu. Sera *bai* cię łaskotała, a ty się śmiałaś.

– Babciu – mówi nagle Maja. – Nigdy mi tak naprawdę nie powiedziałaś, jak to było, kiedy pojechałaś do Delhi?

Bhima sztywnieje. Jej twarz zamyka się niczym kłapa zapadni.

– Nie ma sensu przywoływać przeszłości – mówi zdławionym głosem. – Dość złego się stało, że trzeba to było przeżyć. Nie ma potrzeby jeszcze tego wspominać. Zresztą dziewczyna taka jak ty wcale nie musi wszystkiego wiedzieć.

– Nie możesz mnie wiecznie ochraniać – protestuje Maja. – Muszę wiedzieć. W końcu to mnie dotyczy. To

byli moi rodzice – mój *baba* i moja mama. – A widząc upór na twarzy babci, dodaje: – To nie jest tylko twoja własność, babciu. To należy również do mnie. Tylko dlatego, że ty to przeżyłaś, nie możesz uważać, że to jest wyłącznie twoja sprawa. Nie mówiąc mi, z czegoś mnie okradasz.

Twarz Bhimy pozostaje niewzruszona, a wówczas oczy Mai nabierają chytrego wyrazu.

– Wiem, jak umarli, babciu – szepce. – Wiem, że umarli na AIDS.

Bhima żałuje, że nie zostały dziś w domu. To nocne powietrze, ten pełen szeptów ocean, ta anonimowość, kiedy szły wśród tysięcy nieznajomych, sprawiają, że Maja zadaje pytania, których normalnie by nie zadała. Rozgląda się za jakimś stoiskiem z jedzeniem, mając nadzieję, że zapach pieczonych orzechów albo batata-wady odwróci uwagę Mai.

– Jesteś głodna? – pyta.

Ale dziewczyna nie odpowiada. Wnuczka ma wysunięty do przodu podbródek i taki wyraz twarzy, jaki przybierała, rozwiązując jakieś trudne zadanie z księgowości. Nagle Bhima słyszy:

– Dlaczego rodzice zostawili cię tutaj i przenieśli się do Delhi?

– Ponieważ twój *baba* był najlepszym kierowcą w całej firmie. Kiedy jego szef przeszedł na emeryturę i przeprowadził się do Delhi, zabrał twojego babę ze sobą i zatrudnił jako prywatnego kierowcę.

Maja zastanawia się nad tą informacją.

– Może gdyby nie wyjechali do Delhi, nie... nie zachorowaliby.

Bhima nie jest pewna, jak powinna odpowiedzieć.

– Wola Boga – mówi nieprzekonywająco. Potem, czując, że powinna bronić swego zięcia, dodaje: – Radzu był dobrym człowiekiem. Bardzo kochał i ciebie, i Pudzę.

To nie zaspokaja ciekawości Mai.

– Cieszę się, że urodziłam się w Bombaju – oświadcza nagle. – W głębi serca jestem bombajską dziewczyną. Pamiętam, że mama też tęskniła za tym miastem.

Bhima ostrożnie kiwa głową, przygotowując się na kolejne pytania.

– Czy dziadek i Amit byli na ślubie? – pyta Maja, a kiedy babka kręci przecząco głową, dodaje: – Nie? Dlaczego?

– Ponieważ twoja mama ich nie zaprosiła – odpowiada Bhima krótko.

Przypomina sobie tę dawną sprzeczkę z Pudżą.

„Przecież twój ojciec żyje, nalegała. Pomyśl tylko, co ludzie powiedzą – dziewczyna, której ojciec żyje, bierze ślub bez niego”.

Ale Pudża nie ustąpiła.

„To niech ci sami ludzie przypomną sobie, jak nas traktował – oświadczyła. – Zapomniałaś, mamo, to nie my go porzuciłyśmy, to on porzucił nas. Dlaczego miałby wracać teraz, żeby przez jeden dzień wykonywać te swoje fałszywe *hirogiri* i wszystkich oczarować? Co ma nam do zaofiarowania oprócz tego, że przyjedzie wystrojony jak gwiazdor filmowy i będzie zjadał nasze potrawy? Poza tym ty sama mówiłaś... że jesteś moją matką i ojcem”.

Bhima zaczyna iść szybciej, a Maja podbiega, żeby do-  
trzymać jej kroku. Czuje na sobie wzrok dziewczyny, oce-  
niający jej nastrój. Próbuje przełknąć ślinę, żeby pozbyć  
się smaku skisłego mleka, który nagle wypełnił jej usta.

– Myślę, że powinna była – mówi Maja. – Mama po-  
winna była zaprosić dziadka na swój ślub. Jeśli ja kiedyś  
wyjdę za mąż, zaproszę go. I wujka Amita też – dodaje,  
łagodząc ton.

Bhima słyszy to i wie, że wnuczka chce dobrze. Ale ta  
wzmianka o małżeństwie przypomina jej, że dziewczyna  
jest już zepsuta, i nie może powstrzymać irytacji.

– Zapomnij o małżeństwie – mówi szorstko. – Myśl  
tylko o college’u i o niczym więcej.

Maja wzdryga się. Bhima ma żal do siebie za to, że spra-  
wiła jej tym ból, ale również czuje ulgę, że jej słowa po-  
wstrzymają dalsze pytania. Idą przez kilka minut w peł-  
nym rezerwy milczeniu.

– Chodź, kupimy sobie *bhel* – mówi w końcu Bhima.  
– Musisz coś zjeść.

Obie wiedzą, że jest to jej sposób na zawarcie rozejmu.  
Delikatna ręka Mai ujmuje dłoń Bhimy.

– Cieszę się, że mnie do siebie wzięłaś, kiedy mama  
i tata umarli – mówi niespodziewanie. – Nie wiem, co  
bym zrobiła, gdyby nie ty.

Ta dziewczyna jest jak jej dziadek, myśli Bhima. Po-  
trafi przekłuć mi serce słowami rozmiarów moskita. Że-  
by ukryć wzruszenie, lekko klepie Maję po ramieniu.

– Głupia dziewczyno – mówi szorstko. – To oczywi-  
ste, że cię wzięłam. Pochodzisz przecież z mojej krwi.

A co miałam z tobą zrobić, sprzedać cię handlarzowi starzyzną? Albo oddać do cyrku?

Maja uśmiecha się.

– Ciekawe, ile by za mnie zapłacił taki handlarz starzyzną.

– Pięć pajs. I nawet tyle byłoby za dużo za taką głupią dziewczynę jak ty.

Idą zatłoczonym chodnikiem, ich dłonie splecione są ze sobą palcami. Po kilku minutach Maja pochyla głowę i opiera ją na ramieniu Bhimy.

– Babciu – zaczyna swoim najbardziej urzekającym tonem, a Bhima sztywnieje, gotując się na kolejne pytania. Ale Maja mówi tylko: – Babciu, jestem głodna. Możemy sobie kupić *panipuri*, a nie *bhel*?

## 13

Telegram, który przyszedł z Delhi, brzmiał następująco: PUDŻA I RADŻU CHORZY STOP PRZYJEŹDŹAJ NATYCHMIAST STOP.

Bhima ruszyła do Delhi następnego ranka. Sera *bai* pomogła jej zdobyć bilety na pociąg.

AIDS.

Młody, zmęczony lekarz ciskał słowami w Bhimę stojącą w zatłoczonym, brudnym korytarzu państwowego szpitala, gdzie Pudża leży na pogryzionym przez mole składanym łóżku.

– Twoja córka ma AIDS – oznajmił niecierpliwie.  
– Zaraziła się od twojego zięcia. Rozumiesz? On nie żyje chyba dłużej niż do jutra. A jeśli chodzi o... – spojrział na kartę zawieszoną na łóżku – ... Pudżę, to trudno powiedzieć, jak długo jeszcze z nami będzie.

– Ejds? – powtórzyła szeptem. – Czy to coś takiego jak zatrucie? – Tylko to jedno mogło w jej pojęciu wyjaśnić, dlaczego Pudża i Radżu wyglądają na tak wyniszczonych.

Lekarz przygryzł od wewnątrz policzki i zmierzył ją wzrokiem.

– Nie wiesz, co to jest AIDS?

Kiedy pokręciła głową, nie próbował nawet ukryć swej odrazy.

– Co za ludzie – stwierdził. – Jeden Bóg wie, po co rząd wydaje *lakh* rupii, próbując was edukować w kwestiach planowania rodziny. To przegrana sprawa. – Patrzył na nią przez kolejną minutę, a potem obrócił się na pięcie.

– Nie mam czasu robić ci wykładu. Czekają na mnie jeszcze setki pacjentów do zbadania. A poza tym jestem lekarzem, a nie jakimś przeklętym nauczycielem. – Ruszył przed siebie, ale zatrzymał się jeszcze na chwilę. – Jeśli chcesz mojej rady, lepiej pożegnaj się z córką.

– A widząc jej zboląłą minę, dodał: – Przykro mi.

Bhima stała na szpitalnym korytarzu i nie była w stanie się ruszyć. Pudża i Radżu umierali? Czy dobrze usłyszała? Czy może przez swoją ciemnotę, jak zwykle, nie zrozumiała, co mówił ten doktor? I dlaczego był na nią taki zły? Rozejrzała się i zobaczyła setki ludzi równie oszołomionych i zrozpaczonych jak ona, wędrujących długim korytarzem. Wokół niej setki ludzi, a jednak nigdy nie czuła się taka samotna. Gdyby była w Bombaju, wiedziałaby, co zrobić. Zadzwoiłaby do Sery *bai* i poprosiła, żeby porozmawiała z tym młodym lekarzem. Nawet sąsiadki z *basti* nie opuściłyby jej w takiej chwili. Przełknęłyby dumę i zwróciła się do nich o pomoc. Dla Pudży z ochotą rozebrałaby się do naga i na kolanach błagała o wsparcie. Wszystko, byle ją tylko ocalić przed



tą brzydką, zzerającą ciało chorobą, która ją zabijała. Nagle ugięły się pod nią kolana. Wyciągnęła rękę, szukając oparcia na brudnej, poplamionej *pansupari* ścianie.

– *Oe*, niech ktoś pomoże tej kobiecie – usłyszała czyjś głos i jakieś ręce chwyciły ją powyżej łokcia. – Ostrożnie, *didi*, ostrożnie – powiedział inny głos. – No już, usiądź na chwilę na ławce.

Miała wrażenie, że jej głowa jest lekka jak wydrążony melon. Siedziała z zamkniętymi oczami, aż mdłości i zawroty głowy minęły, a potem otworzyła powieki, pod którymi cały czas miała obraz wychudzonej twarzy umierającej Pudży. Odwróciła się, żeby podziękować za pomoc, i zobaczyła przed sobą młodego, dwudziestokilkuletniego mężczyznę z niewielką bródką.

– Niech Bóg cię błogosławi, *beta* – powiedziała.

– Mam na imię Hajder – odparł tamten, a potem poderwał się z miejsca. – Dam ci wody – powiedział. – Mam ze sobą butelkę. – I nim zdążyła odpowiedzieć, odszedł.

Patrzyła, jak wraca do niej, przeciskając się przez ciągle rosnący tłum.

– Proszę, *didi* – powiedział. – Zimna, zimniuteńka woda.

Zawahała się na moment. Nigdy wcześniej nie dzieliła naczyń z muzułmaninem, a słyszane przez całe życie ostrzeżenia zawirowały jej w głowie niczym trąba powietrzna. Potem rozejrzała się po tym diabelskim miejscu. Zobaczyła wyniszczone, puste twarze umierających pacjentów, wymizerowane, postarzałe oblicza ich krewnych, poczuła obrzydliwy smród moczu i taniego tyto-

niu, wiszący w powietrzu niczym pętla na szubienicy. Zobaczyła miłą, zaciekawioną twarz Hajdera i uświadomiła sobie, że w tym zatłoczonym miejscu on jeden przyszedł jej z pomocą.

Wypiła. Woda ochłodziła jej spieczone gardło.

Hajder nie spuszczał z niej oka.

– Nie jesteś z Delhi, prawda, *didi* – powiedział, a zabrzmiało to bardziej jak stwierdzenie niż pytanie.

Przytaknęła.

– Z Bombaju – wyjaśniła pomiędzy łykami wody.  
– Ale moja córka i jej mąż mieszkają tutaj. Wsiadłam do pociągu do Delhi i przyjechałam wczoraj.

Hajder kiwnął głową.

– Rozumiem. A... tutaj jest twoja córka?

Nieproszone łzy wezbrały nagle w jej oczach.

– Córka i zięć. On jest na męskim oddziale.

Zaskoczyło ją to, że Hajder nie wydawał się zaskoczony.

– Ciągłe tak się dzieje – powiedział. – Dostaje tego mąż, a potem przekazuje żonie.

Poczuła nagłą falę gniewu. Czyli to Radžu za to odpowiadał? Co on takiego zrobił? Przyniósł do domu jakieś zepsute jedzenie? A może to było jak gorączka albo malaria, gdzie jedna osoba może zarazić drugą?

– Co takiego robi mąż? – spytała. – Jak to przekazuje?

Hajder zaczerwienił się. Popatrzył na Bhimę, jakby próbował ocenić, ile można jej powiedzieć. Odpowiedziała mu błagalnym spojrzeniem.

– *Beta*, jeśli mam znaleźć lekarstwo dla córki, muszę wiedzieć, co to jest ten ejds – powiedziała. – Jestem

ciemną kobietą, nic nie wiem. Doktor *sahib* był zbyt zajęty, żeby mi wyjaśnić, co to za choroba.

– Nie ma na nią lekarstwa – odparł Hajder, a ona wzdrygnęła się na nagie okrucieństwo jego słów. – To pierwsza rzecz, jaką trzeba zrozumieć, *didi*. Nikt nie zdrowieje z tej strasznej choroby. – Jego głos złagodniał na widok wstrząsu, jaki wywołały jego słowa. – Mówią, że to choroba krwi. Mężczyzna dostaje tego od, no wiesz... – Zamrugnął szybko powiekami, próbując ukryć zażenowanie. – Poprzez stosunki ze złymi kobietami. Dziwkami i im podobnymi – dodał, żeby Bhima na pewno zrozumiała. – A potem wraca do domu i przekazuje tę chorobę żonie. – Ściszył głos. – Mówią, że ulice Delhi są pełne zarazonych. Bombaju pewnie też.

Bhima była wstrząśnięta.

– Ale mój Radżu nie jest taki – zapewniła. – On i moja Pudża byli szczęśliwi w...

Hajder przygryzł dolną wargę.

– Nie mówię o twoim Radżu, *didi* – powiedział. A potem jego twarz się rozjaśniła. – Mówią, że to może mieszkać w twoim ciele przez wiele, wiele lat, nim się ujawni. Więc jeśli twój Radżu miał... no wiesz co... przed małżeństwem, choroba mogła już po prostu w nim być.

Zafascynowana Bhima zagapiła się na młodego człowieka.

– Jak klątwa – wyszeptała. A kiedy zobaczyła, że nie zrozumiał, dodała: – Ktoś rzuca na ciebie *dżadu*, no wiesz, wkłada obcięte paznokcie pod twój materac albo

zawija chili i limetę w stary gałgan i kładzie ci na drodze – i mijają lata, i myślisz, że jesteś bezpieczny. A potem pewnego dnia zdarza się coś złego i wtedy uświadamiasz sobie, że ta klątwa była z tobą przez cały czas. Po prostu o niej nie wiedziałeś.

– Dokładnie! – wykrzyknął Hajder. – Dokładnie jak przekleństwo, *didi*.

– Tylko że w naszym przypadku klątwą był mój zięć – stwierdziła Bhima gorzko.

Przez następne kilka dni Bhima opierała się na Hajderze jak na kuli. W tej krainie chorych jego zdrowie i energia wspierały jej własne, podupadające siły. Hajder biegał od łóżka swego umierającego przyjaciela – młodego, dwudziestotrzyletniego człowieka, którego rodzice się wyrzekli – do Bhimy i Pudży.

Był z nimi tego dnia, kiedy Pudża odwiedziła męża. Pomimo swojej okropnej choroby uparła się, że przejdzie przez cały długi korytarz, na oddział męski, żeby po raz ostatni zobaczyć się z Radżu. Jak zwykle Bhima poczuła się bezradna wobec determinacji córki. Pomyślała, że jedyne, co pozostało z Pudży, jedyne, co mogła rozpoznać przy tym jej jakże odmienionym ciele, była siła woli. Pudża ruszyła naprzód, a jej chude jak u szkieletu dłonie wbiły się w nadgarstek Bhimy i w ramię Hajdera. Ich powolny, chwiejny marsz przypominał Bhimie kondukt pogrzebowy, i tym w swej istocie był naprawdę, ponieważ kiedy dotarli do łóżka Radżu, niemal nie sposób było

odróżnić żywych od umarłych. Bhima czuła, jak podczas tej wędrówki umiera jakaś część jej samej, jak gdyby odpadł jakiś fragment tej starej, skrzypiącej maszynerii, w którą zmieniło się jej serce, i zgubił się już na zawsze. Podobnie było z Hajderem, niemal sztywnym ze zmęczenia opieką nad umierającym przyjacielem. Miał twarz pustą i poważną niczym więzień w celi śmierci. A jeśli chodzi o Pudzę... Bhima aż się skrzywiła, kiedy zauważyła, ile bólu sprawia jej córce osunięcie się na składane krzesło, które personel oddziału ustawił przy łóżku Radżu.

– Wybacz mi, *Bhagwan* – powiedziała do siebie – musiałam popełnić wiele złych czynów w moim poprzednim życiu, skoro karzesz mnie tym *dżanam*. Widok cierpień własnej córki to pewnie kara zarezerwowana wyłącznie dla morderców i innych podobnych złoczyńców.

Pudża opadła wreszcie na krzesło.

– Radżu... – szepnęła. – Radżu, otwórz oczy. Spójrz, to ja, Pudża. Dotrzymałam obu obietnic, jakie ci złożyłam, mój mężu. Obiecałam ci, że nie umrzesz samotnie i że nie zostawię cię samego na tym padole łez. Ty odchodzisz pierwszy, *dżanu*, a ja pójdę za tobą.

Oczy Radżu otwarły się. Patrzył na Pudzę, ale Bhima nie była pewna, czy w ogóle kogokolwiek widzi. Jego prawa ręka, spoczywająca na piersiach, uniosła się lekko, drżąc. Pudża natychmiast ujęła ją w swoje dłonie, krzywiąc się, tak wiele kosztowało ją to wysiłku. Gładziła przez chwilę dłoń Radżu, a potem delikatnie opuściła ją z powrotem na jego pierś. Jego oczy pozostały otwarte jeszcze przez jakąś minutę. Potem zamknął je i znów zaczął oddychać z okrop-

nym rżeniem. Pudża odwróciła się do matki, a jej źrenice zmętniały pod wpływem strachu.

– Mamo! – wykrzyknęła. – Zabierzmy stąd Radżu i jedźmy do domu! Boję się tego, co się stanie, jeśli zostaniemy w tym upiornym miejscu.

Bhima spojrzała na Hajdera, szukając pomocy, niepewna, co odpowiedzieć. Część niej pragnęła z całych sił zapakować do taksówki oboje chorych dzieci i zawieźć do domu, gdzie mogłaby im ugotować dobry, wzmacniający posiłek i opiekować się nimi, aż wyzdrowieją. Ale powstrzymywały ją stanowcze słowa Hajdera, że nikt nie może przeżyć tej strasznej choroby. Nim zdążyła wymyślić, co odpowiedzieć, Pudża odezwała się znowu.

– Nie, Bóg życzy sobie, byśmy umarli tutaj, wśród obcych – powiedziała szeptem. – Nasz los jest postanowiony, jeszcze nim przyjdziemy na świat. Tak zawsze było. I tak będzie.

Pudża uparła się, że zostanie na tym drewnianym składanym krześle, w wąskim przejściu między łóżkiem męża a sąsiednim. Kilka razy Bhima próbowała ją nakłonić do powrotu do łóżka, ale potem dała spokój. Było oczywiste, że Radżu nie przeżyje nocy, a dla Pudży ważne było dotrzymanie obietnicy danej mężowi. Więc Bhima przykucnęła na podłodze koło córki, a noc napełniła się odgłosami kaszlących i jęczących mężczyzn. Choć najbardziej dokuczał jej zapach – słaby zapach fenolu, którym sprzątacze zmywali kamienną podłogę, ostry zapach środka owadobójczego rozpylanego w powietrzu, by zabić komary krążące wokół wilgotnych łóżek, a przede wszystkim zapach

śmierci, który unosił się tu niczym mroczna obietnica. Od czasu do czasu zbierała się na odwagę, by ująć wychudzoną rękę Pudży w swoje dłonie, za każdym razem walcząc z odrazą, gdy jej palce natrafiały na kość zamiast ciała. Jak ciężko walczyła i pracowała przez lata, by utuczyć tę rękę! I po co? Żeby jakiś mężczyzna zaraził jej córkę chorobą, która obróciła ją w szkielet. Patrzyła z gorczyzą na Radżu toczącego milczącą walkę ze śmiercią i stwierdziła, że nie ma w sobie dość siły, by go nienawidzić. Czuła jedynie litość, przenikającą ją do kości, dojmującą litość dla tego umierającego mężczyzny, dla swojej Pudży, dla siebie samej, dla Hajdera, dla wszystkich uwięzionych w tym szpitalu.

Poczuła, że córka poruszyła się obok niej.

– Dlaczego nie wysłałaś mi wcześniej telegramu?  
– szepnęła i natychmiast pożałowała tego, na widok bólu, który przemknął jak chmura przez twarz Pudży.

– Nie wiem, mamó. Radżu nie chciał, żeby ktoś wiedział. A szczególnie ty. Tak bardzo się wstydził, wiesz? A poza tym przez długi czas chorował tylko on, ja nie. Łapał zaziębienia, które trwały tygodniami, miał pęcherze w ustach, które nie chciały się goić. I kurcze żołądka. *Are, Bhagwan*, jakie to było straszne! – Wzdrygnęła się. – Ale ja nie narzekałam, bo byłam silna. Mogłam się opiekować i nim, i Mają. Nie było potrzeby cię niepokoić. Jakies sześć miesięcy temu ja też zaczęłam chorować. Wtedy...

– Sześć miesięcy? – Bhima nie zdołała ukryć oburzenia. – Chorowałaś przez sześć miesięcy i nic mi nie powiedziałaś? Córko, mogłam przyjechać i ci pomóc...

– Wiem, mammo, wiem. Ale co się stało, to się nie od-  
stanie. Taki był boski plan wobec twojej okropnej córki...

– Urwała na długą chwilę. Wyczerpał ją wysiłek związa-  
ny z mówieniem. Bhima poczuła wyrzuty sumienia.

– Masz rację – powiedziała, klepiąc jej kościstą rękę.

– Nie ma sensu rozwodzić się nad przeszłością. A teraz  
odpocznij.

Milczały bardzo długo. Potem, jakby nie nastąpiła żad-  
na przerwa, Pudża znów zaczęła mówić. Jej głos był tak  
cichy, że Bhima musiała nadstawiać ucha.

– Widzisz, nie wiedzieliśmy nawet, co to za choroba,  
aż mniej więcej trzy miesiące temu poczułam się bardzo  
źle. Wtedy Nanavati *sahib*, szef Radżu... zaczął nalegać,  
żebyśmy oboje zbadali krew. Radżu mu opowiadał, jak to  
nie mogę spać w nocy, jak budzę się zлана potem i w dre-  
szczach. Sahibowi Nanavati musiało wtedy coś zaświtać  
w głowie. To wtedy po raz pierwszy zobaczyliśmy ten  
okropny szpital. Nie mieliśmy pojęcia, że kilka miesięcy  
później poznamy go doskonale. Teraz oczywiście widuję  
go nawet w snach.

Bhima wiedziała, że nie powinna zadawać tego pyta-  
nia, ale nie mogła się powstrzymać.

– A... jak Radżu złapał tę *daku* chorobę?

Twarz Pudży zastygła w kamienną maskę.

– Nie ma sensu o to pytać, mammo. Co się stało, to się  
stało. To mój mąż. I przedtem zawsze traktował mnie  
niczym królową.

Jakby to słysząc, Radżu jęknął. Bhima poderwała się  
na równe nogi i pogładziła jego rękę.



– Radżu *beta* – powiedziała łagodnie. – Już dobrze. Wszyscy przy tobie jesteśmy, *beta*. Śpij teraz.

Ale Radżu zajęczał jeszcze głośniejsze, przenikliwie, a ten głos niósł w sobie taką straszną samotność, że aż Bhimie podniosły się włoski na rękach. To był głos człowieka, który jest zupełnie sam, który stoi nad brzegami rzeki odseparowany od innych istot ludzkich. Ten jęk sprawił, że puściły tamy jej opanowania.

– Radżu! – zapłakała. – Spójrz, Pudża jest tu przy tobie. Ja też jestem. Zaopiekuję się Pudżą, obiecuję. I Mają – dodała szybko. – Wychowam Maję jak własne dziecko. O nic nie musisz się martwić Radżu *beta*. Możesz już odejść. Odejdź w pokoju.

Szczęki Radżu poruszyły się kilka razy. Otworzył i zamknął usta. Zaczepnął głośno tchu, aż całe jego ciało przeszedł dreszcz. Jego ręka zadrżała kilka razy na piersi. I odszedł.

Bhima i Pudża popatrzyły na siebie, zbyt odrętwiałe, żeby coś powiedzieć. Bhima niejasno zdawała sobie sprawę, że Hajder podbiegł do łóżka Radżu i że coś do niej mówi. Ale nie słyszała go. Jeszcze tropiła ślady śmierci na wycieńczonym ciele Radżu. Jeszcze była w szoku, że śmierć okazała się w istocie tak natarczywą i brutalną siłą. Kruche ciało Radżu drżało i uginało się pod jej wielkim ciężarem i ponurym oddechem.

Pudża powoli odwróciła głowę od martwego męża. Spojrzała na matkę, a po jej policzkach płynęły łzy.

– Teraz moja kolej – powiedziała cicho.

Godzinę później przyszedli po ciało Radżu. Dwaj mężczyźni, którzy bez słowa owinęli brązowe i kruche jak gliniane naczynie zwłoki w prześcieradło i wynieśli na korytarz. Dwaj mężczyźni wykonujący swą pracę z brutalną efektywnością. Bhima wyczuła alkohol w ich oddechach i odczuła to jak obrazę. Chciała zaprotestować przeciw temu brakowi szacunku, ale potem zauważyła, że stłoczeni na szpitalnym korytarzu krewni ledwie schodzą z drogi mężczyznom niosącym skurczone ciało Radżu i tylko na chwilę przerywają rozmowę na ich widok. Och, dotykali z szacunkiem czoła, kiedy mijała ich ta mała procesja, ale Bhima widziała, że ten wyuczony gest wynikał raczej z przesądów i przyzwyczajenia niż ze szczerego smutku z powodu odejścia kolejnej ludzkiej istoty. I już po chwili znów pogrążali się w rozmowie, jakby ciało Radżu było tylko małym kamyczkiem w jeziorze, zdolnym wywołać zaledwie niewielką, przelotną zmarszczkę na gładkiej powierzchni wody. Zupełnie jakby cały ten szpital opanowała obojętność na śmierć. Albo może nie była to obojętność, tylko klęska bezsilnych pokonanych? Może tyle energii kosztowało zachowanie życia, że nie starczyło jej już na opłakiwanie zmarłych.

Była szósta rano, kiedy dotarli na otwarty teren za szpitalem, gdzie równocześnie płonęło z dziesięć stosów pogrzebowych. Unosił się nad nimi czarny dym – w kolorze rozpacz – czasami rozlegał się trzask, gdy ogień trawił kości. Bhima patrzyła, jak układają ciało Radżu na drewnianej płycie. Hajder zostawił swego umierającego przyjaciela i towarzyszył jej aż tutaj. Piekły ją oczy od

dymu płonących stosów, ale nie odrywała wzroku od ciała Radżu, które objął ogień. Płomienie wystrzeliły wysoko w czerwieniejące na wschodzie niebo. Znad stosu uniósł się straszny odór, mdlący i zatęchły, odór wilgotnej bawełny i kulek na mole. Omal nie zwymiotowała, ale cały czas patrzyła, jak ciało Radżu zmienia się w popiół. Skupiła się na płomieniach, które lizały ciało zięcia niczym ognisty język. Jest tak, jak miało być, powtarzała sobie bez przekonania. Ten biedny chłopiec tyle wycierpiał. Śmierć jest dla niego wybawieniem, a nie karą. Musisz o tym pamiętać.

Ale potem pomyślała o Pudży i o małej dziewczynce Mai, za którą wkrótce będzie odpowiedzialna, i jej ciało zaprotestowało gwałtownie przeciw temu, co się działo. Zapragnęła wskoczyć na stos i nakazać płomieniom, by przestały pożerać Radżu. Zażądać, aby zięć wstał ze swego łoża z drewna i popiołu i podjął swoje obowiązki. Iść do Pudży i kazać jej pokryć kości ciałem i wrócić do domu, do dziecka, u boku zdrowego męża. Chciała się cofnąć do drugich urodzin Mai, kiedy Pudża i Radżu zaprosili ją na obiad, a ona kupiła w prezencie cały, zupełnie nowy strój dla swej prześlicznej wnuczki: czerwono-białe buciki, różową sukienkę i kokardę do włosów w tym samym kolorze. Chciała, żeby jeszcze raz odbyli taką rozmowę jak wtedy po obiedzie. Radżu powiedział jej o ofercie nowej pracy, z dużo wyższym wynagrodzeniem, a ona była z tego taka zadowolona, póki jej nie wyjaśnił, że to będzie oznaczać przeprowadzkę do Delhi. Wówczas zmusiła się do uśmiechu, uciszyła protestujące serce i powiedziała

Radzu, by zrobił to, co najlepsze dla jego rodziny. A przygnębionej Pudży przypomniała, że miejsce zamężnej kobiety jest u boku męża, a nie przy starej matce. Teraz już by tak nie postąpiła. Teraz pragnęła wrócić do tamtego dnia i okazać swoje niezadowolenie. Chciała powiedzieć Radzu, że rodzina to coś więcej niż pieniądze, że sama podejmie dodatkową pracę, żeby mu zadośćuczynić utratę zarobku, jeśli zostaną w Bombaju. Teraz byłaby bezwstydną, bezlitosną. Przypomniałaby Pudży, że poza nią nie ma nikogo na świecie, że odebranie jej jedynej wnuczki jest równoznaczne z morderstwem, że jest starą kobietą i po jej śmierci mogą się przeprowadzić, gdzie zechcą – do Delhi, do Kalkuty, na księżyc – ale nie póki ona żyje.

Z jej gardła wydobył się jakiś gulgot. Hajder położył niepewnie dłoń na jej ramieniu.

– *Didi*, bądź dzielna – powiedział głosem człowieka dużo starszego niż w istocie miał lat. – Musisz być dzielna dla córki.

Chciała powiedzieć: dla mojej córki zrobię wszystko – będę dzielna, silna, nieustraszona. Dla niej mogę chodzić po potłuczonym szkłe, położyć się na rozgrzanych węglach, przeprawić się przez lodowatą wodę. Ale wiem, że moja córka zostanie na ziemi jeszcze tylko kilka dni. Wkrótce pojawi się kolejny stos. Tylko tym razem spłonie na nim ciało dziecka, które urodziłam. Niemowlęcia, które gryzło mnie w pierś. Sześcioletniej dziewczynki, która zwymiotowała po zjedzeniu sześciu bananów na raz. Jedenastolatki, która kiedyś wróciła zapłakana z pracy u Benifer Otwieraczki-Butelek-z-Wodą-Mineralną, ponieważ dostała miesiączki

i sądziła, że wykrwawia się na śmierć. Szesnastolatki, która stała się milcząca i poważna, kiedy jej ojciec porzucił nas jak schodzoną parę butów. A po tym drugim pogrzebie, kiedy Pudża zmieni się w proch na moich przeklętych oczach, po tym, jak już zobaczę horror umierania mojego własnego dziecka, będę chciała stopnieć jak lód, rozsypać się jak piasek, będę chciała rozpuścić się jak cukier w szklance wody. Będę chciała przestać istnieć, rozumiesz? Ponieważ, i postaraj się to pojąć, Hajder – kiedyś miałam dwoje dzieci, a teraz nie mam żadnego. Jedno nie żyje, drugie zniknęło, rozpuściło się, wykradzione ode mnie przez tego karalucha, mojego męża. Matka bez dzieci w ogóle nie jest matką, więc skoro nie jestem matką, to znaczy że jestem niczym. Niczym. Cukrem rozpuszczonym w szklance wody. Albo solą, która znika, kiedy ją dodać do potrawy. Jestem solą. Bez moich dzieci przestaję istnieć.

Hajder, dla takiej kobiety jak ja śmierć będzie luksusem. Powitam ją z otwartymi ramionami, tak jak niegdyś witałam miłość. Ale bogowie są okrutni. Ty również otrzymujesz tę gorzką lekcję, choć jesteś taki młody. Bogowie będą się bawić brzydką, nieszczęśliwą, głupią i niepiśmienną Bhimą, ponieważ wiedzą, że nie jest dość sprytna, by im za to odpłacić. No i jest jeszcze Maja. Kość z mojej kości. Co się z nią stanie, jeśli skoczę na stos pogrzebowy Pudży, tak jak mam ochotę? Co się stanie z dziewczynką sierotą na ulicach Delhi? I ty, i ja znamy odpowiedź. Będzie żebraczką albo, gorzej, prostytutką. Na pewno nie Indirą Gandhi, co to, to nie. A więc muszę żyć. Chociaż jestem już martwa, wiem, że muszę żyć.

Ponieważ żyjemy nie tylko dla siebie, *he na, beta?* Przez większość czasu żyjemy dla innych, stawiamy jedną nogę, a potem drugą, lewą i prawą, lewą i prawą, aż chodzenie staje się nawykiem tak jak oddychanie. Wdech i wydech, lewa i prawa. Musisz mi wybaczyć, *beta*, wiem, że mącę ci w głowie. Ja też się tak czuję... Tu nie ma wiatru, ogień pożarł cały wiatr, jest tak gorąco i ciasno, jakby to było wejście do puszczy Rawany, a ten zapach, *beta*, zapach zwiędłych kwiatów i pajęczyn, i naftaliny, i zgnilizny, ten zapach tkwi gdzieś w mojej głowie i nigdy mnie nie opuści, wiem, że będzie mnie prześladował przez resztę moich dni, czuję, jak przesiakają nim moje kości, jak osadza się w moich żyłach niczym kurz...

Hajder złapał ją, kiedy już osuwała się na ziemię.

Następnego dnia Bhima przyprowadziła do szpitala Maję, a w nagrodę otrzymała blady uśmiech córki.

– *Oe chokri* – powiedziała Pudża łagodnie do Mai, która przywarła do nogi Bhimy. – Chodź tutaj. Zapomniałaś o mamie w ciągu tych kilku tygodni?

Maja nieufnie zbliżyła się do matki.

– Zrobiłam coś dla ciebie w szkole – powiedziała, podając jej rysunek kwiatka.

Pudża uśmiechnęła się z wysiłkiem, ledwie rzucając okiem na obrazek.

– To wspaniale, że chodzisz do szkoły. Jesteś pewnie najlepszą uczennicą?

Maja uśmiechnęła się nieśmiało.

– No tak.

Chora zamknęła oczy, wyczerpana rozmową. Maja odwróciła się i popatrzyła na babcię.

– Będzie spała – stwierdziła oskarżycielsko. – A ja jej nawet nie powiedziałam, co powiedziała mi nauczycielka. – Patrzyła przez długą chwilę na matkę. – Babciu, dlaczego mamusia jest taka brzydka?

– *Ćup re*, ty niedobra – uciszyła ją Bhima. – Twoja mama jest równie piękna jak zawsze, tylko dziś musisz lepiej się przyjrzeć, żeby dostrzec to piękno.

Dziewczynka podeszła o krok bliżej i zaczęła się przyglądać twarzy śpiącej matki.

– Patrzę z całych sił, ale dalej jest brzydka – stwierdziła, po czym wybuchnęła płaczem.

Bhima przebyła przestrzeń między nimi i przytuliła płaczące dziecko do piersi. W tej samej chwili siostra kobiety, która leżała dwa łóżka dalej, zaczęła zawodzić tak przenikliwie, że głos ten wprost jeżył włosy na głowie.

– O *Bhagwan*, moja siostra nie żyje! – krzyczała. – Och, siostrzyczko, powiedz coś do mnie, powiedz cokolwiek! O Boże, zabierz i mnie, czemu zostawiłeś mnie samą na tej pustej ziemi?

Słuchając tych zawodzeń, Maja zaczęła się trząść.

– Babciu, boję się – powiedziała. – Chcę do domu.

Bhima nie zdołała się opanować.

– Zamknij się! – wrzasnęła do lamentującej kobiety. – Przestań wszystkich straszyć. Co ty sobie myślisz, że ty jedna tu rozpaczasz? Że reszta z nas jest zrobiona

z kamienia? – Widok ściągniętej twarzy kobiety i jej szeroko otwartych ust tylko mocniej rozпалиł wściekłość Bhimy. Na języku miała gorzki smak, jakby skosztowała popiołów ze stosu pogrzebowego Radżu, a okrutne słowa, które padały z jej warg jak proch, zabarwione były tą samą goryczą. – Zatrzymaj swoje łzy dla siebie. Nawet jeśli dożyjesz stu lat i tak nie zaznasz bólu, jaki niektórzy z nas widzieli. Lamentujesz nad ciałem siostry, podczas gdy ja muszę patrzeć, jak moje jedyne dziecko...

– Cisza! – rozległ się donośny męski głos, zagłuszając słowa Bhimy. – Czy ty nie masz wstydu, starucho? – To był ten lekarz, którego spotkała w korytarzu kilka dni wcześniej. Najwyraźniej jej nie poznał. – Kim wy, ludzie, jesteście, zwierzętami? Nie macie szacunku dla śmierci i rozpaczycy innych? Walczycie ze sobą jak dzikie psy. – Stał nad Bhimą, która z całych sił przyciskała do piersi główkę Mai, jakby nie chcąc, by dziecko słyszało burę, jaką właśnie dostaje babcia. – To jest szpital, a nie jedna z tych waszych śmierdzących chałup – złościł się lekarz. – Jeśli nie potraficie przestrzegać obowiązujących tu zasad, to zabierajcie swoich chorych i idźcie do domu!

Bhima poczuła, jak pojedyncza kropla potu zbiera się na jej karku i spływa po plecach. Oczy zasły jej łzami. Spojrzała szybko na Pudżę, żeby sprawdzić, czy córka była świadkiem jej upokorzenia, ale ona nadal leżała z zamkniętymi oczami. Więc powoli uniosła wzrok i wpatrzyła się w kołnierz białego fartucha lekarza.



– Wybacz mi, doktor *sahib* – wymamrotała. – *Maf ka-ro*. Proszę, wybacz mi.

Lekarz wyglądał tak, jakby chciał powiedzieć coś więcej, ale powstrzymał się na widok Mai, kulącej się teraz za plecami babci. Patrzył jeszcze przez dłuższą chwilę na Bhimę, a potem odwrócił się.

– To beznadziejne – powiedział do siebie, ale na tyle głośno, żeby go usłyszała. – Ten cały szpital, wszystko, to beznadziejna sprawa. Powiniennem być jechać do Stanów, jak miałem okazję. Tam przynajmniej mają szacunek dla ludzkiego życia.

Po jego słowach zaległa cisza. Część zgromadzonych przy łózkach krewnych patrzyła na Bhimę z wyraźną satysfakcją, że tak się jej dostało, inni odwracali wzrok, zakłopotani jej upokorzeniem. Młoda kobieta dwa łóżka dalej zaczęła cicho szlochać, wtulając głowę w nogi niezującej siostry. Maja również pochlipywała, ściskając w rączkach sari Bhimy.

– Chodźmy stąd, babciu – prosiła. – Chcę do domu.

– Poczekaj, *beta* – odparła Bhima. – Chodź, usiądź na chwilę przy mamie.

– Nie chcę.

– No to poczekaj na mnie tutaj. Ja zaraz wrócę.

Bhima podeszła do łóżka martwej kobiety. Słyszając jej kroki, zrozpaczona siostra bojaźliwie uniosła twarz. Jej nieufne spojrzenie sprawiło, że Bhimie ścisnęło się serce.

– Przykro mi z powodu twojej straty, dziewczyno – powiedziała. – Przepraszam cię za moje ostre słowa. Spróbuj mi wybaczyć, jeśli możesz. Nie wiem, co... Wczoraj

byłam na pogrzebie zięcia. A tam leży moja córka. Ale moje okropne słowa...

– Nie musisz prosić o wybaczenie – odparła kobieta powoli. – Tu nie ma na nie miejsca. A mówiłaś samą prawdę. Tu wszyscy jesteśmy pogrążeni w bólu.

Maja przesuwiała się powoli za Bhimą.

– Babciu, chodź! – zaczęła krzyczeć. – Nienawidzę tej sali!

Na twarzy Bhimy pojawiła się gorycz.

– Czas ją zabrać do domu – stwierdziła. Po czym ściszyła głos. – Ona jeszcze nie rozumie – wyciągnęła rękę i położyła ją delikatnie na głowie siedzącej kobiety. – Niech Bóg nad tobą czuwa, *beti* – powiedziała. – I pamiętaj, ci, którzy nie mają nikogo, mają Boga.

W ciągu następnych dwóch tygodni Bhima zaczęła się upodobniać do pacjentów szpitala. Wstawała codziennie wcześnie rano, ubierała Maję i odprowadzała do sąsiadów, a potem szła do córki. Zwykle na lunch zjadała banana. Czasami, kiedy opierała się o szybę w autobusie, widziała swoje odbicie, widziała ciemne kręgi, jakie pojawiły się wokół jej oczu, i uświadamiała sobie, że jej twarz zaczyna być równie chuda i wyczerpana jak twarz Pudży. Ale rejestrowała tylko bezmyślnie takie szczegóły, zupełnie jakby nie do końca rozpoznawała samą siebie. Miała w głowie dziwny zamęt. Zbyt wiele sprzecznych myśli brzęczało w niej jak pszczoły. Powinna zawiadomić Gopala, że jego córka umiera. Bez względu na to, jak zniszczył go alkohol,

wiedziała, że zrobi wszystko, by dotrzeć do Delhi na czas, żeby pożegnać się Pudzą. Ale jak się z nim skontaktować? Miała jedynie adres jego starszego brata, i to nie przy sobie, tylko w chacie, w slamsach, w tej starej walizce, którą dała jej Sera *bai*. Kogo mogłaby poprosić o odszukanie tego adresu? Raczej trudno byłoby oczekiwać, że Sera *bai* pójdzie do tego oiedla i przekaze jej prośbę któremuś z sąsiadów. Zresztą i tak, odkąd przybyła do Delhi, nie miała czasu poszukać kogoś, kto napisałby do Sera *bai* list w jej imieniu, informujący o tym, co tu zastała. Wiedziała, że jej pani się martwi, ale odkąd wkroczyła do tego szpitalnego świata, gdzie czas się zatrzymał, reszta jej życia jakby się gdzieś zapodziała. Zupełnie tak, jakby żyła jedynie w tym przybytku chorób i śmierci, a wszystko inne stało się tylko niejasnym, zamglonym cieniem wspomnienia.

Może choroba Pudży była karą za to, że nie zaprosiła Gopala na ślub? W końcu wiedziała, że to źle wróży, jeśli córka wychodzi za mąż bez ojca, który przekazałby ją w ręce małżonka. Nic dziwnego, że na Pudżę spadła choroba. Taka już jest natura choroby, że spada na tych, którzy są słabi i wrażliwi. Nie powinna była słuchać tyrad córki wygłaszanych przeciw ojcu. Pudża była tylko młodą, głupią dziewczyną – co ona wiedziała o podstępności bogów, o tym, jak mściwy potrafi być los? Ale ona, Bhima, przecież wiedziała. Pamiętała przypadek Semy, kobiety, która wprowadziła się na parter domu jej rodziców. W święto Diwali, miała wtedy dwanaście lat, wszyscy lokatorzy zebrali się na podwórku, żeby puszczać fajerwerki i częstować się słodyczami. Wszyscy, prócz Semy

i jej męża. Wśród skwierczenia i trzasków fajerwerków słychać było ich kłótnię. Słowa Semy śmigają przez okno parterowego mieszkania, gorące jak rakiety, które wystrzeliwali w niebo: „Bezużyteczny obibok... byle co... leniuchuje całe dni... Obyś był równie martwy jak to, co nosisz między nogami!”.

Ktoś poszedł do niej, zapukał i poprosił, by ściszyła głos. Pomogło. Ale na dobre ucichła cztery miesiące później. Pewnego wieczoru wróciła z pracy, poszła do łóżka i nigdy więcej się już nie obudziła. Wszyscy pamiętając, jak pomstowała na męża w święto Diwali, tylko kręcili głowami nad wolą bogów. „Bogowie sprawili, że jej słowa odwróciły się przeciwko niej” – stwierdziła wtedy matka Bhimy.

Pewnego dnia, kiedy Bhima dotarła do łóżka Pudży, zastała przy nim Hajdera.

– Jak ona się czuje? – spytała, a Hajder rozjaśnił się w szerokim uśmiechu.

– Nieźle – odparł. – Doktor *sahib* był na obchodzie i nawet on stwierdził, że dziś Pudża wygląda świetnie.

Bhima rzuciła okiem na córkę i z ulgą stwierdziła, że obecność Hajdera rzeczywiście ją rozweseliła.

– Spałaś w nocy, *beti*? – spytała łagodnie.

Pudża uśmiechnęła się do niej.

– Jest mi lepiej, kiedy jesteście tu przy mnie oboje z Hajderem – powiedziała. – A jak moja mała? Czy tęskni za mamą?

– Tęskni bardzo – skłamała Bhima. – Cały czas o ciebie pyta. Kiedy mamusia wróci do domu? Kiedy pójdziemy razem na melę?

Ale bolesny wyraz twarzy córki uświadomił Bhimie, że nie należało tego mówić.

– Powiedz jej, mamó – szepnęła Pudża. – Ona musi zrozumieć. Powiedz jej, że ja już nie wrócę do domu.

Hajder odchrząknął.

– Przyjdę później – powiedział.

Patrzyły, jak młodzieniec wychodzi z sali, po czym Pudża sięgnęła po rękę Bhimy.

– Cieszę się, że on ci pomaga, mamó. Tak mi wstyd, że sprawiam ci tyle kłopotów...

– Kłopotów? Posłuchaj, *chokri*, kim ja niby jestem? Nie jestem jakąś tam kobietą z targu. Jestem twoją matką, nosiłam cię w brzuchu przez dziewięć miesięcy. – Wbrew samej sobie Bhima uśmiechnęła się na to wspomnienie. – I nawet wtedy byłaś wojownicza. Cały czas mnie kopałaś. *Bap re*, myślałam, że urodzę takiego zapaśnika jak Dara Singh.

Pudża odwróciła głowę, ale Bhima i tak zauważyła łzy spływające po jej policzkach. Te wszystkie łzy wylane na świecie – gdzie one się podziewają? Gdyby udało się je wyłapać, nawodniłyby wyschnięte pola w wiosce Gopala, i nie tylko w niej. Wtedy może łzy miałyby jakąś wartość, a cała ta rozpacz jakieś znaczenie. A tak było to tylko czyste marnotrawstwo, niekończący się cykl narodzin i śmierci, miłości i straty.

Tamtego dnia Pudża była w rozmownym nastroju. Bhima nie mogła uwierzyć w to, co zobaczyła: jej córka zdawała się wracać do życia. Pomimo wychudzonej twarzy i oczu, które błyszczały dziwnie, odnajdowała ślady

dawnej Pudży. Po południu zaczęła nalegać, by córka przespała się kilka godzin, ale ona wolała rozmawiać. Wspominała swoje pierwsze spotkanie z Radżu i dzień, w którym przyszła na świat Maja. Opłakiwała chwilę, kiedy zostawiła Bhimę samą w Bombaju.

– Powinniśmy cię byli zabrać ze sobą, mamó – mówiła. – Wtedy te lata rozstania nie bolałyby mnie tak bardzo. Radżu był sierotą – co on wiedział o miłości w rodzinie? Ale ja nie powinnam była się na to zgodzić. – Jej wychudła twarz pokryła się jaskrawym rumieńcem, jakby zapaliło się wewnątrz niej jakieś światełko.

Patrząc na twarz Pudży, Bhima poczuła niepokój.

– *Beti*, za bardzo się zamęczasz tym gadaniem. Odpocznij teraz.

Ale Pudża płonęła niczym płomień świecy.

– Wkrótce pozostanie mi tylko odpoczynek, mamó. Dziś jest dobry dzień. Czuję się silna. Pozwól mi mówić. Poza tym muszę ci powiedzieć wszystko o Mai. Ona ma bardzo miękkie serduszko. Łatwo ją zranić. I uczy się bardzo szybko. Już umie pisać.

Milczała przez jakąś minutę, odzyskując oddech. Policzki miała czerwone, rozpalone.

– Jeszcze jedno. W banku mamy trochę pieniędzy. Nasze *katha* jest w State Bank. Książeczka czekowa leży w sejfie, w tym metalowym kredensie. Pamiętasz, w tym, który Sera *bai* dała nam w prezencie ślubnym. To właśnie tam. Wyciągnij z banku wszystkie pieniądze. Wypisałam kilka czeków na okaziciela, nim poszliśmy do szpitala.

– *Beti, beti*, to nie czas na gadanie o pieniądzach. Poradzę sobie, obiecuję. Dopilnuję, żeby twojej córce, póki żyję, włos nie spadł z głowy.

Oczy Pudży zaszklily się łzami.

– Wiem, mammo. Tylko dlatego mogę umrzeć w spokoju. Gdyby ciebie nie było, musiałabym powrócić jako duch, żeby zająć się moją małą.

– *Aćća*, śpij teraz, *beti*. Oszczędzaj siły. Śpij. Będę przy tobie, kiedy się obudzisz.

Pudża już się nie obudziła. Ale nie odeszła bez walki. Kiedy tamci dwaj mężczyźni przyszedli po jej ciało, jej twarz świadczyła o straszliwej bitwie, którą stoczyła ze śmiercią. Zupełnie jakby śmierć zdeptała ją swymi kopytami.

I znów we dwoje z Hajderem stali przy stosach, a Bhima patrzyła, jak płomienie wykonują swój demoniczny taniec wokół ciała jej córki. Maja, szeptała do siebie co chwila. Pamiętaj, że jesteś wszystkim, co tej małej zostało na świecie. Bądź dzielna, starucho, bądź dzielna dla niej.

Trzy dni później Hajder przyszedł na dworzec, żeby się pożegnać przed ich wyjazdem do Bombaju. W jasnym świetle dnia zauważyła na jego młodej twarzy bruzdy, których nie dostrzegła w szpitalu.

– Nawet jeśli dożyję stu lat... – zaczęła.

Przerwał jej uściskiem dłoni.

– *Didi*, proszę – powiedział. – Odjedź w pokoju i spróbuj zapomnieć o całym tym złu.

Patrzyli sobie przez długą chwilę w oczy, a Maja niecierpliwie ciągnęła Bhimę za rękę.

Wsiadły do pociągu i odszukały swoje miejsca. Gładząc główkę Mai z włosami starannie rozczesanymi na boki, Bhima westchnęła.

– Nie wiem, czy dam radę – szepnęła do Hajdera, który stał na peronie, pod ich oknem. Chodziło jej o to, że nie zna tego dziecka tak, jak znała Pudżę. Nie wiedziała, jak wyglądają w środku usta Mai, jaki jest w dotyku jej krzyż, czy woli słodczyce, czy rzeczy wytrawne, jak ją pocieszać, kiedy choruje.

– Wszystko będzie dobrze – zapewnił ją Hajder. – Miej wiarę, *didi*, miej wiarę.

To były ostatnie słowa, jakie do niej powiedział, nim pociąg odjechał z peronu. Patrzyła jak jego słodka, melancholijna twarz robi się coraz mniejsza i mniejsza, aż znikła zupełnie w oddali.



## 14

– Sera! Dinu! Witajcie! Witajcie w moich skromnych progach – wykrzykuje Aban Driver, wychodząc im na spotkanie. – Oe, gdzie Wiraf? Parkuje samochód?

Dinaz śmieje się, gdy idą korytarzem prowadzącym do bawialni. Zawsze ma w sercu ciepłe miejsce dla kobiety, w której domu poznali się jej rodzice.

– Dobrze cioteczkę widzieć – mówi. – Wiraf przyjdzie później. Zatrzymali go w pracy.

– Doskonale. Doskonale – mówi Aban. – Ten biedny chłopiec pracuje tak ciężko. Ale oczywiście musi – dodaje, patrząc na wydatny brzuch Dinaz – skoro będzie miał na utrzymaniu maluszka.

Ona i Sera wymieniają znaczące spojrzenia.

Kiedy wchodzi do zatłoczonej bawialni, podchodzi do nich Perwez Driver. Sera jest zaskoczona tym, jak się postarzał od czasu, kiedy wpadła na niego na ślubie znajomych, jakiś rok temu.

– Witaj, Sero, witaj, Dinaz! – mówi Perwez tak samo nieśmiało i niepewnie, jak zawsze w obecności Sery. Al-

bo może zachowuje się tak przy wszystkich? – Wchodźcie, proszę, i czujcie się jak u siebie w domu. – Zgania z kanapy jakichś młodzieńców, żeby zrobić im miejsce.

– A gdzie Toxy? – pyta Sera. W końcu były tu z jej powodu. Przyszły uczcić zaręczyny najmłodszego z trojga dzieci Aban i Perweza.

– Jest w drugim pokoju z przyjaciółmi – odpowiada Aban beztrąsko. – Wiesz sama, jacy są teraz ci młodzi – nie chcą tracić czasu dla nas, starych. Tak, tak, Dinu, teraz i ty zaliczasz się do staruszków – dodaje, chichocząc. – W końcu jesteś już zameżną kobietą i spodziewasz się dziecka.

Dinaz podrywa się z miejsca.

– Nonsens – mówi z uśmiechem. – Idę poszukać Toxy i innych.

Perwez odchrząkuje, a obie kobiety podnoszą wzrok, dając znak, że dostrzegają jego obecność.

– Czego się napijesz, Sero? – I nie czekając na jej odpowiedź, dodaje: – Piwo Kingfisher, o ile mnie pamięć nie myli?

Wszyscy wybuchają śmiechem.

– Widzisz, jaki to podrywacz? – pyta Aban. – Wszyscy sądzą, że to taki *bhola-bhola* mąż pantoflarz, a tymczasem wielki z niego flirciarz.

Mężczyzna, którego Sera spotykała przy innych podobnych okazjach, ale którego nazwiska nigdy nie zapamiętała, zwraca się teraz do jej przyjaciółki:

– Ale powiedz prawdę, Aban. Przecież ciągle kochasz tego swojego niewydarzonego mężusia?

Kiedy wybucha śmiechem, widać mu dziąsła.

– Oczywiście – odpowiada Aban, biorąc Perweza za rękę i przytulając ją do policzka. – *Are wah*, co to za głupie pytanie? Mój mąż to najlepszy z najlepszych.

– O mój Boże – mówi Mina Gupta. To jedna z nielicznych osób na przyjęciu, która nie jest parsyjką. – Popatrzcie na Perweza, zaczerwienił się jak panna młoda. Jak tak dalej pójdzie, nie będziemy wiedzieli, które z nich bierze ślub, on czy Toxy.

Kolejny gość, kobieta, której Sera nie zna, klepie się po kolanie i śmieje się głośno.

– Masz rację, Mina, masz świętą rację – mówi.

Sera popija kingfishera, którego nalał jej Perwez, i rozgląda się dyskretnie po pokoju. Pomimo świeżej warstwy farby bawialnia ku jej zaskoczeniu wygląda niemal tak samo jak w dniu, kiedy po raz pierwszy zobaczyła tu Feroza na przyjęciu z okazji dwudziestych ósmych urodzin.

Rzuca okiem na okrągłą twarz Aban, na jej obwisłe, mięsiste policzki i liczne podbródki i przychodzi jej do głowy, że czas mocno przeorał to oblicze swoimi szponami, ściągając je brutalnie w dół. Bez najmniejszego drgnięcia próżności patrzy na swoje odbicie w lustrze kredensu firmy Godrej, który stoi naprzeciwko niej, i stwierdza, że jakimś cudem czas ją oszczędził. Ma twarz kobiety w średnim wieku, która zachowała swoją młodzieńczą żywotność, a jej skóra jest gładka i napięta jak w dniu, kiedy spotkała Feroza. W przeciwieństwie do twarzy Aban, która stała się miękka i gąbczasta niczym pudding. Przyjaciółka

wygląda równie marnie, jak ten pokój ze starymi, niepasującymi do siebie meblami, z *dżala* kurzu pod krzesłami i ze skrzypiącym wentylatorem pod sufitem, którego chyba od dwudziestu lat nikt nie czyścił. W przeciwieństwie do tego pokoju bawialnia Sery lśni niczym klejnot, ma jasną, świeżą farbę na ścianach i jest przytulna dzięki cichemu szumowi klimatyzacji, kosztownej kanapie i fotelom, które Feroz zamówił specjalnie do tego mieszkania, oraz różanemu stolikowi do kawy, który Bhima codziennie poleruje. Sera próbuje sobie przypomnieć, czy Aban była równie nieporządna w młodości. Nawet dziś, choć ubrała się odświętnie, ramiączko stanika co chwila wychodzi jej spod sari przy odkrytych ramionach, a na gorsie ma brązową plamę, zapewne po *catni* albo jakimś innym sosie.

Ale jeśli nawet Perwez widzi to wszystko, chyba się tym nie przejmuje. Sera zauważa, że nie oddala się zbyt daleko od żony, a kiedy znajdują się po przeciwległych stronach bawialni, ich oczy bez ustanku szukają się nawzajem. Raz nawet Aban przesyła mężowi przez pokój pocałunek, a Perwez łapie go szybkim ruchem ręki. Sera uśmiecha się na ten widok. Perwez dostrzega to, też się do niej uśmiecha i z zażenowaniem, niepewnie wzrusza ramionami.

Kochani, starzy Aban i Perwez, myśli sobie Sera. Tyle lat po ślubie, a ciągle zachowują się jak zakochani. Przenika ją ostry i nagły ból, który rozpoznaje jako zazdrość. Aby ją ukryć, bierze kolejny łyk kingfishera. Kiedy znów unosi wzrok, Aban idzie w jej kierunku.

– Daj spokój, Sera, czemu jesteś taka smutna? Piwo niedobrze schłodzone czy coś gorszego?

– Piwo jest w porządku – odpowiada. – Nie, świetnie się bawię, siedzę tu sobie i rozmyślam...

– Oczywiście, oczywiście – mówi Aban, pochylając się, co sprawia, że wygląda jak smutny klaun. – Czasami jestem taka nieczuła, *bap re bap*, że mam ochotę się zastrzelić. Co za gospodarz ze mnie, wielka, gruba gaduła. Oczywiście, musi ci być brak Feroza. W końcu to tu się po raz pierwszy spotkaliście, prawda?

Sera patrzy na swą najstarszą przyjaciółkę, nie wiedząc, co powiedzieć. Zazdrości Aban tej prostoty, tej łatwości w dzieleniu świata na miłość i nie-miłość, dobro i zło. Ale to, co sama czuje, jest bardziej skomplikowane. Od czasu śmierci Feroza musi zmagać się bezustannie z tym skomplikowanym równaniem, tym *bhelpuri* urazy i żalu, samotności i ulgi. Czy tęskni za Ferozem? Odpowiedź nie jest łatwa. Nie tęskni za upokarzającym biciem, za jego zapiekłym gniewem, za swą własną tchórzliwą usłużnością i udawaniem, że w jej małżeństwie dobrze się dzieje. Nie, za tym nie tęskni. Prawdę mówiąc to, za czym tęskni, to nie małżeństwo, tylko marzenie o małżeństwie. Nawet teraz, po tylu latach, nadal tęskni za tym mężczyzną, za którego wychodziła za mąż. Tęskni za tym, czego nigdy nie doświadczy, za życiem w takim związku, jaki stanowią Aban i Perwez, którzy spędzili razem tyle lat i nadal przesyłają sobie przez pokój pocałunki.

Aban nie daje jej czasu na odpowiedź.

– A pamiętasz wyprawę do Matheranu? Jak się tam bawiliśmy? Słowo ci daję, oboje z Perwezem nadal opowiadamy dzieciom o tym wyjeździe. Boże, jacy wtedy byliśmy młodzi!

Tym razem Sera uśmiecha się zupełnie szczerze. To naprawdę była radosna wyprawa. Byli z Ferozem małżeństwem od zaledwie trzech miesięcy, kiedy Aban przekonała ich, żeby pojechali z nią i jej mężem na wakacje.

– Zgódź się, *jar*, nasza przyjemność będzie wtedy podwójna – nalegała. – No zgódź się, zgódź się, powiedz tak. I ty, Feroz, też.

A uśmiechnięty Feroz wyraził zgodę.

– Pamiętasz te małpy i ich *badmaśi*? – pyta teraz Aban. – Jak nigdy nie dawały nam zjeść w spokoju śniadania na werandzie? – Odwraca się do pozostałych gości. – Jeśli odłożyło się na moment banana, kradły go i uciekały. Raz jedna próbowała wyrwać mi go z ręki. Mówię wam, wrzasnęłam tak głośno, że ogłuszyłam chyba nie tylko tę małpę, ale i dzieci jej dzieci.

Wszyscy się roześmiali.

– Hej, hej, zapominasz o najlepszym – mówi Perwez. – Raz przy stole siedziałem z okularami na nosie, a jeden z tych czerwonotyłkich drani zeskoczył z drzewa i mi je porwał. I wyobraźcie sobie tylko, siedzi na gałęzi zaraz obok i wkłada moje okulary! Siedzi tuż poza zasięgiem moich rąk i gada coś do siebie w małpim języku. Byłem taki zły, że chciałem już wspiąć się na to drzewo i przyłożyć raz czy dwa temu złodziejaskowi!

– Och, nie! – wykrzyknął jeden z gości. – I co robiłeś przez resztę pobytu?

– *Are*, o co ci chodzi? – pyta Perwez. Niezwykle energicznie, jak na niego, co każe Serze przypuszczać, że nie jest to jego pierwszy drink. – W końcu był z nami cudowny Feroz Dubasz. I wiecie, co zrobił? Usiadł i zaczął obserwować tę małpę. Po kilku minutach zorientował się, że ona naśladuje nas we wszystkich czynnościach. Więc wszedł do środka i przyniósł własne okulary. Najpierw włożył je na nos, tak jak małpa. Potem je zdjął i położył na głowie, a małpa to samo. Następnie wsadził sobie do ust jedną rączkę i zaczął ją ssać. Małpa też. Ja już byłem strasznie zły, ale Aban kazała mi zaufać Ferozowi. A on właśnie wtedy upuścił swoje okulary na ziemię. I wiecie, co się stało? Ta głupia małpa też upuściła moje. A ja byłem szybki jak błyskawica, rzuciłem się na nie i złapałem. Głupia małpa siedziała potem na drzewie, wyszczerzając na nas żółte zęby i drąc się śmiesznie.

– To cudowne, naprawdę cudowne, *jar* – mówi Mina Patel, jakby to wszystko zdarzyło się przed chwilą. – Pani mąż był mądrym człowiekiem, pani Dubasz.

Sera przyjmuje ten komplement z lekkim, a i tak nieco wymuszonym uśmiechem. Ponieważ opowieść Perweza przywołała inne wspomnienie. Całkiem zapomniała o tym incydencie, który wydarzył się pod koniec ich pobytu w Matheranie, ale dziś przypomina go sobie niezwykle żywo.

Wrócili do hotelu po późnej kolacji, którą zjedli w najlepszym lokalu w Matheranie. Przez większość wieczoru Feroz był w serdecznym, wylewnym nastroju.

– Ja stawiam – zapowiedział Perwezowi, kiedy tylko weszli do restauracji. – Masz dziś wieczorem nie dotykać portfela.

Sera rzuciła mu aprobujące spojrzenie. Była boleśnie świadoma faktu, że Aban i Perwez nie mają dużo pieniędzy, choć widząc ich hojność, nigdy byś się nie domyślił, jak niepewna jest ich sytuacja finansowa. Feroz skinął na kelnera. Był to przystojny, usłużny młodzieniec, mniej więcej dwudziestoletni, o dużych, białych zębach.

– Posłuchaj – zwrócił się do niego Feroz. – Słyszałem, że nie macie jeszcze zezwolenia na sprzedaż alkoholu. Ale my jesteśmy z Bombaju i przywykliśmy do drinków przy kolacji. Rozumiesz? Więc sprawdź, co da się zrobić w tej sprawie, *aćća*? – Podał mu dyskretnie dwudziestorupiowy banknot. – Masz tu bakszysz.

Kelner uklonił się.

– Proszę o kilka minut, *sahib*. Zobaczymy, co uda mi się załatwić.

Jak zwykle Sera poczuła się zażenowana tak jawnym pokazem władzy. A biorąc pod uwagę skromne środki Aban i Perweza, gest Feroza wydał jej się jeszcze bardziej nachalny. Ale jeden rzut oka na pełne podziwu twarze przyjaciół powiedział jej, że źle oceniła sytuację. Feroz mrugnął do Perweza.



– Spójrz tylko na nią – powiedział, wskazując Serę gestem podbródka. – Nie znosi, jak robię takie rzeczy. Ale ja uważam, że jeśli nie możesz dostać tego, czego chcesz, musisz to sobie wziąć.

Aban kiwnęła głową.

– Pieniądze rządzą światem – stwierdziła.

Właśnie w tej chwili kelner wrócił z trzema butelkami schłodzonego kingfishera.

– To z prywatnych zapasów właściciela, *sahib* – wyjaśnił. Twarz Feroza rozpromieniła się.

– Świetnie – powiedział.

– *Oe*, kochanie, tylko weźmiemy koniecznie coś z mięsa, dobrze? – poprosił Perwez żonę, kiedy kobiety składały zamówienie. – Żadnej trawy ani liści, bardzo cię proszę. Jesteśmy ludźmi, a nie kozami – roześmiał się, zachwycony własnym dowcipem.

Podczas kolacji Sera zauważyła, że Feroz staje się coraz bardziej milczący. Chciała go zapytać, czy nie rozboleła go głowa, ale podochocony Perwez raczył ich opowieściami o swoich przygodach w szkole z internatem, więc skupiła się na tym, żeby śmiać się w odpowiednich momentach. Jeśli nawet pozostała dwójka zauważyła, że Feroz wycofał się z rozmowy, żadne z nich nie powiedziało na ten temat ani słowa.

– Zamówmy jeszcze jeden talerz *birjani*, dobra? – powiedział w pewnej chwili Perwez i spojrzał niepewnie na Aban. Nim zdążyła odpowiedzieć, Feroz wezwał kelnera.

– Jeszcze jedno *birjani* i dwie butelki kingfishera – zamówił.

Kiedy chłopak odszedł, Feroz odwrócił się lekko w stronę Sery i rzucił jej spojrzenie, którego znaczenia nie potrafiła odczytać, a gdy przyniesiono piwo, nalał sobie pełną szklankę. Chciała zaprotestować, poprosić, żeby tyle nie pił, ale mąż zachowywał się tak, jakby był owinięty w cienkie prześcieradło z lodu. Kiedy uśmiechnęła się do niego, popatrzył na nią wrogo, a jego twarz była równie odległa jak księżyc.

– *Su che*, Feroz – powiedziała w końcu Aban. – Taki się zrobiłeś cichutki?

Uśmiechnął się w odpowiedzi, ale Sera zauważyła, że ten uśmiech nie sięgnął jego oczu.

– Po prostu was słucham – wyjaśnił nieprzekonywająco. Aban rzuciła okiem na Perweza.

– *Ćalo*, może czas już wracać? To był długi dzień – powiedziała.

W drodze do hotelu wszyscy biadolili, że wkrótce muszą opuścić zielone uzdrowisko na wzgórzach i wrócić do gorącego, zatłoczonego Bombaju, i Feroz brał udział w tej rozmowie. Przed hotelem mężczyźni zaczęli się spierać, kto zapłaci za taksówkę.

– Daj spokój, *jar*, tak będzie sprawiedliwie – protestował Perwez. – Ty przecież płaciłeś za kolację.

Ale Feroz spojrzał groźnie na taksówkarza.

– Masz nie brać pieniędzy od tego faceta – oświadczył tonem nieznoszącym sprzeciwu.

*Taksiwala* przyjął banknot od Feroza.

– Ci mężczyźni – powiedziała Aban do Sery, przewracając oczami. – Zawsze muszą o coś ze sobą walczyć,

choć wszyscy wiedzą, że tak naprawdę to spierają się o to, który ma dłuższego.

– Co ty wygadujesz? – zgorszyła się Sera.

– Daj spokój, *jar* – odparła przyjaciółka. – Przestań się zachowywać jak dziewica. To przecież jedna z zalet bycia szanowaną mężatką.

– Dobranoc, *Aban* – powiedziała Sera stanowczo, ale w jej głosie pobrzmiwał śmiech. – Czasami mnie całkiem dobijasz.

Razem z Ferozem ruszyła w milczeniu hotelowym korytarzem do ich pokoju. Była świadoma cichego napięcia, jakie między nimi zapanowało. Zauważyła, że Feroz idzie sztywno, jakby nie chciał jej dotykać, trzymając się blisko ściany.

– Wszystko w porządku, *dżanu*? – spytała, kiedy weszli do pokoju. – Boli cię głowa?

– Nic mi nie jest – odparł krótko. Ruszył do łazienki, a kiedy z niej wyszedł, był już przebrany w piżamę. Zmienił się również jego nastrój. Twarz mu pałała, a na czole pulsowała żyłka. Sera patrzyła na niego z niepokojem, przekonana, że musi być chory. Nigdy go dotąd takim nie widziała.

– O Boże, Feroz, co się dzieje? – spytała, sięgając po jego rękę.

Odtrącił jej dłoń.

– Nie dotykaj mnie – powiedział przez zaciśnięte zęby i dopiero teraz Sera uświadomiła sobie, że jej mąż nie jest chory, tylko potwornie wściekły. W myślach przebiegła rozmowę przy kolacji. Czy Perwez powiedział coś,

co rozzłościło Feroza? Czy zirytowało go zachowanie Aban?

– Co... co się dzieje? – powtórzyła.

I wtedy naskoczył na nią.

– Ty mi powiedz! To twoja wina! – Ignorując jej zaskoczenie, mówił dalej: – Sądzisz, że nic nie zauważyłem? Każdy widział twoje *natak* podczas kolacji! Zawstydyłaś mnie przed swoimi przyjaciółmi! Żeby flirtować z kelnerem, i to tak młodym, że mógłby być twoim synem! Uśmiechałaś się do niego i mówiłaś „dziękuję” za każdym razem, kiedy ci nalewał wody do szklanki! Nie sądz, że nie wiem, co się dzieje. Chyba uważasz, że jestem kompletnym ćutiją, skoro flirtujesz z innym mężczyzną – a raczej chłopcem – w mojej obecności!

Żartował. Musiał żartować. Cała ta sprawa była tak niedorzeczna, że wydawała się jej niemal surrealistyczna. Ledwie zauważyła tego kelnera, nie poznałaby go jutro na ulicy. Próbowwała wyrazić swój gniew i zaskoczenie w postaci zdania i odkryła, że nie potrafi. Groteskowe oskarżenia męża po prostu odebrały jej mowę. Zresztą mężczyzna, który przed nią stał, z wybałuszonymi oczami i z konwulsyjnie zaciśniętą szczęką, był kimś zupełnie obcym. Kompletnie obcym. Coś w niej protestowało przed koniecznością bronięcia się przed tak śmiesznymi zarzutami, szczególnie że było już późno, a następnego dnia musieli wstać wcześnie, ponieważ chcieli spędzić cały dzień na zwiedzaniu. Nikt nigdy wcześniej nie mówił do niej takim tonem. Była poważną, myślącą osobą, wszyscy jej przyjaciele o tym wiedzieli. Nie jedną z tych łatwych,

wymalowanych kobiet, które flirtowały z każdym, kto nosi spodnie. Czy Feroz tego o niej nie wiedział? W końcu jego atak dotyczył przecież jej charakteru!

Zamrugła, żeby powstrzymać łzy, które zaczęły jej się zbierać w jej oczach.

– Te uwagi ci nie przystoją – powiedziała z całą godnością, na jaką było ją stać. Nagle zaczął zapalać się w niej gniew, niczym zapałka w mroku. – Nawet nie patrzyłam na tego kelnera. Jak śmiesz oskarżać mnie o...

– Mów ciszej! – zasyczał. – Nie zapominaj, że jesteś w hotelu, a nie w domu!

– Mówię cicho. A ty powinieneś być o tym pomyśleć, nim zaczęłaś tę... – Poczowała przyływ wyrzutów sumienia. – Posłuchaj, Feroz, jest już późno. Zapewne zbyt wiele wypileś. Nie psujmy sobie wyjazdu taką głupią sprzeczką. – Wyciągnęła rękę, żeby pogłodzić go po ramieniu.

Nie widziała jego pięści. Cios wylądował na jej prawym ramieniu z taką precyzją, że ból przeniknął przez cienką warstwę mięśni prosto do kości, gdzie zaczął wibrować niczym srebrny gong, w który uderzają kapłani w Świątyni Ognia. Był tak ostry, że zrobiło jej się niedobrze, więc gdy chwyciła się lewą ręką za stłuczone miejsce, prawa ręka spoczęła na żołądku, żeby powstrzymać wymioty.

Feroz stał przed nią, przestępując z nogi na nogę, jak bokser, który sprawdza, czy jego przeciwnik został znokautowany.

– Powiedziałem ci, żebyś mnie nie dotykała – rzucił. – Ostrzegałem cię...

Była przerażona, a jej strach był tak wielki, że przebił się nawet przez mdłości. Muszę od niego uciekać, muszę wezwać pomoc, pomyślała, ale na miejscu zatrzymała ją inna myśl – że człowiek, przed którym chce uciekać, nie jest kimś obcym, nie jest kimś, kto nagle wyskoczył z krzaków, żeby ją napaść. To był jej mąż, mężczyzna, którego poślubiła zaledwie trzy miesiące temu, ktoś, komu zawierzyła swoją przyszłość. Rozejrzała się po pokoju w ślepej panice, nie wiedząc, co robić. Ostatni raz ktoś ją uderzył, jak była w trzeciej klasie i wdała się w bójkę z inną uczennicą o skradzioną gumkę do wycierania. Jej rodzice byli stanowczo przeciwni stosowaniu kar fizycznych, uniknęła więc nawet tej dawki przemocy, którą większość jej współczesnych uważała za coś normalnego. Nagle uświadomiła sobie, że nie wie, jak się bronić, że nie ma żadnej strategii stawienia czoła Ferozowi, który nadal oddychał ciężko i miał wyraz twarzy człowieka szalonego, niepanującego nad sobą.

Zrobiła kilka niepewnych kroków w tył, a kiedy jej kolana zetknęły się z ramą łóżka, osunęła się na nie. Wówczas po jej twarzy popłynęły łzy, kapiąc na rękę, którą nadal przyciskała żołądek. Kiedy ból w ramieniu nieco zelżał, bardziej dojmujący stał się ból serca. Płakała z powodu tej nagłej brutalności Feroza i niesprawiedliwości jego oskarżeń, ale przede wszystkim dlatego, że przerażała ją myśl o spędzeniu następnych lat z człowiekiem, który tak nisko ją oceniał, że mógł ją oskarżyć o flirtowanie ze zwykłym kelnerem. Ją, która odmówiła swej ręki mężczyznom z rodzin lekarskich od trzech pokoleń! Ją, która spędzała sobotnie

popołudnia w sali koncertowej im. Homiego Bhabhy w towarzystwie kulturalnych i godnych szacunku ludzi. Ją, której ojciec, jeden z najbardziej poważanych naukowców w Bombaju, nigdy nawet nie podniósł głosu na żonę.

Wzbierała w niej wściekłość, a to, pomimo strachu, uskrzydliło jej słowa.

– Nikt mnie nigdy tak nie potraktował – oświadczyła.  
– Nikt mnie nigdy nie oskarżył o nieodpowiednie zachowanie. I nikt mnie nigdy nie uderzył. Kiedy mój ojciec się dowie, co mi dziś zrobiłeś... – Głos jej się załamał i nie była w stanie dokończyć zdania.

I nagle, równie niespodziewanie, jak zadał jej cios, Feroz padł przed nią na kolana, masując jej rękę i błagając o wybaczenie, a w oczach błyszczały mu łzy.

– O Boże, Sera, tak mi wstyd! Tak mi przykro, kochanie. Nie mam pojęcia, co się stało... Po prostu Kocham cię tak bardzo, że nie mogę znieść myśli o tym, że mógłbym cię utracić. Jestem tyle od ciebie starszy i to dlatego tak się denerwuję...

Na te słowa stopniał szron w jej sercu i wbrew sobie odczuła ulgę. Łzy męża kapały na jej kolana, a jego gorący wstyd rozpuszczał lód, który ściał krew w jej żyłach. Pogładziła go po włosach stłuczoną ręką, nie zważając na ból przeszywający ramię, gdy je unosiła. Słuchała jego gwałtownych przeprosin, obietnic, że to się nigdy więcej nie powtórzy, miotana milionem przeciwstawnych uczuć – wątpliwości, strachu, obawy, nadziei, wstydu, ale nade wszystko ulgi. Ułgi, że poprzez te łzy Feroz znowu stał się sobą, że jej słowa przywróciły go do życia.

– Wiesz, ukochana, że nie zamierzałem cię uderzyć – mówił. – Ale właśnie podnosiłem rękę, a ty mnie dotknęłaś, i nie wiem, jak to się stało... chyba na moment przestałem nad sobą panować.

Wspomnienie tego doskonale wycelowanego ciosu przemknęło przez pamięć Sery, ale w gruncie rzeczy równie mocno chciała się dać przekonać mężowi, jak on pragnął przekonać ją. Więc odsunęła od siebie to wspomnienie, pozwoliła Ferozowi schować je do worka kojących słów.

– Wiem, że nie zadałbyś mi bólu celowo – powiedziała. – Ale *dżanu*, po co miałabym zwracać uwagę na jakiegoś kelnera z niskiej kasty, skoro mam ciebie?

– Wiem. Wiem, że jesteś kobietą godną szacunku. Masz rację, to pewnie wina piwa. Pozwól, posmaruję ci bolące miejsce jodeksem. Tak mi przykro. Jestem taki niezdarny, a ty po prostu stanęłaś mi na drodze.

Dziś Sera krzywi się na to wspomnienie. Powinnaś go była wtedy porzucić, mówi sobie w myślach. Powinnaś była odejść, kiedy cię pierwszy raz uderzył. A już na pewno nie powinnaś była go kryć, dopuścić, żeby jego wstyd stał się twoim wstydem. Przypomina sobie tę sukienkę w kropki z długim rękawem, którą włożyła następnego dnia, żeby ukryć posiniaczone ramię.

– Boże, Sera – zdumiała się Aban. – Po co włożyłaś tę wdowią sukienkę? Przecież nie jest zimno?

A przypominając sobie swą niepewną odpowiedź, która nawet w jej uszach brzmiała nieprzekonywająco, Sera



czuje przyływ świeżej fali gniewu. Zasłużyłaś na to, co cię spotkało, mówi sobie w myślach. Powinnaś go była poniżyć przy Aban i Perwezie, wtedy, wiele lat temu. To by od razu położyło kres jego brutalności.

Dinaz wchodzi z powrotem do bawialni i przygląda się jej z zaciekawieniem.

– Dobrze się czujesz, mamó? – pyta. – Piwo uderzyło ci do głowy?

Przez chwilę Sera ma wrażenie, że Dinaz odczytuje wszystkie mroczne myśli, jakie wsączyły się do jej mózgu niczym świeża farba. Nie po raz pierwszy zastanawia się, jak wiele Dinaz wie o atakach szału Feroza. Po urodzeniu córki, przez te wszystkie lata z całych sił tłumiała krzyki, kiedy na jej ciało spadały pięści męża, robiła, co mogła, by ukryć ból widoczny w jej oczach i na jej ciele. Nie chciała, by cień brutalności ojca przyćmił dzieciństwo Dinaz.

Odsuwa od siebie teraz pajęczynę gniewu i zmusza się do uśmiechu.

– Musiałabym wypić o wiele więcej – mówi. – Jak się miewa Toxy? Widziałaś ją?

– Tak, przyjdzie tu za chwilę – odpowiada Dinaz. – Wszystkie dziewczęta są w sypialni i plotkują. – Pochyliła się do Sery i ścisza głos. – Co się stało, mamó? Wydajesz się taka... smutna?

Aban słyszy słowa Dinaz.

– To samo powiedziałam Serze dosłownie chwilę temu – mówi. – Mówię ci, ona jest nie ta sama, odkąd umarł jej ukochany Feroz.

Matka i córka wymieniają szybkie spojrzenia. Dinaz unosi lekko prawą brew, w grymasie tak bardzo przypominającym jej ojca. I w owej chwili Sera nabiera pewności, że córka wie, nie jest natomiast pewna, czy ma się z tego cieszyć. Z jednej strony ten milczący gest Dinaz wskazuje na solidarność, która ją cieszy. Z drugiej czuje się winna, że nie zdołała oszczędzić córce wiedzy o koszmarach małżeństwa rodziców.

Dinaz obejmuje ją ramieniem.

– Mamie nic nie jest, ciociu Aban – zapewnia. – Jest nieco zmęczona, to wszystko. Nasza Bhima była ostatnio czymś trochę zaabsorbowana, więc mama musiała wykonywać więcej prac w domu.

– Tak to właśnie jest, kiedy traktuje się służącą jak panią domu – stwierdza z miejsca Aban. – Wybacz mi, że to mówię, Sero, ale od lat ci powtarzam, że Bhima zacznie cię w końcu wykorzystywać. Mów, co chcesz, ale *ghati* pozostaną *ghati*. A my, parsowie, jako jedyni traktujemy służące jak królowe. I to się zawsze na nas mści.

Sera żałuje, że Dinaz wspomniała o Bhimie. Prawdę mówiąc, jest już trochę zmęczona myśleniem o niej. Od czasu tej sprawy z Mają myśli o niej więcej niż o własnej rodzinie. A zimny dystans, z jakim Maja potraktowała ją w dniu zabiegu, nadal sprawia jej ból. Cieszyła się na ten bez troski wieczór u Aban, ale Dinaz niechcący poruszyła ulubiony temat przyjaciółki.

Odwraca się lekko w stronę córki, żeby rzucić jej ostrzegawcze spojrzenie, ale jest już za późno.

– Nie powiedziałam, że z Bhimą dzieje się coś niedobrego – protestuje Dinaz. – Ma po prostu własne kłopoty, jak my wszyscy.

Aban gapi się na Dinaz z otwartymi ustami, po czym wybucha śmiechem. Obejmuje ją i pokrywa jej twarz gradem pocałunków.

– Och, och, och, no nie wytrzymam! – śmieje się. – Jaka matka, taka córka. Och, popatrzcie tylko, jaka jest zła, wygląda zupełnie jak matka. Mój Boże, ta ich bezcenna Bhima, traktują ją co najmniej jak jakiś Koh-i-Noor.

Odzywa się kolejny gość. Sera wie, że ta kobieta jest sąsiadką Aban.

– Mówię wam, Aban ma rację. Nie można za bardzo ufać tym ludziom. Najlepiej trzymać ich na dystans, bo inaczej będą was wykorzystywać, ręczę wam za to.

– *Are*, czytaliście tę historię w „Times of India” z zeszłego tygodnia? – pyta ktoś inny. – O tej starszej kobiecie, parsyjce, która została zamordowana? Pisali, że przez czterdzieści lat była profesorem w Elphinstone College. Biedaczka, została zadźgana nożem we własnym łóżku przez własną służącą. Sąsiedzi mówili, że ta kobieta pracowała u niej od wieków. Ale pani profesor trzymała w domu swoje klejnoty ślubne, rozumiecie, a służąca o tym oczywiście wiedziała. Ci ludzie są jak węże. Podejrzewam, że nawet widzą w ciemnościach. Dźgnęła ją siedemnaście razy i uciekła z biżuterią. W gazecie pisano, że namówił ją do tego kochanek.

– Ale jeśli mnie spytacie o zdanie, powiem, że parso-  
wie też mają nie po kolei w głowie – odzywa się Perwez.  
– Skoro była profesorem i tak dalej, to powinna wiedzieć,  
że nie należy trzymać w domu biżuterii. Po to mamy  
Bank Centralny. Powinna wynająć tam skrytkę.

– Ale *dżanu*, na tym właśnie polega problem parsów  
– mówi śpiewnie Aban. – Rozumiesz, jesteśmy zbyt ufni.  
I zbyt uczciwi, więc oczywiście sądzimy, że wszystkie inne  
*dżati* są tak samo uczciwe jak my. – Zwraca się teraz do  
Miny Patel. – Rzecz jasna nie mówię o ludziach z Gudźa-  
ratu. To również uczciwa społeczność. Ale ci Maharaszt-  
rzy nie. To oszuści pierwszej wody.

Rozlega się dzwonek do drzwi i Perwez idzie otworzyć.  
Chwilę później wraca z Wirafem. Aban podrywa się  
z piskiem ze swego miejsca.

– Ach, przyszedł mój książę z bajki! Jak się miewasz,  
mój kochany? Dinu mówi, że za dużo pracujesz. Cóż robić,  
coż robić, oczywiście, że musisz dużo pracować, skoro  
wkrótce zostaniesz tatą. Ale jesteś zbyt szczupły, najmilszy.  
– Szczypie go w policzek.

Wiraf uśmiecha się szeroko.

– Witaj, cioteczko Aban – mówi. – Wyglądasz jak zwykle  
pięknie. A tak na marginesie, to w ciągu ostatnich kilku  
miesięcy przybyło mi pięć kilo. Tylko że wszystko idzie  
mi w *dimću* – dodaje, klepiąc się po brzuchu.

Aban rozpromienia się jak zwykle w towarzystwie  
przystojnych mężczyzn.

– *Aćca*, Wiraf, będziesz naszym sędzią. Właśnie mó-  
wimy, że nie wolno ufać służącym spoza społeczności

parsów, bez względu na to, ile dla nich robimy. A ty co powiesz? Czy Sera i Dinaz pozwalają Bhimie wchodzić sobie na głowę?

Wiraf rozgląda się po pokoju.

– Hej, cioteczko Aban, co za fatalne maniery, *jar* – mówi. – Nie przedstawiłaś mnie nawet przyszłemu mężowi Toxy. Gdzie on jest?

– Bardzo sprytnie, bardzo sprytnie, zmieniasz temat. – Aban śmieje się serdecznie. – Z naszego Wirafa to zawołany dyplomata. Pewnie go wyślą do Pakistanu, żeby z generałem Muszarrafem, którego ja zresztą nazywam generałem Szeryfem, negocjował kwestię Kaszmiru. – Jej twarz mrocznieje. – Dariusza i jego rodziny tu nie będzie. Jego matka uważa, że to przynosi nieszczęście, jeśli młodzi zobaczą się na kilka dni przed ślubem. Bóg jeden wie, skąd parsyjki biorą takie pomysły.

Dinaz chwyta Wirafa za rękę.

– Chodź, zaprowadzę cię do Toxy – mówi. – Mógłbyś się przywitać przynajmniej z nią.

Zabierzcie i mnie, ma ochotę zawołać Sera za znikającymi plecami córki. Nie chcę tu siedzieć z tymi ograniczonymi ludźmi.

– Powiedz Toxy, żeby przyszła przywitać się ze starszankami – woła, a Dinaz unosi rękę na znak, że słyszy.

Aban już otwiera usta, by podjąć przerwany wątek, ale właśnie w tym momencie jej służąca Dżaja wystawia głowę z kuchni.

– *Bai* przyjdzie na chwilę, *na!* – woła. – Kotlety już gotowe.

Pani domu gdera, podnosząc się z miejsca:

– Przez dziesięć sekund nie może sobie dać rady beze mnie.

Kiedy Aban wraca do pokoju, Sera rozmawia właśnie z Miną Patel o tych brzydkich nowych wysokościach, które wyrastają wszędzie w Bombaju. Dżaja, dziarska dwudziestolatka, wchodzi za swoją panią, dźwigając dużą tacę kotletów jagnięcych.

– *Ćalo*, pospiesz się – nakazuje Aban. – Podaj je gościom, póki są gorące.

Wręcza każdemu po kolei papierowe talerzyki, a Dżaja idzie jej śladem, podsuwając gościom kotlety.

– Zostaw tacę na stole – mówi Aban, kiedy kończą obchód. Przewraca oczami za plecami dziewczyny, kiedy ta odstawia tacę.

– Widzieliście, jak ona kręci biodrami? – mówi, kiedy służąca znika w kuchni. – Mówię wam, ta dziewczyna robi takie *nakhra*, nawet jak jej każę biec na dół, do piekarni. Nie wyjdzie z domu, póki nie nałoży kadźalu. I w każde święto Diwali chce dostawać nowe stroje. Mówię wam, traktuję ją lepiej niż własne dzieci.

– Boże, Aban, to przecież jest jeszcze dziecko – protestuje Sera. – Czego się spodziewasz?

Aban wybucha śmiechem.

– A co wam mówiłam? A co wam mówiłam? – woła. – Och, Sera, ty mnie po prostu rozbrajasz! Przysięgam, zaczynam myśleć, że jesteś komunistką.

– *Oe*, a mówiąc o komunistach i innych zbirach, posłuchajcie tego – odzywa się któryś z gości. – To się przydarzyło pewnej starej kobiecie, która mieszka w moim bloku.

Mniej więcej miesiąc temu ktoś dzwoni do jej drzwi, a biedaczka je otwiera. Trzech gundów, wielkich i silnych facetów, odpycha ją na bok i wpada do środka z krzykiem: „Gdzie są płatki?”. A uważajcie, była trzecia po południu. Biedna niewinna starowinka nie jest w stanie wypowiedzieć słowa, ale dochodzi do wniosku, że są głodni, i kieruje się do kuchni. A tam wchodzi na stołek i wyciąga paczkę płatków śniadaniowych. Ale z jakichś powodów że bandziory robią się jeszcze bardziej wściekli. Biją ją – wyobrażacie sobie? Osiemdziesięcioletnią staruszkę! – i przywiązują do krzesła. Potem przewracają całe mieszkanie do góry nogami, czegoś szukając. A kiedy nic nie znajdują, znowu ją biją i wychodzą.

Pytania padają jedno przez drugie.

- Co się z nią potem stało?
- Czego szukali?
- Czy biedaczka umarła?
- Chwileczkę, chwileczkę, już wam to mówię – uspokoja mężczyzna. – Okazało się potem, że pomylili numery budynków. Wyszło na to, że w okolicy mieszka przemytnik, który oszukał kogoś, zatrzymując dla siebie złote płatki – no wiecie, listki złota. Więc ten oszukany wynajął trzech gundów, żeby poszli do mieszkania przemytnika i je odzyskali. No i nieszczęsna kobieta padła ich ofiarą. Przeżyła tylko dlatego, że sąsiadka, która co wieczór przynosi jej kolację, pukała i pukała do jej drzwi, aż wreszcie sama je otworzyła. Znalazła biedaczkę przywiązaną do krzesła. Podobno zrobiła, no wiecie co, w majtki.

- Powinno się tych drani powiesić – mówi ktoś.

– Oni specjalnie wybierają na swoje ofiary parsów, wiem, co mówię – wykrzykuje ktoś inny. – Wiedzą, że jest nas niewielu, więc na nas polują.

– No, w tym przypadku na pewno nie zrobili tego specjalnie – mruczy pod nosem Sera.

– Tak, ale na ogół to prawda – mówi gwałtownie jakaś kobieta. – Wiedzą, że jesteśmy społecznością miłującą pokój, dlatego właśnie nas atakują. Niechby tylko tego spróbowali z muzułmanami, wtedy by zobaczyli. Nie śmieliby...

– *Are, jar*, powinniśmy założyć własną organizację. Taką Śiw Senę parsów.

Aban chichocze.

– A kto będzie naszym Balem Thakarem? – pyta, czyniąc aluzję do brutalnego przywódcy prawicowej organizacji hinduskiej. – Widzicie, to jest nasz problem. Mój tata zawsze powtarzał, że u parsów wszyscy chcą być generałami, a nikt nie chce być żołnierzem.

Sera wzdycha. Przez całe życie ciągle słyszy tę samą śpiewkę. Jest rozbawiona i zarazem zirytowana rozmowami tych ludzi. Choć bulwersuje ją ich szowinizm, czuje sympatię do ich wzniosłych ideałów i pompatycznych marzeń. A poza tym, przekonuje samą siebie, to są przecież z gruntu ludzie dobrzy, wszyscy to wiedzą. Może trochę słabi na umyśle, przez te wszystkie małżeństwa między sobą, ale na swój sposób uroczy.

Odzywa się jeden z młodszych mężczyzn, który, jak Sera wie, ożenił się z katoliczką.

– Ale jakie to ma znaczenie? Mówią, że jest nas mniej niż sto tysięcy. Za kilka pokoleń nie będzie po nas śladu.



W pokoju zapada nagła, ciężka cisza. Niewypowiedziana uwaga: „No właśnie, a żeniąc się poza społecznością, mężczyźni tacy jak ty przyspieszają dzień naszego zniknięcia”, zawisa ciężko w powietrzu. Sera poprawia się na kanapie, tak jakby kłuło ją zakłopotanie chłopaka. Żeby przerwać tę przykrą ciszę, odzywa się z nietypową dla niej wesołością.

– Ale póki jeszcze jesteśmy, powinniśmy żyć pełnią życia, nie sądzicie?

– Właśnie! – mówi Perwez, unosząc szklanke. – Dobrze powiedziane, Sero.

Do bawialni wraca Wiraf.

– Za zniknięcie! – wznosi toast. – Ale wcześniej za długie i szczęśliwe małżeństwo Toxy i Dariusza i żeby Aban i Perwez wkrótce zostali dziadkami! – Unosi wyżej szklanke, kołysząc się lekko. – I jeszcze za mnóstwo, mnóstwo dzieci parsów, do których przyjścia na świat moja żona i ja już wkrótce się przyczynimy.

Wysoki mężczyzna z brodą stojący koło Wirafa klepie go serdecznie po plecach.

– Gratulacje – mówi. – Dokładnie tego potrzebuje nasza społeczność, młodych i zdrowych mężczyzn jak ty.

Wiraf uśmiecha się.

– I kobiet takich jak moja żona – mówi lekko. – Nie zapominajmy o kobietach.

– Oczywiście, oczywiście – mówi wysoki mężczyzna, zwracając się pospiesznie w kierunku Dinaz. – Nie chciałem cię urazić, moja droga.

Dinaz rzuca Wirafowi gniewne spojrzenie.

– Niech pan nie zwraca uwagi na mojego męża – prosi. – On tylko żartuje sobie jak zwykle.

Po drugiej stronie pokoju Aban ściska rękę Sery.

– Ci twoi Dinu i Wiraf są tacy słodcy – wzdycha. – Możesz to sobie wyobrazić, Sero? Czy kiedy pracowałyśmy obie w Bombay House, mogłyśmy przypuszczać, że któregoś dnia będziemy miały to wszystko?

Sera czuje przyływ ciepłych uczuć do Aban. Jej i Perweza życie nie oszczędzało, wie o tym dobrze. Nie było łatwo wychować trójkę dzieci przy takiej pensji. Poza tym Perwez pochodził z biednej rodziny i Sera doskonale pamięta, że łożył na utrzymanie rodziców. A kilka lat temu Aban przeszła mastektomię. Jednak pomimo tak skromnych środków ze wszystkim sobie poradzili. Ich mieszkanie jest stare i zaniedbane, ale cała trójka dzieci skończyła college i teraz mają dobrą pracę. Sera uświadamia sobie nagle, że chętnie zamieniłaby swoje życie na życie Aban. Oddałaby pozycję i bogactwo należne żonie Feroza za to bezgraniczne przywiązanie i miłość, ofiarowane Aban przez Perweza. Wolałaby tyrać od świtu do zmierzchu, codziennie jeździć zatłoczonymi pociągami i wracać do domu po pracy spocona i wyczerpana, niż żyć w tej wspaniałej izolacji, jaką zgotował jej Feroz.

O ile Serze wiadomo, w życiu Aban nie ma mrocznych sekretów. Patrząc teraz na swą najstarszą przyjaciółkę, widzi niemal dziecinną czystość i przejrzystość jej oczu, czego źródłem, jak wie doskonale, jest to, że nie przeżyła połowy swego życia w mroku. Czasami Aban skarżyła się Serze na to, że muszą utrzymywać rodziców Perweza.

Ale w tym samym zdaniu potrafiła zawrzeć wdzięczność za takich teściów, za to, jak dobrze ją traktują i jak wspólnie opiekują się jej dziećmi, kiedy jest w pracy. W takich chwilach Sera musiała gryźć się w język, żeby nie wyjawić, jak strasznie żyło jej się z Banu. Albo wznosiła peany na cześć swego teścia, mając nadzieję, że przyjaciółka może nie zwróci uwagi na jej milczenie na temat teściowej.

Bierze rękę Aban w swoje dłonie.

– Masz rację, kochana. Byłyśmy wtedy takie młode. Jak mogłybyśmy sobie wyobrazić to wszystko? Choćby ślub twojej małej Toxy. Boże, pamiętam przecież dzień jej narodzin!

Aban ścisza głos.

– Cokolwiek się wydarzyło w moim życiu, smutnego czy szczęśliwego, byłaś ze mną. Nie sądz, że zapomniałam o twojej życzliwości wobec mojej rodziny. Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła.

Sera jest wstrząśnięta. Są przyjaciółkami od wieków, ale nigdy dotąd nie czuła takiej bliskości z Aban. A równocześnie jej słowa dziwnie ją poruszają.

– Ze mną jest tak samo – mówi, mając nadzieję, że Aban nie usłyszy nieszczerości w jej głosie. – Czuję dokładnie to, co ty, kochana.

Do Aban podchodzi Dżaja.

– *Bai*, kolacja gotowa – mówi.

Aban podnosi się z miejsca.

– Uwaga, uwaga! – woła. Kiedy rozmowy przycichają, wypowiada tradycyjną formułkę, jaką obwieszcza się

kolację na parsyjskich ślubach: – *Dżamva ćalo dżi!*  
– Uśmiecha się od ucha do ucha i dodaje: – Chodźmy coś zjeść. Bufet czeka na was w kuchni.

– Prawdziwie rozrywkowy wieczór – stwierdza Wiraf, kiedy jadą do domu. Jego dłonie pewnie trzymają kierownicę. Prowadzi szybko po zaskakująco pustych w nocy ulicach.

– Z typowym szowinizmem parsów, z typowym bredzeniem pijanych parsów i – oczywiście – z tłustym, niezwykle niewegetariańskim jedzeniem. Naszą dietę diabli wzięli.

– Zastanawiam się, który z gości wykorkuje dziś w nocy na serce – dodaje Dinaz.

– Och nie, kochanie, na to trzeba poczekać do prawdziwej uczty weselnej, kiedy wszyscy pochłoną porządną, pięciodaniową, okraszoną cholesterolem kolację – odpowiada natychmiast Wiraf. Dinaz i Sera chichoczą.

– Dzieci, dzieci – protestuje Sera słabo. – Nie bądźcie tacy podli. Aban to moja najstarsza przyjaciółka.

– Nic nie mam do cioteczki Aban – zapewnia Wiraf.  
– Jest kochana, zupełnie jak jagniątko. Prawdę mówiąc, postanowiliśmy uciec razem do Szwajcarii, jutro z samego rana. Będzie na mnie czekać na Dworcu Wiktorii, stamtąd mamy bezpośredni pociąg.

Dinaz daje Wirafowi klapsa w udo.

– Zatrzymaj swoje gorzkie żarty dla siebie, *jar* – mówi.  
– Słowo honoru, twoje poczucie humoru zmienia się ze złego na gorsze.

Ale Wirafa nie da się powstrzymać.

– Obiecała, że podczas tej podróży podszkoli mnie w zagadnieniach wyższości kultury parsyjskiej – ciągnie.  
– Wiecie, że to parsowie wymyślili uczciwość? – I patrząc na Dinaz, która z całych sił powstrzymuje się od śmiechu, dodaje: – To prawda. Zapytaj, kogo chcesz. Szesnastego lipca w czwartym wieku przed naszą erą parsowie – czy raczej zaratusztrianie – wymyślili uczciwość. A następnego dnia wymyślili dobro i miłosierdzie.

– Dobrze, już dobrze, Wiraf – jęczy Sera.

– Czekaście, jeszcze nie skończyłem. Cioteczka Aban chce również przedyskutować ze mną możliwość założenia ruchu, który wyprowadzi parsów do domu ich przodków w Iranie. Wielkie imperium perskie odrodzi się z prochu. Bo wiecie, skoro Żydzi mogą zgłaszać pretensje do Izraela, to my powinniśmy do Iranu. Kto wie? Może damy sobie spokój ze Szwajcarią i pojedziemy prosto tam? Dziś Bombaj, jutro Iran. Powtarzajcie za mną: Jutro Iran.

Dinaz odwraca się do Sery.

– Przysięgam, jeśli ten *gadhera* jeszcze raz upije się w mojej obecności, zabiję go. Mam wielką nadzieję, że nasze dziecko nie odziedziczy głupkowatego poczucia humoru ojca.

Wiraf uśmiecha się radośnie.

– Kpij sobie, ile chcesz, kochana – mówi. – Przyślę ci z Iranu pocztówkę.

Sera zamyka oczy. To był długi dzień i czuje się wyczerpana. Jest tym zaskoczona. Albo się przeziębiam, albo odwykłam od wielkich przyjęć, myśli. Dinaz często jej powtarza, że po śmierci Feroza zrobiła się samotnikiem,

ale aż do dziś Sera niewiele o tym myślała. Wie, że to przede wszystkim dlatego Dinaz nalegała, by ona i Wiraf zamieszkali u niej. Przez te sześć miesięcy, jakie upłynęły pomiędzy śmiercią Feroza a wprowadzeniem się dzieci, praktycznie nie wychodziła z domu, wyjąwszy kontrolne wizyty u Banu. W końcu Dinaz i Wiraf wpadli do niej któregoś wieczoru i przedstawili swoją propozycję.

– Z naszego małego mieszkanka mamy za daleko do pracy – tłumaczyła Dinaz. – Dojazd w godzinach szczytu jest prawie niemożliwy. A ty od śmierci taty sprawiasz wrażenie bardzo samotnej w tym wielkim mieszkaniu. Więc zastanawialiśmy się... co byś powiedziała, gdybyśmy się do ciebie wprowadzili?

Udało się jej opanować pierwszą reakcję, którą była ogromna radość. Wiraf i Dinaz mieszkający z nią, w tym mieszkaniu! Obecność młodych przegna duchy przeszłości. Nie będzie musiała przez całe dni podświadomie czekać na kroki Feroza, by odetchnąć z ulgą – której towarzyszyło jednak poczucie winy – kiedy sobie przypominała, że on przecież nie wróci. Byłoby wspaniale mieć coś, na co można by było czekać pod koniec dnia, gotować ulubione potrawy dzieci i cieszyć się, że siedzą razem z nią przy stole w jadalni.

Ale wspomnienie tych przeklętych lat w domu Banu Dubasz sprawiło, że powstrzymała się od okrzyków radości.

– Niełatwo jest dorosłym żyć razem – stwierdziła. – Wiesz, twoja babcia naprawdę zamieniła moje życie w piekło, kiedy u niej mieszkałam. Nigdy nie chciałabym być

taka jak ona. A ty jesteś taka młoda i tak niedawno wyszłaś za męża. Potrzebujecie czasu, żeby się dopasować. Jeśli pomiędzy wami zacznie się dziać źle, nigdy sobie tego nie wybaczę.

– Mamo Sero, niech mama przestanie – powiedział ze śmiechem Wiraf. – W niczym mama nie przypomina babci Banu. Nawet teraz widać po niej, że musiała być prawdziwym tyranem. A Dinaz tak się o mamę martwi. Poza tym robi nam mama przysługę, bo dojazdy do pracy nas wykańczają, naprawdę. Ale to mamy mieszkanie, więc...

– To nie jest moje mieszkanie – przerwała mu. – Cokolwiek należy do mnie, należy też do was, wiecie o tym doskonale. Nie mam przecież sześciorga dzieci. To mieszkanie jest wasze, Wiraf, nigdy nie myślcie, że...

– W takim razie sprawa załatwiona – oświadczyła Dinaz. – Przenosimy się do własnego mieszkania.

– Zastanów się nad tym, co powiedziałam – poprosiła Sera. A potem westchnęła. – Oczywiście byłoby wspaniale, gdybyście oboje tu zamieszkali. Ale to niełatwa decyzja. Więc przemyśl ją, *dikra*.

Oparta wygodnie na tylnym siedzeniu Sera patrzy sennie na Dinaz i Wirafa siedzących z przodu. Dzięki ci, Boże, za moje dzieci, szepce. Radość, jaką mi oboje dali, jest dla mnie nagrodą za życie z Ferozem.

Samochód skręca w ulicę, przy której mieszka Banu Dubasz i jak zwykle Wiraf zwalnia.

– W oknach pali się światło – mówi. – Nocna pielęgniarzka jeszcze nie śpi.

– Pewnie babcia ma jeden ze swoich napadów złości – wyraża przypuszczenie Dinaz. – Biedna pielęgniarzka.

Nie mam pojęcia, jak ktoś potrafi wytrzymać z babcią.

Masz rację, myśli Sera. Ja nie potrafiłam.



## 15

Pewnego ranka, po czterech latach małżeństwa, Sera, obudziwszy się, poczuła, że w gardle zalega jej coś gorącego i lepkiego. Przez chwilę myślała, że to początek kolejnej infekcji zatok, ale kiedy przełknęła ostrożnie, ból nie nadszedł.

To była nienawiść. Nienawiść utknęła jej w przełyku niczym kość. Nienawiść, która sprawiała, że czuła się chora, przez którą miała w ustach suchy, gorzki posmak. Nienawiść, która zakradła się do jej serca jak gorączka, która wyginała w dół kąciki jej ust, tworząc z warg łuk łyżeczki.

Był wspaniały grudniowy dzień. Na parapecie okna przysiadł, gruchając melodyjnie, gołąb. W powietrzu wyczuwało się lekki chłód, pożądane wytchnienie po upałach Bombaju. Ale Sera leżała w łóżku i wcale nie czuła tego piękna. Wręcz przeciwnie, czuła się ponura i poczerniała, jakby nienawiść przeżarła się przez jej ciało. I całkiem wyczerpana. Nie mogła sobie przypomnieć, żeby kiedykolwiek w życiu kogoś nienawidziła. Ale teraz nienawiść sączyła jej się do gardła, gęsta i paskudna.

Odrzuciła bawełniane prześcieradło i wyskoczyła z łóżka. Zebrawszy pośpiesznie swoje rzeczy, podeszła do kołyski, gdzie spała Dinaz, i potrząsała jej małym ciałkiem, aż oczy córeczki wreszcie się otworzyły, a jej małe usteczka otwarły w ziewnięciu.

– No już, obudź się, Dinu – szepnęła. – Dziś przeżyjemy przygodę.

Poszła do łazienki, włączyła bojler i podstawiła pod kran plastikowe wiaderko, a następnie przyniosła do łazienki dziecko.

– Dziś wykąpiemy się razem – oświadczyła.

Z sypialni wyszły już ubrane. Sera zostawiła Dinaz w bawialni i udała się do kuchni, szukając teściowej.

– Zabieram dziś Dinaz na cały dzień – powiedziała, nie patrząc w wwiercające się w nią oczy Banu. – Wrócimy późno.

– Wychodzisz z domu rano? A co ze śniadaniem dla dziecka? I lunchem, który szykujemy? Marnujesz pieniądze ciężko zarobione przez mojego Feroza...

Sera poczuła, że to coś znowu wzbiera w jej gardle. Bała się spojrzeć Banu w oczy, bała się, że na jej twarzy odbije się nienawiść, jaką żywiła do tej starej kobiety.

– Sama to wyjaśnię Ferozowi – odparła. – Muszę już iść. Wrócę do domu wieczorem. Do widzenia.

Całkowicie ignorując mamrotanie Banu i chcąc uniknąć zalewu okrutnych słów, które zakwestionują jej ambicje, wychowanie i moralność, Sera złapała Dinaz za chude ramię, jakby to było skrzydełko kurczaka, i pociągnęła ją w kierunku wyjścia. Odetchnęła głośno, kiedy

zamknęły się za nią drzwi mieszkania. Ale jej kroki nadal były szybkie, kiedy zmierzała korytarzem w kierunku windy. W ostatniej chwili skręciła gwałtownie. Zamiast czekać na windę, pójdą schodami. Z całych sił powstrzymywała się od obejrzenia za siebie, w obawie, że ujrzy podążającą za nimi Banu.

To tylko głupia staruszka, powtarzała w myślach, ale ścisnęło ją w żołądku, jak podczas oglądania horroru w ciemnym kinie.

Kiedy znalazły się na ulicy, uświadomiła sobie, że jest dopiero wpół do dziesiątej i że nie ma pojęcia, dokąd iść. Przyszło jej do głowy, żeby wpaść do Feroza do pracy i ku swemu ogromnemu zaskoczeniu stwierdziła, że nie ma na to ochoty. Mogła też odwiedzić Aban, ale nieustanna gadanina przyjaciółki wywoływała w niej klaustrofobię. Zresztą Aban z pewnością wyczytałaby coś z twarzy Sery, zaczęłaby się wtrącać w jej sprawy i dopytywać, co się stało.

Nie, pójdzie z Dinaz do rodziców. Ucieszą się na ich widok i nie będą stawiać żadnych pytań. Ogarnęła ją nagła tęsknota za chłodnym sanktuarium swej dawnej sypialni. Nie odwiedzała rodziców już od kilku tygodni, a wiedziała, że to ich boli, choć byli zbyt mili, żeby jej to wypominać. Tak, odwiedzi rodziców. Podjąwszy decyzję, gwałtownie zawróciła i ruszyła w kierunku postoju taksówek, ciągnąc za sobą Dinaz.

– Mamo, wolniej! – zawołała dziewczynka i skruszona Sera zwolniła kroku.

Jej serce uspokoiło się, gdy tylko wsiadła do taksówki i podała kierowcy adres. Patrzyła na mijane ulice, zastana-

wiając się, dlaczego nie zrobiła tego wcześniej. Nagle poczuła taką potrzebę, żeby znaleźć się w domu rodziców, że omal nie kazała kierowcy przejechać na żółtym świetle. Całe jej ciało pochyliło się w przód, popychane gwałtownym pragnieniem pędu. Chciała jechać dalej i dalej, biec, oddalić się jak najbardziej od ponurego, pozbawionego życia domu Banu. Ale taksówka zatrzymała się na światłach i niemal natychmiast u jej okna pojawił się tłum żebraków. Odwróciła głowę, chcąc ich zniechęcić brakiem kontaktu wzrokowego. Dinaz pociągnęła ją za bluzkę.

– Mamusia, pieniądze – zażądała.

Sera westchnęła. Dinaz była takim wrażliwym dzieckiem. I tak szybko nauczyła się nie zdręzczać ojca prośbami o dawanie żebrakom jałmużny. Feroz często powtarzał, że nie będzie popierać żebractwa i kiedy wychodzili gdzieś razem, zabraniał Serze rzucać monety w wyciągnięte ręce.

– *Sala*, leniwe łajdaki – mówił. – Też bym tak chciał: leniuchować cały dzień i dostawać pieniądze za nic.

Szukając w torebce drobnych, Sera nagle parsknęła śmiechem, przypominając sobie tegoroczne urodziny Feroza. Dinaz z zainteresowaniem przyglądała się, jak dziadkowie każą ojcu stanąć twarzą w kierunku wschodu, z zabarwionym tilli czołem i z wieńcem z kwiatów na szyi. Potem Banu podeszła do stolika i przyniosła kopertę z pieniędzmi.

– Wszystkiego najlepszego, mój chłopcze – powiedziała, obejmując go.

Wówczas Dinaz, która leżała sobie na kanapie, usiadła.

– *Sala*, leniwy łajdaku! – zawołała. – Dostajesz pieniądze za nic.

Idealnie naśladowała przy tym ton głosu ojca i przez chwilę Sera miała wrażenie, że te słowa wypowiedział zawsze obecny Polly.

Feroz wydał policzki i chyba zamierzał zganić Dinaz. Ale z ust Sery wydobył się dziwny dźwięk i dłuższą chwilę zabrało zebranym uświadomienie sobie, że ona po prostu pokłada się ze śmiechu. Wargi Feroza zadrżały, ewidentnie nie był pewien, czy nakrzyczeć na córkę, czy przyłączyć się do śmiechu żony. Sera pomogła mu podjąć decyzję. Ocierając załzawione oczy, podeszła do Dinaz i wzięła ją w ramiona.

– Ty niedobra, niedobra dziewczynko – powiedziała, przytulając dziecko do siebie. – Nie wolno ci tak mówić, rozumiesz?

W owej chwili śmiali się już wszyscy.

– Mówię wam, ta dziewczyna pójdzie w ślady dziadka i zostanie prawnikiem – zapewniał Freddy. – Powali na kolana Sąd Najwyższy.

Taksówka ruszyła, ale na ustach Sery nadal igrał uśmiech. Spojrzała na Dinaz i serce jej aż się ścisnęło z tkliwości. Jest jedynym jasnym punktem w moim życiu, pomyślała. I do pewnego stopnia Freddy *pappa*. Oni – Feroz i jego matka – oni mi to życie zrujnowali.

O szóstej po południu matka Sery, Dżehru, zerknęła na męża, a potem zwróciła się do Sery:

– Kochanie, idziemy dziś na proszoną kolację. Mamy odwołać? Czy może wracasz zaraz do domu?

Sera miała właśnie powiedzieć, żeby nie zmieniali planów, że ona i Dinaz już za chwilę wychodzą, kiedy uświa-

domiła sobie, że wcale nie zamierza tego robić. Nie chciała wracać do domu Feroza! Ten fakt na chwilę zaparł jej dech w piersiach, jakby umysł musiał dopiero przyjąć wiedzę, którą posiadało już ciało. Popatrzyła na matkę, zastanawiając się, jak dobrać słowa, by ujawniły dość, a równocześnie ukryły ogrom strachu, jaki czuła na myśl o powrocie do domu Banu.

– Zastanawiałam się... – zaczęła. – ... To znaczy myślałam, że może zostałybyśmy u was na noc. Idźcie na tę kolację, mamó. My tu nadal będziemy, jak wrócicie.

Džehangir Sethna już otwierał usta, by coś powiedzieć, ale żona rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie.

– Oczywiście, Sero – odparła łagodnie. – To jest twój dom, kochanie, i zawsze jesteś tu mile widziana. Ale czy jesteś pewna, że Feroz nie będzie miał nic przeciwko temu?

Znów ta gorąca grudka w gardle. Sera przełknęła ją z trudem, nim odpowiedziała.

– Myślę, że sobie poradzi, mamó. A ty i tata powinniście iść na to przyjęcie.

– Hej, jeśli moja ukochana córka i wnuczka zostają, nie mam ochoty nigdzie wychodzić – oznajmił Džehangir. – Pandolowie na pewno to zrozumieją.

– Nie, nie, tato, proszę, nie zmieniajcie planów! – A na widok dobrze jej znanej, upartej miny ojca dodała: – Chodzi o to, że ja... muszę pobyć chwilę sama... żeby przemyśleć pewne sprawy.

Džehru szturchnęła męża i zamrugała szybko powiekami, odwracając twarz, tak żeby widział ją tylko on.

– Chodźmy, Dżehangu. Zostaliśmy zaproszeni. Wrócimy do domu nieco wcześniej, jeśli będziesz chciał. A wtedy będziesz sobie mógł rozmawiać z córką do woli.

Kiedy wyszli, Sera zadzwoniła do mieszkania Dubaszów. Proszę, niech to Feroz odbierze telefon, powtarzała w myślach. Proszę. Proszę.

– Halo? – suchy głos Feroza rozległ się w słuchawce tak głośno, że Sera na chwilę zapomniała, co miała powiedzieć.

– Feroz? To ja. Słuchaj, dzwonię, żeby...

– Gdzie ty, do diabła, jesteś? Od godziny czekamy z kolacją, aż wrócisz do domu!

– Jestem u rodziców. Feroz, posłuchaj. Sądzę, że zostanę tutaj przez kilka dni.

Usłyszała, jak głośno zaczerpnął powietrza, ale nic nie powiedział. Odezwij się, błagała w milczeniu. Powiedz coś i spraw, żeby z moich ust zniknął ten smak naftaliny.

Cisza trwała dalej.

– Halo? – powiedziała w końcu.

– Jestem.

– Nie zamierzasz nic powiedzieć?

Tym razem usłyszała zgrzytanie zębów.

– A co mam powiedzieć? Wychodzisz rano z domu bez słowa ostrzeżenia, nie wracasz wieczorem, siedzimy, czekając na ciebie jak jacyś ćutije, kolacja stygnie, a teraz mi mówisz, że zostajesz u mamy. Znienacka i zupełnie bez powodu. Czego ode mnie oczekujesz? Żebym cię błagał na kolanach, byś wróciła? Jeśli tak, to wyszłaś za niewłaściwego mężczyznę.

Na chwilę wczuła się w jego sytuację. Wyobraziła sobie, jak wraca zmęczony z pracy i pyta o nią i o Dinaz. Widziała zadowoloną minę Banu, kiedy mu wyjaśniała, że jego żona wyszła z samego rana, zabierając ze sobą córkę.

– Czy chcesz... czy chcesz powiedzieć Dinaz dobranoc? – spytała niepewnie.

– Jak długo planujesz trzymać córkę z dala ode mnie? – zapytał. – Czy twoi rodzice zachęcają cię, byś zaniedbywała swoje obowiązki?

– Feroz, to nie tak. Ja tego nie planowałam. Nie wzięłam ze sobą ani bielizny, ani sadry. Nie wiem, jak długo będę musiała tu zostać. Chodzi o to, że sytuacja między mną a twoją matką jest taka napięta...

– Gówno prawda! – To słowo padło przez telefon jak cios i sprawiło, że zaczęło jej dzwonić w uszach. – Nie obwiniaj mamy, ani nikogo z mojej rodziny za własną histerię. Nawarzyłaś sobie tego piwa, to teraz je wypij.

Patrzyła z niedowierzaniem na telefon, nie zauważywszy, że Feroz się rozłączył. Ściskając słuchawkę w rękę, usiadła ciężko na kanapie. Czy to możliwe, że ich rozłączono, że zrobiła to ta beznadziejna bombajska centrala telefoniczna? W głębi serca wiedziała jednak, że Feroz celowo rzucił słuchawkę. Chciała zadzwonić jeszcze raz, ale zdawała sobie sprawę, że duma nie pozwoli mu odebrać. A jeśli to Banu odbierze, jej upokorzenie sięgnie dna.

Minęły dwa tygodnie bez żadnej wiadomości od Feroza. Początkowo Dinaz pytała o tatę i o dziadka, ale wkrótce przestała i wyglądało na to, że przystosowała się do nowego życia. Tylko czy to rzeczywiście było nowe życie, czy



jedynie chwila wytchnienia od starego? Dżehru Sethna w jakimś sensie zadała to pytanie córce, kiedy pewnego dnia wybrały się razem na zakupy do Colaby, zostawiwszy Dinaz w domu pod opieką dziadka.

– Chodź, kupimy dziecku trochę majtek – powiedziała Dżehru, kiedy mijaly wąski sklepik z odzieżą dla dzieci. Po czym zatrzymała się i uważnie spojrzała na córkę. – Czy może nie? – spytała cicho. – Trudno zdecydować, co trzeba jej kupić, nie znając... przyszłości.

Sera od razu zrozumiała, o co pyta matka. Odwróciła wzrok, nie mogąc znieść tej czułej litości widocznej w jej oczach. Zatrzymały się, nie zdając sobie z tego sprawy. Inni klienci rzucali im oburzone spojrzenia, potem obchodzili je wokoło, kupcy za straganami, węsząc okazję, nasilili swe nosowe okrzyki, zagłuszając się nawzajem.

– Hej, proszę pani, czego pani szuka? Kasety, perfumy, mydła, ser Krafta w puszkach, prosto z Australii! Czekolady – Nestlé, Toblerone. *Are, weźcie dekho!* To jest *asli mal*, pszepani, dobra rzecz. Towar z importu, wszystko za pół ceny!

Zatopione w swojej rozmowie bez słów Sera i Dżehru nie zwracały uwagi na zamieszanie, jakie ich obecność wywołała wśród zdesperowanych kupców.

– Chodź – powiedziała wreszcie matka, ciągnąc Serę za rękę. – Pójdziemy do irańskiej restauracji i napijemy się czegoś. I tam porozmawiamy.

Zamówiły *thumbs up* i talerz kanapek z kurczakiem. Siedziały przez chwilę w przyjaznym milczeniu. Pierwsza odezwała się Dżehru.

– Przez dwa tygodnie milczałam. Przez dwa tygodnie, nie, do diabła, przez dwa lata milczałam. Myślisz, że nie zauważyłam tych ciemnych ćakr pod twoimi oczami i tego, że już się nie uśmiechasz? *Dikra*, jestem twoją matką. Nosiłam cię w brzuchu przez dziewięć miesięcy. Znam każdy cal twojej skóry. Jeśli gryzie cię komar, ja też to czuję.

Sera uśmiechnęła się.

– Ja mam tak z Dinaz – powiedziała.

– No właśnie. Mężczyźni są ślepi na to, co dzieje się pod ich nosem, ale my, kobiety, widzimy wszystko. Dlatego pytam cię, Sero: co się dzieje w twoim małżeństwie? Przez tyle miesięcy nie wtrącałam się do waszych spraw, powtarzałam sobie, że teraz jesteś własnością swojego męża, nie naszą. Ale nie mogę dłużej patrzeć na nieszczęście mojego jedyne dziecko. Więc pytam cię – dlaczego mieszkasz u nas? I dlaczego Feroz nawet raz nie zadzwonił, ani nie przyszedł zabrać cię do domu?

On mnie bije, chciała powiedzieć Sera. A jego matka zmieniła moje życie w piekło. Słowa już zaczęły jej się zbierać na ustach niczym piana na brzegu plaży, a potem zamarły. Nie mogła martwić matki. Nie chciała, aby sińce spod jej oczu znalazły swe odbicie pod oczami Džehru. Nie chciała ulżyć sobie poprzez zrzucanie swego smutku na barki matki. I nie miała pojęcia, jak zareagowałby jej ojciec, gdyby się dowiedział, co Feroz jej robił w ciemnościach, za zamkniętymi drzwiami sypialni. Że czasami to była tylko przystawka – szybkie, ale mocne uszczypnięcie, kciuk i palec wskazujący chwytające jej

ciało jak obcegi, zadające ból, który potrafił trwać kilka dni. A innym razem dostawała pełny posiłek, jak na prawdziwym bankiecie, składający się z uderzeń, kuksańców, a nawet kopniaków – posiłek, po którym była tak syta, że nazajutrz godzinami musiała się zastanawiać, którą sukienkę z długim rękawem włożyć i jak wyjaśnić siniaki na twarzy. A od bicia gorszy jeszcze był domyślny, triumfujący wyraz twarzy Banu, który pojawiał się zawsze następnego dnia. W jakiś sposób przemoc ze strony Feroza łączyła ją z Banu, dawała starszej kobiecie możliwość wkroczenia na zrujnowane, zaśmiecone ulice serca Sery.

Nie, nie wiadomo, co zrobiliby jej rodzice, gdyby się dowiedzieli. Przemoc, okrucieństwo – to były rzeczy wykraczające poza ich doświadczenia. Zresztą byli za starzy na ratowanie jej, na staczanie za nią jej bitew. Matka próbowała ją przecież ostrzec przed Banu. Chciała popytać, dotrzeć do źródła plotek. A ona tak arogancko, tak niefrasobliwie odrzuciła tę propozycję. Jak idealistyczna, jak pewna siebie była ta kobieta, która opuszczała dom swych rodziców. Co z niej teraz zostało? Drżenie prawej ręki, którego często nie była w stanie opanować, ciemne cienie pod oczami i serce rozbite na kawałki jak stłuczony talerz.

– Mamo, przeżywamy teraz z Ferozem trudny okres – powiedziała ostrożnie. – Wiem, że wam się narzucam, mieszkając u was z małą. Ale jeśli pozwolicie mi zostać jeszcze trochę, ja...

– Teraz to zaczynasz mnie złościć – stwierdziła Džehru. – Kochanie, nie baw się moimi słowami, jakby to

były klocki. Wiesz dobrze, jak bardzo oboje z tatą cieszymy się, że u nas mieszkacie. Ale w tym rzecz, że twoje miejsce nie jest przy nas. Ono jest przy twoim mężu i przy twoich teściach. Więc powiedz mi, co cię dręczy.

– Ona się do nas strasznie wtrąca. – Sera powiedziała pierwszą rzecz, jaka jej przyszła do głowy. – Widzisz, to jest stara kobieta i ma swoje nawyki. – Czuła, że robi z Banu ekscentryczną starszą panią zamiast jadowitego potwora, którym była w istocie.

– Zawsze powtarzam, że zwyczaj utrzymywania wielopokoleniowych rodzin to przekleństwo Indii – oświadczyła Džehru. – Niezliczoną ilość kobiet złożono w ofierze na ołtarzu tej sprawy. – Popatrzyła przez okno restauracji na młodego białego człowieka w workowatych portkach w kwiaty i drukowanej luźnej koszulce, który rozmawiał z kobietą z plecakiem, ubraną w bawełnianą spódnicę. – Widzisz, potępiamy tych ludzi z Zachodu, że wykopują z domu dzieci, kiedy kończą osiemnaście lat, i wsadzają starszych ludzi do domów opieki, i że nie kochają rodziny tak jak my. Ale czasami zastanawiam się, czy naprawdę jesteśmy od nich lepsi, tak jak sądzimy. Jaki ma sens, żeby wszyscy mieszkali razem, skoro wywołuje to masę niesnasek? Lepiej się rozstać, niż bez przerwy ze sobą walczyć.

Znasz naszych sąsiadów, Freny i Džamśeda? Oni opiekują się matką Džamśeda, która u nich mieszka. Pewnego dnia poszłam odwiedzić tę starszą panią i co widzę? Cała jest w odleżynach. Freny mówi, że nie ma siły obracać jej w łóżku dostatecznie często. No wiesz, Džamśed

jest cały dzień w pracy, więc opieka nad jego matką spada na Freny. Przez całą moją wizytę tylko skarżyła mi się na tę staruszkę, jak to nie pomaga jej, kiedy ją przekręca w łóżku albo kiedy ją unosi, żeby podać basen. Chociaż wszyscy widzą, że ta biedaczka to sama skóra i kości. Ledwie jest w stanie unieść brwi, nie wspominając o poślądkach. Ale Freny jest przekonana, że teściowa to robi celowo, żeby jej dokuczyć. A ona sama – co o niej można powiedzieć? Wygląda tak, jakby się postarzała o pięćdziesiąt lat w ciągu dwóch miesięcy. Mówi, że nie może wychodzić z domu na dłużej niż godzinę, mówi, że czuje zapach moczu i alkoholu do wcierania nawet przez sen. Całe jej życie zostało zdominowane przez ten problem. – Dżehru uniosła wzrok na Serę. – *Beta*, jestem pewna, że ona dzień i noc modli się o śmierć tej kobiety. A jednak krytykujemy cudzoziemców za oddawanie starych rodziców do domów opieki. Modlę się, żebym nie była dla nikogo ciężarem, kiedy przyjdzie mój czas. – Uśmiechnęła się. – Wystarczy dodać trochę pigulek do sosu albo puddingu i raz-dwa będzie po problemie.

Sera wyciągnęła rękę i pogładziła dłoń matki, rozlewając nieco wody z jednej ze szklanek, które kelner przyniósł im, jak tylko usiadły.

– Mamo, nie mów tak. Gdyby coś ci się stało, nie wiem, co bym zrobiła.

Głos Dżehru był cichy i miękki.

– Twój tata i ja nie będziemy żyć wiecznie, kochanie. Starzejemy się, wiesz. Dlatego mówię, że twoje miejsce jest przy mężu. W każdym małżeństwie są napięcia. Nie-

dobrze, że mieszkasz z teściami, ale tak wybrałaś. Spróbuj tolerować tę starą kobietę, na ile cię stać. A znając twój charakter, jestem pewna, że ją sobie zjednasz.

Sera uśmiechnęła się do matki, ale serce w jej piersi przypominało kawałek lodu. Uświadomiła sobie, jak wiele ją dzieli od tej eleganckiej kobiety o wielkich, dobrych oczach. Jej matka przeżyła na tym świecie więcej lat niż ona, ale Sera czuła się od niej starsza, bardziej doświadczona. Dżehru Sethnę los obdarzył dobrymi, bogatymi rodzicami, którzy o nią dbali. Oraz uczonym, dobrym mężem, który ją kochał. Oraz córką, która ją kochała i szanowała. Nigdy nie poznała siły, z jaką knykcie mężczyzny potrafią spadać na delikatne ciało kobiety. Nigdy nie doświadczyła tego klaustrofobicznego uczucia, jakie ogarnia człowieka, który siedzi zamknięty w pokoju we własnym domu. Jej mąż nigdy nie mówił do niej z pogardą, że robi się stara, gruba i brzydka, ani nie oskarżał o flirty z każdym napotkanym mężczyzną. Nigdy nie zaznała tej szczerzej czujności wzroku śledzącego każdy jej ruch we własnym domu. Sera uświadomiła sobie, że Dżehru Sethna nigdy nie cierpiała, i po raz pierwszy w życiu pomyślała, że dzieli je przepaść. Przepaść ta sprawiała, że nie była w stanie nawiązać z nią kontaktu na jakimkolwiek innym poziomie niż łącząca je miłość.

– Powiem ci coś, mamó – powiedziała. – Lepiej kupmy te majtki dla Dinaz. Dzięki temu, jeśli postanowię zostać u was jeszcze kilka tygodni, nie będziemy musiały znowu chodzić do sklepu.

Pewnego popołudnia, trzy tygodnie po tej rozmowie, ktoś zapukał do drzwi, a kiedy Sera otworzyła, zobaczyła, że o ścianę korytarza opiera się Freddy Dubasz. Miał na głowie brązowy melonik, a z kieszeni zwieszał mu się złoty łańcuszek od zegarka.

– Tato Freddy! – wykrzyknęła z radością. – Co tata tu robi? – Jej twarz spochmurniała – Czy wszystko... czy Feroz ma się dobrze?

– Wszystko w porządku – odparł starszy człowiek, udając, że marszczy groźnie brwi. – *Are wah*. Czy muszę mieć powód, żeby odwiedzić córkę i wnuczkę?

Sera zaczerwieniła się.

– Nie, oczywiście, że nie. Proszę, niech tata wejdzie. Papo! – zawołała. – Chodź zobacz, kto przyszedł!

Mężczyźni objęli się na przywitanie,

– *Kem*, Freddy, jak się miewasz? – spytał Džehangir takim tonem, jakby Freddy wpadał do niego codziennie. – Siadaj, proszę.

– Świetnie, świetnie – odparł Freddy, opadając na krzesło. – Przeczytałem w gazecie, że Franz Gutman będzie dyrygował w tę sobotę. Mam jedno z jego wczesnych nagrań dziewięćdziesiątej czwartej symfonii Haydna. Idziesz może na koncert?

– Oczywiście. Za nic bym tego nie przepuścił. A teraz, kiedy moja Sera może mi towarzyszyć... – Zerknął na córkę i zamilkł, kiedy uświadomił sobie okoliczności, w jakich tu trafiła. Zapadła krępująca cisza. Džehangir rozejrzał się po pokoju, szukając pomocy. – Obudzę Džehru – zaproponował. – Odbywa drzemkę razem z Dinu.

– Nie, proszę, nie rób tego – poprosił Freddy. – To znaczy chciałbym porozmawiać przez chwilę z Serą. W cztery oczy, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Džehangir popatrzył pytająco na córkę. Kiedy leciutko skinęła głową, wstał z westchnieniem.

– Do zobaczenia – powiedział nieco zaskoczony.

Kiedy Sera została z Freddyem sama, poczuła się tak strasznie onieśmielona, że trudno jej było nawet podnieść na niego oczy. Gdy w końcu się na to zdobyła, napotkała jego twardy wzrok. Miał poważną minę, dostrzegła też w nim jakąś determinację, której nigdy wcześniej u niego nie widziała.

– Poszłaś sobie ot tak – powiedział. Wyczuła w jego głosie ból i wyobraziła sobie, jakim ciosem musiało być dla niego odkrycie, że ona nie zamierza wrócić, że opuścił go jedyny towarzysz meloman. – Nie powiedziałaś nawet do widzenia, ani „Tato Freddy, trzymaj się, będę za tobą tęsknić”. *Bas*, po prostu sobie poszłaś, zabierając z mojego domu całą radość. – Jego głos stawał się coraz cichszy, a broda opadła mu na pierś. Musiała nasłuchiwać, żeby zrozumieć jego słowa. Miała wrażenie, że mówił bardziej do siebie niż do niej.

– Jak się miewa mama Banu? – spytała, uświadamiając sobie, że naprawdę chce to wiedzieć.

Freddy gwałtownie uniósł głowę.

– Banu? Chciałbym móc powiedzieć, że moja ukochana żona zmieniła się w baranka i stała się nagle czuła i uległa. Ale smutna prawda jest taka, że jest równie podła i *dżabri* jak zwykle. Doprowadza biedną Gulab do szaleństwa tymi wszystkimi *zrób-to i zrób-tamto*.



– Czy... czy Feroz wie, że tu przyszedłeś?

Freddy spojrział na Serę, jego załzawione oczy badały uważnie jej twarz.

– Posłuchaj, *dikra* – powiedział z powagą. – Przyszedłem tu z bardzo ważną misją i chcę, żebyś wysłuchała uważnie tego, co mam ci do powiedzenia. – Nagle zrobił się rozdrażniony i zaczął się zwracać do pokoju, nie do niej. – Widzicie tę dziewczynę z twarzą długą jak ananas? Zrobiłem taki kawał drogi, żeby się z nią zobaczyć, a ona chce tylko wiedzieć, czy jej mąż wie, że przyszedłem – westchnął dramatycznie. – Tak, moja droga, Feroz wie, że tu jestem. A co więcej wie, dlaczego tu jestem. Czy teraz wysłuchasz tego, co mam do powiedzenia?

Sera kiwnęła głową.

– To dobrze. Dwa dni temu wpadłem na jednego z moich starych klientów. Nazywa się Diwan Śah. To teraz bardzo bogaty człowiek, ale kilka lat temu miał kłopoty z prawem i wystarczy, jeśli powiem, że bardzo mu pomogłem. Zresztą to ciebie nie dotyczy. Rzecz w tym, że ten człowiek to przedsiębiorca budowlany. Pamiętasz Moti Mahal, ten wielki bungalow na końcu naszej ulicy? No więc okazuje się, że stara kobieta, która mieszkała tam od pięćdziesięciu lat, sprzedała budynek i przyległy teren firmie Diwana. Zamierzają zburzyć bungalow i zbudować tam siedmiopiętrowy wieżowiec.

Sera nie mogła się skupić na jego słowach. Chciała iść zbudzić Dinaz, żeby mogła się pobawić z dziadkiem Freddyem. Ciekawe, jak Dinaz zareaguje na jego widok, zastanawiała się.

– Moja droga, czy ty mnie w ogóle słuchasz? Próbuję ci powiedzieć, że rozmawiałem z Diwanem o kupieniu mieszkania w tym nowym budynku. Sprzedałby mi je za dobrą cenę. A wczoraj wieczorem rozmawiałem z Ferozem. Rozmawiałem z nim tak, jak nigdy przedtem, chyba mnie rozumiesz. Po męsku. Rzekłem mu, że jeśli cię stracił, to nie ma już życia, że któregoś dnia skończy jak jeden z tych starych żalosnych parsów gadających do siebie na ulicy i śliniących się przy jedzeniu. I wreszcie mój głupi syn odzyskał rozsądek. I się zgodził.

Freddy urwał, patrząc triumfalnie na Serę. Zauważywszy wyczekujący wyraz jego twarzy, zrozumiała, że powinna coś powiedzieć.

– To dobrze – wyszeptała. A ponieważ Freddy milczał, dodała: – A na co?

Freddy klepnął się w kolano.

– Wreszcie do czegoś dochodzimy. Powiem ci, *ćhokri*, że naprawdę zaczynam się o ciebie martwić. Wyglądasz, jakbyś brała co rano pięć proszków na uspokojenie. Jeśli nie zaczniesz dbać o siebie, pająki na twojej twarzy utkają sobie pajęczynę.

Sera zebrała się w sobie.

– Tato Freddy – powiedziała. – Przykro mi to mówić, ale nie mam pojęcia, o co ci chodzi.

– A skąd miałabyś mieć pojęcie? Przecież ci jeszcze nie powiedziałem. – Pochylił się do przodu. – A chcę powiedzieć, że kupuję drugie mieszkanie. Dla ciebie i Feroza, i oczywiście dla Dinaz. Żebyście zamieszkali sami, bez Banu i mnie. W ten sposób Banu nie będzie mogła

wyprowadzić tych swoich *dadagiri*, a ty i Feroz będziecie mieli nieco prywatności.

Sera zagapiła się na niego, bojąc się uwierzyć w to, co słyszy.

– I... Feroz zgodził się na ten plan?

– Tak. *Beta*, znam mojego syna. Jego głupia duma nigdy mu nie pozwoli błagać cię, byś do niego wróciła. Ale zapewniam cię, to inny człowiek. Wraca do domu późno, prawie nic nie je. Pewnego dnia, jak wychodził do pracy, musiałem mu zwrócić uwagę, że się nie ogolił. Możesz sobie wyobrazić naszego Feroza zapominającego o czymś takim? Bez ciebie zmienił się w kogoś, kogo nie poznaję. Nawet Polly to zauważył.

Sera zadrżała: musiała stawić czoło gwałtownej fali nadziei, która wtargnęła do jej serca.

– Nawet jeśli Feroz się zgadza, mama Banu nie zgodzi się na pewno – stwierdziła z żalem.

Freddy wyglądał na rozzłoszczonego.

– *Are*, czyli co? Może o tym zapomnieliście, ale to ja jestem panem tego domu. I głową rodziny. Rzekłem wczoraj Banu, że jeśli nie chce za życia oglądać swojego syna starszego niż ona sama, to jest to jedyne rozwiązanie. Wyjaśniłem jej sytuację i nie dałem szansy na te jej tak-ale-nie. *Bas*, powiedziałem jej, że taki jest plan i że musi się z nim pogodzić, *ćup-ćap*.

– A co ona na to?

– Czy ci właśnie nie powiedziałem? – zagrzemiał Freddy. – Ona nie ma tu nic do powiedzenia. To ja kupuję to mieszkanie za własne, ciężko zarobione pieniądze. To

jest mój prezent dla syna i ukochanej synowej, o ile go przyjmie.

Po raz pierwszy zauważyła błaganie w jego oczach, usłyszała niepewne załamane w jego głosie, dostrzegła lekkie drżenie rąk. Tata Freddy robi się stary, powiedziała sobie. A mimo to przyszedł tutaj, chowając dumę do kieszeni.

– *Beta* – powiedział, nim miała szansę się odezwać. – Jesteś klejnotem koronnym mojej rodziny. Twoje miejsce jest u boku męża. Wierz mi, Bombaj to nie jest miejsce odpowiednie dla samotnej kobiety z dzieckiem. W mojej karierze prawniczej widziałem wiele, bardzo wiele paskudnych rzeczy. Oczywiście masz wspaniałych rodziców, niechaj Bóg obdarzy ich zdrowiem. Ale jednak to nie tu jest twoje miejsce. Twoje miejsce jest przy Ferozie. A teraz mi powiedz, czy przyjmujesz prezent starego człowieka.

Wstała z kanapy i podeszła do niego. Zobaczyła czubek jego łysej, okrągłej głowy, która tak przypominała Feroza. I nagle w tym momencie okropnie zatęskniła za mężem, za jego ciemnymi dłońmi ściskającymi jej piersi, za jego spokojną, niewymuszoną pewnością siebie, za tym, że zawsze czuła się bezpieczna, kiedy razem wychodzili do miasta. Poza tym Dinaz potrzebowała tego – nie, ona zasługiwała na to – co mógł jej dać tylko ojciec.

– Tato Freddy. – Rozpłakała się. – Mam nadzieję, że nie popełniam błędu, ale przyjmuję twój dar. Przyjmuję go.

## 16

Słone morskie powietrze napęlnia nozdrza Bhimy i Mai miłym zapachem, a ocean muska lekko ich stopy, kiedy spacerują brzegiem wody, od czasu do czasu schodząc z drogi idącym z przeciwka ludziom. Lekki wietrzyk igra z włosami Bhimy, szczesanymi ciasno do tyłu, wyciągając kilka pasm i stawiając je na czubku jej głowy.

Kiedy tak spacerują, Bhima ma wrażenie, jakby wrzucała swoje ciężary w życzliwą jej wodę, aż jej ciało staje się rozluźnione i bardziej sprężyste i traci nieco tej spowodowanej złością sztywności, która normalnie ją przepęlnia. Cieszy się, że nabrały z Mają zwyczaju przychodzenia wieczorami nad morze. Słucha rytmicznych westchnień ciemnego oceanu i czuje, że wtórują one jej własnym. Woda atakuje brzeg, ocierając się o swe granice, a wycofując się, pozostawia po sobie pienisty syk rozczarowania. Zmęczone stopy Bhimy zagłębiają się w wilgotny piasek, szukając miejsca, które mogłyby nazwać własnym.

Od lat nie była na plaży Ćaupati.

– Przychodziliśmy tutaj z twoim dziadkiem – mówi do Mai.

– Z mamą i Amitem? – pyta wnuczka.

Bhima mlaska językiem.

– Nie, wcześniej. Zaraz po naszym ślubie. Wtedy było tu inaczej.

Jej twarz łagodnieje, kiedy przypomina sobie, jak siedzieli z Gopalem na karmelowym piasku i jedli warzywne *pakory*, a potem żuli kawałki świeżej trzciny cukrowej. Później, kiedy słońce już zaszło, a tłum się przerzedzał, pozostawiając po sobie jedynie gniazdka zakochanych, Gopal przyciągał ją do siebie. Na piasku siedziały pary będące na różnych etapach zaspokajania namiętności, ale etykieta wymagała, by nie zwracać uwagi na to, co robią inni. Były takie dni, kiedy Bhimie wydawało się, że na brzeg wyległ cały Bombaj – ci zaręczeni, ci w nielegalnych związkach, ci, którzy za swój romans mogli zostać surowo ukarani, gdyby odkryli go rodzice. W przeciwieństwie do nich czuła się bezpieczna i szanowana, ponieważ siedziała tu z mężem.

– Inaczej? To znaczy jak? – pyta Maja i Bhima czuje nagłe zniecierpliwienie, że wnuczka zakłóca jej zadumę.

– Miasto zrobiło tu porządek – odpowiada. – Wcześniej ta plaża była brudna i zaśmiecona. Ludzie robili *su-su* w piasku, na twoich oczach. A tam – wskazuje ręką na połyskującą część plaży, gdzie tłoczą się budki z jedzeniem – tam było o wiele więcej stoisk z *panipuri* i innymi potrawami. Teraz to wszystko regulują rządowi *babu*.

Ma nadzieję, że po tym wyjaśnieniu Maja zamilknie, i będzie mogła odwiedzić przeszłość, i znów spędzić trochę czasu z Gopalem na złocistych plażach ich młodości. Ale Maja chce rozmawiać.

– Ten twój *balunwala* – mówi. – Ten Afgańczyk, o którym mówiłaś. Czy on przychodził i tutaj?

– Nie wiem – odpowiada Bhima, ale myśl o tym, że Pasztun mógłby sprzedawać swe balony na jarmarcznej *Čaupati* wśród taniego blichtru tej plaży napelnia ją odrazą. Chce go widzieć w melancholijnej okolicy Marine Drive, gdzie nie było tłumów nastolatków i studentów szukających półmiska doskonałego *bhelpuri*. Gdzie miało się dość czasu, by docenić artyzm tego człowieka, cierpliwą uwagę, z jaką skręcał kawałek gumy i tworzył z niego magię. – Zapewne nie – dodaje. – Tu by nie przyszedł.

– Jestem pewna, że przychodził – spiera się Maja. – Jeśli to tutaj zbierały się tłumy, mógł znaleźć większy zarobek. Czyli musiał tutaj sprzedawać balony. Uczyliśmy się na zajęciach, że zawsze trzeba iść tam, gdzie jest popyt.

Bhimę ogarnia nagła, gorąca wściekłość. Swędzi ją ręka, by uderzyć Maję w tę zadowoloną z siebie, wszytkowiedzącą młodą twarz. Nie jest pewna, z czego wynika ta złość – ze swobodnej wzmianki wnuczki o college’u czy dlatego, że jej bezmyślne słowa w jakiś sposób profanują wspomnienie o pełnym godności Pasztunie i deprecjonują jego artyzm.

– To nie był biznesmen! – wykrzykuje. – Głupia dziewczyno, mówiłam ci przecież. Tu nie przychodził.

Maja jest zaskoczona tym wybuchem, wygląda nawet na urażoną, ale upór nie pozwala jej się poddać.

– W takim razie nic dziwnego, że był biedny. Nic dziwnego, że było ci go żal.

Bhima chce złączyć Maję, chce wyjaśnić, że wcale nie jest pewna, czy faktycznie to, co czuła wobec niego, było litością. Chce powiedzieć: „Ale *beti*, to coś więcej. To nie był taki człowiek, który wzbudza litość. Patrząc w jego piękne, tęskne oczy, czuło się raczej głęboki smutek, taką melancholię, jaka ogarnia człowieka, kiedy jest w cudownym miejscu, a słońce właśnie zachodzi. A kiedy teraz o tym myślę, żal mi jest przede wszystkim siebie. Ponieważ ten stary Pasztun miał coś, czego bardzo potrzebuję. Nie wiem, co to było, nie potrafię tego nawet nazwać. Wiem tylko, że mógł mnie czegoś nauczyć, gdybym nie była taka młoda i nieśmiała i nie bała się go zapytać”.

Ale Maja jest młodsza, niż Bhima była wtedy, więc nie ma sensu wyjaśniać jej tego wszystkiego. Zresztą Bhima czuje, jak wspomnienie wyłania się z ciemnego cmentarzy-ska przeszłości, i musi się skoncentrować na tym, aby przenieść je w teraźniejszość. Coś, co ten stary Pasztun powiedział kiedyś w rozmowie z Gopalem... O co Gopal go zapytał? Może o jego rodzinne strony? Tak, to było to.

Gopal powiedział:

– W porównaniu z naszym Bombajem i jego monsunami wasz Afganistan jest wyschnięty jak stara kobieta,



no nie? Macie góry suche jak kości, prawda? Widziałem raz zdjęcie.

Oczekiwała, że Pasztun się obrazi, ale on tylko się zaśmiał.

– *Nahi, sahib* – powiedział cichym, rozmarzonym głosem. – Mój Afganistan jest bardzo piękny. Niełatwy kraj, tak, pełen gór, ale surowość ma swój urok. – Zamilkł na dłuższą chwilę, a jego ręce zamarły na balonie, nad którym właśnie pracował. Miała niejasne wrażenie, że właśnie podróżuje trudnymi szlakami Afganistanu. – Kiedy byłem chłopcem, budziłem się rano i wybiegałem z chaty – ciągnął, a jego głęboki głos brzmiał w uszach Bhimy tak, jakby był nasycony zapachem tytoniu, kamfory i eukaliptusa. – Wdychałem czyste górskie powietrze, patrzyłem na wzgórza, które w porannym słońcu wydawały się niebieskawo-różowe, i uważałem, że jestem najszczęśliwszym chłopcem na świecie.

– *Wah*, staruszkule, sprawiasz, że mam ochotę odwiedzić twój kraj – stwierdził Gopal w swój zwykły, kpiący sposób. – Może jesteś poetą, a nie sprzedawcą balonów?

Miała już uszczypnąć męża, kiedy zauważyła, że Pasztun się uśmiecha.

– *Sahib*, w moim kraju każdy jest poetą – odparł. – Sam kraj nas takimi czyni. – Twarz mu spochmurniała. – To znaczy każdy był poetą. Teraz Afganistan jest w ruinie. Zbyt wielu ludzi walczy o tę nędzną ziemię, a kraj ma chore serce. I szłocha dzień i noc. Teraz nie może wziąć pod opiekę swych synów i córek. – Zamilkł. Jego oczy były jak dwa kałamarze, a skóra na twarzy jak

pergamin. Chyba miał zamiar powiedzieć coś jeszcze, ale uprzedził go Amit.

– Czy mój balon jest już gotowy? – zapytał, przestępując z nogi na nogę i niecierpliwie patrząc na sprzedawcę, który musiał mu się wydawać wysoki jak wieża.

Pasztun pochylił się i poklepał chłopca po głowie.

– Przepraszam, *baba* – powiedział. – Staję się powolny. – Metodycznie skończył skręcać balon i podał go Amitowi, jakby to był kwiat.

– Przepraszam, co robić, ten chłopak jest niecierpliwym jak jego ojciec. – Bhima uśmiechnęła się przepraszająco. – Ale... co stało się z pana ojczyzną, że tak bardzo tam się biją?

Pasztun spojrział na nią, uśmiechnął się niespiesznie i rzekł:

– Ludzie u nas powiadają, że kiedy coś jest bardzo piękne, bogowie z zazdrości zwracają na to uwagę. I niszczą. Bo jeśli nawet sami to stworzyli, piękno wywołuje w nich zazdrość i zaczynają się obawiać, że ich przyćmi. Więc niszczą świątynie, które sami zbudowali.

Bogowie zazdrości, myśli Bhima. Czy to właśnie przytrafiło się jej i Gopalowi? Czy ich szczęście stało się solą w oku jakiegoś podłego boga? Czy właśnie dlatego odebrano jej oboje dzieci? Czy dlatego musiała zmusić swą wnuczkę, by unicestwiła własne dziecko? Może Pasztun miał rację, może ludziom nie przystoi cieszyć się zbyt wielkim szczęściem i pięknem? Może ludzkie szczęście

należy odmierzać łyżeczką od herbaty, tak jak ten olej rycynowy, który Banu *bai* zażywała co niedziela? Napij się prosto z butelki, a prędko cię zabije.

– Babciu, pytam cię i pytam, a ty nie odpowiadasz – słyszy głos Mai. – Jesteś na mnie za coś zła?

Bhima potrząsa głową, by pozbyć się mgły przeszłości.

– Przepraszam, *beti* – mówi. – Zamyśliłam się i nie usłyszałam.

– Pytałam, co się stało z tym Pasztunem.

Bhima czuje lodowate mrowienie wokół serca.

– Nie wiem – ucina krótko. – Po wypadku twojego dziadka przestaliśmy przychodzić nad morze.

– Dlaczego? – nalega Maja. – Przecież dziadzi Gopalo-  
wi nic się nie stało w nogi, prawda? Dlaczego nie mogli-  
ście przychodzić nad morze?

Twarz Bhimy zamyka się jak książka.

– Po wypadku wszystko się zmieniło – ucina krótko. Odwraca wzrok i mruga, powstrzymując łzy, które nie-  
spodziewanie napłynęły jej do oczu.

Maja opiera głowę o jej ramię.

– Babunia – mówi miękko. – Moja biedna babunia.

– Posłuchaj, *beti* – mówi Bhima. – Nigdy ci nie opo-  
wiadałam o tym, co stało się po wypadku. Ale zrobię to  
teraz, żebyś zrozumiała raz na zawsze, jak ten świat trak-  
tuje ludzi bez wykształcenia.

W dniu wypadku Gopala była chora na grypę i to dlatego człowiek z fabryki, który zapukał do jej drzwi o trze-

ciej po południu, zastał ją w domu. Nie знаła go. Był ciemnoskóry i miał niespokojne, rozbiegane oczy.

– Czy pani to... – tu spojrzał na kartkę – Bhima? Żona Gopala?

– Tak.

Wbił wzrok w swoje stopy.

– Obawiam się, że przynoszę złe wieści – oświadczył.  
– Musi pani szybko iść do szpitala – wymawiał „špita-  
la”. – Zdarzył się wypadek.

– Wypadek? Mojemu Gopalowi? – Zakręciło jej się w głowie. Sprawiała to grypa i nagły strach, który ścisnął jej serce niczym ręka olbrzyma. – Czy jest... ciężko ranny?

Mężczyzna poruszył się niespokojnie.

– Nic mu nie jest – powiedział. – Niewielka rana na rękę. Ale szef i tak posłał go do szpitala, żeby miał opiekę pierwsza klasa. A mnie kazał tu przyjść, żeby panią zawiadomić. W Godav Industries dbamy o naszych robotników.

Gopal był zatrudniony w Godav Industries od czternastu miesięcy, to jest od czasu, gdy przedsiębiorstwo, w której pracował wiele lat, zbankrutowało. Bhima nie znała jego nowych kolegów, w tym również tego, który stał teraz w drzwiach. Było w nim coś takiego, co jej się nie spodobało.

– A pan to kto? – spytała.

– Jestem brygadzystą Gopala. Ale chodźmy, powinniśmy już iść. Muszę jeszcze wrócić do pracy.

Bhima zauważyła, że nie podał nazwiska, ale była zbyt nieśmiała, by go o nie zapytać. Nie chciała, żeby sobie pomyślał, że Gopal ma bezczelną żonę.

Poprosiła sąsiadkę, żeby wzięła do siebie Amita, kiedy wróci ze szkoły.

– Pudża przyjdzie z pracy około siódmej, *didi*. Powiedz jej, żeby ugotowała ryż dla Amita, jeśli jeszcze nie wrócę ze szpitala – poprosiła.

– Dzieci mogą zjeść u mnie – odparła sąsiadka.  
– Twoje dzieci to moje dzieci.

– Bardzo dziękuję.

Już zbierając się do wyjścia, podeszła do metalowego pojemnika, w którym trzymała kilka rupii na domowe wydatki i wyjęła je. Spodziewała się, że ten człowiek odwróci się, kiedy będzie wyciągać pieniądze, ale on obserwował każdy jej ruch.

Wezwał taksówkę i poczekał, aż Bhima wsiądzie. Potem podał kierowcy nazwę państwowego szpitala.

– Zawieźliśmy go tam, bo było najbliżej – wyjaśnił Bhimie. – Krwawił, więc wsadziliśmy go do taksówki. Bara *seth* zapłacił za kurs – dodał z dumą.

Bhimie zrobiło się słabo. A więc Gopal krwawił tak bardzo, że musieli go wieźć taksówką?

– Niech pan mi powie prawdę – poprosiła. – Czy mój mąż jest ciężko ranny?

– Wyzdrowieje – odparł. – Wszystko zależy od opieki, jaką otrzyma. Ponieważ jest ranny w prawą rękę, musi pani podpisać dokumenty, abyśmy mogli mu zapewnić odpowiednie leczenie – wyciągnął z plastikowej teczki długi, zadrukowany formularz i długopis. – Niech pani tu podpisze – nakazał.

Patrząc na kartkę pełną niezrozumiałych dla niej słów, poczuła, jak falą gorąca wzbiera w niej znajomy wstyd.

– Nie mogę – odparła, przełykając szloch, który utkwił w jej gardle. – Nie umiem pisać ani czytać.

– Nic nie szkodzi – stwierdził natychmiast mężczyzna, grzebiąc w teczce. – Dziś jest pani szczęśliwy dzień. – Wyciągnął poduszkę do tuszu. – Proszę – powiedział otwierając ją i biorąc Bhimę za rękę. – Niech pani umoczy kciuk i odciśnie na papierze.

Po raz nie wiadomo który Bhima pożałowała, że nie nauczyła się czytać. Chciałaby przeczytać ten długi dokument, przeczytać go tak szybko i uważnie, jak Sera *bai* czyta poranne gazety. Być może napisali tam prawdę o stanie Gopala. Ze wstydem przypomniała sobie, jak kłóciła się z mężem, kiedy chciał posłać Pudżę do szkoły. I teraz jej córka wyrasta na równie głupią i nieuczoną jak jej matka.

– To dziewczyna – przekonywała Gopala. – Po co jej wykształcenie? Nim się obejrzymy, dorośnie i wyjdzie za mąż. A mąż będzie się spodziewał, że potrafi gotować, sprzątać i prac jego rzeczy. Lepiej, żeby się nauczyła, jak używać szczotki, a nie pióra.

– Czasy się zmieniły. – Gopal na to. – Dziewczęta nie...

– Nie zmieniły się aż tak bardzo, żeby mężczyzna zaakceptował kobietę, która nie zna się na prowadzeniu domu. Ani tak bardzo, żebyśmy nie potrzebowali dodatkowego dochodu z jej pracy. Dzięki temu będziemy mogli opłacić szkołę Amita. Jeśli zdobędzie wykształcenie, będzie mógł potem pomagać siostrze.

Policzki paliły ją wstydem na to wspomnienie, kiedy jej kciuk zawisł nad białym formularzem. Pożałowała, że Amit był jeszcze w szkole, kiedy ten człowiek, ten posłaniec przynoszący złe wieści, zapukał do jej drzwi. Jej syn bez trudu rozszyfrowałby czarne słowa, które upstrzyły białą kartkę niczym martwe owady. Poczowała, że mężczyzna kręci się niecierpliwie.

– No już, bo prawie dojechaliśmy do szpitala – przyna-  
glał ją. – Tusz schnie kilka minut. Odcisnij tu kciuk.

I nim Bhima zdążyła zareagować, ujął jej rękę, skiero-  
wał w stronę dokumentu i odbił jej kciuk na papierze.

Obcy mężczyzna dotykający jej ręki na tylnym siedze-  
niu taksówki! Bhima była przerażona, a jej niechęć do  
niego ścięła się jak mleko. Przesunęła się na siedzeniu  
nie dużego fiata i oparła się o drzwi. Tymczasem nastrój  
mężczyzny wyraźnie się zmienił.

– Nie odsuwaj się dalej *behendzi*, bo będziemy mieć  
dwóch pacjentów zamiast jednego – powiedział ze śmie-  
chem.

Bhima patrzyła prosto przed siebie, ignorując słowa  
brygadzysty.

Ale w szpitalu była mu wdzięczna za towarzystwo. Bez  
niego nigdy w życiu nie przedarłaby się przez ten wielki,  
prerażający budynek. Szedł pewnie przodem, po drodze  
pytając pielęgniarkę, jak dojść na blok operacyjny. Kiedy  
Bhima usłyszała te słowa, omal nie krzyknęła. Dlaczego  
Gopal był na bloku operacyjnym? Ten człowiek, które-  
go nazwiska nadal nie знаła, wcześniej nic nie wspomi-  
nał o operacji. Czy z Gopalem było gorzej, niż jej powie-

dział? Kiedy spróbowała go zatrzymać i zapytać, cmoknął tylko lekceważąco.

– Mówiłem ci. Z twoim mężem wszystko w porządku. Po prostu idź za mną.

Kiedy dotarli do pomalowanych na kremowo drzwi z napisem „Blok operacyjny”, wskazał jej dużą drewnianą ławkę.

– Siadaj tam – polecił. – Czekaaj, aż wrócę.

Patrzyła, jak odchodzi i zatrzymuje kolejną pielęgniarkę. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął banknot, ale była za daleko, żeby rozpoznać nominał. Pielęgniarka szybko schowała pieniądze do kieszeni, potem pochyliła się nad grafikiem i wskazała korytarz.

– *Śukrija*. Dziękuję – usłyszała słowa mężczyzny.

Wrócił i usiadł ciężko obok Bhimy.

– No dobra – powiedział, jakby ciągnęli dalej przerwana rozmowę. – Gopal niedługo zostanie zabrany z bloku. Chyba stracił trzy palce. – Nawet jeśli dosłyszał bolesny okrzyk Bhimy, nie zdradził tego po sobie. – Doktor *sahib* zrobił, co tylko mógł. Zawiozą go do sali, ktoś cię poinformuje gdzie. Wtedy możesz go odwiedzić. – Spojrzał na zegarek i zaklął cicho. – *Sala*, jestem bardzo spóźniony. Muszę wracać do pracy i powiedzieć szefowi, co się tu działo. – Spojrzał na jej przerażoną twarz i skrzywił się. – Mój szef stracił już na to wszystko masę czasu i pieniędzy. Ten Gopal to był zawsze nieostrożny. Tyle razy mu powtarzałem, żeby uważał. W końcu wielka maszyna jest jak tygrys, nie wolno wkładać ręki w jej paszczę. Ale on nie słuchał, ten twój mąż. Za dużo *hirogiri* w pracy.



Bhima szlochała cicho. Chciała bronić Gopala, znaleźć słowa, które usadziłyby tego paskudnego człowieka, i nie potrafiła. Mężczyzna patrzył na nią przez dłuższą chwilę, a potem raptownie wstał. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął banknot pięćdziesięciorupiowy.

– Masz – powiedział, rzucając jej pieniądze na kolana.  
– Wróc do domu taksówką. – Patrzył przez kolejną chwilę na jej zalaną łzami twarz, oddalił się kilka kroków, a potem znów do niej podszedł. – Przyjdę jutro rano odwiedzić Gopala – oznajmił. – Wtedy zrobimy *hisab-kitab*, rozliczymy się z naszych zobowiązań zgodnie z warunkami umowy. Rozumiesz? – Pokręciła głową, że nie, ale ją zignorował. – Dobra. Zatem do jutra rana.

Kiedy w końcu wieczorem wpuścili ją do Gopala, ten zachowywał się dziwnie. Patrzył na nią sennym wzrokiem i wygadywał różne głupstwa. Przez kilka chwil obawiała się, że brygadzysta jej skłamał i że w wypadku Gopal uszkodził sobie głowę, ale matka pacjenta obok powiedziała jej, że to normalne: lekarstwo na sen, które dają pacjentom przed operacją, sprawia, że tak się zachowują i tak wyglądają. Na prawej ręce Gopal miał biały opatrunek, który już zdążył przesiąknąć krwią, czerwoną jak rdza, i jakąś inną, pomarańczowożółtą substancją.

Następnego ranka Amit nie chciał iść do szkoły.

– Chcę odwiedzić babę – powiedział. – Wiem, że mnie potrzebuje.

Bhima nie protestowała zbyt wiele. Jej syn miał tylko dwanaście lat, ale już był od niej wyższy. Podziwiała jego

swobodny, pewny krok, gdy szedł korytarzami szpitala. To właśnie daje umiejętność pisania i czytania, pomyślała i poczuła wielką dumę, że zapewniła synowi ten dar.

Kiedy dotarli do pokoju Gopala, jego łóżko było puste. Bhima przeżyła chwilę ślepej paniki. Przyszło jej do głowy, że umarł w środku nocy, ale zaraz wbiła sobie paznokiec środkowego palca w kciuk, żeby się ukarać za taką myśl. Obróciła się, niepewna, kogo zapytać o męża, kiedy odezwała się ta starsza kobieta, która uspokajała ją wczoraj.

– Zabrali go na dół, na rentgen – wyjaśniła. Bhima podziękowała jej skinieniem głowy, a wówczas kobieta opuściła swe miejsce obok łóżka syna i podeszła do niej. Ścisząc głos i stając tak, żeby nie słyszał jej Amit, powiedziała: – Pani mąż miał w nocy problemy. Dostał gorączki i kaszlał. Mój chłopiec całkiem nie mógł spać przez ten jego *hawk-hawk* kaszel. – Uśmiechnęła się do niej, chcąc okazać, że nie ma o to pretensji.

Strach opadł Bhimę jak kurz, który osadzał się co rano na jej garnkach i patelniach z nierdzewnej stali.

– Ale dlaczego? – szepnęła. – Przecież nie był przeziębiony. Dlaczego dostał gorączki i kaszlał? – Zastanawiała się chwilę. – To ja byłam chora przez ostatnie kilka dni. Czy Gopal mógł złapać przeziębienie ode mnie?

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Tego nie wiem, *beti*. Mówię tylko, co widziałam i słyszałam.

Amit uszczypnął Bhimę w rękę nad łokciem.

– Mama, co się dzieje? – spytał natarczywym szeptem.  
– Mam iść poszukać baby?

– Lepiej nie – odparła starsza kobieta, jakby zwrócił się do niej. – Lekarze są tutaj bardzo... – Skrzywiła się.  
– Lepiej ich nie złościć. Poczekajcie po prostu, aż go przywiozą z rentgena.

Siedzieli zasepieni na łóżku Gopala.

– Czy *baba* bardzo cierpi? – spytał po pewnym czasie Amit, a Bhima wymijająco pokręciła głową. Sama nadal nie czuła się dobrze z powodu grypy. Zastanawiała się, czy Murti, jej sąsiadka, przekazała już Serze wiadomość o wypadku Gopala. Niewykluczone, że minie wiele dni, nim będzie mogła wrócić do pracy. Jak Sera *bai* poradzi sobie bez niej? A jeśli ani Gopal, ani ona nie będą pracować, zostanie im na życie tylko pensja Pudży. Potem przypomniała sobie, co powiedział ten brygadzysta z fabryki – coś o rozliczeniu jakichś zobowiązań. Czyli fabryka da im pieniądze na życie na czas choroby Gopala. Dobrze, że brygadzysta o tym pomyślał – wczoraj rozum odfrunął od niej niczym ptak z gniazda i w ogóle nie myślała o pieniądzach i podobnych sprawach. Poczowała wdzięczność dla brygadzysty. Może źle go oceniła? Musi być dobrym człowiekiem, skoro tak się o nią troszczy w obecnych czasach. Przeprosi go dzisiaj za swoje zachowanie. Czy mówił, o której godzinie należy się go spodziewać? Czy powiedział, że przyjdzie dziś po południu?

Pół godziny później przywieźli Gopala na wózku i przenieśli na łóżko. Bhima aż krzyknęła ze strachu na widok jego chudego, trzęsącego się ciała. Nie minęły jeszcze dwadzieścia cztery godziny od chwili, gdy wysłała swego wesołego, zdrowego męża do pracy, a teraz ledwie rozpozna-

wała go w człowieku, który leżał na szpitalnym łóżku. Amit również musiał zauważyć tę zmianę, ponieważ przysunął się do matki i wpatrzył się w ojca jak zahipnotyzowany.

– Mamo, co się stało z jego ręką? – zapytał chrapliwym szeptem.

Gopal skupił wzrok na Amicie i spróbował coś powiedzieć, ale jego słowa zdusił atak kaszlu. Słyszając ten gardłowy dźwięk, Bhima ledwie wierzyła swym uszom. Kiedy wczoraj wychodziła ze szpitala, oddech Gopala był cichy, normalny, a teraz brzmiał jak u astmatycznych starszków, którzy zbierają się co wieczór przed sklepem z *biri* w pobliżu ich domu, żeby zabić czas. Kiedy dotknęła czoła Gopala, gwałtownie cofnęła rękę, jakby niechcący dotknęła garnka z gotującą wodą.

Jego oczy były rozgorączkowane i bezradne. Popatrzył na nią i znów spróbował coś powiedzieć, ale jego piersią wstrząsnął kolejny atak kaszlu.

– Nie próbuj mówić – poprosiła, kładąc rękę na jego piersi, żeby mu uspokoić oddech. Pod dłonią wyczuwała charkot i rżenie przeciążonych płuc. – Nic nie mów. Jesteśmy tu z tobą. Odpocznij chwilę.

Gopal zamknął oczy i teraz Bhima mogła przyjrzeć się jego okaleczonemu ciału. Zauważyła, że zmieniono mu bandażę na dłoni, ale nowy opatrunek już zdążył przesiąknąć krwią. Zauważyła bruzdy, które pojawiły się przez noc na jego czole. Zauważyła, że jego brązowa twarz zrobiła się niemal czerwona, jakby gorączka była latarką palącą się tuż pod jego skórą. I słyszała złowieszczy charkot jego oddechu, grzechot powietrza w jego płucach. Prócz tego

odgłosu do jej uszu dobiegał jeszcze inny – płacz stojącego u jej boku Amita – choć zajęło jej chwilę, nim uświadomiła sobie, co to jest.

– Mamo – szlochał chłopiec. – Co się stało z babą?

Bojąc się, że jego łkanie obudzi Gopala, odwróciła się do niego gwałtownie.

– Wyjdź i poczekaj na korytarzu – syknęła. – Zabieraj swoje łzy i ponurą głowę i znikaj stąd, skoro tak się zachowujesz.

Jakby chcąc ją ukarać za te ostre słowa, do łóżka Gopala podeszła pielęgniarka. W prawej ręce trzymała strzykawkę. Amit i Bhima patrzyli z zaprawioną strachem fascynacją na długą i grubą igłę.

– To wasz pacjent? – spytała pielęgniarka niecierpliwie. – Obudźcie go, musi zsunąć piżamę. – Ale nim skończyła mówić, zrobiła to sama. Bhima, cała spięta, oczekiwała, że mąż się obudzi, ale on spał dalej. – Prawdziwy śpioch, nieprawdaż? – stwierdziła pielęgniarka i w następnej chwili wbiła igłę w udo chorego.

– Ach, ach! – wykrzyknął Amit, jakby to jego zabolalo, ale Gopal tylko poruszył się niespokojnie i spał dalej. Pielęgniarka cmoknęła ze współczuciem.

– Ból ręki musi być tak wielki, że biedak nawet nie zwrócił uwagi na zastrzyk – stwierdziła.

Bhima ruszyła za pielęgniarką, która już wychodziła z sali.

– Siostró, co mu się stało? Dlaczego ma gorączkę i kaszel? – zapytała.

Pielęgniarka wzruszyła ramionami.

– Infekcja – odparła. – W jego ciele jest infekcja po operacji. Rozumiesz?

Nie, chciała powiedzieć Bhima, nie rozumiem. Myślałam, że operacja ma pomóc mojemu mężowi, a nie wywołać gorączkę. Ale nim zdołała coś wykrztusić, pielęgniarka kiwnęła jej głową i opuściła salę.

Bhima wyszła na korytarz.

– Zostań z babą – nakazała Amitowi. – Muszę zadzwonić.

W budce telefonicznej wykręciła numer Sery. Robiła to powoli, w ten ostrożny sposób, którego nauczyła ją jej pani. Protestowała, kiedy Sera *bai* uparła się, żeby nauczyć ją korzystać z telefonu, ale teraz była jej wdzięczna za to. Chociaż wszystkie cyfry wyglądały dla niej tak samo, zapamiętała na tarczy odpowiednie dziurki, w które trzeba włożyć palec.

– Tak? – W słuchawce rozległ się głos Feroza *setha*, silny i niecierpliwy, jak zwykle. Bhima zdziwiła się, że jest jeszcze w domu.

– Feroz *seth*? – zawołała. – Halo? Tak, to dzwoni Bhima!

– Bhima? Przestań wrzeszczeć, na miłość boską. Mów normalnym głosem. Nie, jeszcze ciszej. O, teraz lepiej. Powiedz, co z Gopalem. Twoja sąsiadka właśnie tu była i przekazała nam wiadomość.

– On nie czuje się dobrze, *seth* – powiedziała, starając się nie krzyczeć. – Pielęgniarka powiedziała, że ma... zaraz, zaraz, jak brzmiało to słowo? Aha, że ma iniekcję.

Feroz przeklął cicho.

– To niedobrze – stwierdził krótko.

– Więc ja dzwonię tylko po to, żeby spytać, co to jest.  
Czy to jakaś choroba?

Nastąpiła chwila milczenia.

– Poczekaj – powiedział Feroz. – Jest tu Sera i chce z tobą rozmawiać.

– Halo, Bhima? – Głos Sery przyniósł jej ulgę. – Co się dzieje?

– Pielęgniarka mówi, że Gopal ma iniekcję. – Coś w znajomym, miłym głosie jej pani stopiło ten sztywny ból, który trzymał ją w swych objęciach od wczoraj, więc teraz łączy łatwo popłynęły. – Jest bardzo chory, *bai*. Ma wysoką gorączkę i kaszle, jakby dziesięć oszalałych słoni skakało mu po piersiach. Co to jest ta nowa choroba, co ją ma?

– A co z jego rękę?

– Stracił trzy palce.

Usłyszała, jak Sera gwałtownie wciąga powietrze.

– I operowali go? Wiesz, co mu robili?

– Nie, nikt mi nie powiedział. Nikt tu ze mną nie rozmawia, *bai* – odparła.

– Rozumiem. – Sera była chyba zła. – Na pewno te osły lekarze spieprzyli coś przy operacji. – Urwała, a potem odezwała się znowu. Tym razem mówiła znacznie wolniej. – Bhima, infekcja jest wtedy, kiedy coś ci się dostaje do krwi. Czasami tak się zdarza po zabiegu. Ale zwykle dobre leki potrafią to zwalczyć. Tylko musicie bardzo o niego dbać.

– Czy powinnam mu dać do picia *narial pani*? – spytała Bhima. – Mogę posłać Amita, żeby kupił mleko kokosowe. Mówią, że to wypłukuje wszelkie choroby.

– Nie, to wymaga lekarstw dużo silniejszych niż *narial pani...* – Sera zawiesiła głos. – Czy będziesz w szpitalu przez cały dzień? Tak? To dobrze. Poczekaj chwilę przy telefonie. – Bhima usłyszała, jak Sera *bai* rozmawia z Ferozem. Potem znów wróciła do niej. – Halo? Słuchaj uważnie. Feroz i ja musimy dzisiaj wyjść. Dziś jest nasza rocznica ślubu, wiesz? Ale po drodze wpadniemy do szpitala. Zobaczymy wtedy, co można zrobić. Na którym piętrze leży twój mąż?

Kiedy Bhima wróciła do sali, Gopal już nie spał. Amit siedział przy ojcu, gładząc go po głowie i śpiewając mu piosenkę z nowego filmu, na którym byli razem zaledwie w zeszłym tygodniu.

– *Baba* prosił, żebym mu zaśpiewał – wyjaśnił Bhimie. Oczy chłopca błyszczały od łez. Kiedy kiwnęła głową, znów zaczął śpiewać. Obserwując ich, poczuła ból serca. Z miłości. Aż do wypadku na ich życie nie padł żaden cień. Choć Gopal miał dwójkę dzieci, był równie swawolny i beztroski jak one. Związek Sudżaty z Suśilem usechł jak winorośl, natomiast jej małżeństwo rozkwitało jak te różowe kwiaty, które pojawiają się każdej wiosny na drzewie przed ich blokiem. A od chwili narodzin Pudży Gopal traktował swe dzieci z taką czułością i miłością, że stały się przedmiotem zazdrości kolegów w całym ćaulu.

Amit nadal śpiewał, choć Gopal znów zasnął. Bhima pogładziła kościste plecy chłopca, a serce ścisnęło jej się ponownie, kiedy poczuła pod dłonią znajomy ruch jego mięśni przy oddechu.



– *Baba* śpi – szepnęła. – Możesz już przestać śpiewać.  
– Ale kiedy mnie prosił – odparł chłopiec, również szeptem. – Sam widziałem, mamó. To mu pomaga.

Kiwnęła głową i przytuliła syna.

– Jesteś podporą mojego życia. Wszyscy powinni mieć takich synów jak ty – powiedziała, a on zaczął dotykać jakiegoś pryszczka na twarzy, żeby ukryć pełną zażenowania dumę. O Boże, oddaj mi moją rodzinę, modliła się. Niech ta choroba, która płynie niczym mrok w krwi Gopala, opuści jego ciało. Oddaj mi mojego Gopala, żeby śmiał się i śpiewał jak zwykle.

Było prawie południe, kiedy przyszli Dubaszowie, a *Sera* wyglądała olśniewająco w zielonym sari. *Bhima* miała wrażenie, że ci dwoje – w eleganckich strojach, o czystych i rumianych twarzach – są plamą koloru na czarno-białym tle ciemnej, obskurnej sali. W porównaniu z nimi wyglądają jak gwiazdy filmowe, pomyślała, jak bogowie, którzy zstąpili z nieba na ziemię śmiertelników. Zauważyła, że inni ludzie na oddziale, i pacjenci, i ich krewni, gapią się na Dubaszów z otwartymi ustami.

– *Sera bai!* – wykrzyknął *Amit* z radością. Stał przed przybyłymi rozpromieniony, nieco przestraszony obecnością *Feroza*, ale i tak niezdolny do ukrycia radości, że widzi *Serę*.

– Witaj, *Amicie* – powiedział *Feroz* sztywno, kiwnąwszy głową.

Twarz *Sery* była pełna ciepła.

– Jak się miewasz, Amicie? – spytała, wyciągając do niego rękę. Chłopak zachichotał, słysząc to serdeczne powitanie.

– Dobrze, dziękuję – odparł, tak jak go nauczyła. Po chwili jego twarz posmutniała. – Mój *baba* jest chory – powiedział. – Ma czoło gorące jak kubek z herbatą.

Bhima siedziała z rękami złożonymi w geście wyrażającym wdzięczność.

– *Bai*, bardzo dziękuję – powiedziała, po czym zwróciła się do Feroza. – Przepraszam, że sprawiam tyle kłopotu, *seth*.

Feroz zbył jej podziękowanie machnięciem ręki.

– Gdzie są lekarze i pielęgniarki? – zapytał, rozglądając się po pokoju. – Kto odpowiada za tę salę?

– Była tu wcześniej pielęgniarka – wyjaśniła Bhima. – Dała Gopalowi wielki zastrzyk. To ona mi powiedziała o iniekcji.

– Infekcji – poprawił ją odruchowo Feroz. Jego oczy biegały dokoła, aż zauważył salowego, który właśnie miał podać komuś basen. – *Oe*, ty! – zawołał. – Chodź tutaj na chwilę.

Zahipnotyzowany brzmącym w głosie Feroza autorytetem chłopak odstawił basen i ruszył w jego stronę.

– *Mere re* – szepnęła Sera. – Powinien podać basen temu biedakowi, nim tu przyjdzie.

Feroz wyciągnął wizytówkę.

– Posłuchaj – powiedział. – Zanieś to do lekarza dyżurnego i powiedz mu, że chcę się tu z nim za chwilę zobaczyć. Pospiesz się, nie mamy wiele czasu. Musimy gdzieś być o wpół do drugiej.

Salowy wziął wizytówkę, jakby to był ważny dokument. Ale ociągał się.

– Doktorzy przychodzą tu tylko raz rano i raz wieczorem – wyjaśnił.

– Słuchaj no, ty! – ryknął Feroz. – Powiedz temu lekarzowi, żeby się tu zjawił za dwie minuty! Znam ludzi, którzy zbudowali ten szpital, rozumiesz?

– Tak, pszepana. W tej chwili, pszepana.

I chłopak popędził szybko jak karaluch.

Kilka minut później, ku wielkiemu zdumieniu Bhimy, na sali zjawił się starszy mężczyzna w białym fartuchu.

– Pan Feroz? – zapytał. – Jestem doktor Kapur. – Był średniego wzrostu, miał szorstkie, posiwiałe włosy i worki pod oczami. Jedna rączka jego okularów zlepiona była kawałkiem brudnego plastra.

– A tak, witam – powiedział Feroz, wyciągając rękę. – Jestem Feroz Dubasz, dyrektor w Tata Group.

– Rozumiem. – Doktor przyglądał się ciekawie Dubaszom. – Co mogę dla państwa zrobić?

– Chcielibyśmy zapytać o stan zdrowia tego młodego człowieka – oznajmił Feroz, wskazując na śpiącego Gopala. – Miał wczoraj operację po jakimś wypadku w fabryce. Powiedziano nam, że dostał zakażenia. Chciałbym prosić, żeby nam pan wyjaśnił, co się stało.

Doktor Kapur zrobił się niespokojny.

– Tak, jest to zakażenie, *per se*. To tutaj powszechny problem po operacji – wymamrotał. – Widzi pan, czasami bakterie dostają się do organizmu w wyniku zabiegu. Leczymy go.

– Kiedy zaczął dostawać antybiotyki? – spytała Sera.  
– Antybiotyki? – Doktor Kapur sprawiał wrażenie, jakby nigdy w życiu nie słyszał tego słowa. – No cóż, nie przyjmuje jeszcze antybiotyków, *per se*. Najpierw próbujemy innych metod.

Sera zaczerwieniła się ze złości.

– Jakich? Dajecie mu najpierw *pansupari*? – spytała sarkastycznie. – Na co oszczędzacie te...

Feroz ścisnął jej łokieć, chcąc ją uciszyć.

– Przepraszam, doktorze, moja żona jest nieco zmartwiona – powiedział. – Widzi pan, ten człowiek jest ważny dla naszej rodziny. – Pochylił się w kierunku doktora, jego czarne oczy badały wnikliwie twarz medyka, a słowa wypowiadał powoli i z rozmysłem. – No cóż, co się stało, to się stało. Wygląda na to, że pański szpital popełnił poważny błąd, ale podstawowe pytanie brzmi: co możemy zrobić, żeby go naprawić? – Jego głos stał się jeszcze cichszy. – Czy mogę z panem przez chwilę porozmawiać jak mężczyzna z mężczyzną? Dobrze. Rzecz w tym, że z jakichś powodów moja żona jest bardzo przywiązana do naszej służącej, która tu siedzi. A kiedy moja żona jest szczęśliwa, ja również nie mam na co narzekać. – Mrugnął do lekarza. – Jeśli jest pan żonatym człowiekiem, doktorze, wie pan dobrze, o czym mówię. Na przykład dzisiaj jest rocznica naszego ślubu. Wziąłem sobie wolne w pracy, żeby ten dzień spędzić z żoną. Proszę mi wierzyć, ostatnia rzecz, na jaką mam ochotę, to być tutaj, w tym... miejscu, ale moja żona nalegała, abyśmy tu wpadli i sprawdzili, co się dzieje. I oto jesteśmy.

– Nie ma potrzeby o nic się martwić – stwierdził cierpko doktor Kapur. – Ten człowiek ma odpowiednią opiekę.

Nagle Feroz wpadł w furję, a na jego czole zaczęła niebezpiecznie pulsować żyła. Niemniej nadal mówił ściszym głosem.

– Nazywa pan odpowiednią opieką niepodawanie antybiotyków w przypadku zakażenia? – spytał. – Nazywa pan odpowiednią opieką zatajanie przed żoną, co dolega jej mężowi? Czy może pan to jakoś wyjaśnić?

Doktor Kapur odwrócił wzrok.

– To nie jest jedyny pacjent tutaj, *per se* – roześmiał się nerwowo. – Pan może się martwić o jednego chorego, ale my musimy się martwić o wszystkich.

Feroz wydał z siebie głos dziwnie przypominający szczeknięcie.

– W takim razie zaczniście się martwić, do diaska. Zróbcie coś. Jeśli ten człowiek umrze z powodu braku opieki, przysięgam, Kapur, że owinę ci jądra wokół głowy tak szybko, że...

– Niech pan posłucha, panie Feroz. Nie ma potrzeby tak mówić. Przyszedłem tu, ponieważ...

– Jeśli niepokoją pana moje słowa, lepiej żeby nie miał pan okazji zetknąć się z moimi czynami – przerwał mu Feroz. – Pracuję dla Tata Group, rozumie pan? Wie pan, jakie mamy wpływy w administracji szpitala? Jedno moje słowo i wyląduje pan na ulicy, i to bez tego białego fartucha. I sprawię, że żaden szpital w Bombaju pana nie zatrudni, czy to jasne?

Sera podeszła szybko do męża.

– Spokojnie, Feroz, na pewno nie będzie to konieczne – powiedziała uspokajająco. – Widzę, że pan doktor jest dobrym człowiekiem i że zrobi dla Gopala, co tylko będzie mógł.

– Właśnie to próbuję wyjaśnić pani mężowi, proszę pani – zapewnił Kapur. Jego głos się zmienił, nabrał płacznego, błagalnego tonu. – Jeszcze dziś po południu podamy państwu pacjentowi antybiotyki, *per se*. Za kilka dni będzie jak nowo narodzony.

Bhima zauważyła, że Sera rzuca Ferozowi ostrzegawcze spojrzenie. Ale Feroz je zignorował.

– Dobrze. W takim razie plan jest taki. Dostał pan moją wizytówkę. Chcę, żeby codziennie rano któryś z waszych lekarzy dzwonił do mojej sekretarki i informował ją o stanie zdrowia Gopala. Niech pan im powie, żeby dzwoniли koło jedenastej.

Doktor Kapur uśmiechnął się błagalnie.

– Panie Feroz, niech pan będzie rozsądny – poprosił. – To jest szpital, a nie dworzec. Nie mam tylu ludzi, żeby do pana dzwonić codziennie. Jeśli pan sobie życzy, może pan dzwonić do informacji i tam się dowiadywać.

– Ma pan rację – stwierdził Feroz zyczliwie. – Pańscy ludzie rzeczywiście nie mają czasu do mnie wydzwaniać. W takim razie mam lepszy pomysł... chcę, żeby to pan – dźgnął lekko starszego mężczyznę wskazującym palcem – dzwonił do mnie co rano. Czy to jasne?

Doktor Kapur patrzył w podłogę, a jabłko Adama wędrowało mu w górę i w dół.

– Jestem dyplomowanym lekarzem, proszę pana...  
– zaczął i zamilkł.

– No to proszę postępować jak przystało na kogoś takiego – rzekł Feroz sucho. – Niech mi pan nie opowiada, czego pan nie może zrobić. Niech pan mi powie, co pan może.

Na tę ostatnią obrazę twarz doktora Kapura zapadła się w sobie niczym chata ze słomy pod wpływem monsunowych deszczów.

– Dobrze, proszę pana. Będę do pana dzwonił codziennie rano. I osobiście będę nadzorował jego leczenie, obiecuję.

– W porządku – powiedział Feroz krótko.

Kapur zaszurał nogami.

– Czy mogę panu służyć czymś jeszcze? – zapytał.

– Nie, to wszystko. Może pan już odejść.

Kapur się zaczerwienił. Omijając ich wszystkich wzrokiem, ukłonił się i odszedł.

Bhima w zdumieniu przenosiła wzrok z pleców odchodzącego lekarza na triumfującą twarz Feroza. Ku jej zaskoczeniu Feroz *seth* śmiał się i mrugał do Sery, jakby jego niedawny atak gniewu był udawany.

– No to teraz dostał *maza-masti*. – Zachichotał. – Nie wolno pozwolić tym facetom na państwowych posadach, żeby wbijali się w dumę.

Oto, co daje wykształcenie, pomyślała Bhima. Otwiera drzwi. Zastanawiała się, czy Amit stanie się pewnego dnia taki jak Feroz, czy będzie potrafił zmuszać ludzi, żeby go słuchali. Była podekscytowana i równocześnie pełna odra-

zy na myśl o tym, że jej syn mógłby w podobny sposób okazać komuś swą władzę. Jak ten doktor pękł, zupełnie jak jeden z balonów afgańskiego balunwali. Kilka słów sahiba Feroza i poddał się zupełnie. A Gopal dostanie potrzebną pomoc. Sera *bai* już jej wyjaśniła, że wkrótce zaczną mu podawać nowe leki.

– *Seth*, nawet jeśli będziesz żył sto lat, nie starczy mi czasu, by ci podziękować za dzisiejszą pomoc – powiedziała.

Podeszła do niego ze złożonymi rękami, chcąc ująć jego prawą rękę i położyć sobie na głowie w geście podziękowania. Ale Feroz wzdrygnął się i wyrwał rękę, kiedy jej dotknęła.

– Już dobrze, już dobrze – rzekł. – Nie trzeba dziękować. Bhima nie dopuściła, by zabolało ją to odrzucenie.

– Kiedy Gopal wróci do domu, przygotuję ci *śrikhand* – obiecała. Wiedziała, że Feroz często przynosił do domu ten słodki jogurt z parsyjskiej mleczarni.

Uśmiechnął się.

– Lubię *śrikhand* tylko z tego sklepu – wyjaśnił. Ale na widok jej urażonej miny dodał: – Ale zobaczymy, zobaczymy. Najpierw niech wróci do domu.

Kiedy wyszli, Bhima dała Amitowi dwie rupie, żeby poszedł sobie kupić *samosy* na lunch.

– A dla ciebie mamó? – zapytał.

– Nie jestem głodna – odpowiedziała. – Idź coś zjeść, a potem wróć tutaj, *acća*?

Patrząc, jak chłopiec rusza pospiesznie korytarzem, Bhima uśmiechnęła się.



Amit był szybki jak błyskawica. Jutro każe mu wracać do szkoły. Będzie się z nią kłócić, tego była pewna, ale zamknie uszy na jego argumenty. Widząc, jak Feroz *seth* zdominował w rozmowie lekarza, upewniła się w swojej wierze w moc wykształcenia. Pewnego dnia również jej Amit będzie rozmawiał w ten sposób z lekarzami i prawnikami. Może nawet sam będzie prawnikiem albo lekarzem. Bhima tak naprawdę nie miała pojęcia, czym zajmuje się prawnik, ale wiedziała, że był nim Freddy *seth*, a szczerze go lubiła. Freddy *seth* był miły – kiedyś, kiedy towarzyszyła Serze odwiedzającej teściów, pozwolił jej pogłaskać swoją papugę Polly'ego. A gdy przychodził do domu Sery, zawsze ją pytał o Gopala i dzieci. Tak, Amit może zostać prawnikiem, a Freddy *seth* mu w tym pomoże.

Ale wtedy przyszło jej do głowy jeszcze coś innego. Zatrzymała się, jakby stała na ruchliwym skrzyżowaniu, a jej myśli były samochodami, na które musi uważać. Przecież doktor *babu* też musi być wykształconym człowiekiem. Więc dlaczego pozwolił Ferozowi *seth*owi mówić do siebie w ten sposób? Czy samo wykształcenie nie wystarcza? A jeśli nie wystarcza, czego mu brakuje? Nie rozumiała dokładnie rozmowy, ponieważ Feroz i lekarz rozmawiali po angielsku. A przecież musi się tego dowiedzieć, dla Amita. Czy Feroz *seth* mógł mówić w ten sposób dlatego, że jest parsem? Wszyscy wiedzą, że parsowie są wykształceni i bogaci, a ich kobiety noszą na co dzień sukienki zamiast sari. Po prostu są inni. Inni niż ona i Gopal, i nawet niż doktor *sahib* z tymi swoimi zniszczonymi gumowymi ćappalami na nogach i okularami posklejanymi plastrem.

Czy to o to chodziło, czy o coś innego? Czy to dlatego, że Feroz *seth* potrafi udawać, że jest wściekły, kiedy wcale taki nie jest? Czy jej Amit też będzie to potrafił? Czy to było coś, czego uczono w szkołach?

Uniosła głowę i zobaczyła przy łóżku kolejną pielęgniarkę, młodszą i ładniejszą niż ta, która wcześniej robiła Gopalowi zastrzyk.

– Zaczynamy podawać mu nowe leki – uśmiechnęła się, wyciągając rękę. – Antybiotyki.

Gopal wrócił do domu po dziesięciu dniach w szpitalu, a Bhima znów poszła do pracy. Gorączka i kaszel zniknęły, ale skarżył się na okropny ból dłoni, ból, który wędrował w górę jego ramienia niczym prąd elektryczny.

– Gopu, poczekaj, aż zdejmą ci bandażę, wtedy zastosujemy domowe sposoby – obiecywała. – Możemy nawet poprosić twojego brata, żeby przysłał nam z wioski jakieś zioła.

– A co one pomogą? – zapytał. – Sprawią, że odrosną mi palce? – Zaczął mówić w taki nowy, szorstki sposób, który ją ranił i przerażał.

– Nie, ale... przynajmniej złagodzą ból – powiedziała słabo, ale on prychnął tylko z lekceważeniem i odwrócił się do niej tyłem.

Nie naciskała. Martwiło ją coś innego, coś bardziej pilnego. Od dnia wypadku brygadzysta więcej się nie pokazał. Nie zjawił się następnego dnia w szpitalu, tak jak obiecał, ani następnego. Co on takiego powiedział o pomocy dla nich? Powinien się już z nimi skontaktować,

skoro Gopal jest w domu. W końcu potrzebują pieniędzy na czynsz. A za kilka tygodni, kiedy zdejmą bandażę i Gopal odzyska siły, będzie chciał wrócić do pracy. Na pewno znajdą mu inne zajęcie w Godav Industries, skoro nie będzie mógł teraz obsługiwać maszyny.

Chciała przedyskutować tę sprawę z mężem, chciała mu opowiedzieć o tym dziwnym człowieku, który zawiózł ją do szpitala w dniu wypadku, ale jego twarz zastęgała w kamienną maskę za każdym razem, kiedy wspominała o tamtym zdarzeniu. Porozmawiam z nim za kilka dni, mówiła sobie wtedy. Jak już poczuje się lepiej.

Jakby wywołany jej myślami, brygadzysta zapukał do ich drzwi następnego dnia wieczorem. Bhima właśnie wróciła do domu z pracy i wyrabiała ciasto na *śapati*, popatrując przez okno na ciemniejące niebo. Pudża powinna zaraz wrócić do domu, myślała. Słyszała okrzyki chłopców z sąsiedztwa, z którymi Amit grał w krykieta na podwórzu.

– Szóstka! – zawołał radośnie jakiś młody głos, a Bhima modliła się w duchu, żeby to Amit był tym, który swoim odbiciem zarobił sześć punktów. Spróbowała wyjrzeć przez okno, ale nie miała stąd dobrego widoku na podwórko.

Kiedy ktoś zadzwonił do drzwi, Gopal nie ruszył się z miejsca, choć miał bliżej, tylko czekał, aż ona trzepie mąkę z rąk i pójdzie otworzyć. Mój dawny Gopal nigdy by tak nie zrobił, pomyślała, ale zdusiła w sobie tę myśl. Biedaczek, tak go boli. Skoro potrzebuje odpoczynku, to

czemu nie? Nic mi się przecież nie stanie, jak ja to zrobię.

Przez dłuższą chwilę nie miała pojęcia, kto stoi na progu, ale kiedy już rozpoznała gościa, poczuła taką ulgę, że zapomniała, iż go nie lubi. Uśmiechnęła się radośnie na powitanie.

– Witamy, *bhaisahib* – powiedziała. – Myślałam, że pan o nas zapomniał. – Cofnęła się, żeby mógł wejść, i zwróciła się do męża: – Gopal, masz gościa. To twój brygadzysta z fabryki.

Stojący za nią mężczyzna odchrząknął.

– Hm, prawdę mówiąc, to to, co wtedy powiedziałem, nie było... hm... ściśle. Ja... uznałem, że tak będzie łatwiej, zważywszy na okoliczności. Jestem księgowym firmy.

Gopal wstał i przyglądał się mężczyźnie zdumionym wzrokiem.

– Jest pan księgowym? – powtórzył.

– *Namaste, dži* – odparł gość, składając ręce w geście powitania. Odruchowo Gopal chciał zrobić to samo, ale szybki rzut oka na okaleczoną dłoń kazał mu opuścić ręce. Skinął tylko głową.

– *Namaste* – powiedział.

– Pozwólcie, że się przedstawię – ciągnął mężczyzna. – Jestem Dewdas. Zajmuję się księgowością w Godav Industries.

Gopal rzucił szybkie spojrzenie na Bhimę, jakby się upewniając, że jest w pokoju.

– Nie powinien się pan trudzić, przychodząc tutaj, to kawał drogi – powiedział uprzejmie. – W końcu już za

kilka tygodni planuję wrócić do pracy. Jak tylko mi to zdejmą – dodał ze smutnym uśmiechem, wskazując na bandaż.

– No cóż, właśnie o tym musimy porozmawiać – stwierdził mężczyzna. Opadł na krzesło, po czym otworzył swą plastikową teczkę.

– Czego się pan napije? – zapytał Gopal grzecznie.  
– *Ćaj*? Czy może woli pan coś zimnego?

– Nie, nie, dziękuję – odparł Dewdas, kręcąc energicznie głową. – Zajmę państwu tylko kilka minut – powiedział, obejmując spojrzeniem również Bhimę. – W końcu powinien pan jeszcze odpoczywać.

Gopal wzruszył ramionami.

– Nie powinno się przesadzać z odpoczynkiem.

Księgowy roześmiał się, jakby usłyszał dobry dowcip.

– To prawda, to prawda... – urwał i spojrzał na obszerny dokument, który wyciągnął z teczki. – *Aćća* – zaczął rzeczowo. Jego głos się zmienił. – W sprawie tej umowy. Jest w niej napisane, że Godav Industries wypłaci panu tysiąc rupii tytułem jednorazowego odszkodowania. Potem nie będzie pan miał żadnych dalszych roszczeń w stosunku do firmy. I będzie pan mógł poszukać sobie innej pracy w mieście. – Ignorując ich zaskoczenie, oparł się wygodnie na krześle i uśmiechnął się życzliwie.  
– Przeszedłem przygotowany na wypłacenie państwu dziś całej tej sumy – oświadczył, przeciągając słowa.  
– Dlatego jestem tu dopiero teraz, kiedy wrócił pan do domu. Szef rozumie, że będzie pan potrzebował w takiej chwili pieniędzy.

Gopal starał się opanować zamęt, który otulał go szalenie niczym mgła.

– Proszę mi wybaczyć, ale nie rozumiem. Zamierzam wrócić do pracy, jak tylko będę w stanie.

Twarz mężczyzny w równych częściach wyrażała współczucie i pogardę.

– No pomyśl tylko, Gopal *babu* – powiedział głosem przesyconym jadem. – Co będziesz robił w fabryce? Będziesz mógł dźwigać kawałki plastiku? Przesuwać je tak, żeby maszyna mogła je pociąć? Robotnik bez trzech palców... no nie wiem, *baba*, to jak kobieta bez piersi.

Gopal poderwał się z miejsca.

– Niech pan uważa, co pan mówi w tym domu. To jest szanowana rodzina, a nie jakaś...

– Spokojnie, spokojnie Gopaldźi – powiedział mężczyzna, cedząc słowa. – Po co się tak złościć? Powinieneś oszczędzać siły. Nie chciałem obrazić twojej cnotliwej żony. Chodzi mi tylko o to, że nie ma u nas pracy dla ciebie. Rozumiesz? – Szukał czegoś w teczce, nie spuszczać wzroku z Gopala. Teatralnym gestem wyciągnął grubą brązową kopertę, a następnie kwitariusz.

– A więc oto tysiąc rupii – powiedział, gładząc kopertę.  
– Nie mała sumka w dzisiejszych czasach. – Odwrócił się do Bhimy i podał jej pakunek. – Proszę, *didi* – powiedział.  
– Jesteś panią tego domu. Możesz policzyć banknoty i sprawdzić, czy się nie pomyliłem. W Bombaju nikomu nie wolno przecież ufać.

– Nie dotykaj tych pieniędzy! – Ostrzeżenie Gopala zabrzmiało ostro, niczym trzask, z jakim kij do krykieta

uderza w piłkę. – Chcę mieć pracę, a nie pieniądze za stracone palce. A poza tym co z moją odprawą? Sama odprawa jest warta więcej niż to.

– Ach, *babu*, to ci właśnie próbuję powiedzieć – oświadczył księgowy łagodnie. – Kiedy byłeś w szpitalu, twoja żona podpisała takie warunki ugody. Według niej tylko tyle ci się należy.

Twarz Gopala pobladła. Odwrócił się i spojrzał na Bhimę, a w jego oczach był taki ból, zdumienie i poczucie zawodu, że stała jak zahipnotyzowana, jakby te jego oczy przeszły ją niczym strzały i unieruchomiły przy ścianie, przebiły jej serce, zabijając słowa wyjaśnienia, nim w ogóle zdążyły się narodzić. Więc stała jak wrośnięta w podłogę, nie mogąc podejść do męża i przerzucić mostu nad straszliwą przepaścią, która otwarła się między nimi. Chciała opowiedzieć Gopalowi o tej strasznej drodze do szpitala, o swej rozpacz i kłamstwach Dewdasa na temat zawartości dokumentu, który podstępem kazał jej podpisać, ale pod jego spojrzeniem nie była w stanie się bronić.

– Kłamca – powiedział w końcu Gopal do Dewdasa, który przenosił wzrok z męża na żonę z dziwnie zadowoloną miną. – Moja żona nie umie czytać ani pisać. Jak mogła coś podpisać?

W odpowiedzi Dewdas pokazał mu dokument.

– Odcisk kciuka – stwierdził triumfalnie, niemal radośnie, jakby tłumił w sobie śmiech. Zwrócił się do zniechęconej Bhimy. – Powiedz mi, czy to jest odcisk twojego kciuka? – zapytał.



Ale ona patrzyła na Gopala, na pojedyncze pasemko śliny, które pojawiło się w jego otwartych ustach. Widziała, jak nerwowo oblizywał wargi. Widziała zmarszczki na jego czole, łzy, które połyskiwały jak martwe gwiazdy w jego ciemnych oczach.

– Kobieto – powiedział ochryple. – Coś ty zrobiła?

Dewdas niecierpliwie poruszył się na krześle.

– Co się stało, to się stało – stwierdził. – A teraz, jeśli można, żona czeka na mnie z kolacją. Proszę podpisać pokwitowanie. Czy może tobie również potrzebna będzie poduszka z tuszem?

– Potrafię się podpisać – odparł Gopal, nie spuszczać oczu z Bhimy. Przyjął od Dewdasa pióro i podpisał się na różowym druku lewą ręką. – Proszę bardzo – powiedział, oddając kwitariusz. – Właśnie podpisałem wyrok na moje życie.

Dewdas wrzucił kwitariusz do teczki i wstał.

– Dziękuję. A teraz, jeśli pozwolicie, pójdę już – oświadczył.

Położył brązową kopertę na stole i spojrzał na Gopala, jakby oczekiwał czegoś jeszcze – przekleństw, przemocy, gróźb, wybuchu gniewu, czegokolwiek. Ale Gopal patrzył na niego obojętnie, a jego twarz była niczym oblicze trupa. Księgowy cmoknął z niezadowoleniem.

– Mówię ci, Gopal *babu*, sam na siebie sprowadziłeś to nieszczęście. Powinieneś być bardziej uważać w pracy. W końcu to są duże i niebezpieczne maszyny, a nie zabawki dla dzieci. Dostałeś nauzkę na przyszłość – stwierdził.

I wtedy doczekał się reakcji, na którą liczył. Gopal poderwał się z krzesła z pełnym wściekłości krzykiem.

– Wynoś się z mojego domu! – zawołał. – Zabierz stąd swoją kłamliwą, podłą gębę. Wmawiasz mi, że powinienem bardziej uważać, a ja zaledwie trzy dni wcześniej skarżyłem się szefowi na tę maszynę! I żaden z was, sukinsynów, nic w tej sprawie nie zrobił. Taniej jest spłacić robotnika takiego jak ja niż przerwać pracę na cały dzień, żeby naprawić maszynę. Nie myśl, że nie wiem, co jest w tej kopercie. To pieniądze za krew. Są w niej moje trzy odcięte palce, nic poza tym. *Sala maderćod*, myślisz, że uda ci się mnie oszukać? Możesz oszukać swoją matkę i siostrę, i swego syna, który ssie jeszcze pierś matki, ale mnie nie oszukasz, rozumiesz?

Dewdas wydał z siebie coś pośredniego między gniewnym prychnięciem a bezsilnym chichotem.

– Nie ma powodu tak się zachowywać, *babu*. W końcu jestem w twoim domu gościem. – Zauważył błysk w oczach Gopala i dodał pospiesznie: – Idę sobie. Do widzenia.

Po wyjściu Dewdasa w domu zapadła niesamowita cisza. Bhima wróciła do wyrabiania *ćapati*, a Gopal usiadł na krześle, na którym parę minut wcześniej siedział Dewdas, i utkwiał wzrok w ścianie, jakby mogła mu ona wyjaśnić zagadkę jego życia. Koperta leżała na stole nietknięta. Od czasu do czasu Bhima rzucała okiem na męża, ale jego twarz była równie pozbawiona wyrazu jak ściana, na którą patrzył. W końcu nie mogła już znieść tej ciszy. Wytarła do czysta ręce z mąki i podeszła do Gopala.

– Mój mężu – powiedziała cicho. – Spróbuj znaleźć w swoim sercu przebaczenie dla mnie. Jestem głupią i ciemną kobietą. Ten *badmaś* mi nakłamał. Powiedział, że podpisuję dokument, który ci zapewni dobrą opiekę w szpitalu.

Gopal powoli pokręcił głową.

– Nie rozumiesz, kobieto? – zapytał. – To nie ma znaczenia. Oszukaliby nas jak nie w ten, to w inny sposób. Bo świat należy do nich. Oni mają maszyny i pieniądze, fabryki i wykształcenie. My jesteśmy jedynie narzędziami, których używają do zdobywania tych dóbr. Wiesz, co robię z młotkiem, żeby wbić gwóźdź? No więc oni tak samo postępują ze mną, żeby zdobyć to, czego pragną. Tylko tym dla nich jestem. A co się dzieje z młotkiem, kiedy się psuje? Wyrzuca się go i kupuje nowy. Oni ciebie do tego wykorzystali, żeby sobie sprawić nowy młotek.

Patrzyła na niego, nic nie rozumiejąc. Nie poznawała tego nowego Gopala ani go zbytnio nie lubiła. Nie tylko wyglądał inaczej, ale nawet pachniał inaczej niż jej Gopal. Człowiek, którego poślubiła, stworzony był z promieni słońca i piosenek, śmiechu i żartów, i pachniał miętą, kolendrą i świeżym deszczem. Ten nowy Gopal był twar- dy jak młotek, sztywny jak niewyprawiona skóra, a pach- niał potem, popiołem i skisłym mlekiem.

– Gopi, posłuchaj – powiedziała z rozpaczą. – Zapomnij o Godav Industries. Przez moją głupotę utraciłeś tę pracę, ale znajdę ci inną, obiecuję. A od jutra będę cię codziennie karmić kurczakiem, żebyś szybko odzyskał siły. I zapłacę Pandawowi, żeby napisał mi list do twoje-

go brata z prośbą o jakieś zioła na twój ból. Gopalu, mój mężu, kiedy byłeś w szpitalu, walczyłam, żebyś został wśród żywych. A teraz, kiedy jesteś w domu, zapewnię ci najlepszą opiekę, przysięgam.

Uśmiechnął się do niej i właśnie w owej chwili zrozumiała, że bogowie ją oszukali – zachowali Gopala przy życiu, ale odebrali mu to coś najważniejszego, to coś, co sprawia, że człowiek chce nadal żyć. Gopal był niczym pusta obudowa zegara, z którego wyjęto cały mechanizm. Nic nie mogło sprawić, by tykał dalej. Pragnęła, żeby zapłakał, zaszlochał, przeklinał świat, zbił ją, rozbił coś, podarł na strzępy tę kopertę leżącą na stole, wściekał się na Dewdasa – żeby zrobił coś, by ją przekonać, że nadal żyje. Ale zamiast tego uśmiechnął się – takim niespiesznym, smutnym, fatalistycznym uśmiechem – i w tej chwili wydawał się jeszcze bardziej martwy niż wtedy, kiedy leżał w szpitalu.

– Czy mam włączyć radio? – spytała, mając nadzieję, że może muzyka filmowa w języku hindi trochę go pocieszy.

Ale on tylko wzruszył ramionami.

– Jestem zmęczony – powiedział i odwrócił znowu twarz do ściany. Po chwili Bhima poszła do kuchni.

Słyszała jak Amit i Pudża wbiegają po schodach. W następnej sekundzie wpadli do pokoju. Zauważyła zatroskane spojrzenie, jakie Pudża rzuciła na ojca, spojrzenie tak dorosłe i poważne, że aż ścisnęło jej się serce. Ta dziewczyna jest za młoda, żeby aż tak się martwić, pomyślała. Obserwowała, jak córka podchodzi do Gopala i głaszcze go po włosach, jak mówi coś szeptem do niego, i serce bolało ją z miłości do tej

cichej, spokojnej i wrażliwej nastolatki. Amit odwrotnie, wydawał się nieświadomy napięcia panującego w pokoju, a twarz miał jeszcze zaczerwienioną po meczu krykieta. Trochę przypominał Bhimie żwawego, rozochoczonego, pragnącego wszystkich zadowolić szczeniaka. Gdyby ten chłopak miał ogon, merdałby nim przez cały dzień, pomyślała. Ten niewidzialny ogon Amita nie przestawał merdać od chwili, kiedy ojciec wrócił do domu. Jest taki szczęśliwy, że *baba* znów jest z nami, że nie zauważył zmiany, jaka w nim zaszła, pomyślała ze zdziwieniem. Amit kręcił się po pokoju, opowiadając ojcu o meczu.

– Miałem dwie szóstki, *baba* – powiedział. – Ten Wasu próbował złapać jedną z moich piłek, ale taki z niego grubas, że nie może nawet pobiec za piłką. A potem ten nowy chłopak próbował... – Jego wzrok padł na kopertę. – Co to jest? – zapytał, biorąc ją do ręki.

Gopal odwrócił się lekko, a jego oczy napotkały wzrok Bhimy nad głową chłopca.

– To taki wczesny prezent z okazji Diwali – wyjaśnił powoli, nie spuszczając wzroku ze znękanej twarzy żony. – Otwórz ją.

Niecierpliwe palce Amita rozdarły kopertę i na podłogę spadło dziesięć sturupiówych banknotów.

– Ach! – sapnął chłopiec. Nigdy w życiu nie widział na oczy takich pieniędzy. – *Baba*, co to jest? Takie mnóstwo forsy?

– Chcesz wiedzieć, co to jest, *beta*? – spytał Gopal. Jego twarz pałała jak wtedy w szpitalu. – To jest twój *baba*, tam w tej kopercie. Tyle jest wart twój *baba*. To jest cena...

– *Ćup re!* – Bhima wpadła do pokoju i rzuciła Gopalo-  
wi ostrzegawcze spojrzenie. Skupiła wzrok na zdumionej  
twarzy Amita i nagle zirytowała ją ta jego naiwność. – Ty  
głupi chłopaku – powiedziała i uderzyła go mocno w ra-  
mię. – Natychmiast podnieś te pieniądze. Ciągłe tylko  
zadajesz głupie pytania i wszystkich denerwujesz. – Ude-  
rzyła go ponownie, tym razem w tył głowy.

– Mamo, przestań! – zawył Amit. – Co ja takiego zrobiłem?

– Przestań bić to dziecko za swoje przewiny, kobieto  
– szepnął do niej Gopal tak cicho, żeby tylko ona mogła  
go usłyszeć.

To wprawiło ją w jeszcze większą złość.

– Co takiego zrobiłeś? – krzyknęła na syna, który roz-  
cierał sobie głowę. – Tracisz wieczorami czas na grę  
w krykieta jak jakiś *mawali*, razem z tymi swoimi nic  
niewartymi przyjaciółmi. Ja przychodzę do domu zmę-  
czona, a jednak... – zakrztusiła się tymi słowami, jakby  
to były kawałki płonącego węgla, ale złość i strach nadal  
kipiały w jej piersiach – ... wydajemy ciężko zarobione  
pieniądze, żeby cię posłać do szkoły, Pudża i ja harujemy  
przez całe dni jak niewolnice. A ty co robisz, ty bez-  
wstydnym *namak-haram*? Ty sobie grasz w krykieta z ty-  
mi gundami z sąsiedztwa.

Twarz Amita rozgorzała oburzeniem i uporem.

– Ale mamo, sama mówiłaś, że mogę wyjść na podwó-  
rze się pobawić. A poza tym to są moi przyjaciele, nie  
żadne gundy.

Nagle jej gniew zamigotał i zgasł jak błękitny płomyk  
prymusa. Popatrzyła na syna ze smutkiem i litością.

– Idź umyć twarz – powiedziała szorstko. – Zaraz będzie kolacja.

Odwróciła się do Pudży. Miała wrażenie, że choć dziewczyna jest spokojna na zewnątrz, wewnątrz kuli się ze strachu. Westchnęła. To prawdziwe przekleństwo rodziców, ta wiedza, co dzieje się w duszy ich dzieci.

– A ty, *chokri* – powiedziała, a jej głos stał się głęboki od targających nią uczuć – ty też lepiej idź umyć twarz. Musisz być śmiertelnie zmęczona po całym dniu pracy. Twoja pani powinna być szefem policji, tak tobą komenderuje.

– Dziś była dla mnie całkiem miła. Dała mi kawałek czekolady do lunchu – powiedziała Pudża.

Z przyzwyczajenia Bhima rzuciła okiem na Gopala i na tę króciutką chwilę, kiedy wymieniali znaczące spojrzenia, zadziałało ich dawne porozumienie. Oboje wiedzieli, że Pudża spontanicznie próbuje godzić ludzi i często albo przejawia fakty, albo zmyśla różne rzeczy, żeby jej rodzice poczuli się lepiej.

– Czekolada jest dobra, ale następnym razem poproś ją, żeby ci dała więcej pieniędzy – gderała Bhima, ale ton jej głosu upewnił Pudżę, że matka się z nią tylko droczy. Uśmiechnęła się i szybko poszła do kuchni umyć się nad zlewem.

Kiedy Bhima wzięła kopertę i szukała bezpiecznego miejsca, gdzie mogłaby ją ukryć, czuła, że Gopal obserwuje każdy jej ruch. Po plecach spływał jej pot, ale uzbroiła się przeciw temu szyderczemu spojrzeniu. Z tych pieniędzy będzie mogła płacić przez kilka miesięcy czynsz i kupić to i owo. Bóg jeden wie, jak długo to potrwa, nim

Gopal znajdzie pracę. Bez jego pensji będą musieli oszczędzać każdą pajsę.

Następnego dnia, kiedy Bhima szła do pracy, czuła, że budzi się w niej nadzieja. Powie Serze o oszustwie księgowego, postanowiła. Sera na pewno usadzi tego człowieka za pomocą kilku celnych słów.

Ale kiedy kilka godzin później Sera weszła do kuchni, na jej twarzy malowało się przygnębienie.

– Właśnie rozmawiałam z Ferozem przez telefon – oznajmiła. – On twierdzi, że sprawa jest już zamknięta. Kiedy przyłożyłaś swój kciuk pod tym dokumentem... Obawiam się, że nic się nie da zrobić, Bhimo – zakończyła łagodnie.

Nagle dłoń Bhimy podskoczyła w górę i wylądowała z rozmachem na czole. Zaczęła się po nim okładać, raz po raz, otwartą ręką.

– Głupia, tępa kobieta! – krzyczała między uderzeniami. – Pętla na szyi dobrego męża! Niszczycielka jego życia! Przeklinam dzień, w którym się urodziłam. Przeklinam moją matkę za to, że nie posłała mnie do szkoły. Jako dziecko tak bardzo chciałam czytać książki! – Kontynuowała swe samobiczowanie na oczach przerażonej Sery. – Obyś powracała na ten świat w nieskończonych cyklach nieszczęść, żeby zapłacić za ten jeden grzech! Niech dzieci twoich dzieci nigdy ci nie wybaczą tego błędu!

– Bhima, Bhima, przestań! – krzyknęła wreszcie Sera. – Nie ma teraz sensu histeryzować. – Poczekala, aż jej



służąca przestanie się okładać. – Co ci to da, że będziesz się obwiniać? – spytała. – Skąd mogłaś wiedzieć, że ten człowiek cię oszukuje? To prawda, co powtarzała często moja matka – czasami po świecie chodzą węże przebrane za ludzi.

Tego wieczoru w drodze do domu Bhima zatrzymała się przy małej kapliczce, którą zbudowano wewnątrz pnia drzewa stojącego między piekarnią a sklepem z ubraniami. Położyła kilka monet u stóp błękitnego posągu, a potem stała i patrzyła na radosną, spokojną twarz Kryszny. Od momentu, kiedy poznała Gopala, ciągnęło ją do tego boga, ponieważ coś w nim przypominało swawolne, figlarne zachowanie jej męża. Teraz przyglądała się pięknej twarzy bóstwa z zazdrością.

– Przywróć do życia mojego dawnego Gopala – szeptała gorączkowo. – Przywróć go do życia, a ja rozdám tutaj szym łobuzom trzy kilo *pera*, przyrzekam.

Gopal kochał się z nią po raz pierwszy od wypadku w dniu, kiedy zdjęto mu opatrunek. Przez cały wieczór Bhima wpatrywała się w kikuty uciętych palców męża. Skóra w okolicach tych guzków była bardziej różowa i cieńsza niż na reszcie ciemnobrązowej dłoni. Kiedy zasiedli do kolacji, Gopal niechcący uderzył okaleczoną ręką o metalowy talerz i głośno krzyknął z bólu. Wprawdzie już wcześniej nauczył się jeść lewą ręką, ale tak dużo czasu zabierało mu wybieranie ryżu i dału palcami, że Bhima zastanawiała się, czy to nie dlatego traci tak bardzo na

wadze. W pewnym momencie, gdy kolejna fala bólu przeszła jego rękę, odstawił jedzenie i wstał z podłogi.

– Już nie mogę – oświadczył gwałtownie.

– Ale przecież się nie najadłeś, *baba* – zaprotestował Amit, lecz Gopal rzucił mu spojrzenie tak jadowite, że chłopiec zamilkł. Jedli w trójkę szybko i w milczeniu, a Gopal poszedł się położyć na swoim łóżku polowym.

W nocy Bhima poczuła, jak okaleczone palce Gopala przesuwają się po jej plecach. Zesztywniała, doświadczając tej nieznanej szorstkości i walcząc z odrazą narastającą w żołądku.

Jakby domyślając się, co ona przeżywa, Gopal zapytał:

– Czy moja pozbawiona palców ręka budzi w tobie wstręt, żono?

– Oczywiście, że nie – zapewniła szybko i odwróciła się do niego. Wyciągnęła rękę i pogładziła jego wychudłą, przystojną twarz, obrysowując palcem wskazującym jej owal. – Tyle smutku na tak młodej twarzy – szepnęła. – Taka jest chuda i krucha.

Zbliżył głowę do jej piersi i rozpiąwszy lewą ręką guziki od koszulki, zaczął ssać sutek. Poczuli jak znajomy ogień i lód przenikają całe jej ciało, jak znowu równocześnie topi się i płonie.

Ale coś było nie tak. Jakby nie pasowali do siebie tak jak przedtem. Jakby w każdym ruchu, każdym pchnięciu i naprężeniu ciała byli świadomi braku tych trzech palców. Kiedy Gopal próbował rozwiązać pasek od spodni piżamy, uraził się w dłoń i zacisnął zęby z bólu. Kiedy lewą ręką ujął twarz Bhimy, prawa zadrżała i opadła na bok, bezużyteczna,

jak złamane skrzydło ptaka. Kiedy Bhima wygięła w jego stronę biodra, nie mógł jak dawniej schwycić oburącz jej pośladków, by przypieczętować ten moment bliskości. Próbowali. Pocili się, jęczeli i ocierali jedno o drugie. Ale ciągle się mijali, jak para niedobrych tancerzy. W końcu Gopal poddał się i zatrzymał w połowie. A nim obrócił się na bok, stwierdził gorzko:

– Wygląda na to, że zapomniałaś, jak należy przyjmować swojego męża.

Te słowa zabolęły jak uderzenie, ale Bhima była zbyt zmęczona i rozczarowana, by odpowiedzieć. Byli dopasowani do siebie w łóżku lepiej niż jej zameżne znajome w swoich związkach. Od nocy poślubnej, kiedy padli sobie w ramiona, chichocząc i pocąc się, mocując i przytulając, ich fizycznym zbliżeniom zawsze towarzyszyła łatwość, która, jak Bhima wiedziała, wymykała się wielu jej przyjaciółkom. Gopal nigdy nie próbował jej zdobywać, jak górskiego szczytu. Raczej pływał w niej, jakby była rzeką. Trwali u swego boku jak rzeka i ryba, płynęli tym samym, wyznaczonym kursem, oboje potrzebując się nawzajem, ale nigdy nie próbując nad sobą dominować.

Ale teraz Gopal musiał coś udowodnić. Nagle stała się rzeką wymagającą tamy, rzeką, której moc należy okiełznać i powstrzymać. Gdy jej mąż stracił trzy palce, nagle musiał przekonać sam siebie, że nie ucierpiał też jego inny, ważniejszy członek. Ich seks już nie był radosny, stawał się mechaniczny, monotony. Bhima starała się być cierpliwa, instynktownie wyczuwając, jakie to dla niego ważne. Ale z upływem czasu jej cierpliwość zmieniała się w bierność,

a Gopal, który przez tyle lat był tak wspaniale do niej dostrojony, doskonale to dostrzegał. Chcąc zmusić ją do reakcji, zaczął się zachowywać desperacko, nieustępliwie i brutalnie. Wbijał w jej brzuch kikuty brakujących palców, elektryzowany bólem, który przenikał wówczas jego ciało. Całował jej piersi, a potem je gryzł, jakby były skórką z cytryny. Wbijał w nią głęboko penis, jakby to był sztylet. Próbowwała się oszukiwać, że ten rozpaczliwy seks jest w istocie namiętnością, ale ponury i straszny wyraz oczu Gopala nie pozwalał jej na taką ucieczkę.

A potem seks się skończył. Kiedy pewnej nocy przyszła do łóżka, Gopal już spał. Wsunęła się cicho na wąskie posłanie, bojąc się go obudzić, ale jego oddech pozostał spokojny i rytmiczny. Leżała, nie śpiąc, kilka godzin, rozdarta pomiędzy pragnieniem zatopienia się w rozkosz snu a obawą, że tknie ją, jak tylko stanie się bezbronna. W końcu, wyczerpana, zasnęła.

Następnego wieczoru wróciła z pracy i od razu wyczuła dziwny, nieznaną zapach.

– Śmierdzi tu jak w sklepie z *daru* – zażartowała. Ale uśmiech zamarł jej na ustach, kiedy podeszła bliżej do Gopala. – Piłeś! – wykrzyknęła, a jej głos w równych częściach wyrażał zdumienie i oskarżenie.

Twarz Gopala stała się obca, zamknęła się przed nią jak okno.

– No to co? – spytał wyzywająco. Był ordynarny i pełen buty, nigdy wcześniej tak się nie zachowywał. – Jeśli mam ochotę na kieliszek czy dwa, to nikomu nic do tego!

Rozejrzała się po pokoju.

– Gdzie jest Amit? – spytała.

– Bawi się na dole z kolegami. – A potem, jakby czytając w jej w myślach, dodał: – Nie martw się, nie widział, jak idę na górę. Nasz kochany mały Amit nie ma powodu wstydzić się ojca.

– Jesteś pijany – stwierdziła, jakby mówiła do siebie.

– *Bap re*, Gopal, jesteś pijany. I to ty, człowiek, który praktycznie nie tknął kieliszka od dnia naszego ślubu.

Rozłożył szeroko ramiona.

– To było, nim zostałem wyzwolony – oświadczył bełkotliwie. – Nim przestałem być pantoflarzem.

Następnego ranka Bhima zatrzymała Feroza, kiedy wychodził do pracy, i zapytała go, czy nie mógłby znaleźć jakiejś pracy dla Gopala.

Feroz przygryzł dolną wargę.

– Nic mi w tej chwili nie przychodzi do głowy – powiedział. – Ale pozwól, że nad tym pomyślę.

Gopal zaczął pić codziennie. Twierdził, że to mu pomaga na ból.

– Nie masz pojęcia, jaki on jest okropny – zwierzył się pewnego dnia Bhimie. – Tak jakby ktoś wbijał mi nóż w rękę. A jeszcze lekarz mi mówi, że nie ma na to lekarstwa. Jedyne, która daje parę godzin wytchnienia od niego, to alkohol. – Jego twarz jakby się osunęła, niczym marnie postawiony mur. – Bhimo, odebrano mi wszystko inne: ręce, pracę, dumę. Więc proszę, nie zabieraj mi tej jednej rzeczy. Nie jestem taki jak ci inni pijacy. Wiem, kiedy przestać.

Któregoś dnia Feroz powiedział jej wreszcie, że znalazł pracę dla Gopala. Wróciła do domu radosna, ale i pełna obaw. Lecz ku jej wielkiemu zaskoczeniu mąż przyjął tę wiadomość z zadowoleniem. Trzy dni później podjął pracę. Wstała tego dnia wcześniej i przygotowała mu na śniadanie same ulubione rzeczy. Naszykowała mu też lunch do pracy: trochę smażonej okry między dwoma *ćapati*.

Wrócił tego wieczoru do domu tak blady i wyczerpany, że przez moment była pewna, że znowu się upił, ale zaraz sobie uświadomiła, że mówi tak bełkotliwie z powodu zmęczenia, a nie alkoholu. Tej nocy, kiedy dzieci poszły już spać, masowała mu plecy, rozluźniając spięte mięśnie na karku i ramionach. Razem z mięśniami rozluźniła i jego język.

– Byłem taki okropnie powolny – mówił cicho. – I taki niezdarny. Wszyscy inni ładowacze tylko się gapili, jak kaleka próbuje wykonywać ich pracę. Miałem ochotę im powiedzieć: „Trzeba mnie było zobaczyć kilka tygodni temu, wy ćutije. Pracowałem wtedy w takim tempie, że tu byłbym na mecie, nim wy zdążylibyście zapalić silniki”. Ale oczywiście nic nie mówiłem, tylko uczyłem się, jak dźwigać ładunek na piersiach, trzymając go tylko lewą ręką. Szef, pan Deśpande, to dobry człowiek. Bardzo cierpliwy. Ale tak mi strasznie wstyd.

Miłość i oburzenie dławili Bhimie gardło niczym kęs jedzenia.

– Nie masz się czego wstydzić, Gopu – powiedziała stanowczo. – Wstyd to siedzieć w domu i nie dbać o rodzinę.

A gdy ktoś próbuje uczciwie zarobić na życie – w tym nie ma nic, czego trzeba by się wstydzić.

– Wiem – odparł. – To samo sobie powtarzam. Ale Bhimo, był jeszcze ten ból. Chwilami tak silny, że myślałem, że zemdleję. To zabawne. W ogóle nie używałem prawej ręki, więc powody do skargi ma tylko lewa, bo pracowała tak ciężko. Ale dokuczała mi właśnie ta prawa, bezużyteczna. Ciągłe mi daje o sobie znać tymi napadami bólu.

A jednak kiedy w piątek przyniósł do domu wypłatę, wyglądał na szczęśliwego, choć nieco zażenowanego.

– To jest nic w porównaniu z tym, ile kiedyś zarabiałem – stwierdził. – Ale powoli, powoli, kiedy nauczę się pracować szybciej, będę zarabiał coraz więcej, zobaczysz.

W jej oczach wezbrały łzy.

– Poradzimy sobie i przy takiej twojej pensji, nawet takiej. Wystarczy mi, że jesteś ze mną w domu i że jesteś szczęśliwy w pracy.

Rzucił jej dziwne spojrzenie.

– Szczęśliwy w pracy? – powtórzył cicho.

Nabrał zwyczaju wpadać po drodze do domu do meliny, na kieliszek czy dwa, ale Bhima całą siłą próbowała nie mieć mu tego za złe.

– Wasz *baba* bardzo cierpi – tłumaczyła dzieciom. – Alkohol jest dla niego jak lekarstwo.

Tylko że w następny wtorek Gopal nie chciał wstać z łóżka.

– Ogłaszam dzisiejszy dzień dniem wolnym od pracy dla wszystkich robotników w Bombaju – oświadczył, a Bhima wyczuła w jego oddechu zapach zwiędzłego alkoholu.

– Ty też powinnaś zostać w domu – ciągnął. – Dają teraz nowy film Radžeśa Khanny, moglibyśmy pójść na popołudniowy seans.

– A na resztę tygodnia zawiesić zęby na kołku? – spytała z goryczą. – Skoro nie zależy ci na mnie, pomyśl chociaż o dzieciach. Jak mam je wykarmić? Już teraz *banija* upomina się o pieniądze, które jestem winna. A wczoraj Pudża wspomniała o poszukiwaniu dodatkowej pracy. Cała młodość naszej córki upłynie na zarabianiu na twoje pijaństwo. Tego właśnie chcesz?

– Są jeszcze pieniądze z ugody – stwierdził wyniośle. – Zapominasz, droga żono, że mamy jeszcze pieniądze, które zdobyłaś dla nas dzięki swej niezwyklej bystrości umysłu.

Zaczerwieniła się, słysząc tę obelgę, ale nie pozwoliła, by zbiło ją to z tropu.

– Gopal, tamte pieniądze są na opłacanie czynszu przez następne kilka miesięcy. Jak mamy utrzymać mieszkanie bez twojej pensji, mój mężu? Pomyśl może o przyszłości, co?

Gopal odwrócił się na bok i zasnął.

Tydzień później, kiedy wracała z pracy, Amit czekał na nią na rogu ulicy.

– Mamo! – zawołał, jak tylko ją zauważył. – Chodź szybko do domu! Babie coś się stało z głową!

– Co takiego? – zapytała, przyspieszając kroku, żeby nadążyć za synem.

– Nie wiem. Ale kiedy wróciłem ze szkoły, on już był w domu. Biegał jak oszalały byk i czegoś szukał. Tak się



przestraszyłem, że uciekłem. I czekałem na ciebie, mammo, czekałem i czekałem.

Gopal rzucił się na nią, jak tylko stanęli w progu.

– Gdzie są moje pieniądze? – wydyszał. Włosy miał w nieładzie, a twarz nieprzytomną i posiniaczoną, jakby wdał się w bójkę. – Gdzie pieniądze, które zarobiłaś na moich uciętych palcach, ty kurwo?

– Po co ci te pieniądze?

Rozejrzała się po mieszkaniu i zauważyła, że ściągnął pościel z łóżka, otworzył kredens i grzebał w środku, i przewrócił do góry nogami wszystkie garnki w kuchni.

– Muszę zapłacić bimbrownikowi – powiedział. – Skończył mi się kredyt i jak nie dostanie dzisiaj pieniędzy, nie da mi się napić. Potrzebuję tej forsy! – wrzasnął.

– Tych pieniędzy tu nie ma – odparła słabo. – Są u *Serry bai*, na przechowaniu. Poza tym zostało już tylko kilka setek. Jak sądzisz, za co utrzymywałam ten dom do czasu...

Wydał gniewny ryk i runął na nią w furii. Zamknęła oczy, szykując się na tę chwilę, gdy poczuje na szyi jego palce. Zastanawiała się, czy Gopal jest dość silny, żeby udusić ją jedną ręką.

– *Baba* – głos Amita zatrzymał Gopala na miejscu. – *Baba*, co ty robisz? – chłopiec płakał otwarcie, grzebiąc w kieszeni spodni. – Wygrałem dziś w szkole zakład. Weź te pieniądze, *baba*, i kup sobie *daru*.

Przez jedną nieskończenie długą sekundę pokój trwał w bezruchu. Nie bierz tych pieniędzy, Gopal, modliła się Bhima w milczeniu. Jeśli weźmiesz pieniądze od syna, będę

wiedziała na pewno, że od nas odszedłeś na zawsze, mój mężu. Pozwól mi nadal odnajdować w tobie dumę. Nie pozbawiaj swej rodziny tego ostatniego okrucha godności.

Bezruch trwał, ale pokój zdawał się migotać i wibrować niewypowiedzianym napięciem. Tak jakby wszyscy w nim obecni zdawali sobie sprawę, że oto nadeszła chwila ostatecznej prawdy, oto nadeszła próba, której albo stawią czoło razem, albo na zawsze zostaną zesłani do własnych, samotnych światów. Że razem tworzą trzy wierzchołki trójkąta, z których każdy styka się z dwoma pozostałymi, i że najdrobniejszy ruch któregokolwiek z nich zburzy tę niepewną równowagę.

Gopal wyrwał banknot z ręki Amita.

– Dobry z ciebie chłopak – wymamrotał, nie śmiejąc spojrzeć Bħimie w oczy. – Zwrócę ci te pieniądze, synu.

Zatrzymał się w drzwiach. Spojrzał na przybitą twarz syna, dostrzegł też zdruzgotany wyraz oczu żony. Krzyknął cicho, jakby po raz pierwszy zauważył, że straciła całą pulchność, którą zawsze tak sobie cenił, jakby zaskoczył go widok jej bladej, zapadniętej twarzy o policzkach ściągniętych w dół przez silne kciuki losu. A Bħima patrzyła na Gopala, szukając w jego twarzy smutku i poczucia winy. Byłaby przerażona, gdyby wiedziała, że w istocie czuł mroczne, okrutne podniecenie, tak pobudzające i skuteczne, jak język kurwy.

Na jego twarzy pojawił się wyraz radosnej złośliwości.

– A tak przy okazji – oznajmił. – Dobra wiadomość, żono. Zwolnili mnie dziś z pracy. Od jutra będziesz mnie miała w domu przez cały dzień.

Pozbawiony palców i pracy, nikomu już niepotrzebny Gopal odnalazł właśnie dziedzinę, w której nadal okazywał się twórczy. Potrafił tworzyć nieszczęścia, całe góry nieszczęść.

Kiedy Amit przyniósł do domu okropne świadectwo, Gopal stwierdził, że może już czas, żeby chłopak rzucił szkołę i znalazł sobie pracę. Ale Pudża wzięła wtedy drugą posadę – zmywanie naczyń u Benifer Otwieraczki-butelek-z-wodą Mineralną. Oczy Gopala zamglily się na tę wieść, ale tylko ziewnął, przewrócił się na drugi bok i zasnął.

– Mamo, *baniya* zatrzymał mnie dziś, jak wracałam do domu – powiedziała pewnego dnia Pudża. – Powiedział, że nie da nam już więcej kredytu.

Bhima poczuła się wręcz chora ze zmartwienia.

– Może zdołam zapłacić mu połowę tego, co zalegamy – powiedziała. Ściszyła głos. – Będziemy musiały obie mniej jeść do końca tygodnia, żeby wystarczyło pieniędzy na czynsz.

Gopal, który leżał na łóżku, wykrzywił się do żony.

– Ciągłe gadasz tylko o pieniądzach, pieniądzach, pieniądzach. Brzydzisz mnie, kobieto. – Wstał. – A skoro już przy tym jesteśmy, to potrzebuję dziesięć rupii.

Jakimś cudem zawsze znajdował pieniądze na alkohol. Czasami okradał Bhimę. Kiedy indziej po prostu groził, że zrobi jej coś złego, a wtedy oddawała mu resztki pieniędzy na życie. Te grosze były owinięte w jej przekleństwa jak tytoń, który czasem żuł w liściu betelu. Kiedy nie miała co

mu dać, kiedy osuszył do cna jej zasoby, podejmował się drobnych prac dla bimbrownika, żeby zapłacić za swój nałóg. „To jedyny człowiek, który rozumie, co się dzieje z mężczyzną wykastrowanym przez własną żonę” – twierdził.

Musiała wówczas zacisnąć usta, żeby nie pozwolić wyłać się całej nienawiści, jaka w niej wezbrała. Nie powiedziała mu również, że Munnu, syn właściciela budynku, wpadł tu wczoraj i zagroził im eksmisją, jeśli nie zapłacą czynszu.

O ich problemach dowiedziała się starsza kobieta, która mieszkała obok.

– *Beti*, nie obraż się za to, co chcę powiedzieć – zagadnęła następnego dnia Bhimę, kiedy stały w kolejce do wspólnej dla całego piętra łazienki – ale Munnu, syn właściciela domu, był tu wczoraj i wspomniał mi o twojej sytuacji. Munnu chce się was pozbyć, to pewne. Powiedział, że ma już rodzinę gotową się wprowadzić na wasze miejsce i że obiecali mu zapłacić za sześć miesięcy z góry. Mówię ci, ludzie są bez serca. Więc jeśli szukasz tańszego mieszkania, daj mi znać. Pomogę ci.

Bhima natychmiast się ożywiła.

– A gdzie to jest, *didi*? I jaki jest czynsz?

– Jest nawet bliżej twojej pracy niż to mieszkanie, *beti*. Nie będziesz musiała chodzić taki kawał po całym dniu harówki. W kolonii Bhaleśwar jest miłe, małe...

– Bhaleśwar? Ale to przecież dzielnica slamsów, prawda? Nie mogę zabrać dzieci w takie miejsce!

Starsza kobieta zapukała w drzwi łazienki.

– *Are, bhaisahib*, budujesz sobie w łazience dom? – zawołała. – Jestem już starą kobietą, okaż mi trochę litości i skończ swoje sprawy *dźaldi-dźaldi*. – Podeszła o krok bliżej do Bhimy i zajrzała jej w oczy. – *Beti*, slamsy to nie miejsce na wychowanie dzieci, zgoda. Ale ulica też nie, nie sądzisz? Chcesz wrócić pewnego dnia do domu i znaleźć swoje rzeczy na ulicy? Gdzie się wtedy podziejesz? Jeśli już nie myślisz o sobie, to pomyśl chociaż o Pudży. Młoda dziewczyna jest na ulicy równie bezpieczna jak w dżungli – tu i tam pełno dzikich bestii.

– Skąd wiesz o tym mieszkaniu, *didi*?

Starsza kobieta wyglądała na zakłopotaną.

– Mój zięć jest właścicielem kilku chat w slamsach – wyjaśniła. – Kiedyś sam tam żył, ale teraz oczywiście ma własne wygodne mieszkanie. Wstawię się za tobą, niewiele zapłacisz za wynajem.

Drzwi łazienki uchyliły się i wyszedł z niej łysy mężczyzna w *lungi* i swetrze bez rękawów.

– Przepraszam, *mausi*, cóż poradzić, biegunka – wymruczał.

Starsza pani weszła do łazienki, teatralnie zatykając nos.

Bhima stała na zewnątrz, czując nacisk na pęcherz i dyskretnie przestępując z nogi na nogę. Od tylu lat snuła marzenia o mieszkaniu z własną łazienką, jak u Sery *bai*. A tymczasem miała przed sobą perspektywę przeniesienia się w miejsce jeszcze gorsze niż to, w którym teraz mieszka. Koło kolonii Bhaleśwar przechodziła codziennie w drodze z pracy, zatykając sobie nos, żeby nie czuć smrodu. Jakże mroczne i bezkresne wydawało się z ulicy to osiedle, pełne

wąskich alejek biegnących jak kręte tunele do samego jądra ciemności. Przypominała sobie teraz te kobiety siedzące w otwartych chatach i karmiące piersią niemowlęta, te ich piersi wylewające się z bluzek i wystawione na widok publiczny tak samo jak ich domy. I mężczyźni siedzących w kucki przy uliczkach, rzucających bezczelne, pijackie spojrzenia na szanowane kobiety, które jak ona zmierzały tędy do porządnej pracy. Wyobraziła sobie Gopala w tej armii bezrobotnych, rozpustnych chłopów, całe dni siedzących beczynnie pod palącym słońcem. I wyobraziła sobie w tym koszmarnym miejscu Amita i Pudzę – Amita narażonego na szyderstwa gnuśnych, niepiśmiennych chłopaków, którzy będą go próbowali sprowadzić na złą drogę. I Pudzę, odwracającą wzrok od pożądliwych spojrzeń śliniących się miejscowych oprychów.

Nie. Kiedy starsza pani wyjdzie z łazienki, powie jej „nie”. Weźmie jeszcze dwie dodatkowe prace, jeśli będzie trzeba. Może Amit też zdoła trochę dorobić. Mogło im się udać, jej i dzieciom. Bo nic się nie liczyło oprócz Pudzy i Amita. Nie potrzebują już Gopala. Ona będzie dla nich i matką, i ojcem. To ona nosiła tę dwójkę w brzuchu przez dziewięć miesięcy, nie Gopal. Ona odpowiadała za nie, nie on.

Ale jak je zdoła ochronić, jeśli wylądują na ulicy? Nawet jeśli znajdzie nową pracę w przyszłym tygodniu, i tak minie przynajmniej miesiąc, nim jej zapłacą. A jeśli Munnu zażąda, żeby spłaciła mu cały dług?

Drzwi łazienki otworzyły się. Bhima zobaczyła obojętny wyraz twarzy starszej kobiety i zrozumiała, że sąsiadka

puściła już ich rozmowę w niepamięć. Zobacz, jak szybko świat o tobie zapomni, ostrzegła się w myślach.

Poczuła, że jej usta otwierają się, ale nie była pewna, co powie. Więc kiedy przemówiła, poznała swoje słowa dokładnie w tej samej chwili co sąsiadka.

– *Didi* – powiedziała. – Chciałabym obejrzeć tę chatę w Bhaleśwarze. Możesz mnie umówić?

To, co usłyszała, ogromnie ją zaskoczyło. Taka była pewna, że odrzuci propozycję sąsiadki.

## 18

Bhima weszła do mrocznego osiedla, zastanawiając się, gdzie się podziały ostatnie dwa lata. Jej stopy znały na pamięć wszystkie ponure zakręty ciemnych wąskich zaułków prowadzących do ich chaty. Już nie dostawała mdłości, kiedy jej nozdrza atakował zgniły smród. A wczoraj Amit zadał jej pytanie, z którego wynikało, że zaczął zapominać ich stare mieszkanie.

Myśl o Amicie kazała jej przyspieszyć kroku. Chłopak nie poszedł do szkoły, ponieważ walczył z wysoką gorączką.

– Miej na niego oko, dobrze? – poprosiła rano Gopala.  
– Jeśli kaszel mu się pogorszy albo gorączka jeszcze się podniesie, zaprowadź go do kliniki doktora Roja. – Z wahaniem wręczyła mężowi kilka rupii. – To są pieniądze na doktora, rozumiesz? Nie wydawaj ich na tę swoją ohydę.

Gopal z powagą pokiwał głową.

– Przysięgam na Boga, żono. Musisz mnie uważać za zwierzę, a nie człowieka. Jaki ojciec wydałby na *daru* pieniądze przeznaczone na lekarstwa dla syna?



Kiedy wieczorem dotarła do domu, Amit leżał na podłodze, przykryty cienkim prześcieradłem. Był sam.

– Jak się czujesz, *beta*? – spytała. – Gdzie twój *baba*?

Głos chłopca był schrypnięty, a jego twarz błyszcząca i cała w wypiękach.

– Trochę lepiej, mamó – powiedział, siadając. – Prosiłem babę po południu, żeby poszedł do kliniki po lekarstwo dla mnie, ale powiedział, że nie jest mi potrzebne. Ale gorączka chyba trochę spadła.

Bhima zauważyła, że syn drży.

– Zimno ci? – wykrzyknęła i nie czekając na odpowiedź, przykryła go drugim prześcieradłem. – Gdzie twój *baba*?

Amit przewrócił oczami.

– Gdzieżby indziej?

Zimna furia spadła na Bhimę jak rześisty deszcz.

– Poszedł pić? – upewniła się. – Nawet dzisiaj? Został cię samego w domu, ot tak? – Ale tak naprawdę nie było jej potrzebne potwierdzenie. Rozejrzała się po niewielkim pomieszczeniu i jej wzrok padł na stojącą w kącie miotłę. Chwyciła ją. – Zostań tu, Amit – nakazała. – Zraz wrócę, *beta*.

Kiedy dotarła do nory bimbrownika, ulewa jej furii zmieniła się w oberwanie chmury. Zobaczyła Gopala, jak tylko weszła do tej prowizorycznej budowli udającej restaurację, spelunki, gdzie tutejsi mężczyźni oddawali się hazardowi i picciu. Była tu jedyną kobietą.

– *Oe*, panienko – zawołał ktoś do niej. – Tu nie obsługuje się kobiet.

Zignorowała tego człowieka i ruszyła prosto tam, gdzie w towarzystwie pięciu mężczyzn siedział Gopal. Śmiał się z czegoś, a białe zęby połyskiwały w jego ciemnej twarzy. Kiedy ją zobaczył, jego uśmiech zamarł.

– Co ty tu... – zaczął, ale już w następnej chwili otrzymał odpowiedź. Bhima wyciągnęła z za pleców miotłę i zaczęła go nią tłuc.

– *Sala, beśaram, mawali* – dyszała, raz po raz waląc go miotłą. – Podstępny kundel! Wściekły pies! Żmija zrodzona z łona matki. Najpodlejszy z pariasów. Wąż, świnia. Skurwysyn. Ta maszyna powinna była ci uciąć nie tylko palce, ale i kutasa. *Hidźra*, oto czym jesteś, zwykłym hidźrą. Eunuch! Żaden prawdziwy mężczyzna nie zostawia chorego dziecka w domu, żeby iść się upić z bandą obiboków!

Wreszcie deszcz jej gniewu zmienił się w parę, która uleciała razem z energią potrzebną do wymierzania ciosów. Gopal milczał i nie zrobił praktycznie nic, żeby uniknąć ataku. Opuściła miotłę, patrząc ostrzegawczo na męża, który wstał i ruszył ku niej z pojednawczą miną, unosząc ręce, żeby sparować następne ciosy. Ale właśnie wtedy ktoś przy sąsiednim stoliku zachichotał, a na ten chichot Gopal zatrzymał się w pół kroku. Rozejrzał się szybko po pomieszczeniu i ujrzał tych wszystkich mężczyzn – swoich sąsiadów i kumpli od kieliszka – patrzących wyczekująco, co zrobi dalej, jak obroni swą nadszarpniętą męskość. Spróbował zasygnalizować jej to niebezpieczeństwo.

– Chodź, pójdziemy do domu – powiedział sztywno, łapiąc ją za nadgarstek. Wyrwała mu rękę.

– Nie dotykaj mnie, ty kutto – powiedziała.

Gopal nie bił się od piętnastu lat. Ale kiedy uderzył żonę lewą ręką w zapadnięty policzek, jego ciało poruszało się jakby bez jego udziału. Głowa odskoczyła jej do tyłu i na krótką chwilę w oczach Gopala pojawiło się coś na kształt współczucia. Uderzył ją jeszcze raz. Tym razem z nosa poszła jej krew, a ten widok aż rozszerzył mu źrenice. Bhima dostrzegła fascynację, z jaką mąż patrzy na jej twarz, zobaczyła, jak podnieca go widok jej krwi. Wyglądał tak, jakby chciał ją zlizać, uczynić swoją. Nie dając jej czasu na reakcję, kontynuował bicie, wierzchem dłoni – nadgarstek działał jak zawias, na którym jego ręka wykonywała ruch taki, jak skrzydło mocno pchniętych drzwi.

W końcu dwóch mężczyzn złapało go od tyłu za ramiona.

– *Bas, jar*, Gopal – zabełkotał jeden z nich. – Chcesz chyba, żeby coś ci z niej zostało na jutro? *Ćalo*, zabieraj ją stąd i idź do domu.

Bhima szła za nim do chaty, próbując zatamować krwawienie za pomocą sari i walcząc z chęcią, żeby zarzucić materiał na okrytą hańbą twarz. Czuła, że przygląda jej się całe *basti*. Ci ludzie są jak sępy, pomyślała. Dziobią cudze życie, karmią się cudzym nieszczęściem, krążą w powietrzu nad zwłokami cudzych małżeństw. Patrzyła na idącego przed nią Gopala, chudego i zagubionego, i przez jedną straszną chwilę miała wrażenie, że

widzi cień, a nie człowieka. Gdybym nie miała w domu chorego syna, pomyślała, *o Bhagwan*, przysięgam na twoje imię, że nigdy bym tam nie wróciła.

W owej chwili sądziła, że Gopal zaspokoił już swoją zemstę za to, że upokorzyła go w barze. Ale ta prawdziwa zemsta nadeszła dopiero pięć dni później.

## 19

Kupując w sklepiku kilka cebul na kolację, Bhima zastanawia się, czy Maja będzie miała ochotę iść dziś nad morze. Ostatnio cieszyła się na te wieczorne spacerory z wnuczką. Świeże słone powietrze, rozciąganie podczas spaceru bolących, napiętych mięśni, wmieszanie się w anonimowy tłum innych spacerowiczów – Bhima zaczęła na to wszystko czekać. A przede wszystkim cieszy ją, że spacerory budzą do życia dawną Maję, że dziewczyna pomału przestaje zachowywać się tak czujnie i defensywnie i na powrót staje się wesoła i energiczna. Wkrótce, myśli Bhima, trzeba będzie poruszyć z nią temat powrotu do college'u. Teraz, kiedy Maja dowiedziała się, co jej, Bhimie, zrobił ten dwulicowy księgowy, zapewne lepiej rozumie, jak życie traktuje osoby bez wykształcenia. A chociaż będzie jej trudno prosić Serę o pomoc przy zapisywaniu Mai do innego college'u, dla wnuczki zrobi i to.

Dociera do wejścia do slamsów i przyspiesza kroku, idąc krętą uliczką do swojej chaty. Papierowa torba z cebulami przemaka w miejscu, gdzie ściska ją spoconą ręką.

Tylko tego brakuje, żeby warzywa wpadły do ścieku po prawej stronie. Zaplanowała na kolację ziemniaki z cebulą na ostro, a do tego gorące *ćapati*.

Otwiera drzwi chaty i pierwsze, co widzi, to wysoki cień, jaki rzuca Maja. Cień biegnie w górę blaszanej ściany aż na sufit, a Maja wygląda na jego tle jak małe dziecko. Dziewczyna siedzi w kącie chaty, obok lampy naftowej. Kiedy oczy Bhimy przyzwyczajają się do półmroku, zauważa w jej ręku kartkę niebieskiego papieru i od razu odgaduje, co wnuczka czyta. Zerka na swoją walizkę i widzi, że rzeczywiście wieko jest otwarte. Maja najpierw jest zaskoczona, potem zmieszana, ale gdy na czole Bhimy zaczynają formować się zmarszczki, a jej oczy zwężają się niebezpiecznie, uprzedza babcię i odzywa się pierwsza.

– Szukałam czego innego, przysięgam. Szukałam swojej metryki. A potem zobaczyłam tę kartkę, więc ją wzięłam i zaczęłam czytać, nie wiedząc, co to jest.

– Po co ci metryka? – głos Bhimy jest podejrzliwy.

Maja przygryza dolną wargę i lekko wzrusza ramionami.

– Nie wiem. Ja po prostu... Czasami lubię ją oglądać. No wiesz, żeby przeczytać tam imiona moich rodziców. Wtedy... wtedy lepiej się czuję, sama nie wiem dlaczego. Jakbym nie była sierotą.

Ta dziewczyna nie uspokoi się, póki nie zniszczy resztek mojego serca, myśli Bhima. Ona i ta jej błogosławiona niewinność, i te jej zabójcze słowa, które przebijają mi serce jak szpilety.

– A kto mówi, że jesteś sierotą? – pyta szorstko. – Co to, twoja babcia nie żyje, że uważasz się za sierotę?

Maja uśmiecha się, ale zaraz potem twarz jej się wydłuża, a bruzdy zmartwienia, jak zbłąkane ptaki, osiadają na jej czole.

– Babciu, nic nie wiedziałam o tym liście – mówi cichutko.

Ten list. Ten list, który wywrócił jej życie do góry nogami. Ten list, któremu Gopal nadał kształt noża i wbił prosto w jej serce. Ten list, którego zabójcze słowa Dżajprakaś – mieszkaniec slamsów, który za drobną opłatą pisał listy dla swych pozbawionych wykształcenia sąsiadów – przeczytał jej na głos. Świdrując ją przy tym małymi oczkami, śledząc jej reakcję na każde słowo. Duma z własnej sztuki retorycznej stłumiła w nim wszelkie współczucie dla kobiety, której świat niszczył właśnie za pomocą słów. Zachowała ten list, a choć odczytano go jej tylko raz, uderzył w nią z taką siłą, że zapamiętała prawie całą treść. W snach do dziś słyszała pobrzmiwający triumfem głos Dżajprakaśa.

– Przeczytaj go – nakazuje wnuczce. – Chcę go jeszcze raz usłyszeć. – Jej głos jest spokojny, ale słowa wywierają na Mai piorunujące wrażenie.

– Babciu, nie – protestuje. – Po co niepotrzebnie przywoływać przeszłość?

Bhima uśmiecha się.

– *Beti*, przeszłość jest obecna zawsze – mówi. – Nie trzeba jej przywoływać. Przeszłość jest jak skóra na dłoniach – była tu wczoraj i jest tutaj dzisiaj. Nigdy nigdzie sobie nie idzie. Może, jak będziesz starsza, zrozumiesz to lepiej.

– Ale babciu, mówi się, że nie należy rozdrapywać starych ran. Nie ma potrzeby ich otwierać.

Bhima rozważa przez chwilę jej słowa.

– A jeśli należysz do tych nieszczęśników, których rany się nie zasklepiają? – pyta. I wyczuwając, że uciszyła protesty wnuczki, wykorzystuje zdobytą przewagę. – Przeczytaj mi ten list, *beti* – powtarza.

*Do królowej moich marzeń, podyktował Gopal Dżajprakaśowi.*

*Od kilku już lat byłem ciężarem dla Ciebie i dla rodziny. Za to i resztę moich win proszę Cię o przebaczenie. Widziałem, jak moją pulchną, piękną Bhimę, pannę młodą, którą wprowadziłem do mojego domu z jej pragnieniami i wielkimi nadziejami, zżerają zmartwienia i nieszczęścia. Moje picie zmieniło Cię w chudą, wysuszoną wiedźmę, a ja za tę zbrodnię zostanę skazany na przeżywanie bez końca coraz to nowych cykli nieszczęśliwego życia. Nie sądź, że moje pijaństwo nie pozwoliło mi zauważyć, jak bardzo uczyniłem Cię nieszczęśliwą – wódka to pocątnek anioła, a równocześnie przekleństwo diabła. Może ukrywać rzeczy, ale może je również odśłaniać. Ale dopiero pięć dni temu zrozumiałem, moja żono, jak nisko upadłem w życiu i jak głęboko Cię za sobą pociągnąłem. Wstyd, na jaki mnie naraziłaś publicznie, w barze, jest nie do zniesienia. Po tym, co zaszło, ciężko byłoby mi nosić głowę wysoko w tym basti i udawać, że nie słyszę za plecami śmiechu kobiet, dzieci, a nawet bezdomnych psów. Na oczach świata pozbawiłaś*



mnie męskości i teraz ten świat śmieje mi się w twarz. Tak więc, moja Bhimo, odchodzę. I zabieram ze sobą Amita. Będzie moją podporą, moim wsparciem, ręką, którą straciłem. Postanowiłem, że wrócimy do mojej wioski, gdzie czeka na mnie rodzina i gdzie jest ziemia i świeże, czyste powietrze. A może nawet i praca, i szansa na nowe życie dla człowieka bez trzech palców. Kiedyś, kiedy byłem młody, wierzyłem, że kocham Bombaj, że się zaręczyłem z tą metropolią, że ona jest moją oblubienicą, moją żoną. Ale teraz już wiem – Bombaj to kochanka wielu mężczyzn, ale dla żadnego nie jest żoną. Prawdziwe życie czeka mnie w wiosce mojej młodości, do której muszę wrócić z pokorą i nadzieją na wybaczenie.

Kiedy obaj z Amitem odejdziemy, Twoje ciężary staną się lżejsze. Ponieważ obie z Pudzą pracujecie, powinnyście mieć dość pieniędzy na życie. Dziś okradnę Cię po raz ostatni – biorę tylko tyle, żeby wystarczyło na pociąg, żebyśmy obaj z Amitem dotarli do wioski. Powiedziałem chłopcu, że zabieram go w odwiedziny do wuja i że wrócimy za kilka tygodni. Mam nadzieję, że życie na wsi – proste, ale solidne jedzenie, ciężka, ale uczciwa praca na polach, z dala od tego miasta-ladacznicy – będzie mu odpowiadać. Wiem, że nigdy nie zdołasz mi wybaczyć, że Ci go zabrałem, ale Bhimo, tak samo jak Ty, potrzebuję powodu, żeby żyć. Mój syn należy do mnie. Będzie mnie wspierał na starość i będzie dla mnie motywacją, by postawić następny krok. Ty masz Pudzę. Ona będzie dla Ciebie powodem, by oddychać.

*Moja żono, uwierz mi, że kiedy po raz pierwszy wprowadziłem Cię do swego domu, miałem szczerzy zamiar traktować Cię jak królową. Teraz czasami, kiedy jesteś w pracy, siedzę sam w tej przeklętej chacie i spieram się z bogami o to, kto ukradł nam nasze życie. Zaglądam po odpowiedź do butelki. Patrzę w niebo. Szukam we własnym sercu. Ale odpowiedzi nie ma. Jest tylko biała cisza, która obmywa moje serce jak fale na plaży Čaupati. Pamiętasz te wieczory nad morzem, kiedy byłem jeszcze Twoim mężem i potrafiłem utrzymać rodzinę? Czy mylę się, twierdząc, że byliśmy wtedy szczęśliwi? Moja Bhimo, po tylu latach razem – latach śmiechu i łez, goryczy i szczęścia – pozostało mi tylko to jedno, niczym puste muszle, które unosi morze: to, że kochałem Cię kiedyś i nadal Cię Kocham, chociaż wiem, że nigdy nie zdołałem sprawić, byś mi uwierzyła. Pomimo wszystko, pomimo szpetoty tego ostatniego tygodnia, nadal Cię Kocham. A skoro wszystko inne – praca, pieniądze, dom, duma, godność – przeminęło, pozostaje mi tylko miłość.*

*Nigdy mi nie uwierzysz, wiem o tym. Ale gdziekolwiek będziemy, pamiętaj, że wciąż pozostaję Twoim mężem.*

*Gopal*

Maja kończy czytać list i płacze cichutko. Bhima tego nie zauważa. Pamięta to pierwsze, okropne czytanie listu, tyle lat temu: jak Dżajprakaś nerwowo oblizwał usta, kiedy przeczytał ostatnie zdanie, jak uniósł głowę i ujrzał przerażający wyraz jej twarzy; jak go przeklinała, kiedy jej powiedział, że Gopal i Amit wyjechali pociągiem

o trzeciej trzydzieści; jak nerwowo krążyła po osiedlu, czekając na powrót Pudży; jak nie mogła zasnąć tamtej nocy, a równocześnie nie mogła pozostać na jawie, a rano obudziła się z czterdziestostopniową gorączką. I pamięta dni, które potem nadeszły – Serę *bai* kręcącą ponuro głową i tłumaczącą jej, że skoro Gopal jest ojcem Amita, Bhima nie może odebrać mu chłopca wbrew jego woli; niecierpliwe wyczekiwanie na list albo wiadomość o tym, jak się miewają Gopal i Amit; kobiety z *basti*, sykające i odwracające wzrok od jej szalonej, nawiedzonej twarzy. Przypomina sobie, jak Dżajprakaś, który unikał jej przez wiele tygodni, pewnego dnia wpadł na nią i zaatakował ją słowami: „To twoja wina, Bhima *dewi*. Tak upokorzyć publicznie męża! Czego się spodziewałaś? Mężczyzna ma swoją dumę, pamiętaj”.

A ona odwróciła się, pokonana, ponieważ wiedziała, że Dżajprakaś ma rację.

Dziś kręci tylko głową nad swoim złym losem. Koncentruje się na tym, co mówi do niej Maja.

– Babciu – pyta wnuczka ostrożnie. – Czy wujek Amit odezwał się do ciebie kiedyś?

Jej pytania są niczym paznokcie rozdrapujące strup, myśli Bhima.

– Amit nigdy do mnie nie napisał – odpowiada wreszcie, a nim zaczyna mówić, usuwa ze swych słów cały ból.

– Starszy brat Gopala pisał do mnie od czasu do czasu. Że cieszy się, że Amit pracuje z nim na rodzinnej ziemi.

– Na miejscu wujka Amita na pewno uciekłabym z powrotem do Bombaju – mówi Maja pocieszająco.

– I zostawiłabyś samego swojego babę? Tylko złe dzieci porzucają rodziców.

– Może pewnego dnia wróci do Bombaju? Co byśmy zrobiły, babciu, gdyby wujek Amit zapukał któregoś dnia do naszych drzwi?

Co bym zrobiła? Poszłabym na kolanach do najdalejszej świątyni, by podziękować za łaskę, myśli Bhima. Pościłabym przez tydzień, by podziękować bogom. Rozdałabym *pera* wszystkim dzieciom w osiedlu. Ściągnęłabym księżyc z nieba, żeby nim nakarmić moje dziecko. Wycięłabym kawałek własnej wątroby, żeby jeszcze raz zobaczyć mojego syna.

Maja odzywa się znowu.

– Czy Gopal wiedział o... Czy powiadomiłaś go, co się stało z moimi rodzicami?

Bhimie nagle ze strachu zasycha w ustach, więc sięga po puszkę z tytoniem. Zwija prymkę i wkłada ją do ust, nim zaczyna mówić.

– Wtedy nie mogłam. Nie z Delhi. Nie było... nie było na to czasu. Ale kiedy tu wróciłyśmy, ty i ja, wysłałam im list, informując o tym, co się stało. Sera *bai* go dla mnie napisała.

– I co odpowiedział? – pyta Maja z przejęciem.

– Odpisał mi jego starszy brat. Oskarżył mnie o to, że specjalnie nie zawiadomiłam Gopala na czas. Że nie chciałam, żeby był przy córce. Powiedział, że dusza mojej Pudży nie... – Widząc przerażenie Mai, Bhima milknie. – W każdym razie po tym liście już nigdy nie miałam od nich wiadomości.

– Jak sądzisz, czy dziadek przyjechałby do Delhi, gdyby wiedział?

Bhima słyszy strach i nadzieję ukryte w tym pytaniu. Zamyka oczy, a potem otwiera je znowu, patrząc prosto na wnuczkę.

– Przyjechałby. Nawet gdyby próbowały go powstrzymać piekło i niebiosy. Znalazłby sposób, jestem pewna. Dziadek kochał twoją mamę.

– Więc dlaczego wybrał Amita, a ją zostawił z tobą?

Bhima z trudem przełyka ślinę, nim zdobywa się na odpowiedź.

– Ponieważ wiedział, że bardziej potrzebuję Pudzy niż Amita – odpowiada cicho. – Amit był moim synem. Ale Pudza była moją pierworodną, była dla mnie równocześnie i synem, i córką.

Nagle Maja zaczyna płakać.

– Moja mama też cię kochała, babciu – szlocha. – Wierz mi albo nie, ale o tym pamiętaj. Zawsze opowiadała o Bombaju, o waszym dawnym domu i o tobie.

Bhima przesuwając się po podłodze w kierunku płaczącej dziewczyny i zamyka ją w swych objęciach.

– Ty głuptasie – łaje ją. – Po co płaczesz nad tym, co zdarzyło się dawno? Przecież to wszystko było setki lat temu.

– Ale przeszłość jest z nami, babciu. Sama właśnie tak powiedziałaś.

Bhima karci Maję lekkim trzepnięciem po ręce.

– Robisz się za mądra jak na dziewczynę – mówi. Ze znużeniem patrzy na torbę cebul leżącą na podłodze.

– Już dawno skończyłabym gotować, gdybyś mnie nie zagadywała tysiącami pytań – wzdycha. Myśli przez chwilę, a potem wstaje.

– Chodź, umyj twarz. Pójdziemy dziś na Ćaupati i kupimy sobie na kolację coś na wynos. Za późno, żeby teraz brać się za gotowanie.

## 20

*Bhelpuri.*

Jest za piętnaście ósma, a Dinaz chce na kolację *bhelpuri*. Właśnie usiedli do wspaniałego posiłku, kurczaka *kharra* i kotletów jagnięcych, które wcześniej przygotowała Bhima, kiedy Dinaz odsuwa od siebie talerz.

– Robi mi się niedobrze od tych koletów – mówi „kolety”, a nie kotlety, artykułując to słowo w ten sam staroświecki, parsyjski sposób, jak niegdyś Banu, co każe Serze zastanawiać się nad mocą dziedziczności. – Proszę, zabierzcie je ze stołu.

Wiraf krzywi się.

– Sądziłem, że mdłości ustają z końcem pierwszego trymestru – mówi, a obie kobiety wiedzą, czego nie dopowiedział: nie wiem, czy zdołałbym jeszcze raz przeżyć koszmar tych pierwszych trzech miesięcy, kiedy hormony, zmęczenie i mdłości zmieniły moją żonę w wariatkę.

Dinaz śmieje się.

– Nie przejmuj się tak bardzo, *jar* – mówi. – Mamo, spójrz tylko, ma taką minę tylko dlatego, że nie chcę jeść

koletów. Mówię ci, wielka szkoda, że mężczyźni nie mogą rodzić dzieci – rozwiązalibyśmy problem przeludnienia Indii w ciągu jednego dnia, ponieważ żaden z nich nie byłby w stanie znieść ciąży.

– Ale przecież musisz coś zjeść, kochanie – protestuje Sera. – Musisz się dobrze odżywiać dla dziecka i...

– Wiesz, na co mam ochotę? – pyta Dinaz. – Na *bhelpuri*. Na plaży Ćaupati.

Wiraf jęczy.

– Daj spokój, Dinu. Ledwie wróciłem z pracy. Nie chce mi się znowu wychodzić. A tam wszystko jest takie brudne. Zawsze odnoszę wrażenie, że do mycia naczyń używają wody ze ścieków.

Dinaz pozostaje niewzruszona.

– Przynajmniej nie mam ochoty na tynk i karaluchy, jak niektóre kobiety w ciąży. – Żartobliwie uderza Wirafa w ramię. – *Gadhera*. To twoja wina, że jestem gruba i chodzę jak krowa. Przynajmniej mógłbyś mnie zabrać na *bhelpuri*.

– No, dobra, dobra – godzi się Wiraf. – Zapewne to też należy do moich obowiązków jako ojca.

Sera patrzy na zastawiony jedzeniem stół. Cały dzień czekała na tę kolację.

– A co z tym wszystkim? Bhima będzie strasznie rozczarowana.

– Och, chrzanić Bhimę – mówi Wiraf. – Zobacysz, ucieszy się, bo jutro będzie miała mniej pracy. – Odsuwa krzesło. – Dobra, to chodźmy. Mamo, weź szal albo sweater. Jest trochę chłodno jak na listopad.



W samochodzie Sera wzdycha.

– Tak dawno nie byłam na Ćaupati. Podobno miasto uprzątnęło całą okolicę. Ostatni raz poszliśmy tam z twoim ojcem na kilka dni przed jego śmiercią, a wtedy to było zwykłe wysypisko śmieci.

Dinaz śmieje się.

– Tata był zabawny. Miał takie głupie *whemy* i *dhakharis* w kwestii higieny osobistej. Pamiętam, jak raz poszliśmy we dwoje do Flora Fountain, a jakiś cham splunął sokiem z panu na chodnik. Tata był przekonany, że ochlapał mi tym czerwonym sokiem spodnie, chociaż ja nie dostrzegałam na nich jednej plamki. Myślałam, że zamorduje biedaka gołymi rękami. A jednak nie miał nic przeciwko jedzeniu na ulicy. – Odwraca się do Wirafa. – Kiedy przychodził w jakiejś sprawie do mojej szkoły, zawsze zatrzymywał się przy budce, gdzie robili pyszne *pjazi*. Wcinał zawsze dwie miski. Pamiętasz, mamó? Ganiłaś go za to, bo brał takie ostre, aż łzy mu ciekły po policzkach.

Sera uśmiecha się.

– Powiedział mi kiedyś, że jak wrócił z Londynu, chorował za każdym razem, jak zjadł *bhelpuri* na Ćaupati. Więc chodził tam codziennie, aż żołądek mu się do nich przyzwyczaił.

Wiraf śmieje się.

– Cały tata Feroz. To był twardy facet.

Milczą przez chwilę, wspominając, każde na swój sposób, Feroza.

– W przyszłym miesiącu minie trzy lata – mówi Sera cicho. – Możecie to sobie wyobrazić?

– Nie, mnie się nie wydaje, żeby to było całkiem niedawno – odpowiada Dinaz.

Znów zapada cisza. A potem Dinaz:

– Więc poszliście z tatą na Ćaupati kilka dni przed jego śmiercią...

– Tak. Najpierw byliśmy w tej wielkiej Świątyni Ognia w Fountain. Kilka miesięcy wcześniej babcia Banu dostała wylewu, a twój tata, przygnębiony jej stanem, złożył mantę, że codziennie przez miesiąc będzie chodził do Świątyni Ognia, aby się modlić o jej całkowite wyzdrowienie. Czasami mu towarzyszyłam. Potem zwykle szliśmy do Paradise na kolację. Ale tamtego dnia postanowiliśmy iść na Ćaupati. Twój tata zawsze uwielbiał *bhelpuri* i *panipuri*. Prawdę mówiąc, przed ślubem ciągle tam chodziliśmy.

Wiraf nagle zaczyna rechotać.

– No co? No co? – pyta Dinaz, a brzmienie jej głosu sprawia, że nawet w ciemnym samochodzie Sera widzi czuły uśmiech na jej twarzy.

– Nic – odpowiada Wiraf. – Właśnie sobie przypomniałem, jaką radę dał mi twój ojciec, kiedy pierwszy raz przyszedłem do waszego domu. To było twoje przyjęcie urodzinowe, pamiętasz? Było mnóstwo ludzi. Ale on jakimś cudem zorientował się, że ja... że my się lubimy. Więc zaciągnął mnie w kąt i powiedział, że chce mi coś powiedzieć. Udzielić mi męskiej rady, tak to nazwał. Zasadniczo chodziło o to, że jestem miłym parsyjskim chłopakiem, który ma potencjał, żeby uszczęśliwić jego córkę. Ale dodał też, że powinienem być nieustępliwy,

jeśli nie chcę cię stracić na rzecz innych konkurentów. „Mężczyzna, kiedy ściga kobietę, powinien być jak szarżujący byk”. Chyba dokładnie tak to ujął. Byłem taki przestraszony, że powtarzałem tylko „tak, wujku” i „nie, wujku”.

Dinaz śmieje się.

– Myślę, że tata z wielką ulgą przyjął to, że jesteś parsem, to wszystko. Zawsze się obawiał, że przyprowadzę do domu jakiegoś chrześcijanina z Goi albo hinduistę, albo, co gorsza, muzułmanina. Poza tym trwał w takim dziwacznym przekonaniu, że poczuję litość dla jakiegoś kaleki albo człowieka przykutego do wózka i poślubię go z tej litości. Możesz sobie wyobrazić? Chyba przede wszystkim dlatego tak bardzo był przeciwny mojej pracy w opiece społecznej. Zawsze mi powtarzał: „Nie wychodź za kogoś tylko dlatego, że ci go żal”. Zapewniałam go, że ani mi to w głowie. – Szczypie Wirafa w udo. – Ale mu się nie zwierzyłam, że czekam na przystojniaka o urodzie gwiazdy filmowej.

– I zamiast za kogoś takiego wyszłaś za mnie – mówi Wiraf, opuszczając smutno kąciki warg. – Całe szczęście, że tata Feroz był taki zajęty odciąganiem córki od kalek fizycznych i nie zauważył, że wybrałaś sobie za męża kalekę umysłowego.

– Bzdury, bzdury – mówi Sera z rozdrażnieniem, pstrykając palcami. – Co wy za głupstwa wygadujecie, dzieci.

– Och, mamo, nie daj się nabrać na jego sztuczki. Chce po prostu usłyszeć od swoich kobiet, jaki to jest bystry i przystojny.

Wiraf szuka miejsca do zaparkowania, pogwizdując fałszywie. Sera uśmiecha się do siebie, myśląc, jak bardzo więc różni się od jej męża. Feroz już kląby pod nosem i rozglądał się za policjantem, od którego w zamian za dziesięciorupiowy banknot uzyskałby pozwolenie na zaparkowanie w miejscu niedozwolonym. Ale Wiraf to *thanda pani ka matla* – gliniane naczynie pełne zimnej wody.

– Aha – mówi triumfalnie, gdy zauważa kawałek wolnej przestrzeni. – Założę się, że uda mi się tam wcisnąć.

– Niemożliwe – stwierdza Dinaz automatycznie, choć obie z Serą wiedzą doskonale, że Wiraf jest wspaniałym kierowcą. A kiedy jej mężowi już za pierwszym podejściem udaje się zaparkować na tym wąskim miejscu, jęczy: – Zapewne zapomniałeś, że twoja żona ma brzuch rozmiarów Sahary. Nie wiem, jak zdołam wysiąść.

– Mój Boże, jak tu się zmieniło! – wykrzykuje Sera, kiedy zbliżają się do plaży. – Jest zdecydowanie czyściej. Słyszałam, że zaczęli karać ludzi za śmiecenie i załatwianie się na plaży.

– Tak, niezwykle niekonstytucyjnie, jeśli chcecie znać moje zdanie – mówi Wiraf z uśmiechem. – Śmiecenie i robienie *su-su* na widoku publicznym to przyrodzone prawa bombajczyków.

Sera próbuje sobie przypomnieć, jak ta plaża wyglądała, kiedy była tu ostatni raz z mężem. Ale nie potrafi, ponieważ jedyne, co pamięta, to słodkie i troskliwe zachowanie

Feroza owego dnia. Zabrał ją do swojej ulubionej budki, nalegał, żeby zjadła pierwszą porcję, jaką przygotował Ramdas, chociaż wiedziała, że przez cały dzień nie miał nic w ustach. A kiedy zjedli po dwa talerze *bhelpuri*, postanowił kupić mleczne *kulfi*.

– Kochany, uważaj – powiedziała wtedy. – Wiesz, że to szkodzi na cholesterol.

– *Are*, niech szlag trafi cholesterol – odpowiedział. – Tyle czasu minęło, odkąd byliśmy razem na *Ćaupati*. I wiesz, co myślę? Możesz wydać dwieście rupii na lody w Tadżu albo innym pięciogwiazdkowym hotelu, ale i tak ani się umywają do *kulfi* na *Ćaupati*. Daj spokój, tylko dzisiaj. Przestrzegam diety, przecież wiesz.

Sera zgodziła się, tak jak przewidywał. Kiedy robił tę proszącą minę, nie potrafiła mu odmówić. A od czasu choroby mamy Banu bardzo się zmienił. Jakby widok apodyktycznej matki sprowadzonej po wylewie do tak wegetatywnego stanu, zmusił go do rozmyślań o brutalnej nieprzewidywalności życia. Co wieczór, bezpośrednio po pracy, szedł ją odwiedzić, a potem, w domu, był łagodniejszy i bardziej rozmowny niż zwykle.

– Tyle się w ostatnich latach wydarzyło – westchnął, kiedy wrócili z plaży. W świetle lampy do czytania Sera zauważyła bruzdy na jego twarzy i to, jak marszczy mu się skóra na łysej czaszce, kiedy jest zmartwiony. Nie po raz pierwszy uświadomiła sobie, że jest od męża młodsza o trzynaście lat. – Jeszcze nie zdołałem dojść do siebie po śmierci taty, a oto musimy oglądać mamę w takim stanie – stwierdził. – Po prostu nie mogę patrzeć, jak cierpi.

Mówię ci, jedyna dobra rzecz, jaka nam się w ostatnich latach przytrafiła, to ślub Dinaz. Gdyby nie szczęście jej i Wirafa, po prostu nie wiem, po co miałbym żyć.

Sera podniosła się i podeszła do fotela, na który opadł Feroz. Usiadła na oparciu i zaczęła go gładzić po głowie.

– Myślałam o tym, że powinniśmy gdzieś wyjechać na kilka dni, *dżanu* – powiedziała. – Na wycieczkę do Goi albo w inne takie miejsce.

Kiwnął głową.

– Wiem. Ale jeszcze nie teraz. Poczekajmy, aż zdrowie mamy się ustabilizuje. Nie wyobrażam sobie, że mógłbym zostawić ją teraz samą w takim stanie.

Spojrzał na Serę, a ona ku swemu zaskoczeniu dostrzegła łzy w jego oczach. Feroz tak bardzo kocha tę kobietę, zdumiała się w myślach. Czy zdaje sobie sprawę, w jakim stopniu jego wścibska matka przyczyniła się do tego, że zaprzepaściliśmy szansę na szczęśliwe małżeństwo? Czy on w ogóle się nad tym zastanawia?

Jakby czytając w jej myślach, Feroz mówił dalej:

– Wiem, że ty też potrzebujesz odpoczynku. Dziękuję ci, Sero, za to, że tak się zajęłaś moją matką w jej godzinie próby. Wiem, że ona... i ty... że nie było z nią łatwo wytrzymać. Wkrótce wyjedziemy z Bombaju, obiecuję. Może nawet zabierzemy ze sobą dzieci. Tylko... nie w tej chwili.

Ale trzy dni później już nie żył, a jego przyrzeczenie spoczęło wraz z tyloma innymi w szufladzie oznaczonej napisem „Niedotrzymane obietnice”. Obok tego dotyczącego ich małżeństwa. Małżeństwa, co do którego żywili

tak wielkie nadzieje, lecz te oczekiwania wypaliły się niczym wystrzeliwane w niebo przez Dinaz i jej przyjaciół podczas Diwali fajerwerki i rakiety, które spadały na ziemię ze wstydliwym sykiem, jakby odepchnięte przez nieprzychylnego Boga.

W dniu swej śmierci Feroz wrócił z pracy wcześniej, skarżąc się na nieokreślone uczucie niepokoju.

– Masz zbyt wiele pracy – stwierdziła Sera. – Żyjesz w zbyt wielkim napięciu, *dżanu*. Może powinieneś się zapisać na jogę i nauczyć się odprężyć?

Uśmiechnął się słabo.

– Może? – Twarz mu spochmurniała. – Dzisiaj nawet nie odwiedziłem mamy – powiedział, odrzucając narzutę i kładąc się do łóżka. – Będzie bardzo zła.

Twoja matka nie poznaje nikogo i zapewne nie rozróżnia też dni, miała ochotę powiedzieć. Ale zachowała swoje myśli dla siebie.

– Chodź, połóż się przy mnie – szepnął i wtedy po raz pierwszy przez głowę Sery przemknęła myśl, że może jest naprawdę chory. Nigdy przedtem nie wyglądał na tak słabego i bezbronnego.

Zwalczyła nagłą, irracjonalną panikę.

– Kochany – powiedziała, starając się zapanować nad głosem. – Co ci dolega, tak dokładnie? Czy mam wezwać lekarza?

– Nie, proszę, żadnych lekarzy. To zapewne grypa albo coś w tym rodzaju. Nie wiem... nie potrafię opisać, jak się czuję. Jakby coś mi się trzepotało w piersi. Myślę, że to napięcie. Muszę się przespać kilka godzin.

Sera poszła do kuchni nakazać Bhimie, by nic nie przeszkadzało w śnie Ferozowi.

– Jest bardzo zmęczony – wyjaśniła w odpowiedzi na zaciekawione spojrzenie służącej. – Potrzebuje ciszy i spokoju.

Kiedy spał, Sera przygotowała jego ulubioną chińską zupę z kurczaka i kukurydzy. O szóstej kazała Bhimie postawić wazę na stole. Zamierzała obudzić Feroza, bo musiał przecież coś zjeść. Zapewne osłabł tak z powodu diety, której przestrzegał.

Weszła na palcach do sypialni i usiadła na brzegu łóżka.

– Kochany – szepnęła. – Obudź się. Przygotowałam ci gorącą zupę.

Nie było odpowiedzi. Szepnęła do niego znowu i już miała potrząsnąć jego ramieniem, kiedy nagle coś usłyszała. A to, co usłyszała, to była kompletna cisza panująca w pokoju. Feroz nie oddychał.

– Feroz! – wykrzyknęła, szukając po ciemku włącznika lampy. Światło zalało pokój i padło na nieruchomą twarz jej męża. Miał otwarte usta i oczy, i nawet w owej chwili, w kulminacyjnym punkcie swego strachu i zderzenia, w kulminacyjnym punkcie swego strachu i zderzenia, Sera dostrzegła, że spokój, którego szukał przez całe życie, wreszcie stał się jego udziałem.

– Feroz! – krzyczała. – Nie, nie, nie! Proszę, Feroz, proszę! Bhima! Bhima, chodź tutaj! O Boże, nie!

Bhima przybiegła do pokoju.

– Sera *bai*... – wybełkotała bezradnie. – *Are, Bhagwan*. Jakie to nowe nieszczęście na nas spadło?



To był koniec. Jej małżeństwo dobiegło końca. Tak po prostu, w mgnieniu oka, Feroz odszedł. Feroz – mąż i dręczyciel, kochanek i oprawca, ofiara i prześladowca. Żaden mężczyzna nie uczynił jej nigdy ani szczęśliwszą, ani bardziej nieszczęśliwą. Żaden mężczyzna nie kochał jej tak namiętnie. Żaden nie zrobił więcej, by zdusić jej miłość. Feroz trzymał klucze do jej szczęścia, ale otworzyły one jedynie bramy piekieł. Był człowiekiem zmiennym – agresywnym, błyskotliwym, gwałtownym, zazdrosnym, ale również kochającym, wspaniałomyślnym, hojnym. Być może to była jej wina, że nigdy nie wiedziała, jak z nim postępować, nie nauczyła się pływać po wzburzonym kilwaterze, jaki za sobą pozostawiał. Czy inna kobieta – światlejsza, mądrzejsza – potrafiłaby to? Czy inna kobieta potraktowałaby Banu tylko jako uciążliwość i powód do irytacji, nic więcej?

– Feroz – szlochała. – Feroz, mój mężu! Przepraszam. Przepraszam za wszystko. Wybacz mi, że byłam taką niedobrą żoną. Tak bardzo zatraciłam się we własnym nieszczęściu, że nigdy nawet nie pomyślałam o twoim!

Musiła mówić na głos, ponieważ Bhima podeszła do niej, uniosła jej głowę i odgarnęła włosy z rozpalonej, zalanej łzami twarzy.

– Daj spokój, Sera *bai* – powiedziała cicho. – Teraz trzeba wykazać odwagę, *bai*. I nie masz za co błagać o wybaczenie. Kiedy mężczyźni odchodzą, to zawsze kobiety proszą o wybaczenie. Byłaś dobrą żoną, *bai*. Sama widziałam, na własne oczy, codziennie. A teraz chodź, musimy zawiadomić naszą Dinaz.

Dinaz. Serce Sery zamarło na myśl, że trzeba poinformować córkę o tym, co się stało. Zmusiła się jednak do myślenia.

– Pewnie właśnie są w drodze do domu. Spróbuję ich złapać na komórkę. Bhima, podaj mi notes z telefonami, mam tam zapisany numer Wirafa... – Urwała nagle. – O mój Boże, ktoś będzie musiał powiedzieć starszej pani, że... jej syn nie żyje! – Znowu zaczęła płakać.

– Może to zrobić Wiraf *baba* – zawołała Bhima z drugiego pokoju. – Nie musisz tam chodzić, *bai*. A zresztą, kto wie, ile ta biedna kobieta zrozumie. Leży całymi dniami jak pęczek marchewki.

Pół godziny później rozległ się dzwonek do drzwi i weszli Dinaz z Wirafem, oboje z zaczerwienionymi oczami i nosami.

– Wyskoczyliśmy z pociągu i wzięliśmy taksówkę – wyjaśnił zadyszany Wiraf. – Ale Dinaz tak zniecierpliwiło czekanie na światłach, że wysiedliśmy i przebiegliśmy resztę drogi.

Rozpacz córki krajała Serze serce. Nie słyszała, żeby Dinaz tak płakała od czasu, kiedy skończyła dwanaście lat. Oczywiście rozszlochała się na pogrzebie dziadka Freddy'ego – zresztą sama Sera czuła się po jego śmierci tak, jakby straciła prawą rękę – ale jej rozpacz nad ciałem ojca była inna: żrąca, bolesna, gorąca, jak rozżarzone żelazo.

– Nie miałam nawet okazji się pożegnać – łkała Dinaz. – I jeszcze to, że mieszkamy z Wirafem tak daleko na przedmieściach, że przez ostatnie miesiące prawie się z nim nie widywałam!

Sera przeszukiwała portmonetkę swej pamięci, wypatrując złotych monet.

– Wiem, *dikra*, wiem – wymruczała, nie ustając w wysiłkach. Nagle znalazła tę najbardziej jej w tej chwili potrzebną. – Czy wiesz, co tata powiedział mi zaledwie dwa czy trzy dni temu? Że twoje małżeństwo było w jego życiu źródłem niewyczerpanej radości.

Ale jej dar odniósł odwrotny skutek od zamierzonego, ponieważ w pokoju rozległo się kolejne bolesne łkanie. Tym razem Wirafa, który kołysał smukłym ciałem w rozpacz, a długi nos miał czerwony jak burak.

– To był król – zawodził. – Tata Feroz to był prawdziwy książę.

Wtem Sera poczuła, że została schwytana w bańkę czystej, obiektywnej myśli, unoszącą się ponad wzburzonym morzem otaczającej ją zewsząd bezmyślnej rozpacz. Więc tak oto pisze się na nowo historię, pomyślała. Tak to się zaczyna, od wychwalania. Nie wystarcza, że człowiek był jedynie człowiekiem. Etykieta żałoby wymaga, żeby zrobić z niego księcia, króla. Jego wady muszą zostać rozprasowane jak zagięcia na garniturze, aż ukaże się naszym oczom równie gładki i nieskalany niczym w dniu swych narodzin. Jakby ziemia nie chciała go przyjąć, a sępy rozszarpać w Wieży Milczenia, póki nie zostanie przywrócony do swej pierwotnej chwały. W śmierci wszyscy ludzie stają się świętymi, pomyślała. Chętnie przyjmowała tę myśl i zarazem buntowała się przeciw niej. Może tak jest naprawdę lepiej – to wymazanie złych wspomnień, zastąpienie ich szczęśliwszymi, niczym zmiana brudnego

obrusa. Ale jeśli tak wyglądała prawda, to co należy zrobić z jej ciężkim, głupim ciałem, które wykrzykuje jego prawdziwą historię, ciałem, które domaga się dania świadectwa temu, co mu uczyniono? Tym poturbowanym, posiniaczonym ciałem, które karano za winy innych – za wybuchy zazdrości Feroza, za przebiegłość i przesadność Banu. Czy to ciało – ten sweter wydziergany z mięśni, kości i zakończeń nerwowych – czy i ono będzie musiało umrzeć, a krążąca w nim krew zastygnąć, nim ktoś wyśpiewa jego chwałę i okrzyknie je ciałem księżniczki albo królowej?

– Mamo, powiedz coś, proszę. Czuję się taka samotna – dotarł do niej głos Dinaz i Sera poczuła, że na powrót wpada w gorącą, kipiącą topiel żałoby.

– Chodź tutaj, kochanie – powiedziała, biorąc w dłonie głowę córki. – Nigdy nie będziesz sama, póki ja żyję.

Trzy lata minęły od tego dnia, dziwi się Sera. Jak to możliwe, skoro wspomnienie tego smutku nadal jest tak ostre, jakby ktoś nasypał jej w oczy mielonego chili? A jednak, przyznaje sama przed sobą, nigdy wcześniej nie była równie szczęśliwa jak podczas tych trzech lat, kiedy zamieszkali u niej młodzi. I jeszcze jej wnuk wkrótce przyjdzie na świat. Czuje szarpnięcie żalu na myśl, że Feroza już nie ma, że nie będzie mógł się cieszyć tym nowym członkiem rodziny. On tak bardzo kochał Dinaz, że na pewno uwielbiałby swojego wnuka, myśli. A jednak, wzdycha, cudownie będzie mieć dziecko tylko dla siebie, kiedy Dinaz

i Wiraf pójdą do pracy. I będzie umiała cieszyć się nim inaczej, niż cieszyła się Dinaz. Bo córka urodziła się w mrocznym domu, na który padał cień rzucany przez irracjonalne zachowania Banu i straszliwe napady furii Feroza. Nawet kiedy wyprowadzili się od teściów, nigdy tak do końca nie zdołała się uwolnić od obecności tej starej kobiety. Jej okupem stał się każdy niespodziewany dzwonek do drzwi. I wbrew nadziejom Sery, pięści Feroza nadal spadały na jej ciało. W pewien sposób dała mu teraz inny, bardziej trwały powód do napadów wściekłości – wymuszone rozstanie z matką.

Ale to wszystko już minęło, napomina samą siebie. Rodzinę, której nigdy nie miałaś, będąc z mężem, masz teraz, mieszkając z córką i zięciem. Wiraf i Dinaz spełnili twoje marzenia. Więc dlaczego, głupia kobieto, ciągle żyjesz przeszłością, skoro teraźniejszość jest tak pełna nadziei?

Wiraf żartobliwie trąca ją łokciem w zebra.

– *Su che*, mamó? – pyta wesoło. – Dlaczego uśmiechasz się tak zalotnie i tajemniczo? Myślisz o nowym przyjacielu? Powiedz, jak się nazywa, Pestondzi Pipjadas? Uważaj, wszyscy ci tutejsi *bhaija* będą myśleć, że z nimi flirtujesz.

Sera wybucha śmiechem.

– Głuptasie – napomina go. – Chyba powiem twojej mamie, jakie brednie tu wygadujesz.

– Moja mama chyba nawet nie wie, co to jest flirt – odpowiada natychmiast Wiraf. – W końcu nie jest taka olśniewająca jak ty. – Mruga do Dinaz: – Mówię ci, gdyby twoja matka była o dwadzieścia lat młodsza...

– Nie zwracaj na niego uwagi, mamó – prosi Dinaz, biorąc Serę za rękę. A potem strofuje męża podniesionym głosem. – Ty głupku. Masz zamiar nakarmić swoją biedną ciężarną żonę *bhelpuri* czy tylko swoje własne usta tymi bzdurami, które wygadujesz? Chodźcie, umieram z głodu.

– Zobaczmy, czy dalej sprzedaje tu Ramdas – proponuje Sera. – To był ulubiony *bhaija* waszego ojca na *Ćaupati*.

Szukają właściwej budki, ale wszystko się tu zmieniło.

– Dajmy sobie spokój – mówi wreszcie Sera. – Zjedzmy gdziekolwiek.

Wszyscy zaczynają właśnie drugą porcję *bhelpuri*, kiedy Dinaz wydaje okrzyk zdziwienia.

– Patrzcie, kto tu jest – mówi z pełnymi ustami.

– Nie zrozumiałem ani słowa – stwierdza Wiraf.  
– Przełknij i dopiero powiedz.

Dinaz przetyka posłusznie. Jej oczy błyszczą z podniecenia.

– Patrzcie, to Bhima i Maja, przy tamtej budce. Boże, od wieków nie widziałam tej dziewczyny. Bhima! – woła.

– Chyba nie powinniśmy im przeszkadzać – ucisza ją Wiraf. – W końcu Maja straciła dziecko i może być...

Dinaz ignoruje jego słowa.

– Bhima! Maja! Tutaj! – woła, machając gwałtownie ręką.

## 21

Bhima obraca się, a jej twarz rozpromienia nieklamana radość, kiedy zauważa, kto ją woła. Dinaz macha do nich i nawet z tej odległości Bhima widzi serdeczny uśmiech na jej twarzy.

– To panienka Dinaz – mówi do Mai, łapiąc ją za nadgarstek i ciągnąc za sobą. – Chodź, złożymy im uszanowanie.

– Ty idź, babciu – opiera się Maja. – Ja tu zaczekam.

– *Are wah!* – Bhima czuje się wstrząśnięta. – Co to, zrobiłaś się taka ważna, że nie możesz przejść paru kroków i przywitać się z ludźmi, którzy ci dobrze życzą? – zaciska mocniej dłoń na nadgarstku Mai. – Chodź, ty leniwa dziewczucho.

– Dzień dobry, dzień dobry, dzień dobry! – woła Dinaz, kiedy podchodzą. – Hej, Maja, dawno cię nie widziałam. Jak się miewasz?

– Świetnie – mamrocze Maja, patrząc na wydatny brzuch Dinaz.

Dinaz zauważa to spojrzenie i zaczyna się śmiać.

– Tak, utylałam jak świnia od tego czasu, jak mnie ostatni raz widziałaś, *na?* – mówi, klepiąc się po brzuchu.

Twarz Mai wykrzywia nagle grymas mściwości.

– Ja też tak wyglądałam. To znaczy póki twoja mama mnie nie załatwiła – mówi i patrzy wyzywająco na pobladłą Serę, zaskoczoną tym niewytłumaczalnym atakiem.

Bhima jest przerażona. Co tę dziewczynę napadło? Patrzy w ziemię, próbując wymyślić jakieś usprawiedliwienie zachowania Mai, kiedy z ratunkiem przychodzi jej sama Sera *bai*.

– Minął już ponad miesiąc, Maju – mówi normalnym, wyważonym tonem. – A co się stało, to się nie odstanie. Musisz przyjść, porozmawiać ze mną na temat college’u.

Maja mruczy coś pod nosem i odwraca wzrok. W złocistym świetle padającym z budek jej oczy błyszczą dziwnie, a twarz ma tak czerwoną, że Bhima zaczyna się zastanawiać, czy dziewczyna przypadkiem nie jest chora. To by wyjaśniało jej dziwne zachowanie, stwierdza w myślach.

Ciągle patrząc na wnuczkę, zauważa kątem oka jakiś ruch. Jej wzrok odruchowo podąża za nim i natrafia na Wirafa, który stoi za plecami Sery i Dinaz i wpatruje się w jej wnuczkę. Na jego twarzy, podobnie jak u Mai, maluje się zdenerwowanie i jakby odrobina szaleństwa. Gdzieś się podziała jego zwykła chłodna pewność siebie. Bhima przygląda mu się w zdumieniu. Wiraf przygryza górną wargę, a jego długie, smukłe palce przesuwają się bezmyślnie po zaroście na policzku. Ten chłopak wygląda na chorego... nie, na przerażonego... nie, na winnego, myśli



Bhima i zauważa nagle, że Wiraf stara się ukryć za plecami żony i teściowej. Jego zachowanie każe jej pomyśleć o zdarzeniu, które miało miejsce w *basti* kilka miesięcy wcześniej. Ktoś oskarżył nastoletniego syna sąsiada o kradzież pieniędzy ze swojej chaty. Chłopak kręcił przecząco głową i gwałtownie zaprzeczał, ale jego twarz i zachowanie – przetykał z trudem ślinę, oblizywał językiem zaschnięte wargi – mówiły coś zupełnie innego. I tak właśnie wygląda Wiraf, dziwi się Bhima. Jakby był złodziejem, jakby był czemuś winien.

Dinaz też musiała coś wyczuć, ponieważ ogląda się przez ramię i sięga po rękę męża.

– Oe, kochanie, nawet nie przywitałeś się z Mają i Bhimą – mówi.

Wiraf kłania się lekko.

– Dobry wieczór – mówi cicho, a jego wzrok spoczywa przez chwilę na pochylonej głowie Mai, a potem przenosi się na Bhimę. Wiraf wzdryga się lekko, kiedy zauważa, w jakim skupieniu Bhima mu się przygląda.

Dinaz śmieje się wesoło.

– Minęła już godzina, o której idzie spać – mówi, trącając Wirafa w zębra. – Wcale nie miał ochoty dziś wychodzić, ale mnie się tak strasznie zachciało *bhelpuri*. Powinniśmy już wracać.

– Pójdę po samochód – proponuje natychmiast Wiraf.  
– A wy zaczekajcie przy światłach.

Dinaz zwraca się do Mai.

– Tak miło było cię znów zobaczyć – mówi. – Szkoda, że już cię nie widuję u babci Banu. – Wyciąga ramiona,

żeby uścisnąć dziewczynę. – Wiem, że znów zaczniesz chodzić do college'u, kiedy będziesz gotowa – szepce. – I bardzo mi przykro z powodu twojej straty.

Kiedy obie kobiety odchodzą, Bhima ma wrażenie, że została przykuta do tego miejsca. Czuje się, jakby była jedną z tych rzeźb z piasku przedstawiających hinduskich bogów, w które spacerujący po Ćaupati ciskają monetami. Ma wrażenie, że ją też ulepiono z mokrego piachu. I świat wokół niej – tak samo chwiejny, wieloznaczny i nietrwały. Świat, do którego nie stosuje się żadna ze starych zasad, starych tabu. Świat, w którym dziewczyna z biednej rodziny, mieszkająca w slamsach, może uwieść czystego, przystojnego mężczyznę z wyższej klasy, i to takiego, którego żona niedługo urodzi pierwsze dziecko. Świat, w którym Maja i Wiraf...

To dziwne, w jaki sposób to odkryła. W jednej chwili nie wiedziała, w następnej już tak. W jednej chwili jej umysł był wymarły jak pustynia, w następnej wąż podejrzeń wślizgnął się w jej myśli i uniósł jadowitą głowę. A teraz będzie musiała żyć z tą wstrząsającą wiedzą, że ojcem dziecka Mai był Wiraf Dawar. Kiedy ona, Bhima, przyglądała się podejrzliwie każdemu młodemu mężczyźnie w *basti* oraz takim w średnim wieku, kiedy poniżała się przed tymi szyderczymi chłopakami w college'u Mai, kiedy głupio wyobrażała sobie wnuczkę w kuchni pełnej błyszczących garnków i patelni, nigdy nie przyszło jej do głowy szukać węża pod samym nosem.

Ale może ja się mylę, myśli. Może moje podejrzzenia też są ulepione z piasku i wystarczy jedna dobra fala,

by je zmyć? Jeśli tak, to niech te wody zapomnienia nad-  
płyną i zmyją obawy wgryzające się w moje serce. Ale  
nawet kiedy się o to modli, pewność twardnieje w niej  
niczym cement.

Maja wierci się u jej boku.

– Chodźmy, babciu – mówi. – Chcę wracać do domu.

– W naszej przyszłości nie ma domu – oznajmia Bhi-  
ma zagadkowo. – Grzesznicy nigdy nie zaznają spoczyn-  
ku. Za twoje grzechy będę powracać na ten nieszczęsny  
świat w niekończących się cyklach życia, dlatego równie  
dobrze mogę się zacząć wprawiać od zaraz. Chodźmy  
dalej, muszę jeszcze pospacerować.

Maja czerwieni się i patrzy wielkimi oczami na kości-  
stą twarz babci. Otwiera usta, jakby chciała zaprotesto-  
wać, ale Bhima już ruszyła w stronę brzegu. Po chwili  
dziewczyna podąża za nią.

Idą w zupełnym milczeniu. Ale ta cisza piszczy, krzy-  
czy, jest wypełniona dźwiękami – biciem serca Bhimy,  
drapiącym strachem dławiącym gardło Mai, szelestem,  
z jakim stopy starej kobiety wbijają się ze złością w pia-  
sek. Obie trwają we wnętrzu tej ciszy, bojąc się dotknąć  
jej granic, ponieważ przerwanie tamy milczenia będzie  
oznaczać wpuszczenie fal furii i wściekłości, pozwoli przy-  
pływowi przeszłości – tej, którą ignorowały, którą prze-  
rwały i zabiły – zalać i zniszczyć ich wątłą teraźniejszość.

Ale cisza, podobnie jak miłość, nie trwa wiecznie.

A zatem Bhima mówi. O ile ten zdławiony, zwierzęcy  
głos, jaki wydaje, można nazwać mową.

– Dlaczego? – jęczy. – Dlaczego on?

Maja patrzy niepewnie na babcię, jakby nie wiedziała, czy Bhima zwraca się do niej, czy do jakiegoś niewidzialnego bóstwa, które unosi się, szydząc z nich, nad Morzem Arabskim. Patrzy na nieskończony przestwór wody.

Brak odpowiedzi wprawia Bhimę w furję. Uderza wnuczkę mocno w plecy, aż Maja przez chwilę musi łąpać równowagę, pochylona głęboko do przodu.

– Zadałam ci pytanie, ty bezwstydnico – mówi, ale Maja nadal milczy. – Aśok Malhotra, tak? – drwi Bhima. – Najpierw skusiłaś przyzwoitego żonatego mężczyznę, a potem mi skłamałaś, żebym nie odkryła twojego wstydu. Nasikałaś w garnek, z którego jadasz. Zawiodłaś zaufanie Dubaszów. Żona tego człowieka, Dinaz, jest dla mnie jak córka. Jak będę mogła spojrzeć im w oczy? *Namak-haram*, każda litera, jaką umiesz przeczytać, każdy szew w ubraniu, które nosisz, każda szczypta soli w twoich ustach, wszystko to zawdzięczasz hojności Sery *bai*!

Twarz Mai jest niczym pole bitwy pomiędzy uczuciami. Bhima zbiera się w sobie, oczekując, że dziewczyna zaprzeczy tożsamości ojca swego martwego dziecka, uda, że nie wie, o czym babcia mówi. Ale czas udawania już się skończył, a znużenie i rezygnacja na twarzy Mai jest tym ostatecznym potwierdzeniem, którego potrzebuje od niej Bhima. Ale nim znów otworzy usta, Maja zaczyna krzyczeć.

– To nie tak, babciu! Uczyłam się czytać i pisać, nim jeszcze przyjechałam do Bombaju! Rodzice posyłali mnie do szkoły w Delhi, a Sera *bai* po prostu chciała wierzyć, że jestem ciemnym dzieckiem, które ocali. A jeśli chodzi

o moje jedzenie i ubrania – jestem za nie wdzięczna tobie, nie jej. To twój pot i ciężka praca mi je dały, a nie hojność Sery. Jeśli przez miesiąc nie zjawisz się w pracy, ciekawe, czy przyśle ci pensję pocztą!

Bhima patrzy na wnuczkę z ustami otwartymi ze zdumienia.

– Patrzcie no na nią – mówi cicho, jakby do siebie.  
– Tylko posłuchajcie tych grzesznych słów, które spływają z ust niewdzięcznej nędzniczki. Sika na kobietę, która zapewniła jej godne życie. A wszystko dlatego, że poszła zaspokoić żądzę w ramionach jej zięcia i chce teraz ukryć swoją winę. Moja Pudża, niech Bóg ją błogosławi, musi wylewać gorące łzy wstydu za potwora, którego urodziła.

Zatrzymały się, kilka centymetrów jedna od drugiej, ignorując ciepłą wodę obmywającą im stopy, obojętne na ciekawskie spojrzenia mijających je ludzi.

– Dlaczego tak szybko zrzucasz na mnie winę za to, co się stało, babciu? – pyta Maja, a piersi falują jej gwałtownie. – Skąd taki pośpiech, żeby z wnuczki uczynić jedyną grzesznicę? A on, to co? Czy może wszyscy członkowie tej rodziny są według ciebie święci i tylko własnych krewnych będziesz obwiniać i przeklinać za każdą krzywdę i za każdy wstyd?

Bhima słyszy nienawiść w głosie Mai i przypomina sobie jej zdenerwowanie w chwili, kiedy dobiegło je wołanie panienki Dinaz. Wówczas założyła, że powodem jest wstyd. Ale przecież zachowywała się dziwnie wobec Sery *bai* jeszcze w dniu zabiegu i od tamtej pory odma-

wiała składania wizyt w mieszkaniu Dubaszów. Patrzy niepewnie na wnuczkę.

- Czy on... czy *Wiraf baba*... czy on zrobił ci krzywdę?
- Dławi się morderczą furią, która towarzyszy tej myśli.

Maja niecierpliwie kręci głową, jakby pytanie Bhimy było muchą brzęczącą jej przy uchu.

- Założyłaś, że to ja byłam osobą, od której pochodzi całe zło. Dlaczego, babciu? Dlaczego kochasz ich rodzinę bardziej niż własną?

Bhima przełyka winę, która, podchodząc do gardła, pali jak roztopiona lawa.

- Nigdy tak nie mów – szepce. – Jak możesz tak mówić, skoro jesteś całym moim światem? Dla ciebie jestem gotowa... – Drży pod wpływem naporu uczuć, nie mogąc dokończyć myśli. Cofa się tam, gdzie piasek jest suchy, i szuka miejsca oddalonego od siedzących na plaży ludzi. Opada na piasek, pociągając za sobą Maję.

Przez kilka minut słuchają w milczeniu szumu fal. Kiedy Bhima odwraca się do wnuczki, już nie ma twarzy surowego sędziego.

- Powiedz mi, co się wydarzyło, *beti* – prosi cicho.
- Opowiedz mi całą historię.

I Maja opowiada.

## 22

Maja była właśnie w kuchni Banu *bai* i robiła herbatę dla starszej pani, kiedy rozległ się dzwonek do drzwi. Uniosła głowę, zaskoczona. Było wpół do piątej po południu i niko- go się nie spodziewała. Nocna pielęgniarka Gita miała przyjść dopiero o ósmej.

Otworzyła drzwi i zobaczyła na progu Wirafa.

– Och, Wiraf *baba*! – wykrzyknęła. – Tak wcześnie?

Wiedziała, że Wiraf zwykle wpadał tu po drodze z pra- cy, żeby sprawdzić, czy u starszej pani wszystko w po- rządku. Nagle zauważyła wzburzenie malujące się na je- go twarzy i żołądek skurczył jej się ze strachu.

– Coś się stało? Panienska Dinaz nie jest chyba chora?

– Wszystko w porządku, wszyscy czują się świetnie – odparł lekceważąco, a kiedy wchodził do bawialni, otarł się o Maję. Potem, widząc na jej twarzy lęk, dodał: – Nie masz się czym martwić, Dinaz czuje się dobrze. Jedyne, co jej dolega, to zły humor. Zepsuty dzieciak. Zachowuje się tak, jakby była pierwszą kobietą na świecie, która urodzi dziecko!

Maja zbladła. Nie potrafiła pojąć, że ktoś, nawet Wiraf, może mówić w ten sposób o Dinaz. A on uśmiechnął się złośliwie.

– Och, przepraszam za krytykowanie twojej ukochanej pani Dina – powiedział cierpko. – Zapomniałem, jak jesteście sobie oddane. Zapewne powinienem był poprosić cię o pomoc w przekonywaniu mojej żony, żeby poszła dziś ze mną do kina. Po to wziąłem sobie pół dnia wolnego i wróciłem wcześniej z pracy. Ale oczywiście ona jest akurat w jednym z tych swoich nastrojów Durgi. I wygłasza mi prelekcję o tym, jak to ma masę roboty w domu i jaki jestem nieodpowiedzialny, skoro przychodzę z pracy i oczekuję, że moja własna żona spędzi ze mną kilka godzin. Więc oczywiście to ja tutaj jestem ćutiją.

Maja wzdyga się na to wulgarne, slangowe wyrażenie. Nigdy nie słyszała, aby Wiraf tak okropnie przeklinał, niczym jeden z tych nierobów, którzy kręcą się po osiedlu. To zdumienie i rozczarowanie musiało chyba znaleźć odbicie na jej twarzy, ponieważ Wiraf złagodniał i sprawiał wrażenie skruszonego.

– Przepraszam – szepnął. – Chyba mnie poniosło. – Z roztargnieniem przyciągnął do siebie Maję i poklepał ją lekko po plecach. – Milutka Maja – wymruczał. – Zapomniałem, jaka jesteś wierna, niczym słodki mały szczeniaczek.

Maja była zaskoczona i dezorientowana, ale poczuła się także doceniona. Zaraz po pani Dina Wirafa babę lubiła najbardziej ze wszystkich członków rodziny Dubaszów. Feroz *seth* ją przerażał. Sera zawsze była dla



niej uprzejma, ale coś ją onieśmielało w tej wysokiej i dostojnej kobiecie. Natomiast Wiraf od chwili, gdy go poznała, traktował ją bez tego dystansu, który zawsze zachowywała Sera, często żartował i przekomarzał się z nią. I potrafił czasem być hojny dla Mai i jej babci. Jeszcze w zeszłym tygodniu Bhima wróciła do domu z tak dużym pudełkiem wetów, że musiały się nimi podzielić z sąsiadami.

– Podarował nam je Wiraf *baba* – wyjaśniała rozpromieniona. – Dostał od klienta trzy takie pudełka *mithai* i jedno dał nam.

A jednak nigdy wcześniej Wiraf jej nie dotknął ani nie odezwał się do niej w taki sposób. Szczerze mówiąc, w ogóle nigdy go nie widziała takiego jak dziś, pobudzonego i nieobliczalnego, wylewnego i tak bardzo potrzebującego pociechy. Coś w niej zmięкло i poruszyło się, poczuła jakąś taką wilgotną czułość w piersiach. Ogarnęło ją onieśmielenie, nie wiedziała, co powiedzieć. Miała chęć wbić wzrok we własne bose stopy, ale zmusiła się, żeby spojrzeć na zaczerwienioną twarz Wirafa, i usiłowała wymyślić jakiś sposób, aby go uspokoić i wprowadzić na powrót w zwykły, pogodny nastrój.

– *Ćaj* – powiedziała. – Szykuję Banu *bai* filizankę dobrej herbaty. Zrobię i dla ciebie, Wiraf *baba*.

Uśmiechnął się i znów wyglądał jak dawny Wiraf.

– Dobrze. Pójdę złożyć mój *salam* starszej pani, a potem zajmę się jej rachunkami. W końcu po to tu przyszedłem. – Twarz znowu mu spochmurniała. – Ten dom jest strasznie przygnębiający, ale przynajmniej człowiek

ma tu ciszę i spokój, żeby popracować. Żadnej naprzykrzającej się żony tyranizującej mężczyznę z powodu własnej burzy hormonalnej. – Uśmiechnął się nagle do Mai. – Żadnej naprzykrzającej się żony. Tylko podła, przykuta do łóżka staruszka, która dla odmiany tyranizuje ciebie.

Nigdy go takiego nie widziała, takiego ożywionego. Ten Wiraf, którego znała, Wiraf, do którego przywykła, pojawiał się i znikał jak słońce za chmurami. Patrzyła na niego z otwartymi ustami. Nie znała go na tyle dobrze, żeby stwierdzić, czy żartuje, czy mówi poważnie, i nie wiedziała, jak zareagować na bluźniercze słowa o własnej rodzinie. Czuła się mała, niedorośła i boleśnie świadoma swojej pozycji społecznej. Jej rzeczą było słuchać, nie mówić. Nie wolno jej było złapać tej przynęty i powiedzieć, co naprawdę sądzi o Banu *bai* – że się z nim zgadza, że to podła stara kobieta, która zmienia wszystkim życie w piekło.

Jakby na dany znak dobiegły ich gulgoczące dźwięki wydawane przez Banu.

– Urgghh, urgggh, urgghh – bełkotała.

Wiraf odwrócił się od Mai, mrugając.

– Niczego nie przeoczy, prawda? – stwierdził. – No cóż, czas na *darśan* Kali.

Tym razem Maja była tak wstrząśnięta, że nie zdołała powstrzymać stłumionego okrzyku.

– Wiraf *baba!* – zaprotestowała, ale on już wyszedł.

– *Kem*, Banu *bai*? – usłyszała jego głos w pokoju starszej pani. – Jak się dziś czujesz? Wyglądasz świetnie, policzki rumiane jak jabłka z Kaszmiru. Mam nadzieję, że całą służbę trzymasz w ryzach?

Do kuchni dotarł zdławiony dźwięk, który Maja zidentyfikowała jako śmiech Banu *bai*. Ten Wiraf *baba* jest niemożliwy. Uśmiechnęła się do siebie. Taki uroczy, rozbawiłby nawet umarłego.

Gdy zaniósła mu herbatę, siedział zgarbiony nad stertą rachunków i książeczką czekową Banu. Zdjął krawat i ułożył go starannie na łóżku, podwinął też rękawy koszuli.

– Dziękuję – powiedział z uśmiechem, po czym wrócił do ksiąg. – Filizanka doskonałej herbaty to dokładnie to, czego mi w tej chwili potrzeba.

Rozgrzewało ją wspomnienie jego uśmiechu, kiedy poła Banu *bai* herbatą, trzymając pod brodą staruszki serwetkę, żeby otrzeć strużki płynu ściekające ze zwiotczonych, bezsilnych ust. Jak zwykle zanurzyła też w herbacie z mlekiem dwa herbatniki, po czym włożyła te cienie ciastek w usta starej kobiety. Czasami, kiedy Banu była w złym humorze, pluła na Maję herbatą i tymi rozmoczonymi herbatnikami, a wtedy serwetka przydawała się jej do czyszczenia własnego ubrania i wycierania twarzy. Ale dziś staruszka była w dobrym humorze, uradowana troską okazaną jej przez Wirafa i jego kokieterijnymi słowami.

– No dobrze, babciu – powiedziała Maja zadowolona, kiedy Banu wypła herbatę. – A teraz prześpij się kilka godzin jak dobra dziewczynka. Obudzimy cię na kolację. Odpocznij teraz, to dobrze działa na urodę.

Szare, zamglone oczy podążały za nią, gdy porządkowała pokój. Po chwili Maja znów spojrzała na Banu. Stara kobieta spała z otwartymi ustami.

Kiedy weszła do pokoju, gdzie pracował Wiraf, zobaczyła, że rozłożył się na łóżku. Na jej widok przeciągnął się.

– Ta herbata była taka dobra, że zachciało mi się spać – powiedział leniwie. – Pomyślałem, że może się zdrzemnę. Dinaz jest taka niespokojna w nocy z powodu ciąży, że prawie nie sypiam.

Miała właśnie wyjść z pokoju z pustą filiżanką, kiedy znów się odezwał.

– Hej, Maja. Zajrzyj do szafki z lekarstwami i zobacz, czy jest tam jodex, dobrze? Mam chyba naciągnięty mięsień karku. Za dużo godzin za biurkiem.

Wróciła z małym, ciemnym słoiczkiem i chciała mu go podać, ale uśmiechnął się błagalnie.

– Trudno jest mi dosięgnąć tego miejsca – wyjaśnił.  
– Możesz mi pomóc?

Zawahała się przez sekundę, a potem nabrała na palce czarnej maści. Wiraf rozpiął dwa górne guziki od koszuli i przewrócił się na brzuch. Kiedy jej palce dotknęły jego skóry, jęknął cicho.

– Masz zimne dłonie – zganił ją, ale po jego głosie poznała, że się uśmiecha.

Palce Mai odnalazły napięty mięsień i zaczęły go zrećźnie rozmasowywać.

– Mocniej – stęknął Wiraf. Obrócił się nieco na bok i rozpiął jeszcze kilka guzików, żeby miała lepszy dostęp do jego barków. – Niech cię Bóg błogosławi – westchnął, kiedy mięsień rozluźnił się pod naciskiem jej ręki – ledwie dziś mogłem poruszać szyją. Zapewne to również był powód mojego złego humoru.

Coś w niej drgnęło.

– Moja babcia też ma taki sztywny kark. Ale zawsze udaje mi się jej ulżyć – powiedziała z dumą. – Babcia mówi, że robię najlepszy *ćampi-maliś*.

Wyczuła, że Wiraf się uśmiecha.

– Założę się, że nie jesteś tak dobra jak ci masażyści na plaży *Ćaupati* – droczył się z nią.

– To niesprawiedliwe – roześmiała się. – Ci bhajowie używają olejku migdałowego z masali i to cała różnica.

– W takim razie przynieś oliwkę Johnson's Baby – polecił tym samym rozbawionym tonem. – Sprawdzimy, na ile jesteś dobra. – Zawahała się, nie wiedząc, czy on żartuje, czy mówi serio. Wyczuwając jej niepewność, Wiraf uniósł się na jednej ręce, a drugą popchnął ją lekko. – No już – powiedział. – Naprawdę przyda mi się masaż pleców.

Kiedy wróciła, zdążył zdjąć koszulę. Była zaskoczona, że ma takie gładkie, nieowłosione plecy. I blade. Bardzo blade. Kolor i faktura pszenicznej atty, z której babcia robi *ćapati*, W porównaniu z nierobami, którzy łazili po osiedlu w kraciastych *lungi* i z łopatkami włochatymi jak u niedźwiedzi w cyrku, plecy Wirafa wydawały się równie niegroźne jak bochenek chleba.

Nalała na dłoń oliwki, próbując się skupić na jakimś punkcie na ścianie zamiast na gładkiej skórze Wirafa. Nigdy wcześniej nie dotykała pleców mężczyzny, więc czuła się onieśmielona i skrępowana. Ale jej oczy ciągle przyciągały miejsca, w których jej ciemne dłonie stykały się z jego skórą w kolorze masła.

– Um, um, um – jęczał Wiraf. – To prawda, nie oszukiwałaś. Jeden twój masaż i ci wszyscy masażyści z Ćaupati powinni raczej zająć się handlem *narial pani*.

Dobrze było dawać mu tyle przyjemności. Kiedy jej ręce ugniatały i pieściły plecy Wirafa, kiedy usuwała napięcie z jego mięśni, czuła się silna i ważna, miała wrażenie, że posiada władzę. Wcześniejszy Wiraf, ten zły, szydzący i bluźniący Wiraf zniknął, pokonany przez jej szybkie, sprawne i mądre dłonie. Mogła go nimi poruszyć, formować, relaksować. Może taki odprężony będzie miłszy dla panienki Dinaz, jak wróci do domu? Maja już wcześniej podejrzewała, że między tymi dwojgiem nie układa się dobrze. Kiedy przychodziła po babcię, słyszała czasami gniewne głosy dobiegające z ich pokoju, ale aż do tej chwili nie podejrzewała, że ona sama może coś w tej sprawie zrobić. Zrozumiała to dopiero dziś, obserwując, jak przepięknie wdzięcznością mięśnie Wirafa odprężają się niczym węże w koszyku zaklinacza. Patrząc na swoje ciemne dłonie poruszające się jak jakieś cienie po spokojnych wodach jego pleców, poczuła coś jakby podziw.

– Niżej – szepnął Wiraf. – Krzyż mnie boli jak cholera.

Masowała jego krzyż, uważając bardzo, żeby nie dotknąć szpary między pośladkami, ale pozwalając, by błędził tam jej wzrok. Hipnotyzowały ją rytmiczne, koliste ruchy dłoni, a Wiraf leżał przez kilka chwil tak spokojnie, że zaczęła się zastanawiać, czy nie zasnął.

Wówczas obrócił się nagle i przez jedną dezorientującą chwilę jej ręce ugniatały powietrze. A potem zaczęły

masować ciemne loczki na jego torsie. Czują przejmującą kruchość jego obojczyków, smutną pustkę klatki piersiowej i napięcie mięśni, odgadując, kierowane odwieczną, prymitywną mądrością, że to ona jest przyczyną tego napięcia, że jest przyczyną jego płytkiego oddechu. Jej podziw zmienił się w dumę, a ta z kolei w panikę, kiedy Wiraf na wpół uniósł się z łóżka i delikatnie, ale stanowczo popchnął ją na nie, przytrzymując za ramiona, tak że przez jeden absurdalny moment jej nogi zawisły nad podłogą. Miała wrażenie, że żołądek opada jej gwałtownie w dół, a potem, gdy Wiraf dotknął ustami jej piersi, nadeszła fala innych uczuć, fala, która runęła między jej uda, przerywając tamę oporu, sprawiając, że nogi zrobiły jej się ciężkie i słabe.

Protestowała. Nie protestowała. Zresztą nie miało to żadnego znaczenia, ponieważ oboje wiedzieli, że to, co miało się zdarzyć, jest nieuniknione. Byli jak pływacy porwani tym samym prądem. Patrzyli na siebie poważnie, bez słów. Wokół nich, w pokoju, na świecie, zapadła cisza. Byli w niej jedynymi ludźmi, ostatnią parą ludzi, nie było nikogo innego, nie było miejsca na myśli o kimkolwiek innym, nie było przykutej do łóżka kobiety w drugim pokoju, nie było pielęgniarki, która miała przyjść niedługo i zastąpić Maję, nie było Bhimy, która sprzeciwiłaby się temu, co tu się działo, a przede wszystkim nie było Dinaz z dzieckiem rosnącym w jej brzuchu.

– O Boże, o Boże, o Boże... – powtarzał Wiraf, poruszając się nad nią. Zagryzła wargi, żeby nie poddać się ostremu bólowi, który przeszył jej ciało, kiedy w nią wszedł.

Próbowała chwycić go za plecy, wyginając się ku niemu, ale jej ręce ześlizgnęły się z powodu oliwki. A potem było jedynie tarcie i ruch, stało się ślisko i wilgotno – oliwka na plecach Wirafa, krew z przygryzionej za mocno wargi i inna, rytualna krew, płynąca skądinąd, łączy zbierające się w oczach zaciśniętych mocno z rozkoszy i bólu, pot spajający ich ciała mocno jak klej i na koniec wytrysk nabrzmiałego, gorącego ciała Wirafa prosto w jej ciało.

Doszła do siebie szybciej niż on. Kiedy leżała w bezruchu, sztywna ze wstydu i przerażenia, on wciąż płonął, bezwładny i zwiotczały od tego żaru, rozluźniony.

– Tyle czasu... – Ledwie go słyszała. – Cięża Dinaz... taka oziębła... nie pozwala mi się zbliżyć... – Jego słowa z trudem przebijały się przez bijące dzwony jej własnego strachu.

Zadzwonił telefon. Przez moment patrzyli na siebie niepewnie.

– Idź, odbierz – polecił.

Wstała z łóżka i wskoczyła w swój *śalwar-kamiz*, zawstydzona, że widzi ją nagą. Ale w jego oczach nie było już pożądania, miały pusty wyraz, którego nie była w stanie przeniknąć. Dzwonek telefonu przerwał jego zadumę, przywrócił go do rzeczywistości.

Dzwoniła Dinaz z pytaniem o męża.

– Hej, moja Maju – powiedziała. – Dlaczego tak długo nie odbierałaś? – Maja miała ochotę się rozplakać, słysząc głos Dinaz, w którym wyczuwała tyle sympatii i zaufania. – Jest tam Wiraf?



Stał już za jej plecami, by przejąć od niej słuchawkę.

– Zasnąłem na kilka minut, skarbie – tłumaczył się żonie. – Wiesz doskonale, jakie nudne są rachunki twojej babci. Nie, nic mi nie jest. Nie musisz przeproszać. Słowo honoru, nie mam pretensji. Możemy obejrzeć ten głupi film kiedy indziej. Wrócę do domu, jak tylko skończę te rachunki. Na razie, skarbie.

Kiedy zakończył rozmowę, Maja była w kuchni. Zmusiła się, żeby na niego spojrzeć. Była jak oniemiała, zmieszana, zawstydzona. Chciała coś powiedzieć, wyjaśnić, że nie jest złą dziewczyną, że nie robi z żadnym mężczyzną takich rzeczy, jakie zrobiła z nim, że w istocie nigdy wcześniej niczego takiego nie robiła. Ale Wiraf, taki wysoki przy niej, wydawał się niedostępny jak góra.

– Jest tu czysty ręcznik? – zapytał. – Chciałbym wziąć prysznic, nim wyjdę. – Jeśli nawet zauważył ból i przerażenie na twarzy Mai, nie dał tego po sobie poznać. – Powinnaś wyprać prześcieradła, nim przyjdzie nocna pielęgniarka – dodał. – Jest na nich... krew. A to wygląda podejrzanie.

Kiedy był w łazience, siedziała w kucki w kącie, łkając cicho. Czowała się zbrukana, jej ciało wydzielalo zapach, którego nie poznawała. Modliła się, żeby już na zawsze został za tymi drzwiami, żeby już nigdy nie musiała go oglądać. Ale po pewnym czasie szum wody ustał, a on znów stanął nad nią, pachnąc lekko lawendowym mydłem Yardleya.

– Posłuchaj, Maju – powiedział cicho. – Biorąc prysznic, zastanawiałem się nad tym, co... się właśnie stało,

nad tym, co zrobiłaś. Masz rację, twój czyn był zły. Kusiłaś mnie, wykorzystywałaś mój zły nastrój.

Zaczęła protestować, ale ją uciszył.

– Ciiii. Pozwól mi skończyć. Chcę powiedzieć, że ci wybaczę pod warunkiem, że to się nie zdarzy nigdy więcej. I że nigdy nikomu nie powiesz o tym, co zrobiłaś. Jeśli biedna Dinaz kiedykolwiek się o tym dowie... O Boże, to ją zabije. Ona ci tego nigdy nie wybaczy. Rozumiesz? Uzna, że ją zdradziłaś, zawiodłaś jej zaufanie. A ze względu na ciążę nie mogę dopuścić, żeby coś jej się stało. Pamiętaj, rodzina Dubaszów była zawsze dobra dla ciebie i twojej babci. Traktowali cię jak własną córkę, posłali cię do dobrego college'u. Masz przed sobą wspaniałą przyszłość. Nie pozwól, żeby to jedno zdarzenie zrujnowało twoje życie. Rozumiesz, o czym mówię?

– Ale ja nic nie zrobiłam! – krzyknęła. – To znaczy... to ty rzuciłeś się na mnie jak wściekły pies!

Ta wściekłość sprawiła, że w jej głosie pobrzmiwały stalowe tony.

Oczekiwała, że ją zaatakuje, ale Wiraf popatrzył tylko na nią ze smutkiem, kręcąc lekko głową.

– Maju, Maju – westchnął. – Nie bądź taka. Jeśli powiesz komuś o tym, co tu zaszło, jak sądzisz, komu uwierzą? Tobie czy mnie? Przede wszystkim ja wyprę się wszystkiego. Bądź rozsądna i nie rób nic, co mogłoby zaszkodzić twojej edukacji albo pracy Bhimy. Proszę. Obiecuj mi, że o tym zapomnisz.

Kiwnęła głową. Jej ciało pulsowało bólem i z całych sił pragnęła, żeby sobie poszedł. Przedtem miała wyrzuty

sumienia, czuła, że zachowała się nieskromnie, ale była sobą, Mają. Jego słowa sprawiły, że poczuła się jak prostytutka. Czekwała, milcząc, niby zagnane w kąt zwierzę, aż zbierze papiery i zamknie je w godrejowskim kredensie w pokoju Banu. Stał przez chwilę przy łóżku starszej pani, zastanawiając się, czy ją obudzić, żeby się pożegnać, ale wydała wyjątkowo gardłowe chrapnięcie, więc cofnął się i na palcach wyszedł z pokoju.

Przy wyjściu odwrócił się i jeszcze raz popatrzył na nią. Zauważyła, że ma zwilgotniałe, błyszczące oczy. Wbrew jej woli serce Mai zakołatało nadzieją – czekała na miłe słowo, na jakiś drobny gest z jego strony, który by sprawił, że przestałaby czuć się jak szmata. Stał przed nią, przygryzając dolną wargę, a jego oczy przemykały szybko po jej twarzy.

– Wszystko w porządku? – zapytał, a kiedy nie odpowiedziała, przez jego oblicze przemknęła złość. – Daj spokój Maju, opanuj się – nakazał. – To, co się zdarzyło... no cóż, po prostu się zdarzyło. Niczyja wina, prawda? Prawda. Zaraz przyjdzie nocna pielęgniarka, więc jeśli musisz, no wiesz... umyć coś, lepiej zrób to, zanim Banu się obudzi. I pamiętaj, ani słowa nikomu. Najlepiej będzie, jak o tym po prostu zapomnisz.

Już będąc na progu, dodał:

– Och, jeszcze jedno. Nie zapomnij o prześcieradłach, dobrze?

## 23

Bhima nigdy nie sądziła, że nienawiść może tak dotkliwie uwierać. Że może powodować tak dojmujący, nieustający ucisk jak kamień w bucie albo ubranie za małe o dwa numery. Nie znała dotąd również konsolidującej mocy nienawiści – tego gromadzenia razem wszystkich dawnych zdrad i obelg i umieszczania w jednym, palącym miejscu w żołądku. Nie wiedziała, że nienawiść potrafi wszystko skwasić, jakby była cytryną, której sok wyciśnięto na cały świat.

Młody doktor w szpitalu od AIDS, który mruczał pod nosem z pogardą „wy, ludzie”. Księgowy, który niemal klepał sam siebie po ramieniu za to, że wykorzystał niepiśmienną kobietę. Stary lekarz, który ignorował chorego Gopala, póki nie poczuł zapachu władzy i pieniędzy. Gopal, który odszedł, zabierając ze sobą Amita, jakby chłopiec był tobołkiem starych ubrań, przygotowanym do przenoszenia z miejsca na miejsce. Gopal, który napisał do niej list będący równocześnie pocałunkiem i trucizną.

No i jeszcze był Wiraf. Ale na samą myśl o nim łomot w uszach Bhimy staje się ogłuszający jak ryk samolotów, które słyszała kiedyś na lotnisku Sahara, gdzie odprowadzała raz Serę. W ustach ma gorzki smak, którego nie usuwa nawet żucie tytoniu. Nienawiść kłuje, jak wbijane w ciało miniaturowe igiełki. Nienawiść do Wirafa jest całkiem świeża i tak ostra, że nie pozwala Bhimie zasnąć w nocy, a raniem sprawia, że cała jest obolała, pokrwawiona i posiniaczona. Nienawidzi teraz tych samych rzeczy, które niegdyś w Wirafie kochała – jego urody, wyrazistej, foremnej twarzy – ponieważ uważa je za maskę ukrywającą jego cynizm i zepsucie.

Jak on się czuje, myśli, kręcąc się na materacu, skoro wie, że jedno z jego dzieci zostało niedawno zabite, a żona niedługo urodzi mu drugie? Czy uważa to za piętno złego losu, czy obawia się, że cień martwego dziecka padnie na brzuch radości jego żony? Czy może tak niewiele obchodzi go ten nieślubny potomek, że w nocy śpi spokojnie, widząc w snach tylko prawowitego syna, który odziedziczy po ojcu wygląd, urok, bogactwo i władzę? Na tę ostatnią myśl Bhimę ogarnia wściekłość, twarz jej pochmurnieje. A potem, z popiołów tej myśli, podnosi się wspomnienie: jazda na targ, podczas której Wiraf tłumaczył jej tak spokojnie, jak ważne jest, by nie tracić więcej czasu i jak najszybciej poddać Maję aborcji. Morderca dzieci, myśli Bhima z furią. Co za ojciec jest w stanie nadzorować egzekucję własnego potomka?

To na pewno dlatego Maja nalegała, żeby Sera *bai* poszła z nią do kliniki aborcyjnej i przez to stała się świad-

kiem śmierci dziecka, które było, niczym ponury cień, bratem jej wnuka i pewnego dnia stałoby się rywalem, zagrażającym szczęściu Dubaszów, ich pozycji, ich prawu do powszechnego szacunku. Maja ułożyła to w taki sposób, żeby Sera była obecna w chwili, kiedy ten rywal został uciszony na zawsze. Patrzy na śpiącą Maję i choć przepelnia ją odraza, czuje przez chwilę podziw dla tej dziewczyny. Maja dopilnowała, by rodzina Dubaszów została wmieszana w unicestwienie jej dziecka, aby jego ciemna krew na zawsze splamiła ich ręce. Sera *bai* na pewno po powrocie do domu opowiadała o koszmarze tej kliniki. A Wiraf na pewno z lodowatą fascynacją słuchał historii o tym, jak zabito jego dziecko. Być może obudził się w środku nocy, a wina spowijała jego ciało jak całun. Być może w ciemnościach tej nocy poznał przekłęty mrok własnego serca.

Ale może wcale tak nie było. Nagle Bhima czuje się stara i zmęczona. Popada w tę znajomą powolność. Tylu rzeczy nie wie i nie rozumie. Wiraf *baba* jest mężczyzną przystojnym, wykształconym, bogatym, znającym świat. Jest wszystkim tym, czym ona, Bhima, nie jest. Jak mogłaby udawać, że wie, co on myśli? Przecież zauważyła, że kiedy Wiraf zwraca się do niej, zaczyna mówić powoli, jakby się spodziewał, że nie zrozumie jego słów. A skoro nie przeniknęła nawet myśli własnego męża, skoro nie odgadła zdrady czającej się w jego sercu, jak może sądzić, że zna chwasty porastające dno czarnego serca Wirafa?

Powie mu, że wie. Ta myśl przychodzi do niej tak nagle i tak wyraźna jak płomień zapalanej w mroku

zapałki. Da mu odczuć, że choć jest biedna, choć jest kobietą, to wcale nie trzeba do niej mówić powoli i wyraźnie. Że nie jest już kimś, kogo może oszukać księgowy i mąż i kogo może traktować z góry lekarz i mężczyzna, który gwałci jej wnuczkę. Że stała się kimś, kto zna go lepiej niż jego własna matka, ponieważ, choć jest niepiśmienna, potrafi odczytać zepsucie jego serca. Powie mu, że wie i że odtąd będzie musiał się jej bać, ponieważ posiada straszliwą moc i może zniszczyć jego szczęście równie szybko, jak tajfun niszczy domy. Powie mu, że wie i że odtąd będzie musiał trzymać ręce przy sobie, że nie pozwoli, by te jego brudne, paskudne dłonie skalały życie kolejnej młodej dziewczyny. Wytknie mu, że beztrąsko zaspokajając swoją żądzę, wykoleił życie Mai, zamknął ścieżkę, którą dziewczyna miała szansę opuścić slamsy. To, co zbudowały wspólnie z Serą, Wiraf zburzył. Kobiety tworzą, myśli Bhima, a mężczyźni niszczą. Taki jest świat.

Dziś jest sobota, dzień, w którym jedzie na targ z Wirafem. W samochodzie powie mu, że wie. Że Maja nie stoi już na straży jego sekretu, że już nie nosi na sobie znaku jego hańby. Będzie się trząsał i błagał ją o przebaczenie, ale ona pozostanie niewzruszona. Niektóre grzechy są zbyt mroczne, by mogły zostać odpuszczone. Nawet ona o tym wie.

To nowe postanowienie daje Bhimie zastrzyk energii. Wstaje z materaca, słyszy znajomy trzask w biodrze, ale dziś nie czeka, czy przeszyje ją fala bólu. Nie będzie zwracała uwagi na skrzypienie i jęki własnego ciała. Jest gotowa zadać ból Wirafowi.

– Obudź się, *beti* – mówi do Mai, trącając śpiącą dziewczynę palcami nóg. – Pójdiesz po wodę, a ja przygotowuję herbatę. No już, muszę być dzisiaj wcześniej w pracy.

Czy to tylko jej wyobraźnia, czy rzeczywiście, kiedy wchodzi do domu Sery *bai*, Wiraf bada ją wzrokiem? Nie ma czasu się nad tym zastanawiać, ponieważ Sera wyciąga do niej rękę.

– Och, dzięki Bogu, już jesteś Bhimo! – mówi. – Zapomniałaś o dzisiejszej proszonej kolacji? Chodź, musimy przejrzeć listę zakupów.

– Tak się składa, że jadę dziś na *maidan* trochę wcześniej – mówi Wiraf, stanąwszy w drzwiach kuchni. – Może w takim razie Bhima wybierze się dziś na targ taksówką, jak już będzie gotowa?

Zamiast Sery odzywa się Bhima.

– Trudno złapać taksówkę w sobotę rano. Mogę ruszać zaraz, jeśli takie masz życzenie.

– Rzeczywiście, w końcu oboje jedziecie w tę samą stronę – popiera ją Sera. – Nie ma sensu niepotrzebnie wydawać pieniędzy na taksówkę, prawda? – pyta z uśmiechem. – Ciągle powtarzam dzieciom, że pieniądze nie rosną na drzewach.

Twarz Wirafa nie wyraża nic.

– Dobrze. Jak chcecie – zwraca się do Sery, choć Bhima stoi przecież obok. – Tylko dopilnuj, żeby była gotowa za kilka minut.

Bhima przegląda płócienne torby, wybierając te, które weźmie na targ.



– *Oe*, Bhima, czy Maja dobrze się czuje? – pyta Sera *bai*. – Wczoraj nie wyglądała najlepiej. Zatruiła się jedzeniem z *Ćaupati*?

Bhima nadal stoi odwrócona do Sery plecami.

– To nie to, *bai*. Po tym, co ostatnio przeszła, jest jeszcze bardzo...

– Rozumiem – wzdycha Sera. – Biedna dziewczyna. Cała ta sprawa jest bardzo przykra. No, ale jeśli wyciągnie naukę z tego błędu, może jeszcze wyjdzie to jej na dobre. W jej wieku dziewczęta są takie... Pamiętam, że Feroz i ja bardzo pilnie obserwowaliśmy Dinaz, kiedy była nastolatką. W końcu największym skarbem dziewczyny jest jej cnota. Zresztą sama wiesz, jak jest u nas, w Indiach. Każdy mężczyzna chce się ożenić z dziewczyną. Wszystko jedno, hinduista, chrześcijanin czy pars, mężczyźni są zawsze tacy sami, nie uważasz?

Bhima przygryza dolną wargę tak mocno, że aż czuje zapach krwi. Sera zauważa sztywną postawę służącej.

– To znaczy nie chciałam sugerować... Maja to taka dobra dziewczyna, jestem pewna, że bez problemu znajdziemy jej odpowiedniego męża. I naprawdę nikt w twoim *basti* nie musi wiedzieć o tym incydencie. Anglicy mawiają, że to, o czym nie wiesz, nie może cię zranić. Ale mam nadzieję, że Maja nie tak szybko wyjdzie za mąż. *Bas*, powinna najpierw skończyć szkołę. Potem pomyślimy o znalezieniu jej męża.

Bhima nadal nie ufa sobie na tyle, żeby się odezwać. Wie, że jeśli otworzy usta, wypłyną z nich słowa. Słowa pełne jadu, słowa zdolne zadać Serze ranę, która może się już nigdy nie zagoić.

Jej pani podchodzi i staje za nią.

– *Ćal re*, Bhima – mówi, udając zniecierpliwienie. – Ile jeszcze czasu ci zajmie decydowanie, które torby ze sobą zabrać? Jeśli zachowasz to tempo, będę już staruszką, jak wrócisz z targu.

Wiraf zagląda do kuchni.

– Gotowa? – pyta.

Bhima kiwa głową, pilnując się, żeby patrzeć w punkt nad prawym uchem Wirafa. Obawia się, że gdyby spojrzała wprost na tę jego przystojną twarz, rzuciłaby się na nią z pazurami.

Czekają na windę i zjeżdżają na dół, nie mówiąc do siebie ani słowa. Wiraf gawędzi za to z windziarzem, który nieśmiało wyciąga rękę, by pogłaskać jego kosztowny, błyszczący kij do krykieta.

– Co pan sądzi o tej nowej drużynie Indii Zachodnich? – pyta windziarz, wpatrując się w kij. To wysoki, chudy młodzieniec z wystającymi zębami, przez które wygląda tak, jakby się cały czas śmiał z jakiegoś sekretnego żartu.

Wiraf wzrusza ramionami.

– Ci z Indii Zachodnich są zawsze świetni.

Usta chłopaka rozciągają się na boki w uśmiechu. Kręci głową.

– Ale nasza reprezentacja tym razem im nie ustępuje – zapewnia szybko, jakby oczekiwał właśnie takiej

odpowiedzi Wirafa. – Zapewniam pana, że damy lekcję tym czarnym małpom na meczu w Bombaju. – Pochyliła się ku niemu poufale. – Mówią, żeby przyjść na stadion z masą skórek od banana. Te afrykańskie małpy lubią banany. Mamy zamiar rzucić je na boisko, jak przyjdzie ich kolej wybijania.

Usta Wirafa zaciskają się w grymasie niezadowolenia.

– To niezbyt sportowo, prawda? – mówi. – Właśnie takie rzeczy powodują złą opinię o naszym kraju.

Winda zatrzymuje się na parterze, a chłopak zeskakuje ze stołka, żeby otworzyć im drzwi.

– To prawda, proszę pana, to prawda – przytakuje. – Kiepski pomysł. – Mruga szybko w oczekiwaniu napiwku, ale Wiraf ignoruje go i rusza do samochodu, a Bhima idzie kilka kroków za nim. Głupi chłopak, myśli Bhima. Sam wygląda jak ogolony szczur z tymi zębami jak nożyczki i jeszcze ma czelność nazywać innych małpami.

Wiraf włącza klimatyzację natychmiast po uruchomieniu silnika, ale dziś, pomimo upału na dworze, Bhimie jest zimno. Odsuwa się od Wirafa, próbując opanować głośnie szczęknięcie zębami. Jej ręce są lepkie i zimne, a w żołądku ma lodowaty węzeł, który rozpoznaje jako zdenerwowanie. Próbuje sobie przypomnieć ten bojowy nastrój, który ją ogarnął dziś rano, że nie ma nic do stracenia, próbuje przywołać tę nienawiść i chęć mordy, które czuła wobec Wirafa zaledwie kilka godzin temu, ale nie potrafi. Może jedynie powstrzymać upokarzające drzenie ciała, żeby on go nie zauważył. Całej siły woli





tylko w jeden sposób: o tym, czego się dopuścił, poinformować Serę i Dinaz i patrzeć, jak plama jego hańby rozlewa się na ich twarzach. Ale tego nie może zrobić. Bo wtedy zniszczyłaby jedyne dwie osoby na świecie, które traktowały ją jak człowieka, które były wobec niej lojalne i wierne, które nigdy nie pogardzały nią za to, że jest taka głupia czy niepiśmienna, czy słaba. Pamięta Dinaz w wieku lat pięciu, sześciu, dwunastu, czternastu, a każde wspomnienie skropione jest wodą różaną, każde jest słodkie jak cukier i czyste jak kryształ. Dinaz odmawiająca zjedzenia czekolady, póki nie podzieli się z Bhimą. Dinaz błagająca, żeby usiadła przy niej na kanapie, kiedy były same w domu. Dinaz wciskająca w ręce zażenowanej tym Bhimy pieniądze z tygodniówki. Dinaz była, nim pojawiła się Maja, i kochała ją z oddaniem, do jakiego zdolne jest chyba tylko dziecko. Pamięta, jak Feroz *seth* śmiał się z niej kiedyś:

– *Are*, Bhima, jesteś jakimś przeklętym dżadugarem, czy co? Jak to się stało, że tak kompletnie zawojowałaś moją dziewczynkę? *Sala*, jeśli nie zwolnisz tempa, to niedługo ty będziesz musiała pilnować jej lekcji i rozmawiać z nauczycielami na wywiadówkach.

I Sera *bai*, wysoka, piękna, strażnik stojący u bram piekieł i ratujący Bhimę przed spłonieniem w piekielnych ogniach. Sera, która ocaliła Gopalowi życie, która próbowała zapewnić Mai lepszą przyszłość, posyłając ją do college'u, i która nadzorowała zniszczenie nieuformowanego życia, ponieważ wierzyła, że leży to w najlepszym interesie Mai.

A teraz ich los spoczywa w rękach Bhimy. W tych pokrytych bliznami i odciskami rękach, które czesały włosy Pudży, które zmyły setki naczyń, pokroiły tysiące cebul. Te ręce trzymają teraz klucz do szczęścia Sery i Dinaz. Jeden ich ruch, a opuści je na zawsze.

I teraz wreszcie Wiraf patrzy na nią ostrożnie.

– Bhima – mówi. – Musimy wszyscy znaleźć w sobie siłę, żeby iść dalej.

Nie jest pewna, co chciał jej przez to powiedzieć, ale wie, że go nie zapyta. I tak już zawsze będzie między nimi, myśli. Bez rozwiązania, bez satysfakcji, zapanuje długa, cienka bezpłodna cisza, która zastąpi żartobliwe przekomarzanie się z nią dawnego, niezepsutego Wirafa. Nagle doznaje niespodziewanej wizji przyszłości. Widzi Wirafa jako zażywnego, posiwiąłego mężczyznę, grubego i przedwcześnie postarzałego, u którego dawna wina powoduje opadanie powiek i porastanie tłuszczem podbródka. On nie będzie się ładnie starzał, myśli. Stanie się bardziej podobny do swego teścia, niż teraz sobie wyobraża.

Jakby czytając w jej myślach, Wiraf zaciska dłonie na kierownicy i dodaje gazu. Młoda kobieta – zachowując się bez troski i bezmyślnie jak wszyscy bombajczycy – z dwójką dzieci wchodzi na jezdnię i o włos unika potrącenia przez samochód.

– Głupia idiotka! – wrzeszczy Wiraf, odkręciwszy szybę. – Jak zamierzasz wychować te dzieci, skoro nie potrafisz nawet zadbać o samą siebie? – mruczy pod nosem, zamykając na powrót okno. – To miasto powoli przestaje

się nadawać do zamieszkania, po prostu nie da się tu żyć! Wszędzie popierdoleni imbecyle! A jazda samochodem to udręka, a nie przyjemność!

Bhima instynktownie kuli się przed jego gniewem. Widziała już przedtem Wirafa wściekłego, słyszała jego kłótnie z Dinaz, ale pokrywała je zawsze ochronna warstwa jego pogodnej miłości do żony, natomiast teraz w jego gniewie wyczuła mściwość, która czyni go niebezpiecznym. Zerwała Wirafowi maskę, zmusiła go, by stał czoło własnemu mrokowi, obrała tego przystojnego mężczyznę z ochronnej skorupy, odsłaniając krwawy, robaczywy kłęb sprzeczności i zepsucia, który się pod nią ukrywał. Próbuje sobie wyobrazić oślizgły strach, jaki Wiraf musi czuć przed tym, co ona robi, przed tym, jak go obnaży i każe mu stanąć nago przed żoną i teściową. Musi się czuć jak człowiek siedzący na bombie, myśli. A najbardziej przerażające jest to, że kobieta, która może zdetonować bombę zdolną rozerwać na kawałki jego życie i rodzinę, jest tylko służącą, starą niepiśmienną kobietą, chudą jak szczapa, brzydką jak ogryziona kość kurczaka. Nagle Bhima czuje irracjonalną, ale niepohamowaną ochotę do śmiechu, ale w tej samej chwili Wiraf pyta zdławionym głosem, który brzmi tak, jakby połknął litr spalin z otaczających ich rur wydechowych:

– Jak się miewa Maja?

Jak odpowiedzieć na takie pytanie? Żeby powiedzieć prawdę, musiałyby się cofnąć przynajmniej do czasów prababki, musiałyby mu wyjaśnić, że każda kobieta w jej rodzinie pracowała jako służąca w cudzym domu, musiałyby mu



opowiedzieć o tym, jak bardzo ją bolało, gdy matka zostawiała ją w domu chorą i szła opiekować się domami i dziećmi innych ludzi. Jak sprawić, by zrozumiał, że kiedy rano Maja wychodziła do college'u, ona, Bhima, czuła się tak, jakby wszystko, co w życiu przeszła – wszystkie straty, wszystkie obelgi, wszystkie zdrady – było tego warte, jeśli zapewni swojej wnuczce lepsze życie niż to, które знаła ona i jej matka, i matka jej matki? A nade wszystko jak mu powiedzieć, że prosty fakt aborcji nie wymazuje przeszłości, nie cofa zegara, nie pozwoli Mai po prostu powiązać na powrót nici życia w całość i wrócić jak gdyby nigdy nic do college'u. To ona, Bhima, uniemożliwiła Mai powrót, bo chciała stanąć przed Aśokiem Malhotrą i przekonać go, by ożenił się z jej wnuczką. Ale jak inaczej mogła postąpić? Oczarowała ją wizja kuchni z błyszczącymi garnkami i patelniami i biegający po domu czysty, grzeczny chłopczyk.

Więc nic nie mówi i patrzy w dywanik samochodowy u swoich stóp, a po chwili Wiraf cmoka z niezadowoleniem. Są już prawie przy targu, więc zwalnia, szukając miejsca, gdzie mógłby ją wysadzić.

– Prawie jesteśmy – mówi, a ona czuje ulgę w jego głosie.

Próbuje otworzyć po omacku drzwi samochodu, kiedy słyszy głos Wirafa.

– Słuchaj, ja może... Czy czegoś potrzebujecie?

Bhima czuje, jak jej twarz twardnieje na głaz.

– Jesteśmy biedne, ale zapracowałyśmy na każdy gram ryżu w naszych miskach.

Wiraf wciąga ze świstem powietrze do płuc.

– W porządku. Dobra, niech będzie. Boże, dlaczego wszyscy w tym mieście są tacy dramatyczni i szlachetni? Ja tylko zaproponowałem.

Bhima w końcu wysiada z samochodu. Na ulicy ogarnia ją błogosławiony tłum i upał. To tutaj jest moje miejsce, myśli. Tu, wśród kupców i rykszarzy, i sprzedawców ryb, i szmaciarzy, a nie w klimatyzowanych samochodach.

– Dziękuję za podwiezienie, Wiraf *seth* – mówi.

Dostrzega, że go dotknęła. Zauważył, że powiedziała *seth*, a nie, jak zwykle, *baba*, co w jej ustach znaczyło po prostu „chłopiec”. Czuje ukłucie satysfakcji, widząc jego rozczarowanie.

– Nie ma sprawy – odpowiada szorstko. – Powiedz Dinaz i mamie Serze, żeby zjadły lunch beze mnie. Dziś wrócę do domu trochę później.

## 24

To był długi dzień, a w domu jest cicho, ponieważ Wiraf i Dinaz wyszli. Bhima też jest już niemal gotowa do wyjścia, ale Sera *bai* prosi jeszcze o filiżankę herbaty, a ona czuje się w obowiązku ją przygotować. Sera zachowuje się inaczej, kiedy dzieci wychodzą wieczorem, uświadamia sobie Bhima, staje się bardziej zamyślona i zamknięta. Ona potrzebuje obecności córki i zięcia, bo dzięki nim ten dom żyje. Ogarnia ją współczucie dla tej kobiety. Pamięta miesiące, które nastąpiły po śmierci Feroza setha, to, jak Sera *bai* czasami zapominała o lunchu i jadła dopiero po napomnieniach Bhimy, i że raz czy dwa zapomniała w ciągu dnia o kąpieli. A kiedyś weszła do bawialni i zobaczyła, że Sera *bai* siedzi po ciemku, mamrocząc coś do siebie i trąc z furią ramiona. Bhima nie jest pewna, która z nich była wtedy bardziej zaskoczona, choć Sera *bai* oczywiście odwróciła kota ogonem i zaczęła utyskiwać na brak prywatności we własnym domu, gdzie jeden podgląda drugiego. Widok eleganckiej i dystygowanej zwykle Sery siedzącej w ciemnościach jak zwierzę w klatce i wyglądającej wypisz, wyma-

luj jak jedna z tych szalonych, starych parsyjek – na przykład jak Banu *bai* – wstrząsnął Bhimą i bardzo ją zaniepokoił. Kiedy jak zwykle panienka Dinaz i Wiraf *baba* przyszli w sobotę na obiad, zdecydowała się powiedzieć coś na ten temat.

– Twoja mama czuje się samotna – szepnęła, kiedy Dinaz przyniosła do kuchni brudne naczynia. – Zapomina czasami jeść i pić i siedzi sama w domu po ciemku.

Po latach chronienia Sery *bai*, ukrywania jej tajemnic i szanowania jej milczenia, dziwnie się czuła, donosząc na nią. Ale zmartwiony wyraz twarzy Dinaz był potwierdzeniem, którego potrzebowała.

– Zastanawiałam się nad tym – odparła Dinaz cicho.  
– Dziękuję, że mi powiedziałaś.

Świetnie, że panienka Dinaz przeprowadziła się do matki, myśli Bhima. Obecność pary młodych ludzi dobrze zrobiła Serze *bai*. Bhima wiele słyszała o parsyjkach, które zestarzały się przedwcześnie, kładły się do łóżek praktycznie bez powodu, używały nocników, zamiast iść do łazienki i odmawiały wychodzenia z domu, chyba że czasami na jakiś pogrzeb. Pani Która-Miała-Motor, ta, która mieszkała na piątym piętrze trzy domy dalej, należała właśnie do takich osób. No, ale jej brakowało klepek już wiele lat przedtem. Po wypadku męża Bhima wzięła drugą pracę, zmywanie dla pani Która-Miała-Motor. A ta każdego popołudnia stawała obok Bhimy i przyglądała się, jak ona pracuje przy zlewie. Nie mówiła ani słowa, tylko czasami naśladowała gruchanie gołębi, które przysiadają na występie koło jej okna. Ten dźwięk sprawiał, że Bhimie

podnosiły się włoski na rękach. Dlaczego sama nie zmywa po sobie naczyń, skoro ma czas stać tu i przypatrywać mi się z twarzą jak sowa, mamrotała do siebie. Jednak potrzebowała tych pieniędzy, a pani Która-Miała-Motor zawsze płaciła na czas. Po kilku miesiącach Bhima zauważyła, że kobieta grucha do gołębi, nawet jeśli żaden nie siedzi na parapecie. A pewnego dnia, kiedy szykowała się do wyjścia, *bai* obrzuciła ją szalonym spojrzeniem i spytała:

– Czy pokłoniłaś się *bati*, nim wyszłaś z kuchni?

Bhima zagapiła się na nią w milczeniu.

– Nie rozumiem, *bai* – powiedziała w końcu.

Głos pani Która-Miała-Motor przeszedł w krzyk.

– Pytam cię, czy złożyłaś cześć lampce oliwnej, która pali się w kuchni przed portretem naszego Pana Zaratusztry. Nikomu nie wolno wyjść z kuchni, zanim nie dotknie lampki.

– Ale ja nie jestem parsyjką – tłumaczyła Bhima ostrożnie. – Pochodzę z hinduskiej *dźati*, i to nawet nie bramińskiej.

W większości parsyjskich domów, jakie widziała, zasady były dokładnie odwrotne. Na przykład Banu *bai* wychodziła z siebie, aby nawet cień Bhimy nie padł na *bati*, które przez całe dni i noce paliło się w kuchni.

Z jakichś powodów nie należało tego mówić. Kobieta rozpoczęła tyradę:

– Nikomu nie wolno opuścić tego domu bez złożenia czci Zaratusztrze, bo inaczej czeka nas sto lat mroku – oświadczyła, zaciskając rękę na nadgarstku Bhimy. W zasadzie zaciągnęła ją z powrotem do kuchni, żeby

dotknęła lampki oliwnej końcami palców, a potem, na znak szacunku, swojego czoła.

– Dobrze, *bai*, a teraz muszę wyjść – powiedziała Bhima. – Sera *bai* na pewno już na mnie czeka.

Zauważyła, że imię Sery zapaliło kilka płomyków szaleństwa w oczach kobiety.

– Powiedz tej Serze, żeby tu jutro przyszła z tobą i przyniosła kadzidełka z drzewa sandałowego. Musimy oczyścić cały dom. Od tygodni gołębie mi powtarzają, że coś jest źle, ale dopiero teraz pojmuję, że to ty jesteś winna. Od tej chwili masz całować portret naszego Pana Zaratustry, nim wyjdiesz, zrozumiałaś?

– *Aćca, bai* – powiedziała Bhima, cofając się ku wyjściu. – Powiem Serze *bai*.

To właśnie wspomnienie pani Która-Miała-Motor, która kilka lat temu położyła się do łóżka i już nie chciała z niego wstać, choć lekarze nie znaleźli u niej żadnej choroby, spowodowało, że Bhima powiedziała Dinaz o zachowaniu jej matki.

A teraz po raz pierwszy Bhima żałuje, że się wtrąciła. Gdyby dzieci dalej mieszkały na przedmieściach, Wiraf zapewne nie odwiedziłby Banu *bai* w dniu, kiedy była tam Maja. Tak, Sera zapewne spędziłaby wiele takich wieczorów krążąc po domu, jakby zobaczyła ducha, ale przynajmniej Maja byłaby bezpieczna, przynajmniej jej wnuczka nie...

Sera wchodzi do kuchni.

– Nie zapomnij dodać mięty – mówi. – I dla siebie też przygotuj.

Bhima idzie do kąta, w którym trzyma swoje rzeczy i wyjmuje metalowy kubek, a Sera wyciąga z szafki kubek dla siebie. Kiedy Bhima nalewa herbatę, para tworzy falującą barierę pomiędzy dwiema kobietami. Każda z nich bierze swoje naczynie i idą do jadalni zająć swe zwykłe miejsca – Sera wysoko, na krześle, Bhima na podłodze. Popijają herbatę w milczeniu. Potem Sera wzdycha.

– Wspaniała – mówi. – Przysięgam, że parzysz najlepszą herbatę w Bombaju.

– W domu jest cicho bez dzieci – stwierdza Bhima. Nadal nie jest w stanie wymówić na głos imienia Wirafa.

– Wiem – odpowiada Sera. – Ale to dobrze, że Dinaz gdzieś poszła z przyjaciółmi. Biedaczka, strasznie źle znosi ciążę. Czowała się okropnie przez ostatnie kilka dni i dziś rano omal wszystkiego nie odwołała. Mówi, że nie zmrużyła w nocy oka. Ale Wiraf ją przekonał, żeby poszła. Wiadomo, że jak się urodzi dziecko, nie będzie już miała czasu dla przyjaciół. A koleżanki z biura tak bardzo chciały wyciągnąć ją z domu.

– Mąż z nią nie poszedł? – pyta Bhima od niechcienia, mając nadzieję, że Sera nie zauważy jej niechęci do wymawiania imienia Wirafa.

– Nie, to babski wieczór. Tylko... zresztą ten chłopak za wiele pracuje i potrzebuje odpoczynku. – Krzywi się. – Choć wizytę w domu mamy Banu trudno nazwać odpoczynkiem. Ale niedługo pewnie wróci. Poszedł tylko uporządkować rachunki na koniec miesiąca, rozliczyć się z pielęgniarkami i odnieść papiery Banu. Ślęczał nad nimi wczoraj do jedenastej wieczorem. Ilu zięciów postąpiłoby

w ten sposób? Tym bardziej że nawet gdyby moja teściowa była świadoma, co dla niej robi, wcale nie okazałaby mu wdzięczności.

Bhima czuje gwałtowny przyływ paniki na myśl o Wirafie przebywającym sam na sam z siostrą Edną. A jeśli spróbuje swoich podłych sztuczek z tą biedaczką? Potrząsa głową, chcąc pozbyć się tych niechcianych myśli. Edna to dorosła kobieta, mężatka, matka dzieciom. Będzie wiedziała, jak potraktować Wirafa, jeśli spróbuje wobec niej swoich *badmaśi*. A poza tym tacy mężczyźni polują zwykle na młode, świeże mięso, takie jak Maja. Czym mogłaby go skusić zmęczona kobieta z mężem i dziećmi? Nie, Wiraf i jemu podobni muszą brukać coś czystego, wpuszczać kroplę atramentu do szklanki mleka.

– Bhima, przestań się krzywić! – śmieje się Sera. – Mój Boże, wyglądasz, jakby cię nawiedził jakiś *bhut* czy coś takiego. Co to za czarne myśli?

Gdybym tylko mogła ci powiedzieć, *bai*, mówi Bhima w duchu. Bardziej miłosiernie byłoby cię pchnąć nożem, niż zabijać trucizną moich myśli. A na głos:

– Całe moje życie to same czarne myśli.

Sera wzdycha.

– Wiem, co chcesz powiedzieć – stwierdza. Wyraźnie walczy z emocjami, a potem zmusza się, by usiąść prosto na krześle. – Ale, Bhimo, nie wolno nam się poddawać. My, kobiety, żyjemy nie tylko dla siebie. Ty żyjesz dla Mai, ja dla Dinaz, a teraz i dla jej dziecka. Wiesz, często myślę, że mężczyźni mogą sobie pozwolić na więcej ryzyka, mogą latać wyżej i rozbijać się mocniej,



ponieważ zawsze w odwodzie mają samobójstwo. Jeśli sprawy nie układają im się dobrze – *bas*, przynajmniej mają to ostateczne wyjście. Kiedy byłam młodsza, bardzo tego mężczyznom zazdrościłam. Widzisz, dwóch moich ciotecznych braci skończyło ze sobą. Ponieważ byli mężczyznami. Ale kobiety nie żyją dla siebie. Kiedy masz dzieci – zapomnij o tym. Nie wiem, po co nam w ogóle ciała, kiedy już urodzimy dzieci. Bo przecież wtedy żyjemy całkowicie dla kogo innego. *Are*, zresztą nie trzeba nawet dzieci. Ja się potrafię martwić o mamę *Banu*, możesz to sobie wyobrazić? Od odejścia *Feroza* często się zastanawiam, co się z nią stanie, jeśli mnie przeżyje.

– Dlaczego miałyby cię przeżyć? – pyta *Bhima* gwałtownie. – To nie jest twój czas, *bai*, i modlę się, żeby jeszcze długo nie nadszedł.

Sera uśmiecha się do niej.

– Ja też się o to modlę – mówi nieśmiało. – Skoro ma się urodzić dziecko... Możesz to sobie wyobrazić, *Bhimo*? Po raz pierwszy naprawdę chcę żyć. Wcześniej, mogę to uczciwie powiedzieć, niezbyt mnie to obchodziło. Nawet kiedy byłam młoda. Nie wiem, co było ze mną nie tak, ale po prostu niezbyt dbałam o życie. Te wszystkie rzeczy, które musisz robić, żeby po prostu żyć dalej, mnie wydawały się zbyt skomplikowane, niewarte wysiłków. Ale teraz tak bardzo chcę zobaczyć, jak dorasta dziecko mojej *Dinu*. I chcę tu być dla...

Odzywa się dzwonek u drzwi i *Bhima* zaczyna się podnosić z podłogi, ale *Sera bai* ją zatrzymuje.

– Ja pójdę – mówi. – To pewnie Wiraf. Prawie skończyłam herbatę. – Pociąga ostatni, długi łyk i zostawia kubek na stole, żeby Bhima potem go sprzątnęła.

Bhima siedzi, popijając herbatę, i zastanawia się, co dziś wieczorem będą robić z Mają. Od chwili kiedy wpadły na Wirafa na Ćaupati, Maja nie chce chodzić nad morze. Teraz wieczory w domu są długie i męczące. Bhima tęskni za chłodnym powietrzem, zapachem wody i bliskością, jaka powstawała między nimi, kiedy szły po plaży. Brakuje jej tej nadmorskiej rewii różnaitości – jaskrawo ubranych mężczyzn i kobiet w wielkich samochodach, żebraków bez nóg, poruszających się na deskorolkach, przysadzistych sikhów w czerwonych turbanach, muzułmańskich kobiet w burkach, starszych parsyjskich par siedzących obok siebie na kamiennych ławeczkach, prostytutek na wysokich obcasach, polujących na gości z pobliskich hoteli, dużych grup hałaśliwych nastolatków z pobliskich college'ów. Tak lubiła porzucać ponurą samotność swej chaty w *basti* i wtapiać się w ten bezkształtny, płynny tłum! Czasami miała wrażenie, że gdyby po prostu stanęła, przestała napinać mięśnie i stawiać nogi jedna przed drugą, ruch tłumu przesunąłby ją do przodu, jak wiatr, jak fale...

Ze wzdrygnięciem uświadamia sobie, że Wiraf wymówił jej imię. Czoło zaczyna jej się marszczyć ze złości. Czas, żeby poszła do domu, a ten głupi chłopak pewnie chce, żeby jeszcze coś zrobiła. Już zaczyna się zastanawiać, co by to mogło być, ale dziwny ton głosu Sery sprawia, że jej myśli kierują się w inną stronę.

– Niemożliwe – mówi Sera *bai*. – Musiałeś się pomylić, *dikra*.

W jej głosie słyhać zdecydowanie, troskę, chęć obrony i ból, wszystko równocześnie.

Zapada cisza, a potem bas Wirafa niespiesznie wypełnia tę ciszę jak tupanie myszy, które przebiegają w nocy przez chatę.

– Mówię ci, widziałem na własne oczy

Jego głos jest wyższy i silniejszy niż zwykle.

– Bhima! – wzywa ją Sera, nadal tym szczególnym tonem, a ona posłusznie podnosi się z jękiem z podłogi i czeka, aż jej skrzypiące kości zaskoczą na swoje miejsce.

Wiraf i Sera są w bawialni, siedzą blisko siebie na kanapie. Twarz Sery, jeszcze przed kilkoma minutami zamyślona i refleksyjna, teraz jest zaczerwieniona i niespokojna. Cokolwiek rzekł jej ten chłopak, cokolwiek zrobił, bardzo to nią wstrząsnęło. Przez moment Bhima sądzi, że Wiraf powiedział jej o Mai, ale szybko odsuwa od siebie tę myśl.

– Ach, Bhima. Dobrze, że jesteś – jąka się Sera. – Wygląda na to, że Wiraf *baba* ma kłopot. Najwyraźniej... hm... w kredensie Banu *bai* brakuje pewnej sumy pieniędzy.

Bhima patrzy na Serę w osłupieniu, nie rozumiejąc, jaki to może mieć związek z nią.

– Czy to duża suma? – pyta w końcu. A kiedy nikt nie odpowiada, dodaje: – Czy od dawna jej brakuje?

– Widzisz, w tym problem. Według Wirafa...

– Pieniądze były tam przedwczoraj – przerywa Serze Wiraf. Jego twarz jest mokra od potu, drga mu mięsień

szczęki. – Sam je tam włożyłem. A wczoraj kazałem ci iść i przynieść mi książeczki czekowe. Kazałem ci przynieść jedną kopertę, ale nie ruszać drugiej, pamiętasz?

– Ta druga była tam wtedy – mówi Bhima z triumfem, szczęśliwa, że może okazać się pomocna. – Widziałam na własne oczy.

– Otwierałaś ją?

– Nie, nie zrobiłam tego. Nie było takiej potrzeby. Wystarczyło ich dotknąć, żeby stwierdzić, w której są książeczki czekowe. – Zastanawia się, czy postąpiła źle, nie zaglądając do kopert.

Zapada krępująca cisza, a Sera patrzy na Wirafa bezradnie, z nadzieją.

– A zatem to tajemnica – mówi z ulgą. – Dzięki Bogu, że to nie była duża *rakam*. Tylko siedemset rupii.

– Nie o to chodzi. – Słowa Wirafa są ostre jak strzały. Wpatruje się ciemnymi oczami w Bhimę. – Powiedziałaś, że zaraz odniosłaś mi klucze od kredensu, czy tak? Nie dałaś ich Ednie ani nikomu innemu?

Czy ten chłopak uważa, że ona jest całkiem głupia? Przecież Bhima chodziła do domu Banu *bai* od lat, nim jeszcze Wiraf zaczął zajmować się jej finansami, tymi wszystkimi książeczkami czekowymi i rachunkami. Przenosiła duże sumy pieniędzy z jednego domu do drugiego, miała klucze do obu mieszkań.

– Nikt nie dotykał tych kluczy oprócz mnie, *seth* – zapewnia surowo.

– W takim razie jest tylko jedno logiczne wyjaśnienie. Pomiedzy chwilą, kiedy włożyłem tam pieniądze

przedwczoraj, a chwilą, kiedy poszedłem tam dzisiaj, byłaś jedyną osobą, która zaglądała do kredensu. Czyli to ty zabrałaś pieniądze.

Sera wydaje okrzyk – oburzenia? złości? protestu? Słyszając go, Bhima spogląda na nią w milczeniu. Chce, żeby Sera uderzyła mężczyznę, który obok niej siedzi, żeby zatkała Wirafowi usta ręką i wepchnęła mu z powrotem do gardła te obelżywe słowa. Sera widzi spojrzenie Bhimy i jakby wyrywa się z otępienia.

– Wiraf, to bzdura – mówi słabo.

– Bzdura? Dlaczego to bzdura? Z całym szacunkiem, mamu Sero, ale czy to ma znaczyć, że zamierzasz pozwolić Bhimie wyprzeć się tego w żywe oczy? A może zaprzeczyć temu za nią? Stoi tu przed nami jak złodziej, z miną winowajcy, a ty już stajesz w jej obronie.

Świat robi się całkiem czarny, a po chwili zadziwiająco, oślepiająco biały. Bhima śmieje się w tę pustkę. Z tej bieli – która teraz ma czerwoną obwódkę, czerwoną jak krew, czerwoną jak furia – wynurza się najpierw zwrócona ku niej, pytająca twarz Sery, a tuż po niej chytre, przebiegłe oblicze Wirafa. Uświadamia sobie, że ten chłopak zastawił na nią pułapkę. Musiał planować to od tygodni. Nawet kiedy unikał jej wzroku, kiedy zachowywał się tak pokornie, gdy była dla niego niegrzeczna, nawet kiedy zjadł smażone jajka, do których napluła, nim mu je podała. Przez cały ten czas jego umysł pracował, planował zemstę, układał w całość oddzielne fragmenty, budował z cegieł mur, za którym zamierzał ją zamknąć.

Bhima śmieje się znowu. Śmieje się z własnej głupiej naiwności, która okazała się równie niebezpieczna jak niewinność Mai. Śmieje się z własnej pychy, która pozwoliła jej wierzyć, że wolno jej źle traktować wykształconego, potężnego mężczyznę takiego jak Wiraf i za to nie zapłacić. A przede wszystkim śmieje się z własnych głupich złudzeń, że on żałuje tego, co zrobił Mai, że prawdziwie wstydzi się swojej chwili słabości. Choć zachował się jak dzika bestia, nie takim go dotąd postrzegała. Woląca wierzyć, że nigdy więcej nie uderzy już w jej rodzinę, że świadomość, że ona wie o jego winie, wystarczy, by pozbawić jadu jego zęby.

A on wciągnął ją w pułapkę. Nawet Feroz *seth*, pomimo swego wybuchowego charakteru i arogancji, nigdy nie wątpił w jej uczciwość, tę psią wierność, z jaką służyła jego rodzinie. Przypomina sobie gorzkie słowa Mai o tym, że traktuje rodzinę Dubaszów lepiej niż własną. Dziewczyna miała rację – była ich niewolnicą, pracowała dla nich, chroniła ich i broniła, jakby byli jej własną rodziną. A teraz ten wąż, ten diabeł o przystojnej twarzy, oskarża ją o to, że okrada Serę *bai*.

– Widzisz, jaka ona jest *naffat*? – mówi Wiraf. – Możesz sobie wyobrazić? Śmieje się, kiedy ktoś ją oskarża o popełnienie poważnego przestępstwa! Jeszcze chwila, a przysięgam, wezwę policję.

To ostatnie zdanie przywraca Bhimie rozsądek. Krew pulsuje jej w głowie i jak krew gęste i słone są słowa wypływające z jej ust.

– Tak, idź, wezwij policję – mówi. – Opowiedz im swoją historyjkę, a ja opowiem im o tobie. O tym, jak

zrujnowałaś reputację mojej rodziny, jak splamiałaś jej honor. Tylko otwórz do nich usta, a pokażę ci, z czego jestem ulepiona, ty brudny psie...

– Bhima – syczy Sera, pobladła ze złości. – Panuj nad sobą! Czyś ty oszalała, że mówisz w taki prymitywny sposób? Nie zapominaj, do kogo się zwracasz!

Bhima obraca się do Sery, a jej twarz wykrzywia brzydota wściekłości. Wie, że musi teraz mówić szybko, nim popłyną łzy i zatopią jej słowa.

– Wiem dokładnie, do kogo mówię, *bai*. To ty nie wiesz, kim jest ten człowiek. Od miesiący trzymam usta na kłódkę ze względu na szacunek, jakim cię darzę. Ale teraz muszę o nim powiedzieć, pokazać ci, jak czarne jest jego serce...

– Widzisz teraz, co stworzyłaś, mammo Sero? – wrzeszczy Wiraf. – Oto twoja nagroda za traktowanie służącej jak członka rodziny! Ta bezwstydna kobieta nie cofnie się przed niczym, żeby ukryć swoje złodziejstwo. Bóg raczej wie, od jak dawna cię okrada, a ty nawet nie...

– Niech mnie Bóg zabije tu na miejscu, jeśli kiedykolwiek ukradłam tej rodzinie choć jedną pajkę – mówi Bhima, a jej głos trzęsie się od wstrzymywanych łez. – I niech zabije ciebie, jeśli niesprawiedliwie oskarżasz ubogą kobietę, żeby ukryć swą winę za moją hańbę.

– Ty niewdzięcznico! – woła Wiraf. – Przeklinasz rękę, która przez tyle lat cię karmiła! – Odwraca się do Sery. – Mammo Sero, powinnaś była słuchać tego, co ci wszyscy powtarzali. To moja wina, bo pozwoliłem tej kobiecie wchodzić ci na głowę. Tak się dzieje, kiedy próbujesz

przygarnąć do rodziny bezdomnego psa. Prędzej czy później ten pies cię ugryzie.

Sera siedzi na kanapie ze ściśniętą bólem twarzą. Bhima czuje, że jej *bai* się od niej oddala, jak ten księżyc, który wspina się coraz wyżej i wyżej na nocnym niebie.

– Sera *bai*, *maf karo*. Wybacz mi twarde słowa, *bai*. Ale nie wiesz, jakie zło ukrywa ten człowiek. To on jest wściekłym psem, a nie ja. Błagam cię, *bai*...

Wiraf groźnie wznosi rękę nad głowę Bhimy.

– Słuchaj, ty kurwo! Powiedz jeszcze jedną rzecz przeciw tej rodzinie, a zaciągnę cię nagą do policyjnej *ćauki*, rozumiesz? A teraz zabieraj swoje rzeczy i wynoś się stąd.

Kiedy Wiraf przecina ręką powietrze, Sera wzdryga się.

– Musimy wszyscy nad sobą zapanować – mówi głośno. – Za szybko wymyka to się nam spod kontroli. – Patrzy na służącą ze łzami w oczach. – Bhimo, powiedz prawdę. Jeśli potrzebowałaś pieniędzy, zrozumiem. Ale powiedz prawdę.

Jej błaganie zawisa na chwilę w powietrzu jak kropla wody z przeciekającego sufitu. Wówczas Bhima, oszalała z wściekłości i oburzenia, postanawia zawalić ten sufit.

– Prawdę? Zapytaj jego, co zrobił mojej Mai, jeśli chcesz poznać prawdę – mówi gorzko. – Zapytaj go, jaką winę stara się ukryć. Myśli, że może kupić moje milczenie za siedemset rupii? Nawet jeśli zbuduje mi pałac ze złota, nie wybaczę mu tego, co zrobił mojej...

Sera wydaje zduszony okrzyk. Obraca się do Wirafa i przez jedną, bolesną chwilę wpatruje się w niego z wahaniem,



a jej oczy są wielkie i pełne obawy, kiedy badają jego kamienne oblicze. Ale w następnej chwili jej twarz okrywa, niczym biały welon, zasłona zaprzeczenia.

– Dość – mówi, zatykając dłońmi uszy, tak samo jak robiła Pudża, kiedy Bhima kłóciła się z Gopalem. – Wysłuchałam już zbyt dużo twoich szalonych słów, Bhimo. Dzięki Bogu, że mojej Dinu nie ma w domu i nie słyszy brudów wylewających się z twoich ust. Lepiej wynoś się, bo powiem coś, czego później będę żałować. Mogę ci wybaczyć, że mnie okradasz, ale ataku na honor mojego zięcia nie wybaczę ci nigdy.

– Posłuchaj mnie, *bai*! – krzyczy Bhima. – Próbuję ci powiedzieć...

– Co robi twoja Maja, to jej sprawa! – odpowiada krzykiem Sera. – Może być dziwką, która oddaje się pięćdziesięciu mężczyznom, mnie to nie obchodzi. Ale nie mieszaj mojej rodziny w jej brudne sprawy. Zrobiłam dla tej dziewczyny wszystko, co mogłam, a teraz umyvam ręce od spraw twojej rodziny. Wynoś się! – powtarza, przygryzając nerwowo górną wargę. – Wynoś się sprzed moich oczu!

Bhima słyszy, jak ostatnia cegła spada na swoje miejsce. Widzi na twarzy Wirafa warstewkę potu i lekki, niemal niewidoczny, wyraz satysfakcji. Jego oczy są jasne i przenikliwe. Wydają się z niej drwić. Widzisz? Wiedziałem, że cię w końcu załatwię.

Szloch rośnie w gardle Bhimy jak bańka i kołysze jej drobnym ciałem.

– Sero *bai*, nie wyrzucaj mnie – błaga. – Po tylu latach, gdzie ja pójdę?

Ale twarz Sery jest jak z kamienia. Patrzy na Bhimę, jakby spotkały się po raz pierwszy w życiu.

– Zabieraj swoje rzeczy i odejdz – mówi cicho. – Proszę. Nic już nie mów. Po prostu odejdz. Pieniądze, które jestem ci winna, wyślę ci do domu.

Bhima idzie długim korytarzem prowadzącym do kuchni, a nogi ledwie są w stanie ją utrzymać. Wiraf i Sera idą za nią. Ma wrażenie, że to strażnicy więzienni prowadzący ją, więźniarkę, do celi. Patrzy obojętnie na swój nędzny dobytek, który trzyma w kartonowym pudle w kącie kuchni. Mydelniczka, talk marki Pond's, niebieski grzebień z wyłamanym zębem, metalowy kubek, puszka z tytoniem. Kiedy podnosi pudełko, łyzy zaczynają płynąć, szybkie i gorące. Rozgląda się po kuchni. Tyle razy zamiatała i szorowała każdy jej centymetr. Tyle razy wchodziła tu wieczorem, nie zapalając światła, wiedząc i bez niego, gdzie znaleźć każdy widelec, każde naczynie, każdą patelnię. Zauważa pajęczynę, która zaczyna się tworzyć w kącie nad oknem – zamierzała ją usunąć już wczoraj. Czuje króciutki przyływ dumy na widok szybkaru, który dziś wyszorowała. Wzdycha, patrząc na wysoki sufit, taką miłą odmianę po przytłaczającym ciężarze niskiego stropu jej chaty. Musi się schylać, żeby do niej wejść.

Wychodzi z kuchni, kiedy coś wpada jej do głowy. Odwraca się do Sery, która jest blada i oszołomiona jak lunatyk.

– Panienska Dinaz – mówi, a głos jej się łamie. – Nie pożegnałam się z panienką Dinaz.

Przez chwilę oczy Sery migoczą ciepłem, ale szybko zmieniają się w dwa sople lodu.

– To bez znaczenia – mówi, a ton jej głosu staje się coraz twardszy. – Po tych brzydkich rzeczach, które powiedziałaś, cieszę się, że już nigdy nie zobaczysz mojej córki.

To, co tkwi w gardle Bhimy, smakuje jak krew.

– Sero *bai*, nigdy nie zamierzałam zranić ani ciebie, ani panienki – mówi. – Ta dziewczyna jest jak moja własna...

– *Aćca, bas*, dość tego dramatu – przerywa Wiraf. – No już, *ćalo*, wynoś się stąd.

Otwiera drzwi i przytrzymuje je przed Bhimą. Diabeł u bram piekła, myśli Bhima. Ale wtedy dopada ją inna myśl: piekło jest tam, za tymi drzwiami. Piekło to próba znalezienia nowej pracy w moim wieku, nauczenie się zwyczajów nowej rodziny, zmiatanie, szorowanie i gotowanie dla obcych. Piekło to praca za mniejsze pieniądze, dla obcych ludzi i patrzenie, jak Maja wyrzuca swoją przyszłość jak zgniły owoc. Piekło to wiedza, że nie będzie drugiej Sery *bai*, że nikt nie zainteresuje się wykształceniem Mai, że nikogo nie będzie obchodzić, czy ona, Bhima, żyje, czy umarła.

Wdzięczność wzbiera jej w gardle i każe jej ująć sztywną rękę Sery i unieść do swych oczu.

– Sero *bai*, jeśli skazana jestem na piekło milionów ponownych narodzin na tej ziemi, i tak nie będę w stanie ci się odwdzińczyć...

Nawet w marnym świetle wieczoru zauważa łzę lśniąca na jasnej skórze nadgarstka Sery.

Wiraf zatrzaskuje jej drzwi przed nosem, nim zdąży dokończyć zdanie. Bhima opiera się o ścianę i stoi tak przez chwilę z zamkniętymi oczami, po czym rusza powoli w kierunku windy. Ale zawstydzona myślą, że windziarz zobaczy, iż ją odprawiono, postanawia zejść schodami. I rozpoczyna powolną, bolesną drogę na niższe poziomy.

## 25

Zmierzcha, kiedy Bhima wychodzi z budynku. Niebo ma kolor zakurzonej pomarańczy – to takie niebo, które odbija się na twarzach chodzących pod nim ludzi, a ich brązowa, ziemista skóra błyszczy, jakby ogrzewały ją promienie milionów słońc. Przechodnie na ulicy wydają się złociści, można by wręcz pomyśleć, że złożył na nich pocałunek jakiś dobry, życzliwy bóg. Wieje wiatr, jego podmuchy burzą włosy Bhimy, wyciągając pasma z jej koka. Bhima próbuje wepchnąć je na miejsce lewą ręką, prawą przytrzymując karton, ale poddaje się po kilku bezowocnych próbach. Zamiast tego przyciska do siebie wolną ręką wydymające się sari. Normalnie byłaby zirytowana tą wieczorną bryzą, lecz dziś przynosi jej ona ulgę. Chłodne powietrze tańczy po jej twarzy, oziębiając łyzy, wytartym szlakiem spływające po jej policzkach. W jakiś sposób wiatr sprawia, że czuje się wolna i anonimowa, jakby chronił ją przed ciekawskim wzrokiem setek innych ludzi idących tą samą ulicą.

Jej stopy szurają po kamiennym chodniku. Znają drogę równie dobrze jak łapy ślepego psa. Nie musi uważać, dokąd idzie, nogi same zaprowadzą ją do domu. Może teraz zająć myśli selekcjonowaniem ciał, identyfikowaniem zwęglonych szczątków, kompletowaniem członków urwanych przez bombę, która wybuchła w jej życiu. Ponieważ ofiar jest więcej, nie tylko ona i Maja. Tego jest pewna.

Ten wyraz twarzy Sery, kiedy Bhima powiedziała jej prawdę. Czy ona kiedykolwiek zdoła zapomnieć te słowa, zakopać je pod ochronnymi warstwami zapomnienia, wyprzeć je z myśli? Czy raczej będą krakać w jej uszach jak czarne wrony, czy będą szarpać jej jasną skórę jak sępy, czy będą ją dręczyć w środku bezsennych, wilgotnych od potu nocy? Czy kiedykolwiek znów będzie w stanie spojrzeć na niewinną, roześmianą twarz Dinaz, nie myśląc o zdradzie zięcia? Czy nierozsądne słowa Bhimy zbudują szklaną ścianę pomiędzy nią a Wirafem, ścianę, której nie będzie mógł dostrzec nikt poza nimi dwojgiem, ścianę, której żadne z nich nie będzie w stanie usunąć, która będzie ich więzić w ich własnych, zamarzniętych, dobrze strzeżonych światach? No i dziecko. Nowe dziecko, którego ona, Bhima, nigdy nie zobaczy. Dziecko będzie piękne, tego jest pewna, będzie miało wielkie, ciemne oczy Wirafa i słodkie usteczka Dinaz. Ale czy Sera *bai*, spoglądając na jasną, nieskalaną twarz tego dziecka, zdoła nie pamiętać o jego ciemnym przyrodnim bracie, na którego śmierć Maja kazała jej patrzeć?

Czy bogaci ludzie myślą w taki sposób? Czy w swoich szkołach oprócz alfabetu i tabliczki mnożenia uczą się również, jak nie dać się prześladować i dręczyć prawdzie? Tego Bhima nie wie. Pod pewnymi względami zna Serę *bai* lepiej niż większość własnych krewnych, ale czy w istocie rozumie tę dumną, pełną godności kobietę, której obecność w jej życiu przez te wszystkie lata była równie ważna jak obecność Boga? Uświadamia sobie teraz, że zna Serę tylko poprzez jej zwyczaje i uczynki. Wie, że jej pani lubi herbatę słabą i z dużą ilością mleka, że nie lubi krochmalonych ubrań, że jest hojna, że wierzy w wartość wykształcenia. Zna również Serę *bai* poprzez jej milczenie – nagłe milczenie sprzeciwu, jeśli czegoś nie pochwała, pełne godności, kamienne milczenie, kiedy nie chce pokazać światu swoich ran, nieśmiałe, skrępowane milczenie, kiedy znajduje się w grupie plotkujących kobiet i nie ma im nic do powiedzenia.

Ale po tylu latach pracy w domu Sery dopiero teraz Bhima rozumie, że nie ma pojęcia, co ta kobieta myśli. Zresztą dlaczego miałyby mieć? Ona, ciemna, głupia starucha, i Sera *bai*, kobieta wykształcona, podróżująca po świecie. Kobieta, która codziennie czyta gazetę, kiedy ty zbierasz okruchy wiadomości, jakby to były okruchy chleba. O czym, na Boga, miałyby z tobą rozmawiać? Bhima czerwieni się, przypominając sobie, ile razy Sera *bai* musiała zwalczać różne jej przesady. Na przykład co do strachu przed muzułmanami. Jak większość ludzi dorastała, wierząc, że muzułmanie zamierzają opanować Indie, że zamierzają gromadzić bogactwa, aż cały kraj będzie do

nich należał, a wówczas wygnają wszystkich hinduistów. Dlatego mają tyle dzieci, a rząd jest po ich stronie, bo tylko do hinduistów adresuje swoje akcje planowania rodziny. Sera *bai* zaczęła się śmiać, kiedy Bhima po raz pierwszy powiedziała jej to wszystko. Ale potem spoważniała, a jej oczy zrobiły się niespokojne. Poszła do drugiego pokoju i wróciła z grubą książką. Na początku Bhima nie mogła uwierzyć w to, co Sera jej przeczytała – że większość muzułmanów w Indiach jest bardzo biedna i że jest ich dużo, dużo mniej niż hinduistów.

– Nawet jeśli niektórzy z nich mają zamiar... jak to powiedziałaś?... opanować Indie, w tym tempie zajmie im to ponad sto lat, Bhimo.

Bhima jednak dalej nie była przekonana. Wówczas Sera *bai* streściła jej artykuł z gazety i Bhima dowiedziała się o paleniu muzułmańskich wiosek przez tłumy hinduistów i o tym, jak politycy wykorzystują jedną grupę przeciw drugiej. A co najważniejsze, Sera *bai* opowiedziała jej, jak obie społeczności przez setki lat żyły obok siebie w pokoju, aż przybyli biali sahibowie i zrobili swoje *badmași*, i sprawili, że jedna grupa zaczęła bać się drugiej. Wtedy Bhima przestała nienawidzić muzułmanów i zaczęła w ich miejsce nienawidzić polityków.

Ale teraz żałuje, że Sera *bai* – zamiast dzielić się z nią wiedzą historyczną – nie podzieliła się z nią swoimi myślami. Myślami, które trzymała w głowie zamknięte jak lekarstwa w apteczce, jak pieniądze w kredensie. Pieniądze w kredensie. Siedemset rupii. Bhima wiedziała, że kiedy Wiraf wydawał przyjęcie dla swoich kolegów, więcej



płacił za samo piwo i napoje. Taka drobna suma nie obeszlaby go w żadnej innej sytuacji.

Zresztą kto może wiedzieć na pewno, że te pieniądze zginęły? Zapewne ma je w tej chwili w kieszeni spodni. Bo widzisz, ta brązowa koperta była ostatnią cegłą przy budowie muru, za którym cię zamknął. Sądziłaś, że oszukał cię ten księgowy z fabryki Gopala. Ale on tylko uznał cię za ciemną i głupią, co jest przecież prawdą. A ten chłopak nazwał cię w oczy złodziejką i nic nie mogłaś na to poradzić. Zastawił na ciebie pułapkę jak myśliwy na dzikie zwierzę. Zapewne specjalnie wybrał dzień, kiedy panienci Dinaz nie było w domu. Planował wszystko przez wiele dni, a nawet tygodni. Za każdym razem, kiedy spoglądałaś na niego krzywo, za każdym razem, kiedy przychodziłaś nie dość szybko na jego wezwanie, za każdym razem, kiedy upokarzałaś go przed żoną, on myślał, kalkulował, planował. A zresztą co tu było do planowania? Myślisz, że bardzo się bał, skoro za przeciwnika miał starą, niewykształconą kobietę? Pewnie nie tracił nawet czasu na planowanie. Zapewne po prostu bawił się tobą, pozwalał ci na wiele, czekając, aż zaczniesz sądzić, że jesteś bardziej potężna niż on. A wtedy, jednym ruchem ręki, sprawił, że spadłaś z tej wysokiej grzędy. Za tyle właśnie cię kupił i sprzedał, za siedemset rupii. Tyle jesteś warta. Mniej niż piwo kupione na przyjęcie.

Gardło Bhimy pali sól niesprawiedliwości. Przełyka tę grudę, ale ona wypala sobie drogę przez pierś, nim jak tłący się ogień wreszcie ląduje w jej żołądku. Czy powinnam skontaktować się z Serą *bai*, kiedy Wiraf będzie w pracy,

zastanawia się. I krzyczy na głos, kiedy w jej głowie formuje się odpowiedź: „Nie mogę”. Gdyby to tylko była sprawa kradzieży pieniędzy, skontaktowałyby się z Serą, przekonałyby ją o fałszywości oskarżenia. Właściwie nie musiała nic mówić – Sera *bai* sama zaczęła jej bronić, czy nie tak? Pod tym względem Wiraf źle ocenił swoją teściową. Jeśli sądził, że Sera *bai* zwolni ją tylko z powodu jego oskarżycielsko wyciągniętego palca i niegodziwego pomówienia, mylił się. Tak, Wiraf nie był w stanie podpalić jej stosu pogrzebowego, więc zrobiła to sama, własnymi rękami. Sama wspięła się na stertę starannie ułożonego drewna. Sama zapaliła zapałkę i wznieciła płomienie, które ją strawiły. Ten ogień, zrodzony z jej własnych słów, spalił ich wszystkich. Ogień, który ją pochłoniął, obrócił jej przyszłość i marzenia w popiół. Nigdy się nie dowie, na ile poważnie dobrał się do pozostałej dwójki – czy jego płomienie jedynie liznęły ich ciała i zgasły pod wpływem zaprzeczeń, czy też pozostawiły w ich duszach trwałe blizny.

Pomimo całej rozpacz i oburzenia Bhima modli się o zapomnienie dla Sery *bai*. Nie chciała zranić tej kobiety, która tyle już w życiu przeszła. *Oe, Bhagwan*, przebacz mi, modli się, powinieneś był mi uciąć język, zamiast pozwolić wypowiedzieć te brudne słowa. Zamyka na moment oczy, żeby usunąć sprzed nich obraz zaskoczenia w zbolącej twarzy Sery i wtedy ociera się o młodzieńca jadącego na rowerze po niewłaściwej stronie ulicy.

– *Oe, mausi*, patrz, jak idziesz! – wrzeszczy rowerzysta przez ramię, zygzakując wśród tłumu. – Prawie zrzuciłaś mnie z roweru, *jar!*

Zakłopotana Bhima mruczy pod nosem słowa przeprosin. Nagle przypomina sobie ten wieczór, kiedy umarł Feroz *seth*. Coś w wyglądzie przedwieczornego nieba, całego w purpurze i pomarańczach, przywołuje to wspomnienie. Pamięta, jak stała w progu i patrzyła na jego nieruchome, sztywne ciało i myślała o tym, że kiedy zabierze je pogotowie, nigdy już Feroza *setha* nie zobaczy. Wiedziała, że tylko parsowie mogą wchodzić do Wieży Milczenia. Stojąc w progu, próbowała wbić sobie w pamięć rysy twarzy Feroza, przywołać ton jego głosu, jego krótki, raptowny śmiech, i stwierdziła, że nie potrafi. Nie żył od zaledwie kilku minut, a już odszedł.

Podobne wrażenie ma po zerwaniu z Serą *bai*. Rozłam nagły jak śmierć. A ponadto będzie musiała żyć ze świadomością, że Sera *bai* mieszka w tym samym mieście co ona, że za kilka tygodni pochylać się będzie nad kołyską dziecka i śpiewać mu do snu, a jakaś inna kobieta będzie prać jej ubrania, szorować garnki i patelnie.

Myśl o innej kobiecie pracującej w domu Sery sprawia, że jak prąd elektryczny przenika ją dreszcz wściekłości, wściekłości, która zmienia nagle kierunek i teraz atakuje ją samą. Och, ty głupia kobieto! Co cię obchodzi, kto tam będzie pracować? Nawet gdy mąż cię porzucił, nie rozpacziałaś tak bardzo jak teraz. Co ci ludzie cię obchodzą? Kiedy nadeszła na to pora, wyrzucili cię jak starą, zeschniętą kromkę chleba, czy nie tak? Czy Sera *bai* przedłożyła twoją oczywistą prawdę ponad oczywiste kłamstwo swego zięcia? Czy dała mu w twarz, kiedy nazwał cię złodziejką? Czy kazała mu się wynosić z domu, kiedy jej powiedziałaś, co

zrobił? Nie, ona kazała tobie się wynosić. Mama mówiła prawdę, kiedy powtarzała, że krew jest gęściejsza od wody. Co z tego, że Sera *bai* nie urodziła Wirafa? Teraz jest jej synem – ma taką samą jasną skórę, taką samą śmiałość w rozmowach z obcymi, taki sam sposób mówienia wykształconego człowieka.

Bhima nie jest zaskoczona odkryciem, że w tym dniu pełnym kłamstw i podstępów oszukują ją nawet jej własne stopy. Zamiast iść do domu, ku jej zaskoczeniu, skręciły ostro i teraz tylko jezdnia oddziela ją od morza. Niebo nad wodą jest fioletowe jak siniak przecięty czerwienią i purpurą przez ostrze szaleńca. Nagle czuje wielką potrzebę znalezienia się bliżej wody, usłyszenia w jej dzikich, ale pozostających pod kontrolą uderzeniach o skały wielkiego zamieszania panującego w jej własnej duszy. Wiatr popycha ją naprzód przez sześć pasów ruchu, które musi przebyć, by znaleźć się po drugiej stronie. Czuje przez moment wyrzuty sumienia na myśl o Mai martwiącej się o nią w domu, ale wiatr szarpie je gwałtownie, wrywa i unosi ze sobą.

Stawia swój karton na betonowym murku biegnącym wzdłuż brzegu morza i siada obok. Nie zabierze go ze sobą do domu, zostawi go tutaj, postanawia. To pudło jest tylko drażniącym przypomnieniem dni, które nie wrócą. Niech ktoś inny przegląda jego zawartość. Wyobraża sobie radość jakiegoś chłopca, kiedy znajdzie jej niebieski grzebień, biedną żebraczkę odchodzącą z jej mydelniczką, nastolatkę, która jutro rano po kąpieli użyje jej talku Ponda. Siedzi na betonowym murku razem z setkami

innych spacerowiczów i patrzy na szarą wodę bębniącą pięściami w wielkie głazy oddzielające ją od morza. Pragnie, by ocean wysłał wielką falę, falę, która wzniesie się majestatycznie ponad tym ochronnym murkiem i zmyje wszystko – bogate damy spacerujące z pieskami, dziwnie chodzących żółtowłosych cudzoziemców z wielkimi plecakami, pary, które siedzą przodem do morza, a jedno trzyma rękę na kolanie drugiego, ćanawalę z jego nosowym skowytem, którym usiłuje Bhimę namówić na zakup orzeszków ziemnych. A nade wszystko pragnie, aby ta fala wzniosła się ponad jej chude, zmęczone ciało, zalała je i jak gałązkę zabrała ze sobą. Chce podskakiwać na wodzie niczym wyschnięty kokos wrzucony do morza, by przebłagać bogów. Modli się, by ocean oczyścił ją z grzechów, wymył z jej głowy wszystkie palące myśli i ugasił ogień w jej gardle.

– *Bai, bai.* – *Ćanawala* nadal stoi przy niej, namawiając, by coś od niego kupiła. Kręci odmownie głową, ale w ten sposób przyznaje, że go widzi, co tylko zachęca go do dalszych wysiłków.

– Proszę, *bai* – mówi z przypochlebnym uśmiechem.  
– Dziś interes marnie idzie. Mam w domu żonę i piątkę dzieci.

Patrzy na niego z pogardą, przypominając sobie starego Pasztuna balunwalę i jego milczącą godność. On nigdy by nie błagał klienta o kupienie jego balonów. Chodziłby głodny, wracał na koniec dnia z pustymi rękami do swojego samotnego kąta na świecie, ale nigdy nie zniżyłby się do żebrania. *Ćanawala* widzi, jak pogarda zbiera się na jej twarzy niczym morska piana, i wzdryga się. Od-

chodzi pospiesznie, mrużąc do siebie coś o braku serca tych ludzi z miasta.

Wspomnienie przystojnej, spokojnej zadumanej twarzy afgańskiego balunwali uspokaja Bhimę tak bardzo, że przez chwilę wierzy, iż morze spełniło jej prośbę. To dziwne, myśli. Ledwie może sobie przypomnieć, jak wyglądał Feroz *seth*, i niech Bóg jej wybaczy, zaczyna również zapominać twarz Amita. To znaczy może odtworzyć pewne fragmenty ciała syna – białe plamki na paznokciach, zielony gil, który często zwisał mu z nosa, fakturę jego gęstych, ciemnych włosów, dołek w jego brodzie – ale ostatnio ma kłopoty z przywołaniem obrazu jego twarzy jako całości. Najlepiej pamięta go z okresu poprzedzającego o dwa lata moment jego odejścia, a i to tylko dlatego, że ma jego zdjęcie z tamtego czasu. Zdjęcie, które położyło ze starości i pełne jest plam, bo tyle razy trzymała je w ręku, całowała, gładziła.

Tymczasem twarz Pasztuna pamięta tak dobrze, jakby wpadła na niego zaledwie wczoraj. Widzi mleczną szarość jego smutnych oczu, w których, jak zawsze sądziła, odbija się niebo jego ojczyzny. Pamięta spieczoną słońcem, brązową skórę na jego twarzy, surową, jak kraj, z którego pochodził. Jego długi nos, prosty jak górski łańcuch, i wąskie wargi, które wyginały się jak rzeka, kiedy koncentrował się na pracy. A przede wszystkim te piękne brązowe ręce, ręce, które tworzyły z niczego poemat, które zmieniały nieruchomy kawałek gumy w magiczny kształt, przynoszący radość oczom dzieci.

Czuje, jak z jej serca spada jakiś ciężar. Niebo ciemnieje, tracąc ten olśniewający poblask, ale wiatr i kojące

uderzenia fal uspokajają ją coraz bardziej. Wśród okrzyków, wrzasków i bezustannych rozmów ludzi wokół niej wyobraża sobie, że słyszy głęboki, niski głos Pasztuna, zachęcający ją, nalegający. Głos, który dotarł do niej ponad górami i latami na skrzydłach wiatru występującego w roli posłańca. Żal, jaki zawsze czuła z tego powodu, że nie rozmawiała z nim, nie zapytała o jego życie, opuszcza ją teraz. Ponieważ w jakiś sposób, nawet bez jej pytań, Pasztun do niej przemówił. Pamięta, jak jego zapadnięte policzki wydymały się powietrzem, kiedy nadmuchiwał balony, jak jego długie brązowe palce przesuwają się płynnie po gładkiej powierzchni pękatych gumowych tworów, jak palce Kryszny, gdy gra na flecie. Zastanawia się nad tym paradoksem: samotny mężczyzna, wygnaniec, bez ojczyzny, bez rodziny, potrafił kreować bajeczny świat, wchodził do domu obcych ludzi, używając jako wytrychu wyczarowywanych przez siebie magicznych, kolorowych fantazji. Człowiek, który już nigdy więcej nie dotknie ani nie pocałuje słodkich twarzątek swoich dzieci, przynosił uśmiech dzieciom innych ludzi. Jak muzyk potrafił ze swej samotności utkać pieśń. Jak czarodziej nauczył się zamieniać wiotkie kawałki gumy w coś, co dawało szczęście innym. Choć ręce miał puste, zbudował cały świat.

Wokół Bhimy zapada cisza. Białe pudle przestają szczełkać, klaksony samochodów milkną, kupcy nie wychwalają swoich towarów. Słyszy jedynie rytmiczny szum fal i ciche słowa Pasztuna, mówiącego do niej, przedającego melodię, która w równych częściach jest osamotnieniem i receptą,

jak je pokonać. Melodię, która mówi o goryczy wygnania i słodczy samotności, o lęku przed byciem samemu na świecie i wolności, która trzepocze skrzydłami tuż pod tym lękiem. Bhima siedzi nieruchomo, słuchając tej muzyki. Szybko milknie wysokie, tragiczne zawodzenie *śehnai*, a po kilku minutach również brzęczenie sitaru od którego drętwieje serce. Pozostaje jedynie rytm tabli – piętrzący się, mocarny i nieskończony. Samotność przestaje zawodzić, a po niej milknie tępy brzęk strachu. Pozostaje tylko wolność – nieskończona, piętrząca się fala, potężna.

Bhima śmieje się głośno. Para siedząca obok niej aż podskakuje na widok starej kobiety siedzącej po turecku na betonowym murku i śmiejącej się do siebie w głos.

– Pewnie sądzi, że jest Śmiejącym się Buddą – szepce chłopak do swojej dziewczyny.

– Jest na to za chuda – odpowiada szeptem dziewczyna.

Bhima ich nie słyszy. Teraz odbiera polecenia od innego pana, słucha wypełniającego jej uszy trzepotliwego odgłosu machania skrzydłami, odgłosu latania. Wolności.

Jest teraz niemal wdzięczna Wirałowi babie, ponieważ jego zdrada była jak nóż przecinający nić, która krępowała ją od tak dawna.

Schodzi z murka, wiedząc dokładnie, co musi zrobić. W pośpiechu nie czeka, aż jej rozchwiane biodro zaskoczy na miejsce, i za karę przeszywający ból wypełnia ciemną gałąź jej lewej nogi. Ale dziś się tym nie przejmuje i jeszcze nim płomień bólu zamiera, szuka w swoim sari dwudziestorupiowego banknotu, który powinien tam być. Przez moment myśli o Mai czekającej przy



prymusie na powrót babci i czuje ukłucie winy, że pozbawia dziewczynę jedzenia, które mogłaby kupić za te dwadzieścia rupii. Ale ile jest warta ta śmieszna suma w dzisiejszym Bombaju? Co za to kupi – kilka kostek cukru? No to przez następne kilka tygodni będzie piła herbatę bez cukru. Ponieważ nim będzie mogła żyć dalej, nim zdecyduje, co powie Mai, jak wróci do domu, i do kogo się uda w poszukiwaniu posady, nim stanie oko w oko z okropną rzeczywistością i stawi czoło wszystkim upokorzeniom, jakie pociągnie to za sobą, nim zdecyduje, czy iść za trzepotem skrzydeł wolności, czy go zignorować, musi zrobić jedno. Musi oddać cześć pamięci Pasztuna *babu*.

W rozgorączkowaniu wpada na młodego człowieka siedzącego na chodniku z twarzą przesłoniętą trzymanymi w rękę balonami. Bhima przygląda się im, cofnąwszy się o kilka kroków. Przyczepione do cienkich patyczków wyglądają jak duże lizaki.

– Masz tylko takie? – pyta.

Mężczyzna podrywa się na nogi, a na jego twarzy pojawia się gorliwy uśmiech.

– *Are, mausi*, mam strasznie dużo balonów – mówi.  
– I w różnych kolorach, żółte, czerwone, pomarańczowe. Czego jeszcze chcesz?

Bhima kręci niecierpliwie głową.

– Szukam innych. Są tu jeszcze jacyś balunwale?

Mężczyzna patrzy na nią z urazą, rozdarty pomiędzy chęcią sprzedaży a słabym poczuciem lojalności wobec innych sprzedawców.

– Ach! – mówi wreszcie. – Tam dalej, w tamtą stronę, jest jeszcze jeden, sprzedaje balony napełniane helem. Ale to daleko – dodaje ostrzegawczo.

– Jestem ci wdzięczna – mówi Bhima. Idzie teraz szybko, zręcznie wymijając ludzi nadchodzących z przeciwka. W pewnej chwili uderza ją odkrycie, że o wiele szybciej potrafi chodzić sama niż wtedy, kiedy towarzyszy jej Maja. I znów słyszy ten trzepotliwy odgłos skrzydeł. Wolność. Minęło tyle lat od chwili, kiedy była tak zupełnie sama jak dziś.

Niemal brakuje jej tchu, kiedy w końcu dociera do drugiego balunwali. Tu jest mniej ludzi, więc przelotnie zastanawia się, czemu wybrał akurat to miejsce. Ale potem przypomina sobie, co mówiła jej Sera *bai*: że policja i miejscowe gangi współpracują ze sobą w ściąganiu od sprzedawców haraczu za miejsce na ulicy. Tu zapewne płaci mniej, myśli.

Serce podskakuje jej z radości, kiedy zauważa cylinder z helem. Czyli ten balunwala ma takie balony, o jakie jej chodzi. Czeka niecierpliwie, aż napełni gumową kulę dla dziewczynki, która ściska rękę ojca, wpatrując się niepokojnie w puchnący balon.

– A jeśli pęknie? – pyta łzawo.

Baloniarz uśmiecha się do niej.

– Nie pęknie, kochanie, jestem specjalistą – zapewnia.

Kiedy nadchodzi kolej Bhimy, mężczyzna rozgląda się za dziećmi, a potem patrzy na nią ze zdumieniem.

– Ile chcesz za balon? – pyta Bhima, po czym, nie dając mu czasu na odpowiedź, wyciąga do niego swoje dwadzieścia rupii. – Chcę balonów za całą tę sumę.

Mężczyzna patrzy na nią, jakby bał się uwierzyć w swoje szczęście.

– Kupujesz na przyjęcie w domu swojej pani? – pyta, kiedy zaczyna napełniać balony.

– Nie mam pani – odpowiada Bhima krótko. A te słowa, zamiast smakować kwaśno jak aspiryna, zamiast kalczyć jej usta jak kawałki potłuczonego szkła, smakują jak czekoladki Cadbury. – Aha. Nie mam żadnej pani – powtarza.

Kiedy mężczyzna kończy, Bhima bierze swoje balony jak bukiet kwiatów, trzymając je za długie sznurki, a one podskakują i wiją się w górze. Niebo jest teraz czarne, nie ma śladu po wcześniejszym ogniu, a balony tańczą na wietrze jak purpurowe, czerwone i niebieskie głowy świetnie widoczne na tym ciemnym tle. W świetle latarni widzi zaciekawione spojrzenia mijających ją ludzi. Od czasu do czasu jakieś opanowane zazdrością dziecko wrywa się z ramion matki i wyciąga ręce po te balony. Bhima udaje, że tego nie widzi. Podziwiał ciągnący się wzdłuż czarnej wody połyskliwy Naszyjnik Królowej. Tę czułą nazwę nadano iskrzącemu się łukowi latarni oświetlających wybrzeże od Malabar Hill po Nariman Point.

Wiatr próbuje wyrwać jej sznurki, ale nie pozwala mu na to, zaciskając mocniej rękę. Rozgląda się, niepewna co dalej, aż jej oczy padają na miejsce, gdzie rozsypał się betonowy murek, tworząc wyrwę, przez którą można zejść na obmywane przez fale skały. Kuca koło tego miejsca i zdejmuje klapki. Przesuwa się na pośladkach na sam

skraj urwiska, po czym ostrożnie zwiesza jedną stopę i szuka nią po omacku skały. Balansując na tej stopie i nadal ściskając sznurki balonów, które tańczą jak szare duchy nad jej głową, stawia na skałach drugą nogę, przez chwilę przytrzymując się jeszcze ręką murka. Stoi nieruchomo, lustruje otaczającą ją wodę, polegając bardziej na słuchu niż na wzroku.

Czuje potrzebę znalezienia się bliżej fal, poczucia na stopach ich chłodnej wilgoci. Przykucnięta, podpierając się czubkami palców, przesuwa się ze skały na skałę, coraz bliżej linii wody. Wkrótce głązy robią się wilgotne i śliskie. Wiatr chłoszcze ją jak okrutny pan, próbuje wyrwać jej z rąk balony. Pomimo śliskości skał porusza się coraz zręczniejsze, a jej stopy wyginają się i dopasowują do kształtu kamieni. Woda bulgocze wokoło, a zawodzenie wiatru zagłusza szept Pasztuna, zagłusza odgłosy miasta. Bombaj wydaje się bardzo odległy i wcale nie byłaby zaskoczona, gdyby, odwróciwszy się teraz, odkryła, że miasto zniknęło – że zniknęły taksówki, runęły wysokie budynki, a ludzie gdzieś się zagubili. W obliczu nieśmiertelności – odwiecznego szumu morza, zaoranych pól nieba, wolnego jak Cygan wiatru – reszta jej życia wydaje się absurdalnie i śmiesznie nietrwała, przejściowa, śmiertelna. Przemijająca jak pieniądze, krucha jak miłość. Równie eteryczna i delikatna jak jej tańczące na wietrze balony.

I teraz wreszcie rozumie, co zawsze widziała na twarzach ludzi siedzących nad brzegiem morza. Wiele lat temu, gdy przychodzili tu z Gopalem, zauważyła, że kiedy ludzie patrzą na morze, delikatnie unoszą twarze, jakby

starali się dostrzec ślady stóp Boga albo dosłyszeć milczący szum wszechświata. Zauważyła, że na plaży ludzkie oblicza łagodnieją, wypełnia je tęsknota, stają się podobne w wyrazie do pysków słodkich starych psów przemykających ulicami Bombaju. Jakby wszyscy węszyli w słonym powietrzu za transcendencją, za czymś, co pozwoliłoby im uciec z więzienia własnej skóry. W świątyniach ich głowy były pochylone, a twarze małe, pełne szacunku i strachu, skurczone w nicość przez rytualne modły kapłanów. Ale kiedy patrzyli na morze, unosili głowy, a ich oblicza robiły się zaciekawione i otwarte, jakby szukali czegoś, co pozostanie, kiedy wiatr zamiecie odciski ich stóp na piasku. Ziemię można sprzedawać, posiadać, dzielić, rościć sobie do niej prawa, deptać ją i o nią walczyć. Ziemia jest bez przerwyznaczona kałużami krwi. Wybrzusza się i puchnie nad ciałami tych niezliczonych milionów ludzi, którzy zostali w niej pochowani. Ale morze jest czyste, wieczne i niedostępne dla ludzi. Jego wody wzbierają i połykają szkarłatny wstyd rozlanej krwi.

Bhima nadal ściska w ręku balony i nagle wyobraża sobie, że tylko ich sznurki łączą ją z tą smutną, zniszczoną ziemią. Że jeśli je puści, wzniesie się w powietrze i poszybujecie nad skałami w to wąskie miejsce, gdzie morze styka się z niebem. A gdy przychodzi jej do głowy ta myśl, jej chwyt staje się słabszy, a wolny jak ptak wiatr zagarnia balony i unosi je ze sobą. Obraz starej twarzy Pasztuna – smutnej i zadumanej, ale równocześnie godnej i odważnej – przepływa przed oczami Bhimy i znika, porwany przez wiatr. Teraz widzi tylko balony szybujące nad czarną

wodą niczym odcięte od tułowia ludzkie głowy, które wznoszą się coraz wyżej i wyżej, wędrując do nieba jak rydwan Ardżuny i zmierzając wprost do gwiazd. Mruży oczy i patrzy, jak lecą, patrzy przez dłuższą chwilę, póki ostatni balon nie zniknie jej z oczu. Stoi na skałach, co i raz ślizgając się i tracąc równowagę, obserwuje morze i czeka na odpowiedź. Spod głazów u jej stóp wychodzi krab, ale go nie zauważa. Zbyt jest skupiona na słuchaniu morza, na zrzucaniu do niego swych ciężarów, jest jak mała dziewczynka, która wracając ze szkoły do domu, oddaje ciężkie książki do niesienia starszemu bratu.

Mogłabym tak stać już zawsze, myśli. Mogłabym wiecznie zajmować to miejsce, które nie jest ani lądem, ani wodą, czekać tu, aż niebo i woda rozłączą swe ciemne, splecione ramiona i oddzielą się od siebie blaskiem nowego dnia.

Nowy dzień. Stawi mu jutro czoło dla Mai. Razem z budzącym się morzem, razem z resztą Bombaju – ulicznikami i bezpańskimi psami, nędzarzami oferującymi orzechy i kobietami sprzedającymi sześć kalafiorów dziennie, smutnymi mieszkańcami slamsów i puciołowatymi lokatorami pobliskich drapaczy chmur, urzędnikami wylewającymi się z pociągów na Churchgate i dziećmi wsiadającymi do zdezelowanych szkolnych autobusów, starcami jęczącymi na łóżach śmierci i niemowlętami wypadającymi z ciemnych łon swych matek – razem z całą gigantyczną metropolią, z wszystkimi jej mieszkańcami wlokącymi za sobą swoje indywidualne losy niczym armia mrówek udająca, że jest armią gigantów – razem z Banu *bai* w jej

wilgotnej pościeli i Serą *bai* w jej zburzonym świecie, i Wirafem babą z dławiącą go winą, i Mają z jej nieśmia-  
łymi, pełnymi wahań marzeniami i, tak, razem z Gopa-  
lem i Amitem, którzy obudzą się w odległych stronach,  
by poczuć zapach ilastej ziemi. Jak oni wszyscy, jak milio-  
ny ludzi, których nigdy nie spotkała, i jak ta garstka,  
którą zna – ona również stawi jutro czoło nowemu dniu.

Jutro. To słowo zawisa na moment w powietrzu, będąc  
równocześnie groźbą i obietnicą. Potem odpływa, jak łód-  
ka z papieru, porwane przez wodę liżącą jej kostki.

Jest ciemno, ale w sercu Bhimy zaczyna świtać.

# Podziękowania

Napisanie tej książki umożliwiły mi przede wszystkim miłość, zachęta i wsparcie wszystkich moich przyjaciół i członków rodziny. Jest ich zbyt wielu, by wszystkich wymieniać z nazwiska, mam jednak nadzieję, że domyślą się, iż to o nich mi chodzi i rozumieją, jak ważną rolę odgrywają w moim życiu.

Szczególne wyrazy wdzięczności kieruję do Noshir i Homai Umrigar za ich nieustające modlitwy, życzliwość i miłe słowa. Za wsparcie i zachętę dziękuję też Eustathei Kavouras.

Dziękuję również Arkady'emu Lernerowi i Sarah Willis za ich nieocenione wskazówki i wielką wyrozumiałość okazaną przy redagowaniu tego tekstu. Optymizm Mary Grimm pomógł mi przebrnąć przez trudne chwile, Marly Rusoff dziękuję zaś za jej wielką wiarę we mnie. Napisanie tej książki nie byłoby możliwe bez ich pomocy.



# Słowniczek

(opracował Krzysztof Iwanek)

*agjari* – patrz: Świątynia Ognia

*aćća* – dobrze; w porządku

*aćhut* – niedotykalny. Termin używany w stosunku do osób skalanych rytualnie na stałe (członkowie najniższych kast) lub czasowo (np. kobieta w trakcie miesiączki)

Ardżuna – jeden z bohaterów eposu *Mahabharata*

*are!* – wykrzyknienie używane przy zwracaniu się do kogoś: hej!

*asli mal* – prawdziwy, oryginalny towar

*altu-faltu* – śmieć, rzecz nikomu niepotrzebna

*atta* – mąka pszenna

*baba* – czuły zwrot używany w stosunku do ojca, dziadka i innych starszych wiekiem mężczyzn, ale również do małych dzieci.

*babu* – tu: urzędnik

*badmaś* – łobuz, łotr

*badmaśi* – niewłaściwe, podłe zachowanie

*bai* – pani

*balunwala* – sprzedawca balonów

*banija* – kupiec

*bap re* – O Boże!

*bas!* – dość! wystarczy!

*basti* – osiedle, również slumsy

*batata-wada* – indyjska przekąska: smażone kulki ziemniaczane

*bati* – lampka

*behendzi* – dosł. pani siostrze, uprzejmy sposób zwracania się do kobiet

*beśaram* – bezwstydnym

*beta* – syn, lub czasem bardziej ogólnie: dziecko (dowolnej płci)

*beti* – córka

*Bhagwan* – Bóg

*bhaisahib* – dosł. panie bracie; uprzejmy sposób zwracania się do mężczyzn

*bhaija* – brat; tu w znaczeniu: uliczny sprzedawca

*bhel* – indyjska przekąska: ryż, warzywa i mączne ciastka zmieszane razem

*bhelpuri* – patrz: *bhel*

*bhola-bhola* – niewinny

*bhut* – duch, upiór

*biri* – tanie indyjskie papierosy: kiepskiej jakości tytoń zawijany w liście

*birjani* – smażone, pikantne danie z ryżu i mięsa (lub warzyw)

Brama Indii – brama na nadbrzeżu Bombaju, jedno z najsłynniejszych miejsc tego miasta

*burhi* – stara  
*ćaj* – herbata  
*ćakra* – koło; tu: siniak  
*ćal re!* – idź, idźże  
*ćalo* – chodź; także w znaczeniu: w porządku, niech będzie  
*ćalta He* – dosł. idzie, porusza się; odpowiednik naszego jakoś leci  
*ćamća* – lizus  
*ćampi-maliś* – masaż  
*ćanawala* – uliczny sprzedawca taniej przekąski (próżnej ciecioriki)  
*ćapati* – podpłomyk  
*ćappale* – sandały  
*ćauki* – posterunek  
*ćaul* – robotnicze bloki mieszkalne; mieszkanie składało się zwykle z kuchni i jednego pokoju, a łazienki były wspólne dla całego piętra  
*ćhokri* – dziewczyna  
*ćup; ćup re* – ucisz się!  
*ćup-ćap* – cichutko, po cichu  
*ćutija* – kretyn  
*dadagiri* – zachowanie typowe dla osób starszych, zgredostwo  
*dakan* – tu: podła, zła kobieta  
*daku* – tu: straszny, okropny  
*dal* – pikantny, gęsty sos na bazie soczewicy  
*darbar* – tu: sala audiencyjna monarchy  
*daru* – alkohol

*darśan* – obraz, widzenie bóstwa; termin ściśle związany z obyczajowością hinduizmu: wyznawca udaje się w miejsce święte m.in. dla *darśanu*, to jest ujżenia postaci bóstwa

*dekho* – spójrz

*dewi* – bogini

*dhansak* – parsyjskie danie; pikantny sos soczewicowy z mięsem

*dhoti* – kawałek materiału zawijany wokół bioder.

*dikra* – synku, córeczko

*didi* – starsza siostra, ale także uprzejmy sposób zwracania się do kobiet w ogóle

*dimću* – brzuch

Durga – jeden z aspektów straszliwej bogini Kali

*dźabri* – despotyczna

*dźadu* – czary

*dźadugar* – czarodziej

*dźala* – sieć

*dźaldi* – szybko

*dźamwa ćalo dźi* – chodźmy jeść, zapraszamy na jedzenie

*dźanam* – narodziny, wcielenie

*dźanu* – kochanie

*dźati* – kasta, społeczność

*dźharu* – miotła

*dźi* – umieszczana po imieniu partykuła podkreślająca szacunek

*fatafat* – natychmiast

*feranga* – cudzoziemiec

*gadhera* – osioł

*garam* – gorący; *garam-garam* – ciepłutki, bardzo gorący  
*gadżar halwa* – słodka masa przyrządzana ze startych  
marchewek  
*ghati* – dosł. nadbrzeżny; tu w sensie: mieszkańcy nad-  
morskich obszarów stanu Maharashtra, którego stolicą  
jest Bombaj  
*gunda* – łobuz  
*ha dźi* – tak  
*haridżanowie* – uprzejme określenie członków najniż-  
szych kast  
*hathgari* – wędrowny stragan na kółkach, który właścici-  
ciel pcha własnoręcznie  
*hazar* – tysiąc  
*he na?* – nieprawdaż? no nie?  
*hidźra* – indyjski transseksualista  
*hirogiri* – bohaterstwo  
*hisab-kitab* – rachunki, rozliczenia  
*jar* – przyjaciel, kumpel, choć można się tak zwracać  
praktycznie do każdego  
*Jatha ahu wairjo* – początek *Ahunwaru*, najświętszej mo-  
dlitwy zaratusztarian  
*kadźal* – czarny barwnik  
*kandźus* – sknera  
*katha* – zasoby, oszczędności  
*Kem éhe?* – Jak się masz?  
*Kem na mazda* – początek jednej z parsyjskich modlitw  
*khara* – niezmielone, całe przyprawy (danie *khara* to da-  
nie z dodatkiem takich przypraw)  
*khata* – gorzki

Koh-i-Noor (czyt. koh-i-nur) – jeden z największych diamentów świata, wywieziony przez Brytyjczyków z Indii

*kulfi* – indyjskie lody

*kurta* – wierzchnie odzienie męskie: cienka, sięgająca do kolan koszula z długimi rękawami

*kutta* – pies

*lakh* – sto tysięcy

*lungi* – kawałek materiału przewiązywany przez biodra, służący jako wierzchnie odzienie

*maderćod* – matkojebca

*maidan* – tu: boisko

*mamla* – kwestia, sprawa

*manta* – ślub, przysięga

*maf karo* – wybaczyć

*masala* – dowolna mieszanka (szczególnie często: mieszanka przypraw)

*masala dosa* – cienki placek z warzywnym farszem

*mathubanu* – chusta

*mausi* – cioteczka, grzecznościowa forma używana w stosunku do starszych kobiet

*mawali* – łobuz, przestępca

*maza-masti* – przyjemność, rozrywka

*mela* – festyn, jarmark

*memsahib* – w kolonialnych Indiach termin określający białą kobietę; tu: dama, szanowna pani

*mere re!* – och! o rany!

*mithai* – słodczyki

*naffat* – bezwstydnym

*nahi* – nie

*nakhra* – flirtujące lub popisowe zachowanie  
*namak-haram* – niewdzięcznik  
*namaste* – dzień dobry  
*narial pani* – mleczko kokosowe  
*natak* – przedstawienie  
*oe* – wykrzyknienie używane przy zwracania się do kogoś: hej!  
*pan* – indyjska używka: orzechy palmy arekowej (supari) owinięte w liść betelu. Żucie *panu* barwi usta i zęby na czerwono  
*panipuri* – puste w środku kulki z ciasta, które przed zjedzeniem zanurza się w pikantnym sosie  
*pansupari* – patrz: pan  
*pakory* – kawałki warzyw zapiekane w pikantnym cieście  
*pallu* – obsyty  
*pappa* – ojciec, tatuś  
*parda* – dosł. zasłona; tu: ubranie zakrywające całe ciało  
*parsowie* – wyznawcy zaratusztrianizmu, pierwotnej religii Persji (wsp. Iran); po najazdach muzułmańskich na Persję wielu z nich zbiegło do Indii, gdzie żyją po dziś dzień, m.in. w Bombaju  
*pera* – rodzaj słodczy ze zgęszczonego mleka  
*pjazi* – zapiekana w pikantnym cieście z cebulą  
*pora* – parsyjski omlet  
*puri* – rodzaj placków smażonych w głębokim oleju  
*rakam* – suma, ilość  
*Ramajana* – starożytny indyjski epos  
*Rawana* – zły demon, antagonistą w eposie *Ramajana*  
*sadra* – rodzaj spódnicy

*sahib* – pan; używane po imieniu bądź tytule, np. doktor

*sahib* – pan doktor

*sala* – dosł. szwagier, ale także określenie obraźliwe, używane także przymiotnikowo (jak np. nasz pieprzony)

*salam* – powitanie, pozdrowienie

*samosy* – pierożki z pikantnym nadzieniem warzywnym

*seth* – tytuł używany w stosunku do ludzi z kast kucpieckich

*su che?* – tu: co jest?

*su su* – siusiu

*śalwar-kamiz* – kobiecy strój, składający się z tuniczki (*kamiz*) i szerokich spodni (*śalwar*)

*śehnai, sitar, tabla* – indyjskie instrumenty: *sitar* – strunowy; *śehnai* – rodzaj fletu, *tabla* – rodzaj dwustronnego bębna

Śiw Sena – skrajnie prawicowa hinduska partia i organizacja; jej przywódcą jest Bal Thakare

*śukrija* – dziękuję

*śrikhand* – słodki jogurt z dodatkiem białego sera, migdałów, szafranu i kardamonu

Świątynia Ognia – świątynie zaratusztriańska, gdzie czci się ogień

*tamaśa* – przedstawienie, show

*tilla* – szafran

*ustad* – mistrz, nauczyciel, specjalista w jakiejś dziedzinie

*wah!* – brawo! wspaniale!

*whemy* i *dhakhary* – tu: przesady

Wieża Milczenia – miejsce, gdzie parsowie składają ciała zmarłych, aby zostały zjedzone przez ptaki.